

NEELY TUCKER

**PODĘŁA
DZIELNICA**

GENIALNY KRYMINAŁ! JUŻ NIE MOGĘ SIĘ DOCZekać, CO BĘDZIE DALEJ...
MICHAEL CONNELLY

Prószyński i S-ka

NEELY TUCKER
PODŁA
DZIELNICA

Przełożyła
Teresa Komłosz

Prószyński i S-ka

Tytuł oryginału
THE WAYS OF THE DEAD

Copyright © 2014 by Neely Tucker
First published by Viking Penguin,
a member of Penguin Group (USA) LLC, 2014

Projekt okładki
Piotr Cieśliński/Dark Crayon

Zdjęcie na okładce
David et Myrtille/ARCANGEL IMAGES

Redaktor prowadzący
Anna Czech

Redakcja
Lucyna Łuczyńska

Korekta
Anna Jackowska

ISBN 978-83-7961-802-6

Warszawa 2014

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
ul. Rzymowskiego 28, 02-697 Warszawa
www.proszynski.pl

*pour josephine
laisse les bons temps rouler, chère.*

oraz
dla Elmore'a Leonarda,
największego z wielkich

*I ukaze się twarz Boga,
z wężowymi oczyma z obsydianu.*

BOB DYLAN „ROMANS W DURANGO”

Kobiety występujące w tej sprawie egzystowały na marginesie życia, zadawały się z wieloma osobami, ich zniknięcie z początku tak naprawdę nie zaniepokoiło nikogo, nawet ludzi im najbliższych.

DANNY WHELAN,
DETEKTYW Z WYDZIAŁU ZABÓJSTW
DYSTRYKTU COLUMBIA,
GŁÓWNY ŚLEDCZY
W SPRAWIE MORDERSTW
NA PRINCETON PLACE

Rozdział 1

Pierwsze długie cienie kładły się w poprzek Georgia Avenue, kiedy Sarah Reese, w obszernej kurtce narzuconej na trykot, po lekcji tańca zbiegła schodami do lobby. Matka wprawdzie zawsze spóźniała się o kilka minut, bo przeciągała spotkania z przyjaciółkami w centrum miasta przy niskich drinkach, to jednak nie znaczyło, że Sarah ma dużo czasu do jej przyjazdu.

Wyszła na chodnik przed studium i poczuła, jak lekki wiatr mierzwi jej włosy. Rozejrzała się w obie strony po wszystkich czterech nitkach dwupasmowej jezdni, wypatrując w korku zielonego land rovera matki. Przygryzła wewnętrzną stronę dolnej wargi, ścisnęła mocniej niewielki zwitek banknotów w lewej dłoni, po czym ruszyła biegiem na ukos przez ulicę.

Był pierwszy dzień października, trzy miesiące przed końcem dwudziestego wieku. Liście przybierały płomienne barwy żółci, bursztynu, czerwieni i przydymionej pomarańczy. Kolory miały typową dla tej pory roku intensywność, a w powietrzu między drzewami, od strony Chesapeake, dało się już wyczuć jesienny chłód. Sarah czuła, że robi jej się coraz zimniej; wysychające resztki potu na plecach i udach przyprawiały ją o gęsią skórę. Był piątkowy wieczór, niebo, czarne na wschodzie, nad jej głową przybrało barwę indygo, a nad zachodnim horyzontem prezentowało jaskrawe odcienie oranżu i różu. Później, kiedy rodzice pójdą już spać, miała się spotkać z Michaeliem. Na myśl o nim przebiegł ją dreszcz, oczy jej zabłysły – nie mogła tego opanować; przeciąwszy ostatni pas jezdni,

weszła na mały parking sklepu Doyle'a, który mieścił się w starym ceglany budynku z obłazącą niebieską farbą na elewacji i zapadniętym dachem. Zawieszane nad wejściem dzwoneczki brzęknęły, kiedy otwierała szklane drzwi.

W środku panował półmrok; musiała zwolnić, żeby przyzwyczać wzrok. Skręciła od razu w pierwszą alejkę, ta prowadziła do chłodziarek na tylnej ścianie. Przejścia między stoiskami, nieprzyjemnie wąskie, uniemożliwiały swobodne poruszanie się, cały sklep miał powierzchnię niewielkiego szeregowego domu, którym kiedyś był w istocie. Na półkach tłoczyły się papierowe ręczniki, konserwowane warzywa, parówki w puszkach i różne inne rzeczy, zbyt obrzydliwe, żeby ich dotknąć. Słabe światło, poźółkłe linoleum na podłodze, stęchły zapach papierosowego dymu, brudnych ubrań i rozlanego piwa, jaki przebijał się spod odoru środka dezynfekującego, wszystko to przywodziło jej na myśl dom z filmowego horroru. Dowiedziała się o sklepie Doyle'a od starszych dziewczyn; któregoś dnia po lekcji, na wiosnę, kiedy zaczęła uczęszczać na zajęcia w studiu Reginy, powiedziały jej, że mała staruszka z bujną fryzurą stojąca za ladą sprzedaje papierosy i piwo każdemu, nie zadaje żadnych „pieprzonych pytań”, jak to ujęła Letitia. Wyprawa do Doyle'a dała Sarah poczucie, że ma więcej niż piętnaście lat. Dała też odwagę, by zrobić coś, o czym nie wiedzą rodzice.

Wzięła butelkę witaminizowanej wody, odwróciła się i skierowała środkową alejką po gumę do żucia. Papierosy Virginia Slims i prezerwatywy znajdowały się przy kasie. Starsze dziewczyny miały rację. Babcia z za lady sprzedałaby ci nawet fiuta, gdyby nimi handlowano.

Sarah pochylona szukała gumy – miętowej, bez cukru – kiedy usłyszała odgłos otwieranych drzwi i brzęk dzwoneczków. Głośne męskie głosy, śmiech, wulgarne słowa wypowiedane z akcentem, który zdradzał pochodzenie z niebezpiecznych rejonów czarnego getta. Podniosła głowę. Alejką szło w jej stronę trzech chłopców, w podkoszulkach niedbale

wypuszczonych na spodnie. Jeden z nich odbijał piłkę do koszykówki –
bach, bach, bach. Ten z przodu, o szerokiej, wyrazistej twarzy, z włosami
ostrzyżonymi tuż przy skórze, stanął.

– Zobaczcie. Miss amerykańskich tancerek. – Patrząc Sarah w oczy,
cofnął się dwa kroki, chłopcy z tyłu zerkali zza jego ramienia. Dżinsy
wisały mu nisko na szczupłych biodrach, znad paska wystawała góra
bokserek. Sarah zamarła bez ruchu, a potem spuściła wzrok i szybko ich
wymięła. Końcem nosa wyczuwała pot, piwo, skumulowaną energię.

Po dojściu do lady uświadomiła sobie, że nie wzięła gumy. Chłopcy szli
za nią, głośni, cały czas odbijali piłkę, na linoleum spadały obrzydliwe,
grube krople testosteronu. Miała wrażenie, że ten zapach także czuje. Nie
odwracała się. Pal lichy gumę i papierosy, a o kondoma Michael sam mógł
zadbać. Wyciągnęła portfel, wyjęła z niego dwa jednodolarowe banknoty,
przesunęła je po ladzie jako należność za wodę i schowała portfel
z powrotem do kurtki.

Staruszka zza lady wydała jej resztę. Kiedy Sarah sięgała po pieniądze,
jeden z chłopców potrącił ją, objając się o jej pośladki. Zaskoczona
wypuściła z ręki monety, które odbiły się od lady i rozsypały po podłodze.
Znowu śmiech. Czwierćdolarówka kręciła się jak dziecięcy bączek.

– Hej, ludzie, blondynka rzuca kasą.

– Warto by sprawdzić tę dupkę – inny głos, szeptem. – Biała dziewczyna
coś tam ma.

– Zaraz się schyli.

– To ją klepnę. – Chichot.

– Wyklepiesz ten tyłeczek?

– Aż się o to prosi.

Przybijali sobie piątki, dziko rozbawieni.

Sarah rozważała ucieczkę ze sklepu, ale się powstrzymała. Miała przed
sobą trzech odpychających chłopaków. Chłopaków. Nie mogła się
zachować jak przestraszony królik.

Wypuściła powietrze, starała się uspokoić. Odchylona lekko do tyłu jednym ruchem opuściła ciało tak, że opierała się o linoleum palcami i kolanem prawej nogi. Ramiona trzymała blisko tułowia. Lewą ręką podniosła ćwierćdolarówkę, prawą wyciągnęła dziesięć centów spod stojaka. Drugą monetę dziesięciocentową znalazła parę centymetrów dalej w alejce. Obie leżały awersem do góry. Zauważała wszystko. Naciskając ciężarem ciała na prawą stopę, a potem na lewą stanęła sztywno wyprostowana. Nie zorientowała się, że portfel wystawał jej z kieszeni kurtki tak znacznie, że chłopak za nią, ten który robił wulgarne uwagi, wyciągnął go jednym zwinnym ruchem ręki.

– Masz całą resztę, złotko?

Sarah uniosła wzrok na sprzedawczynię, której głos zza lady brzmiał jak gwizd pociągu w ciemności. Twarz miała umazaną tuszem do rzęs i szminką. Za okularami do czytania pojawił się strach. Sarah dostrzegła go w nienaturalnie błyszczących, podobnych do koralików źrenicach. Przyszło jej do głowy, że staruszka mogłaby zadzwonić na policję.

– Wyzbierałaś wszystko? – spytała ponownie sprzedawczyni takim głosem, jakby nawoływała z zamkniętego pomieszczenia na zewnątrz. Na podobnej do kartofla twarzy malowało się coś w rodzaju uśmiechu i Sarah nie była już pewna, czy wcześniej rzeczywiście widziała tam lęk.

Przytaknęła szybko, tak, tak, kucyk podskoczył, a kiedy się odwracała w lewo do wyjścia, zakołysał się na boki. Usłyszała, jak chłopak za nią mamrocze:

– Na zewnątrz przy wyjściu. Zatrzymajcie tę sukę, kiedy wyjdzie.

Jeden z chłopców przepchnął się przed nią, zapanował hałas, drugi coś krzyknął, ale za bardzo się bała, żeby usłyszeć wyraźnie, o co chodzi. Zrobiła niepewny krok ku szklanym drzwiom, milcząc, coraz bardziej odrętwiała, a potem obejrzała się w stronę zaplecza sklepu.

Znajdowały się tam podwójne metalowe drzwi z napisem „Wyjście”.

Rzuciła się do nich niemal biegiem, otworzyła je pchnięciem, gotowa pędzić przed siebie, ale znajdowała się w magazynie, gdzie były jeszcze jedne tak samo oznaczone drzwi. Oprócz napisu „Wyjście” miały sfatygowaną tabliczkę, która głosiła, że „rozlegnie się alarm”.

Sarah stanęła jak wryta. Niech to szlag. Zamrugła. Magazyn był ciemny i wąski, po obu stronach rzędy pudeł sięgały niemal do sufitu. Odwróciła się i spojrzała w stronę frontowej części sklepu, widocznej przez rozkołysane drzwi, w które dopiero co wpadła.

Przyszło jej do głowy ładne słowo: „możliwości”. Mogła otworzyć drzwi, które miała za sobą, sprawdzić, dokąd prowadzą, ale wówczas rozległby się alarm i przyjechałaby policja, a tego nie chciała. Mogła zawrócić, przez sklep pomaszerować do wyjścia, mijając chłopaka, który ocierał się o jej pośladki, i przekonać się, co zamierzali zrobić na ulicy przed sklepem.

To także nie wchodziło w rachubę.

Nie, postanowiła po prostu zadzwonić do mamy z miejsca, gdzie stała. Wiedziała, że mama się wścieknie i urządzi scenę, ale przynajmniej będzie wiedziała, co robić. Sięgnęła po swoją nokię, ale... kieszeń była pusta. Popatrzyła na kurtkę szeroko otwartymi oczami, sprawdziła jeszcze raz w obu kieszeniach, próbowała wywrócić je podszewką na zewnątrz... bez skutku, nie było ani telefonu, ani portfela. Poklepała się po udach, gdzie zwykle znajdowały się kieszenie spodni, ale miała na sobie trykot bez kieszeni. Dotarło do niej, w okropnym przebłysku pamięci, że zostawiła komórkę w plecaku w studiu. Klepnęła się po udach, dwukrotnie, a potem jeszcze trzy razy, jakby od tego miały się pojawić kieszenie i telefon. Poczuła, że ramiona zaczynają jej drżeć, a w nosie zbiera się śluz.

Metalowe drzwi za jej plecami nagle się otwarły, ale żaden alarm nie został włączony. Sarah Reese odwróciła się w zgęstniałym mroku i po raz drugi wypuściła trzymane w dłoni monety.

Rozdział 2

Sully Carter siedział nad trzecią szklaneczką whisky Basil Hayden's (z lodem, woda osobno) i delectował się także rześkim październikowym powietrzem, wpadającym przez otwarte okno obok jego boksu. Chłodne muśnięcia były jak pocałunek z domu, tak przyjemne, że aż na chwilę zamknął oczy.

Biała koszula, świeżo wyprasowana na początku dnia, teraz pomięta, zwisała mu luźno nad paskiem dżinsów. Rękawy podwinął, nie zadał też sobie trudu, by się ogolić; w piątek nie musiał. Siedział w tylnym narożniku u Stoneya, skórzaną motocyklową kurtkę przerzucił przez oparcie siedzenia. Miał tak dobre samopoczucie, że aż korciło go, by komuś przyłożyć.

Zagrzechotał lodem w szklance, pociągnął łyk i poczuł lekkie, cudowne ukłucie whisky na końcu języka. Po raz kolejny zerknął ukradkiem w stronę baru i udało mu się dostrzec Dusty; pracowała, przyjmowała zamówienia razem z Dmitrim, drugim barmanem, Ukraińcem. Tym razem nie popatrzyła na Sully'ego, ale wcześniej przyłapała jego spojrzenie – mogło uchodzić za próbę flirtu, gry wstępnej czy czegoś w tym rodzaju.

Chudy jak tyczka Sully mówił z lekką chrypką i śladem akcentu z Luizjany, który był wprawdzie bliższy irlandzko-niemieckim dzielnicom Nowego Orleanu, ale wpadał w ucho. Sully przewyższał wzrostem większość ludzi, jednakże miał tendencję do odchylania się na lewej nodze, więc nie zawsze było to widoczne. Jako korespondent wojenny w Bośni ucierpiał od wybuchu pocisku odłamkowego, ostre kawałki metalu

zniszczyły mu prawe kolano, złamały trzy żebra i rozorały policzek, można powiedzieć, że wytatuowały mu swój podpis na twarzy i torsie.

Na policzku zostały poziome blizny i maleńkie, ledwie widoczne bruzdy pod oczami. W poprzek czoła, u góry, ciągnęła się długa szrama, zazwyczaj ukryta pod opadającymi kosmykami czarnych włosów. Dwie identyczne pionowe blizny na prawym boku przypominały krótki odcinek torów kolejowych, a skóra na prawym kolanie wyglądała, jakby ją pozszywał Dali na ciężkim kacu. Dziwny chód, pokiereszowane ciało, postawa, szczególna powściągliwość, wszystko to tworzyło dość odpychający wizerunek człowieka, dla którego przyszłość nie jest zbyt ważna, w każdym razie mniej, niż dla wielu ludzi.

Knajpa Stoneya, jego ulubiona, znajdowała się cztery przecznice od sądu, trzy od miejskiej komendy policji i pięć od biura prokuratora generalnego. Obsługiwała policjantów, adwokatów i rozmaitych typów reprezentujących proletariata z centrum miasta. Lokal miał zniszczone drewniane podłogi, prawie całkiem zmatowiałe lustro za barem, natomiast atmosfera w nim dawała poczucie, że ci lepsi piją gdzie indziej.

Sully z powrotem skierował wzrok na siedzącą naprzeciwko Evę Harris, od ośmiu lat w wydziale zabójstw, od piętnastu w agencji.

– Dlaczego więc nie skazali go... mam na myśli ławę przysięgłych, czemu go nie skazali za zabicie Grubego Chucka? – spytał.

– Obrona konieczna – odpowiedziała zwięźle.

– Obrona konieczna przed czym?

– Obrona konieczna przed Grubym Chuckiem. Artykuły sześć jeden i trzy dwadzieścia. Pan Hastings zeznał, że Chuck chciał go „zmusić do czynności seksualnych”.

– O dziesiątej rano? Na głównym dziedzińcu aresztu stanowego?

– Tak brzmiało zeznanie.

– Jak pan Hastings się bronił?

– Używając pięciokilogramowej sztangi do podnoszenia ciężarów.

- Zatłukł Chucka na śmierć?
- Zatłukł go na śmierć.
- Pan Hastings najwidoczniej nie lubi być zmuszany do czynności seksualnych – powiedział Sully.
- Tak, jasne. Chuck był winien pieniądze. Sly Hastings rozwalił mu czaszkę w obecności stu dwudziestu pięciu świadków i mu się upiekło, bo wszyscy wiedzą, że lepiej nie zeznawać przeciwko niemu.
- A jak to się stało, że Sly Hastings wylądował w areszcie stanowym?
- Użycie nielegalnie posiadanej broni. To było jakieś pięć... może sześć lat temu. Czekał na proces.
- I...?
- Też się wywinął.
- Dostrzegam tu pewną powtarzalność, pani mecenas.
- Słusznie. Pan Hastings robi ludziom brzydkie rzeczy i uchodzi mu to na sucho – mówiła Eva, wyraźnie ożywiona. – Wygląda jak mól książkowy. Nosi takie małe okrągłe okulary nazywane lenonkami, wiedziałeś o tym? Podczas ostatniego procesu czytał powieść Jeana Toomera. I sukinsyn robił notatki na marginesie.
- Odmawiasz temu człowiekowi prawa do zainteresowania renesansem Harlemu?
- Twój lokalny mafioso zwykle zadowala się lekturą świerszczyków.
- Jesteś pewna, że naprawdę nim jest? Bo o czym tu mówimy... O trzech procesach: dwie ławy przysięgłych nie zdołały wydać jednomyślnego werdyktu, jedna orzekła uniewinnienie? Nie chcę tracić czasu na pisanie o kolejnym „teflonowym oskarżonym”, jeśli ten człowiek jest... że tak powiem, postacią drugorzędną.
- No więc nie trać.
- Ale ty myślisz, że on jest draniem.
- Nic nie myślę. Ja ci to mówię. Sly Hastings rozdaje karty. Pozbywa się ludzi, którzy mu w kartach mieszają i nie spada mu za to włos z głowy.

– Wkurzyła cię ta sprawa z Grubym Chuckiem – stwierdził Sully.

Eva odruchowo dotknęła dredów ściągniętych w koński ogon, potem swojego kieliszka z winem, wreszcie położyła dłoń z powrotem na stole. Miała zwyczaj przyglądać się swemu rozmówcy w milczeniu przez jakieś pięć sekund, po czym zaczynała wyrzucać z siebie słowa z szybkością karabinu maszynowego. Rat-a-ta-a-ta. Dorastała w Wirginii Zachodniej, studiowała prawo w Georgetown i mówiła bez żadnego akcentu, chyba że sama chciała. A kiedy tak się zdarzało, uchodziła raczej za dziewczynę ze stolicy, nie z prowincji, zdaniem Sully’ego, ponieważ używała charakterystycznych słów i zwrotów.

Sully zjadł frytkę. Lubił Evę. Należała do nielicznych osób w sądzie, do których pozwalał sobie mówić po imieniu. Było tak od czasu, gdy wykończony i wściekły wrócił z Bośni. Przyjrzał jej się teraz: siedziała naprzeciw niego, z wyraźnie widocznymi piegami na nosie. Spoglądała w stronę drzwi baru, jakby rozpoznała jakiegoś wchodzącego gliniarza. Na talerzu przed nią leżała porcja grillowanego sera, którego nawet nie tknęła od piętnastu minut.

Sully sięgnął nad stolikiem, wziął ser, odgryzł kawałek i w tym samym momencie rozległo się brzęczenie. Eva opuściła wzrok na swoje prawe biodro, uniosła pager, po czym stwierdziła:

– To nie ja.

Wzniósł oczy ku niebu i z ustami pełnymi sera otworzył plecak. Wyjął masywną komórkę. Ekran się świecił, cały aparat wibrował. Przeczytał wyświetlone cyfry i ściągnął brwi.

– Dali mi aparat tego lata – wyjaśnił. – Miał być użyteczny. A jaki jest? Przypomina jeden z tych elektronicznych gadżetów, przyczepianych do kostek więźniów na zwolnieniu warunkowym. Narzędzie dla szefów, żeby mogli w każdej chwili cię znaleźć.

Wcisnął guzik z symbolem zielonej słuchawki i przyłożył telefon do ucha.

– R.J., bracie. Jest piątek wieczór. Co?

Niski baryton ryknął mu do ucha tak głośno, że odruchowo uchylił głowę.

– Zaraz, zaraz, zaraz. Chwilunia. Czy... Chris jest pewien? Daj spokój, wiesz, o co mi chodzi. To nawet nie... – Sully spojrział na zegarek. Dochodziła ósma. – Skoro chcesz, żeby Chris się tym zajął, to czemu rozmawiamy? – Machnięciem lewej dłoni poprosił Evę o coś do pisania. Wyjęła długopis z torebki i Sully zanotował adres na serwetce. Kilka razy przytaknął, a potem zaklął i się rozłączył.

Położył telefon na stoliku, oddał Evie długopis i popijał whisky. Przyłożył zwiniętą pięść do ust, żeby stłumić kaszel. Następnie wyciągnął z portfela trzy banknoty dwudziestodolarowe i rzucił na blat stolika.

– Ktoś właśnie zabił córkę Davida Reese'a – oznajmił, kaszłąc. – Ciało zostało wrzucone do śmietnika na Georgia Avenue. – Spojrział na serwetkę. – Numer 3700? Tuż za skrzyżowaniem, chyba z New Jersey?

Eva zamrugła, ale poza tym nie wykonała żadnego ruchu, zachowała ten sam nieprzenikniony wyraz twarzy, jaki widywał u niej w sądzie; sędzia podtrzymywał sprzeciw, a ona z taką miną, ściągniętymi surowo ustami, mówiła w przestrzeń, do Boga, do świadka: „Więc nie widział pan nic po tym, kiedy pistolet wypalił...”

– Myślałam, że Reese mieszka w McLean – odezwała się po chwili.

– Bo mieszka. Może ta dziewczyna... – Opuścił wzrok na serwetkę. – Sarah, ma na imię Sarah, może tylko ją tam porzucono. Jeśli to się nie zgadza i Chris... z przejęcia pewnie sika po nogach i nakręca R.J... rozumiesz, jeśli człowiek podpadnie szefowi...

Komórka znowu zabrzęczała, więc spojrział na wyświetlacz.

– Cholera. On już czeka na zewnątrz. Chris. R.J. przysłał go, żeby mnie zgarnął. Powiedział, że według niego mam za dużo alkoholu we krwi, żeby prowadzić motocykl, ale nie żeby zbierać materiał.

– R.J. nie jest przypadkiem twoim redaktorem prowadzącym?

– Tak ostatnio słyszałem.

– I nie przeszkadza mu, że jesteś wstawiony?

– Jeżeli ktoś nie umie zbierać materiałów po pijaku – Sully dopił resztkę whisky – to powinien rzucić robotę w gazecie.

Chwycił swoją kurtkę i wyszedł z boksu, Eva zrobiła to samo. Utorował sobie drogę przez niewielki tłum ludzi przy barze i skierował się do drzwi; Eva podążała krok za nim. Światło wydawało mu się jakieś nierówne, głosy zbyt donośne, energia, którą czuł jeszcze przed chwilą, ulatniała się, tracił napęd. Nie dostrzegł za barem Dusty, tylko Dmitriego, a zaraz potem byli już na zewnątrz, w ostatnich promieniach dziennego światła. Czuł na sobie chłód wieczornego powietrza, niemal namacalnie, jakby motyl usiadł mu na przedramieniu i machał skrzydłami.

– Jak wielką trzeba odczuwać żądzę śmierci – zwrócił się do Evy – żeby zabić córkę prezesa sądu federalnego u stóp Kapitolu? – Cmoknął ją przelotnie w policzek, a potem skierował się do samochodu Chrisa Huntera czekającego przy krawężniku.

Rozdział 3

Sully otworzył przednie drzwi samochodu Chrisa, dziesięcioletniej hondy CRX, i zsunął z fotela pasażera na podłogę notatniki, aparat i plik gazet. Wrzucił swoją kurtkę na tylne siedzenie, a sam rozsiadł się na opróżnionym ze szpargałów miejscu.

Chris, młodzieniec o pyzatej twarzy i serdelkowatych palcach, teraz zaciśniętych na kierownicy, ruszył z kopyta; szarpnięcie rzuciło Sully'ego na oparcie i spowodowało, że drzwi same się zatrzasnęły.

– Ona już nie żyje, chłopie – mruknął Sully, zastanawiając się, czy aby zanadto nie przeciąga samogłosek.

– Terminy – odrzekł szybko Chris i wrzucił trzeci bieg. – Reese ma być mianowany na sędziego Sądu Najwyższego. To hit.

Sully powstrzymał się przed kpiącym parsknięciem. Młodość, entuzjazm. Spojrzał pod nogi, podłogę zaśmiecały opakowania z fast foodów i papierowe kubki. Odbiło mu się. Na tylnym siedzeniu stały trzy kartonowe pudła, a między siedzeniami piętrzyła się sterta ubrań.

– Widzę, że właśnie rozpocząłeś drugi rok studiów – powiedział.

– Niedawno się przeprowadzałem w nowe miejsce – odparł Chris; nie odrywał wzroku od drogi, ale wyczuł, że Sully się rozgląda.

– Kiedy?

– W czerwcu.

Honda wiozła ich przez zapuszczone rejony Chinatown przy Seventh, przecięła Massachusetts Avenue i skierowała się na północ Georgia Avenue. Surowa uroda stołecznego centrum Waszyngtonu znikła, wyparta

przez pozbawione wdzięku widoki zabudowań magazynowych i szeregowych domów z klimatyzatorami wystającymi z okien na piętrze. Drzwi i witryny sklepów miały zabezpieczenia, czarne metalowe kraty. W otwartych bramach stali mężczyźni z puszkami piwa i papierosami w dłoniach, wywabieni na zewnątrz rzeźkością wieczoru. Sully opuścił szybę, wpuszczając do środka powietrze.

– Jest październik, mistrzu – odezwał się dopiero po chwili.

Chris, wychylony naprzód, z obiema rękami na kierownicy, jakby nie słyszał kpiny, cały czas opowiadał, jak przed godziną dostał telefon od dzielnicowego. Był pod wrażeniem, że funkcjonariusz właśnie do niego zadzwonił, dał mu cynk w sprawie, która musiała trafić na pierwsze strony. Mówił szybko i co chwila zerkał na swego rozmówcę, lecz ten milczał.

Trzy kilometry dalej ruch zamarł. Sully wychylił się przez okno. Ulica przed nimi była zablokowana na całej długości, migające koguty radiowozów i wozów strażackich wytyczały granice ogrodzonego terenu zbrodni.

Chris szarpnął kierownicą ostro w lewo, żeby skręcić w Park Road, trzy przecznice od celu ich wyprawy. Wjechał w boczną ulicę, skręcił w prawo i zatrzymał samochód na parkingu należącym do banku i wielkiego sklepu monopolowego; litery na szyldzie były po oczach neonowym światłem w kolorze banana. Kiedy wyłączył silnik, zadzwoniła jego komórka.

– Czołem. Jestem na miejscu, parkuję. A gdzie ty jesteś? Jasne. Gdzie? Mogę założyć, że to prawda? – Umilkł i słuchał. – Okej. Tak, tak, jasne. Tylko podstawowe rzeczy. Bez powoływania się na ciebie.

Zakończył połączenie.

– Wybacz. Mój znajomy dał nam oficjalne potwierdzenie dotyczące Sarah Emily Reese, urodzonej czternastego lutego osiemdziesiątego czwartego roku. Siedzą w samochodzie szefa akcji, wewnątrz kordonu. Jest FBI, funkcjonariusze straży sądowej, tajne służby, miejscowe gliny. Burmistrz. Koszmar. Ta mała była na lekcji tańca czy coś. Mój człowiek mówi, że

studio tańca jest po zachodniej stronie Georgia Avenue. Sarah chyba poszła kupić sobie coś do picia w sklepie na rogu po drugiej stronie ulicy. Wbiegła na zaplecze. Znalaziono ją w pojemniku na śmieci za sklepem. Ciało zostało już zabrane.

Sully wszystko zapisał.

– Dlaczego wbiegła na zaplecze?

– Nie wiem.

– Dobrze byłoby znać odpowiedź na to pytanie.

Wysiedli z samochodu, przeszli handlowym odcinkiem Georgia Avenue, a potem dalej chodnikiem; Sully, wyginając ramiona, przeciskał się przez tłum gapiów, którzy stali wzdłuż żółtej taśmy.

Trzy radiowozy blokowały wyjazd na północ od skrzyżowania z Otis Place. Sully dostrzegł grupę umundurowanych funkcjonariuszy przed budynkiem po zachodniej stronie Georgia Avenue, tam prawdopodobnie mieściło się studio tańca. Drugą grupę widać było po przeciwnej stronie, przed sklepem Doyle'a.

Sully z Chrisem znajdowali się na południe od miejsca zbrodni; policyjna blokada utrzymywała tłum w odległości przecznicy od sklepu, gdzie dziewczyna została zabita. Sully domyślał się, że od północy sytuacja musi wyglądać podobnie. Jeśli od wschodu i zachodu dostęp był zablokowany w takiej samej odległości, przekątna wynosiła cztery przecznice. To także zapisał w notatniku. Szeroki pas terenu odgrodzonego taśmą dowodził, że policja nie ma żadnych konkretnych ustaleń i zarzuca obszerną sieć.

Odetchnął głęboko, starając się ocenić to, co widzi; jednocześnie zastanawiał się, czy Dusty będzie zła, że wyszedł bez uprzedzenia, i próbował wytrząsnąć z głowy opary whisky.

Spojrzał w prawo, wzdłuż biegnącej nieco pod górę Otis i na końcu ciągu budynków zobaczył centrum rekreacyjne Park View. Przyszło mu do głowy nazwisko: Lana Escobar. Zeszłego lata ostatni raz pisał o tej okolicy. Ciało Lany, prostytutki, znaleziono na boisku baseballowym tego kompleksu.

Policja nawet nie musiała się wysilać, żeby ogrodzić teren. Nie było tłumu gapiów. Padało i mokra żółta taśma opadła na ziemię. Pamiętał błoto klejące się do butów, techników, którzy wkładali ciało ofiary do worka na zwłoki, stukot kropel deszczu o sztywny plastik, Jezu...

– Jak się za to bierzemy?

Chris stał obok niego, dzieciak z opatrzonym zdjęciem identyfikatorem zawieszonym na szyi. W ręce trzymał dyktafon i mały notes. Wyglądał jak tłusty szczeniak gotowy biec za piłeczką. Zaczynał mu cholernie działać na nerwy, a kiedy Sully był wkurzony i pijany, stawał się nieprzyjemny. Tak mu powiedzieli ludzie z Programu Pomocy Zatrudnionym. Pieprzone gnojki.

– Może zajmiesz się ulicą, bo znasz tutejszych ludzi – powiedział szybko Chris – a ja się zajmę glinami?

Sully poklepał się po kieszeniach. Miał przy sobie legitymację. Cudownie. I gumę. Guma bardzo się przydawała, szczególnie do maskowania zapachu bourbona w oddechu. Ludzie, jak wiadomo, często wyciągali błędne wnioski. Chwycił ustami grzbiet notatnika i używając obu rąk, upchnął koszulę w spodniach. Następnie wyjął notatnik spomiędzy zębów i wsunął do ust plasterek owocowej gumy do życia.

– Bierz gliniarzy, mistrzu – odparł. – A ja wysłucham głosu ludu.

Spojrzał w stronę gromady reporterów stłoczonych po drugiej stronie ulicy; telewizyjne anteny sterczały nad ich głowami jak pędy młodych drzewek. Lokalna sława, Dave Roberts, szykował się do relacji na żywo. Grał w piłkę w liceum DeMatha, zanim trafił do reprezentacji Maryland i NFL, a obecnie był powszechnie uwielbianym reporterem telewizyjnym.

– Jest jedna rzecz, Chris. Nie zadawaj pytań w tym zamieszaniu. Zasugeruj tylko gliniarzom, że ofiara jest być może przypadkowa. Wszyscy inni będą wyrażać przekonanie, że to ma coś wspólnego z Reese'em. Sprawdź, czy istnieje możliwość, że jest inaczej.

Chris spojrział na niego, przenosząc ciężar ciała z prawej nogi na lewą. Sully widział, że pomysł nie przypadł do gustu stażystce, który szukał raczej potwierdzenia, że chodzi o wielką sprawę – o członka lokalnego gangu, kolumbijskiego barona narkotykowego albo o akcję któregoś z tych antyrządowych świrów z Idaho – uderzenie we władze federalne. Niekończący się ciąg artykułów na pierwszą stronę miał go wyzwolić od harówki w lokalnym dodatku i przynieść mu niesłychany zaszczyt pracy w ogólnokrajowym tygodniku.

Chris wzruszył ramionami.

– Popytam. – Ruszył w stronę tłumu, ale w ostatniej chwili się odwrócił. – Odwieźć cię z powrotem? Umówimy się jakoś?

Sully zaprzeczył ruchem głowy.

– Kurtkę odbiorę później.

W górze, wysoko nad ulicznymi latarniami, krążyły dwa policyjne helikoptery, przeczesujące światłami reflektorów dachy, boczne uliczki i zaułki. Sully poczuł na karku pierwsze dotknięcie jesiennego chłodu, ostrzeżenie o rychłym nadejściu zimy. Bourbon wciąż jeszcze szumiał mu w środku, ale powtarzane przez ludzi słowo „morderstwo”, ich niezdrowe ożywienie, krew na asfalcie, wszystko to zmieniło normalny piątkowy wieczór w coś poważnego, co budzi lęk, o czym się rozmawia. Wozy transmisyjne, reporterzy z różnych stacji i kanałów kablowych zjeżdżali się do części miasta, której zwykle nie zauważali i pokazywali kawałki D.C. w salonach mieszkańców Seattle, Phoenix i Tucson. „Wychodziłam właśnie ze sklepu, kiedy nadjechały te wszystkie radiowozy z błyskającymi kogutami, uzbrojeni policjanci i w ogóle...”

Spojrzął na zegarek. Do ostatecznego terminu oddania materiału pozostało sześćdziesiąt siedem minut. Dreszcz napędzany adrenaliną przebiegł mu po krzyżu.

Przepychając się wśród gapiów, dostrzegł Dave'a przed wozem stacji telewizyjnej. Mocował się z węzłem krawata. Operator przygotowywał

ujęcie, manewrował tak, by w tle było studio tańca, które znajdowało się po drugiej stronie ulicy. Sully widział napis „Big Apple”, jaki biegł wzdłuż pierwszego piętra. Podstawki litery „A” miały kształt nóg baletnicy, a góra, odwrócona, przedstawiała wypięte pośladki.

Sully dobrnął do pierwszego rzędu tuż za żółtą taśmą i podniósł do góry legitymację dziennikarską, jakby to była policyjna blacha. Ludzie wokół niego trochę się rozsunęli. Machnięciem przyciągnął uwagę Dave’a. Starszy od Sully’ego mężczyzna o śniadej skórze i szerokich ramionach, wciąż krzepki, jakby dopiero co opuścił boisko, gestem zaprosił go na ogrodzony teren.

– Koniec wieczoru. – Sully niedbałym ruchem wskazał na słońce znikające za horyzontem. Skarcił się w duchu, nakazawszy sobie wyraźniej artykułować słowa. Przecież nie był w domu.

– Jechałem właśnie do kina z żoną – powiedział Dave.

– Wściekła się?

– Dwadzieścia dwa lata małżeństwa i po powrocie do domu obejdę się smakiem.

– Pozdrów ją ode mnie, jeśli w ogóle będzie chciała z tobą gadać. Chryste, mam wrażenie, że widzę tu wszystkich poza „East Jesus Gazette”. Najlepsi w D.C. już coś mają?

Dave zauważył górne lustro w samochodzie i olśniło go, że może je wykorzystać do walki z krawatem.

– Właśnie dostałem wiadomość od braciszka z czwartego dystryktu, że szukają trzech czarnych chłopaków, nastolatków, którzy byli w tym sklepie. Ostro za nimi węszą, ale trzymają akcję w tajemnicy. Sam wiesz, nie mogą tak po prostu powiedzieć: „Czarnuchy zabiły białą dziewczynę! A niech to! Chowajcie swoje kobiety!” Ale tak to wygląda. Właścicielka sklepu powiedziała gliniarzom, że była „jakaś scena” między nimi a tą dziewczyną.

– No i proszę.

- Nie, nie, nie kupuję tego gówna.
- Powiesz, że podejrzani są czarni?
- Na wizji? Nie, chyba że będą pewniejsze dane.
- Taka robota – mruknął Sully.

Ludzie stali przed drzwiami domów, mężczyźni z ramionami splecionymi na piersi. W korku rozlegały się klaksony. Kilka metrów dalej wzdłuż żółtej taśmy gapie zbijali się w grupę, otaczali kręgiem jakąś osobę. Sully skinął Dave'owi i szybko odszedł, kierując się przez tłum w stronę nagłego zgromadzenia. W środku stała młoda kobieta, smukła, w długim podkoszulku z logo studia tańca „Big Apple” na piersi.

– ...więc mówiłam Ginie, że dziewczyny to robią. Wymykają się na drugą stronę ulicy. Chyba po coś do jedzenia, sama nie wiem.

Ktoś zadał pytanie, którego Sully nie usłyszał.

– Jej mama zadzwoniła po policję, przyjechali od razu, a ja poszłam na górę. Potem rozległy się syreny, więc wyjrzałam przez okno. Wszyscy biegli do sklepu Doyle'a, od zaplecza. Mama Sarah zobaczyła, że coś się dzieje, i też pobiegła. Strasznie krzyczała.

– Jezu, to mogło być moje dziecko. – Jakaś kobieta obok Sully'ego westchnęła.

Młoda kobieta ze środka kręgu zaczęła z kimś rozmawiać; tłum się rozproszył, tracąc zainteresowanie. Sully podszedł bliżej.

– Proszę pani? Nazywam się Sully Carter. Jestem...

– Znam pana – przerwała mu tonem pozbawionym emocji. Przesunęła wzrokiem po bliznach na jego twarzy i odwróciła się, żeby odejść. –

Przyjechał pan tu i zadawał pytania, kiedy zeszłego lata zabili tę Hiszpankę.

– Rozmawiałem z panią? – spytał, przechylając głowę na bok; zrównał się z nią i podał jej swoją wizytówkę.

Pokręciła głową.

– Przyszedł pan do studia. – Zapamiętała blizny i utykanie. Wszyscy zwracali na nie uwagę.

– Znała pani Lanę?

Przyjęła wizytówkę, to już był sukces, oglądała ją uważnie, zwalniała, poddawała się.

– Tak... nie. Sama nie wiem. Nie na tyle, żeby rozmawiać. Może ją widywałam.

– Zatem widziała pani, jak Sarah Reese przechodziła przez ulicę? O której godzinie?

Spojrzała na zegarek, potem znów na niego, decydując się jednak na chwilę zatrzymać.

– Gdy skończyła lekcję. Trochę po siódmej.

Sully wyciągnął notatnik i zaczął pisać.

– Była sama?

– Sama.

– Dziewczyny, uczennice, często tak robią po lekcji?

Skinęła głową.

– Ile czasu upłynęło, nim pani usłyszała syreny?

Skrzywiła się, krzyżując ramiona na piersi.

– Pierwsi gliniarze zjawili się bez żadnych syren. Może to byli... bo ja wiem, tajniacy? Do kogo dzwonią sędziowie? Po gliniarzy, syreny, tych, co pojechali do Doyle'a? To było dokładnie o ósmej.

– Po straż sądową – odpowiedział Sully. – Sędziowie są ochraniani przez straż sądową. Jakim cudem tak dobrze pamięta pani godzinę?

– Bo zamykałam studio. O ósmej trzydzieści wszyscy kończymy.

– Czy ktoś ze studia poszedł tam, do sklepu Doyle'a, przed policją, żeby może jej szukać?

– Prawdopodobnie. Może. Nie wiem. Jej mama tu przyszła. Wie pan, ich lekcja się skończyła, tak? Mają czekać w lobby. Widziałam, jak Sarah

wychodziła, ale miałam następną lekcję. Nie wiedziałyśmy, że zaginęła, dopóki jej mama nie przyjechała.

– Sarah wcześniej sprawiała jakieś problemy?

– Była w porządku. Może trochę się bała starszych dziewczyn.

– Dlaczego zdecydowała się uczęszczać na lekcje akurat tutaj?

– Może słyszała, że Gina tańczyła u Alvina Aileya, nie wiem. Proszę spytać Ginę.

– Kto ją przywoził na lekcje: tata czy mama?

– Z tego co wiem, przeważnie mama. Ale widywałam też jej ojca, w soboty, gdy ją podwoził. Przystojny.

– Ile lekcji Sarah miała w tygodniu?

– Co to ma być, ile tych pytań? – Sully kątem oka zauważył, że rozplotła rękę. Podniósł głowę; należało utrzymywać kontakt wzrokowy, w przeciwnym razie rozmówcy się wkurzali.

– Przepraszam. Proszę posłuchać, nie jestem żadnym dupkiem, tylko udaję takiego w TV. Bardzo mi pani pomaga. To ile było tych lekcji?

– Wydaje mi się, że dwie. W piątek wieczorem i w sobotę rano, dużo dziewczyn tak chodzi. Gina będzie wiedziała dokładnie.

– Okej. Czy Sarah przyszła kiedyś ze swoim chłopakiem albo kimś takim?

– Nie widziałam.

– Kręcą się tu jacyś zboczeńcy? Mieliście jakieś dziwne telefony do studia?

– Ja nie jestem od odbierania telefonu, proszę pana.

– Ani przez chwilę tak nie myślałem. Po prostu rozmawiamy. Nawet nie spytałem, jak pani na imię.

– Poda je pan w gazecie?

– Tylko jeśli pani wyrazi zgodę. Wciąż jeszcze nie wiem, jak się pani nazywa. I jeśli mi pani nie powie... – popatrzył na nią z uśmiechem,

starając się wykrzesać z siebie trochę czaru – ...to i tak nie będę mógł tego zrobić.

– Dlaczego chce pan się powoływać na mnie? Przecież policja powie panu wszystko, co trzeba.

– Może trudno w to uwierzyć, ale czasem nas oskarżają, że zmyślamy.

– Biała dziewczynka wybiega ze studia i zostaje zabita, a pan chce wszystkim mówić, gdzie mogą mnie znaleźć?

– Może tylko imię?

– Jezu, wielka mi różnica.

– No dobrze, proszę posłuchać... Jeśli poda pani swoje drugie imię, to wystarczy. Nikt pani nie rozpozna. A ja nie będę musiał się powoływać na anonimowe źródło.

– Anonimowe. Podoba mi się. Proszę ze mnie zrobić anonimowe źródło.

– W takim razie gazeta nie wykorzysta tego materiału. A szkoda, bo uważam, że mówi pani prawdę.

– Dlaczego miałabym kłamać?

– Ponieważ wszyscy kłamią.

Przyjrzała mu się uważnie.

– Robię to od ponad dwudziestu lat – dodał tonem wyjaśnienia.

– Drugie imię... No dobrze, Victoria. Może pan je podać. Niech będzie zdrobniale, Vicky. Ale proszę nie podawać, że pracuję w studiu. Gina mnie wyleje za to, że z panem rozmawiałam.

– Umowa stoi, panno Vicky. – Wyciągnął rękę i postukał palcem w wizytówkę, którą trzymała w dłoni. – Gdyby pani sobie przypomniała coś więcej, proszę dzwonić do starego przyjaciela Sully'ego. Pracuje pani tutaj codziennie?

– Tak.

– Może jeszcze wpadnę.

Pokiwała głową i odeszła, przyglądając się wizytówce. Czekał, przygotowany na to, że rzuci ją na trawnik, ale tego nie zrobiła, więc nabrał

pewnej nadziei.

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze trzydzieści trzy pieprzone minuty.

Przepchnął się przez tłum gapiów, skręcił w lewo na Otis, szybko minął centrum rekreacyjne i wszedł w Warder Street, następnie po skręceniu w lewo przeszedł do następnej przecznicy, wreszcie dotarł do Princeton Place. Tu znów skręcił w lewo i wkrótce znalazł się na ulicy za sklepem Doyle'a.

Z jednej strony zaparkowany na jezdni radiowóz blokował przejazd, w poprzek obu chodników rozciągała się żółta taśma. Sully szedł środkiem ulicy, dopóki taśma nie zagroziła mu drogi. Wokół stały stare domy, bliźniaki, kilka miało okna zabite deskami. Większość ulicznych lamp nie świeciła. Policjant rozmawiał przez radio; na widok Sully'ego wysiadł z auta, żeby mu się przyjrzeć. Sully zatrzymał się, uniósł do góry legitymację prasową i lekko nią pomachał. Policjant pokiwał głową i wrócił do nadawania przez radio, ale nie spuszczał go z oczu.

Znajdował się jakieś siedemdziesiąt metrów od skrzyżowania, pięćdziesiąt od uliczki na tyłach sklepu, gdzie znaleziono ciało Sarah. Mimo że domy i drzewa zasłaniały widok, bez trudu można było dostrzec samochody policyjne, furgonetkę techników i inne nieoznakowane pojazdy. Sully podszedł do latarni na chodniku i oparł się o nią, zdejmując ciężar z kolana.

Miał trzynaście minut na przekazanie materiału.

Zabójca albo zabójcy tej małej opuścili miejsce zbrodni trzy godziny wcześniej, może dwie i pół, i rozplynęli się w powietrzu. Nikt na ulicy nic nie widział. W tym momencie miejscowi policjanci oraz federalni przerzucali kartoteki notowanych, sprawdzali akta przestępców na tle seksualnym, wiarygodne powiązania z sędzią, spis szkolnych koleżanek Sarah Reese... A on nie miał nic. Pieprzone zero. Brakowało też czasu, żeby zgłębić jakieś źródło, spróbować jakichś sztuczek.

Jednak dzięki reputacji gazety, jeśli już nie jego własnej, tekst zamieszczony w jutrzejszym wydaniu miał uchodzić za podstawowy

dokument kształtujący obraz morderstwa Sarah Reese w wyobraźni obywateli. Zamierzał dyktować znaczną część tego tekstu chociaż był zmęczony, nie całkiem trzeźwy i wiedział niewiele więcej od innych smętnych sukinsynów, którzy okupowali chodnik przy miejscu zbrodni.

Splunął. Nie ma to jak startować z ostatniego miejsca.

Rozdział 4

Sully, mój chłopcze. Wiem, że masz dla mnie cały poemat, ale najpierw muszę cię o coś zapytać.

Przeżarty papierosami głos Tony'ego Rubina grzmiał w telefonie, przeplatany charakterystycznym kaszlem palacza i klekotem klawiatury w tle. Tony miał szorstką naturę człowieka, który od trzydziestu jeden lat żonglował tematami przed zamknięciem numeru, trzymał piszących w napięciu do ostatniej chwili i traktował ich jak trener trzeciej bazy w małej lidze, przesiadywał przy biurku do późnej nocy podczas redakcyjnych dyżurów. Przed dwoma laty Tony się rozwiódł, po raz trzeci, i następne cztery miesiące przemieszkał w newsroomie, czego w zasadzie nie odkryto, ponieważ brał prysznic w starej szatni dla drukarzy, a sypiał w opuszczonych pomieszczeniach zajmowanych przez redakcję niedzielного dodatku. Sully znalazł go tam któregoś ranka; Tony spał cały spocony, z marynarką pod głową zamiast poduszki, skulony pod biurkiem korektora, śniąc o anarchii i zadżganiu gacha swojej trzeciej żony.

– Tak? O co?

– Niedziela, Skins? Grają przeciwko Karolinie. U siebie. Są faworytami, więc nie warto? Powiedz coś. – Jednostajny stukot, nerwowo; dopracowywał poprzednią partię tekstu, wstrzymywał Sally'ego, dopóki sam nie będzie gotowy, by usłyszeć następną część.

– Mnie interesują raczej Saints. Naprawdę nie...

– Dobra. Przecież obstawiasz.

– Tylko gry, o których coś wiem. Ale tak na pałę... Słuchaj, pokonamy Karolinę i będzie szmal. Skins zbierają punkty jak szaleni, więc u siebie na pewno dadzą radę. Widziałeś mecz Gigantów? Pięćdziesiąt punktów, to znaczy...

– Dobra – przerwał mu Tony, stukot klawiatury ustał. – Wszystko jasne. Dawaj dalej.

– Masz o tym, że poszukują trzech czarnych podejrzanych?

– Mam.

– Ale nie od Chrisa, zgadza się?

– Zgadza.

– Ten chłopak nie umiałby oświetlić latarką własnego fiuta. Okej. Ja też mam o poszukiwaniach, z drugiej ręki, od kogoś z czwartego dystryktu, ale wiadomość jest raczej nieautoryzowana.

– Jamie ma to od federalnych, z FBI.

– Świetnie.

Zaczął dyktować o tym, że Victoria widziała, jak Sarah przechodzi przez ulicę, nie ujawnił jednak, że patrzyła ze studia tańca. W jego relacji była po prostu przypadkowym świadkiem, dokładnym, niezbyt wylewnym, ale wiarygodnym. Powiedział, że nie podała nazwiska, bo bała się ewentualnej zemsty. Resztę wyrzucił z siebie już bez zastanowienia: „Prokuratorzy twierdzą, że tego rodzaju lęk jest powszechny w rejonach miasta o dużej przestępczości, ponieważ świadkowie obawiają się następnych, wymierzonych w nich aktów przemocy. Wprawdzie okolica Park View nie należy do tych najbardziej niebezpiecznych, ale problem stanowią zdarzające się tam przestępstwa uliczne i rabunki. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy na Princeton Place zginęła co najmniej jedna kobieta, Lana Escobar. Została uduszona na boisku baseballowym centrum rekreacyjnego Park View, niecałe sto metrów od miejsca, gdzie znaleziono ciało Sarah Reese. W sprawie tamtego zabójstwa nikogo nie aresztowano. Dziś jeszcze nie wiadomo... Tony, zmień na „wczoraj wieczorem jeszcze

nie było wiadomo»... Tak... nie było wiadomo, czy przypadek Reese stanowił jedno z przestępstw ulicznych częstych w tym rejonie miasta, czy też był tragedią niezwiązaną z tym miejscem”. Poczekaj. Zmień na „była przypadkową ofiarą ulicznego przestępstwa, czy też świadomie wybranym celem zabójcy”. No to mamy.

Następnie opisał scenę na ulicy, helikoptery widziane nad miejscem zbrodni, tłum i jego negatywną energię, anteny telewizyjne, wczesny zmierzch, dobiegające z oddali trąbienie aut unieruchomionych w korku przez blokady.

Popatrzył na zegarek. Przekroczyli termin dla działu miejskiego.

– Jak wygląda ta uliczka? – spytał Rubin.

– Jest siedem po dziesiątej.

– Posłałem wcześniejszą wersję. Co z tą uliczką?

– Na niej koncentrują się działania policji. Jest wąska, dwa samochody się nie miną. Pamiętam, że szedłem tamtędy raz lub dwa razy, kiedy pisałem o Escobar. Niczym się nie wyróżnia. Uliczka jak uliczka, z kubłami na śmieci, igłami, kondomami, puszkami po piwie. Biegnie na tyłach wszystkich sklepów, które stoją przy Georgia Avenue.

– Ile wynosi odległość od głównej ulicy?

– Nie mierzyłem krokami, ale wydaje mi się, że jakieś sześćdziesiąt, sześćdziesiąt pięć metrów. Sklep Doyle’a jest trochę dziwny... ma cztery albo pięć miejsc parkingowych od frontu, między tą uliczką a Georgia Avenue, taki mały parking.

– Śmietniki są tuż za wyjściem ze sklepu?

– Nie wiadomo. Ale nie mogą być daleko. Uliczka skręca, nie idzie prosto. Skręca w stronę przeciwną do Georgia Avenue, omijając biurowiec, ten z restauracją Hunger Stopper na parterze, a dalej wychodzi na Otis Cholera. Sprawdź, czy to jest Otis Place czy Street. Śmietniki nie mogą stać na zakręcie, więc tamten musiał się znajdować w odległości nie większej niż dwadzieścia lub trzydzieści metrów od tylnego wyjścia ze sklepu.

– Została znaleziona w uliczce pomiędzy Princeton Place a Otis Place?
Zgadza się?

– Tak. To znaczy nie... Otis tak, ale nie wiem, czy to ulica, aleja czy jeszcze coś innego.

– Sprawdzam na mapie miasta. Princeton Place, Otis Place. Princeton biegnie ze wschodu na zachód. Ma tylko dwie i pół przecznicy.

– Zaczyna się przy polu golfowym, a kończy, wchodząc w Georgia Avenue. Po drugiej stronie pola golfowego jest... katolicki uniwersytet? No tak, to nie mogłaby się tam dalej ciągnąć.

– Uliczka jest asfaltowa? Nie brukowana?

– Hmm... tak.

– I jesteś pewien, co do jej przebiegu? Bo na mojej mapie nie występuje.

– Patrzę na nią.

– Ile tam jest ludzi w tej chwili?

– Na tej uliczce? Niech policzę: dwa radiowozy, trzy nieoznakowane auta i tuż za wylotem furgonetka techników. Co Chris ci powiedział na temat śledztwa?

– Gliniarze się od niego opędzają. O dziesiątej trzydzieści najpierw dowodzący śledztwem, a potem burmistrz wydadzą oświadczenia. Wystąpią tam na miejscu, przed sklepem.

– A co z podejrzanymi?

– Są poszukiwani, jeśli to się liczy. Gliniarze określają ich jako „osoby brane pod uwagę”, proszą o zgłaszanie się świadków. Zwłaszcza takich, którzy mogli być w sklepie Doyle’a.

– Ilu ludzi ci przesyła materiał?

– Dostaję do Jamiego z FBI i z sądu. Dział nekrologów ma dane biograficzne tej Reese. Dostałem też materiał dodatku krajowego. Coś o tym, że sędziowie bywają celem działań przestępczych, i drugi o tym, że prawdopodobnie David Reese zostanie kolejnym nominowanym do Sądu Najwyższego. Nasi ludzie układają listę jego decyzji z ostatniego okresu. Ci

z działu miejskiego odkryli, że mała chodziła do Hazelwood School. To jakieś dwadzieścia tysięcy za rok, rozumiesz. Wygląda, że będziemy mieć zdjęcie panny Sarah ze szkolnego rocznika. Wysłali też kogoś, żeby spróbował odszukać jej znajomych albo krewnych. Do tego dojdzie policja i federalni, po wystąpieniu o dziesiątej trzydzieści. No i jesteście jeszcze wy z Chrisem. Ile to w sumie?

– Mniej więcej dwudziestu ludzi, którzy gównie wiedzą.

– To nam wychodzi najlepiej.

Sully wyłączył komórkę i wrzucił ją do kieszeni. Migotliwe światła radiowozów i pojazdów interwencyjnych padały pulsującymi plamami na okoliczne domy, oświetlały liście drzew wzdłuż ulicy. Znowu zerwał się lekki wiatr. Resztki bourbona szumiały Sully’emu w skroniach. Postukał długopisem w notatnik i stopą w chodnik. Okolica kojarzyła mu się z czymś, czego nie mógł sobie przypomnieć.

Konferencja prasowa miała się odbyć przed siedzibą studia tańca, w głębi terenu wydzielonego taśmą – Chris zamierzał w niej uczestniczyć – i gdzieś tam, poza zasięgiem kamer, trwała rodzicielska rozpacz Davida i Tori Reese’ów, cierpiących z powodu rany, która zawsze będzie otwarta. Uczucia Reese’a niewiele Sully’ego obchodziły, uważał go za pasożyta żerującego na ciele Waszyngtonu, ale serce mu się ścisnęło na myśl o Tori pograżonej w otchłani czarnego smutku, którą sam znał aż za dobrze.

– Lament – powiedział na głos sam do siebie.

No i Sarah. Wolałby nie myśleć o ostatnich minutach życia tej małej, ale na tym polegała jego praca. Patrzył na ćmy wirujące w górze i zastanawiał się, dlaczego dziewczyna – niegłupia, biała, bogata – zapuściła się w ciemną uliczkę w takiej okolicy. Ktoś ją tam zwabił, a jeśli tak, to czym? Przeszła przez główną ulicę, żeby kupić sobie w tym sklepie coś do picia, w porządku, mógł w to uwierzyć. Ale dlaczego wyszła drzwiami od zaplecza? Chciała kupić narkotyki? Trawkę?

Narkotyki, to możliwe wytłumaczenie. Powiedzmy, że Sarah idzie kupić trochę trawki – może w ogóle to był powód całego wypadu ze studia – i wyciąga za dużo gotówki. Może właśnie tym się zajmowali ci trzej czarni w sklepie, rozprowadzaniem narkotyków. Hej, biała dziewczyno, chcesz porządny towar? Wszyscy razem wychodzą na zewnątrz. Dziewczyna wyciąga pieniądze, chłopak je wrywa, ona się stawia, on wyciąga nóż i koniec. Albo może ona płaci, oni próbują ją trochę naciągnąć, a kiedy protestuje, pojawia się nóż i kończy się tak samo.

A może jakiś gwałciciel wcześniej ją sobie upatrzył – bywała w tym samym miejscu o tej samej porze co tydzień – i wreszcie mu się udało? Westchnął. Możliwe, ale mniej prawdopodobne.

No i pozostawała jeszcze teoria, która jego kolegom najbardziej by się spodobała: celem był ojciec dziewczyny, a śmierć Sarah stanowiła skierowaną do niego wiadomość. Uważał, że to najprawdopodobniej ślepy trop, przy takim założeniu zabójstwo popełniono by profesjonalnie, szybko, czysto i raczej na pewno z użyciem broni palnej. Choć może zabójca wolał nóż, bo jeśli fizycznie panował nad sytuacją, to narzędzie było ciche i nie zostawiało śladów balistycznych.

Oczywiście żadna z jego hipotez nie miała znaczenia – informacja o poszukiwaniu podejrzanych musiała zdominować relacje w telewizji, radiu, gazetach i tym samym zawładnąć zbiorową wyobraźnię: trzej czarni mężczyźni i jedna martwa biała dziewczyna. Tak się zaczęło całe to gówno.

Spojrząwszy przed siebie dostrzegł trzy postacie wychodzące z uliczki. Żółte światło nie dawało dobrej widoczności, ale rozpoznał niską, korpulentną sylwetkę komendanta policji. Drugiego z mężczyzn, wysokiego, barczystego eleganta w garniturze, nie znał. Domyślił się, że to ktoś z FBI. Obaj skręcili i zaczęli się od niego oddalać w stronę oświetlonej Georgia Avenue.

Trzecią osobą, która ruszyła w jego stronę, była kobieta. Minęła uliczną latarnię, przeszła na drugą stronę jezdni, okrążyła radiowóz z siedzącym

w środku policjantem i wyjęła kluczyki do swojego auta. Sully się uśmiechnął.

– Pani mecenas – zawołał.

Eva obejrzała się zaskoczona, ale nie okazała ulgi, kiedy go rozpoznała. Z powrotem przeszła przez ulicę do miejsca, gdzie siedział.

– Myślałam, że wy dziennikarze zbieracie informacje. A nie przyjeżdżacie na miejsce zbrodni i siedzicie beczynnienie.

– Tobie chyba rzadko się zdarza bywać w takich miejscach, prawda? – spytał.

– Nie – odpowiedziała trochę za szybko. – Nie zawsze czekamy z postawieniem podejrzanych w stan oskarżenia.

– Sąd przysięgłych?

– Tak to nazywają.

– To będzie twoja sprawa.

– Możliwe, ale nie możesz tego opublikować. Decyzja jeszcze nie zapadła. – Odwróciła się, spoglądając w głąb ulicy. – Mają tam więcej ludzi niż na stanowym festynie. FBI, straż sądowa, ATF. Aż dziwne, że nie wpadłam na nikogo z policji Los Angeles.

– Kim byli ci czarni, których tuż przed śmiercią spotkała w sklepie?

– Doszły słuchy o poszukiwanych, co? Trzej młodzi mężczyźni, z którymi chcemy porozmawiać. Nie znamy nazwisk, więc nie pytaj. Zostanie wydany biuletyn z opisem ogólnym.

– Są podejrzani?

– Z tego co wiem, określa się ich jako poszukiwanych.

– Więc jak, są podejrzani?

– Gdybyś był jednym z nich i połowa miejscowych i federalnych agentów w stolicy kraju by na ciebie polowała, to jak byś się czuł?

– Tak myślałem. Gdzie jest dziewczyna? Sarah?

– Była w śmietniku na tyłach sklepu. Teraz jest w prosektorium. Domyślałem się, że zaraz będą jej ściągać skórę z czaszki. Wiesz, co to

znaczy? Ściągać skórę z czaszki?

– Słyszałem.

– A ja widziałam. To się nie powinno zdarzyć piętnastolatce po lekcji tańca.

– A co jej się stało w zaułku przy sklepie?

– Nie mogę powiedzieć.

– Nie możesz czy nie powiesz?

– Jedno i drugie. Wybierz sobie.

– Przyczyna śmierci? Przypuszczalna przyczyna śmierci? Podobno zginęła od noża.

– Szukasz źródła informacji czy potwierdzenia?

– Albo jednego, albo drugiego.

– Nie możesz wykorzystać jako źródła ani mnie, ani mojego biura. Ale potwierdzę, jako funkcjonariuszka wymiaru sprawiedliwości zorientowana w śledztwie: użyto noża.

– Zadano dużo ciosów? Czy jeden w tętnicę?

– Zwykle kiedy podrzynasz komuś gardło, trafiasz w tętnicę.

– Wiele ran czy tylko jedna?

– Tylko jedna widoczna.

– Zbrodnie na tle seksualnym?

– Sully. Miej wzgląd na rodziców. Nie powiem. Ci z sądowej i tak to ujawnią, w ten czy inny sposób.

– Są jakieś dowody, że była nieprzypadkowym celem? Że zginęła jako dziecko Reese'a?

– Nie potwierdzę ani nie zaprzeczę.

– W jakim stanie znalazła się w śmietniku?

– Zawinięta w wielki czarny worek na śmieci, taki jakich używają budowlańcy. Ale nie ma pewności, czy została zapakowana przez tego, kto ją zabił, czy przez funkcjonariusza, który ją znalazł.

– Chyba się przesłyszałem.

– Policjanta, który ją znalazł. Sprawdzając uliczkę – jej matka krzyczała, a wszyscy wiedzieli, kim jest – funkcjonariusz zajrzał do środka, zobaczył ciało, twarzą do dołu. Wskoczył i odwrócił ją, bo ja wiem, próbował ją ratować. Wtedy zobaczył ranę. Wykrwawiła się na ten czarny worek, który znajdował się pod nią. Policjant naciągnął go na ciało, kiedy już leżała twarzą do góry, i czekał, aż przyjadą inne jednostki.

– To nie było dobre posunięcie.

– No raczej. Teraz nie wiemy, czy była zawinięta, zanim ją wrzucono, czy worek już był w środku, a ją wrzucono na wierzch.

– Uhm.

– Żebyśmy mieli jasność: to nie jest wysoki, masywny kontener na śmieci. Taki na kółkach, mniej więcej półtora metra wysokości. Z dwiema plastikowymi pokrywami. Była w środku na półmetrowej warstwie odpadków.

– Krew na chodniku obok? Na bokach śmietnika?

– Trochę.

– Kałuża, jezioro, kropla?

– Więcej niż to najmniejsze, mniej niż to średnie.

– Eva, na litość boską...

– Nie ma jasności, czy została tam zaciągnięta, czy zabita na miejscu, jeśli o to pytasz.

– Krew w pobliżu?

Sully zobaczył, że mu się przygląda. W słabym świetle, padającym z góry, widział początki kurzych łapek, pełne usta, mocno zarysowane kości policzkowe. Uderzyło go, że jest w takim wieku i natychmiast pomyślał o swoich latach.

– Na miejscu zbrodni wciąż trwają czynności dochodzeniowe – odezwała się po chwili.

– Rozumiem.

– Wyglądasz, jakbyś zasypiał.

– A ty jakbyś była padnięta.

– Jeśli jeszcze nie jestem, to będę. – Skinęła mu na pożegnanie, odwróciła się i poszła do swojego jeepa cherokee. Szybko odjechała.

Sully zadzwonił do Tony’ego, potwierdził wiadomość o polowaniu na trzech czarnych mężczyzn, którzy byli w sklepie, i powiedział więcej o podejrzanym gardle. Zachował ostrożność w opisie ilości i miejsca występowania krwi, żeby się uchronić od ewentualnej wpadki, gdyby wstępne informacje podane przez Evę okazały się niedokładne. Postanowił przemilczeć sprawę czarnego worka jako zbyt skomplikowaną.

Tony wysłuchał go i się rozłączył, tym razem bez zagadywania.

Sully wyduł usta i zaklął pod nosem.

Eva udzielała mu takich informacji, jak jej pasowało: mówiła o podejrzeniu gardła, jakby chodziło o jakąś drobnostkę, a zachowała powściągliwość w sprawie reszty. I dobrze. Nic osobistego. Jednak jego praca i jego problem polegały na tym, że musiał wyprzedzić ją, policyjnych detektywów i agentów federalnych, ci kłębili się na miejscu zbrodni, pozostawiając na wszystkim znak swojej ważności.

Nigdy nie żywił zaufania do policji – zwłaszcza tak beznadziejnej jak ta z D.C. – i nie zamierzał tego zmieniać.

Kuśtykając ulicą Princeton, oddalał się od miejsca zbrodni; powoli jego myśli zaczęły się układać w plan, krok nabrał zdecydowania. Przyśpieszył. Wiedział, dokąd zmierza i co robi. Owszem, wiązało się to z pewnym ryzykiem, ale jedenaście lat spędzonych w najgorszych miejscach na ziemi nauczyło go, że dziennikarstwo bez ryzyka to oksymoron.

Rozdział 5

Noc stawała się coraz chłodniejsza, przyszło mu do głowy, że powinien być wziąć kurtkę. Skręć w lewo w Warder, przecięcie Quebec; ta okolica, Park View, z rzędami szeregowych i bliźniaczych domów, stanowiła imigrancką enklawę już przed drugą wojną światową. Wówczas mieszkali tu Żydzi, Grecy i Włosi, kelnerki i stolarze, pracownicy portowi i szewcy, handlarze kapeluszami i oliwkami, właściciele narożnych sklepików.

Obecni imigranci pochodzili z Jamajki, Hondurasu, Etiopii, Nikaragui, Nigerii i Algierii, była też garstka z Libanu; pracowali jako taksówkarze, dozorczy, portierzy hotelowi i pracownicy firm ogrodniczych. Pierwsze pokolenie tej czarnobrazowej społeczności – jego przedstawiciele rezydowali tam od dwudziestu, trzydziestu, czterdziestu lat, utrzymywali swoje trawniki tak, że wyglądały jak przycinane nożyczkami i użyźniali krzewy azalii – dobiegało siedemdziesiątki i było skazane na życie obok dilerów narkotykowych, prostytutek i alkoholików, będących wytworem powolnej spirali upadku drugiego i trzeciego pokolenia.

Sully skręcił w Rock Creek Church Road, mijając trzech młodych mężczyzn, którzy stali razem przy bocznej ścianie narożnego domu. Obserwowali go, on też na nich patrzył, skinął im, ale nie odpowiedzieli tym samym. Rosnące tam drzewa były stare i rozłożyste, rzucały wielkie cienie pod ulicznymi lampami. Frontowe ogródki wznosiły się ponad chodnik, odgródzone od niego niskimi kamiennymi murkami; domy miały werandy zastawione tanimi składanymi krzesłami i starymi kanapami, jaskrawozielone chodniki imitowały trawę.

Sully zatrzymał się przed jednym z domów i otworzył pokrytą rdzą furtkę. Kulejąc, wszedł po pięciu betonowych schodach – dwa stopnie były spękane i wyszczerbione – i znalazł się na frontowej werandzie. Znajdowały się tam wyściełana sofa z dziurami w tapicerce, przez które wyłaziła gąbka, oraz obłaząca z farby drewniana huśtawka. Nim zdążył sięgnąć przez metalową bramkę, żeby zapukać do drzwi, usłyszał z wnętrza domu warczenie psa.

Drewniane drzwi otwarły się do wewnątrz, ukazując ciemny hol. Rottweiler, wyraźnie napięty, z podniesionymi uszami, szczeknął dwa razy.

Sly Hastings wyłonił się z mroku. Miał na sobie biały pulower, czarne spodnie do baseballu, białe skarpetki, czarne klapki i okulary z małymi szklami w drucianej oprawie.

– Donnell, spokój – uciszył psa. Przekręcił klucz w bramce i otworzył ją na oścież. – Mam nadzieję, że wiesz więcej niż to, co gadają w telewizji, bracie, bo oni nic nie wiedzą.

Rozdział 6

Stalowe drzwi do piwnicy były otwarte, więc Sully od razu skrzył w prawo, postawił stopę na spoczniku schodów, a następnie zszedł na dół. Choć dom z zewnątrz przypominał rudere, krył w sobie wygodnie urządzone lokum, stanowił jedną z baz dla rozwijającego się biznesu Sully'ego.

Górne światło było przyciemnione, na ścianie wisiał ogromny telewizor. W głębi pomieszczenia, z boku znajdował się niewielki aneks kuchenny. Sully podszedł do lodówki, wyjął piwo i usiadł z nim na kanapie. Przytknął zimną puszkę do prawej skroni.

– A niech mnie. – Odczucie było cudowne.

Sully usiadł na stołku przy barowej ladzie, na której leżała poskładana gazeta. Wziął długopis i spojrzał na wierzchnią stronę. Telewizor był nastawiony na całodobowy kanał informacyjny, nadawano relację z miejsca zbrodni, ale dźwięk został wyłączony. Pies z kłapnięciem ułożył się na podłodze w kuchni. Sully zamknął oczy i zapadł się w wygodne poduchy kanapy. Sully był, w kontekście swojego życia, w kontekście swoich dokonań w Bośni, Rwandzie, Liberii, Libanie i wojnie taksówkowej w Afryce Południowej, watażką, trzeba dodać, że jednym z mniej znaczących. Potrafił zabić, pewnie, każdy z nich to robił, jednak większość watażków, tych, którzy w ogóle tolerują twoją obecność, nie czepia się ciebie, jeśli ty się ich nie czepiasz. Jeżeli starczy ci odwagi, by mijając broń palną i maczety, stanąć w ich progach i nie wyrwać się za pierwszym razem, kiedy przydupas szefa wyceluje ci w twarz i zagrozi, że wystrzeli twój pieprzony mózg na drugą stronę ulicy, to będą z tobą rozmawiać, przedstawią ci swoją

zniekształconą wizję świata. Sully, który działał w Stanach Zjednoczonych i nawet nie posiadał maczety, nie wzbudzał w Sullym przerażenia, ba, nie zaliczyłby go nawet do pierwszej dziesiątki takich typów. Owszem, stanowił śmiertelne zagrożenie, zabijał ludzi, ale Stany Zjednoczone miały tak bardzo ograniczone zrozumienie dla stosowania przemocy skutkującej śmiercią, a po aktach terroryzmu na południu kraju w latach sześćdziesiątych to już w ogóle... Po chwili Sully podniósł wzrok. Sully wpatrywał się w gazetę, czasem coś na niej notował, z rzadka tylko zerkał na ekran telewizora.

– Sądziłem, że będziesz bardziej przejęty – odezwał się Sully.

– Czym?

Sully ruchem głowy wskazał na telewizor.

– Ostatnimi nieprzyjemnościami.

– Nie powiedziałem, że się nie przejmuję. – Sully nie odrywał oczu od gazety.

– Nie wyglądasz na zmartwionego.

– Na wiele rzeczy nie wyglądam.

– Cały dzień nad tym pracujesz? – Sully uniósł podbródek i jednocześnie machnięciem pokazał na gazetę. – Dochodzi jedenasta.

– Jest piątek – przypomniał Sully, nie patrząc na niego. – Nie mogę zapieprzać jak w środę.

Sully otworzył puszkę, łyknął piwa, spojrzał na telewizor.

– Nadal szukają tych chłopaków?

Sully wreszcie uniósł głowę. Kamery pokazywały Georgia Avenue, w tle widać było studio tańca. Łukowe lampy oświetlały plan, odpychając mrok daleko na boki. Komendant policji oraz przedstawiciele innych służb stali przed rzędem mikrofonów. Sully skierował pilota w stronę telewizora i pogłośnił dźwięk.

– Poszukiwania koncentrują się w tej okolicy – mówił komendant – ale mają zasięg ogólnokrajowy. To nie jest śledztwo ograniczone do terenu

D.C. W grę wchodzi bezpieczeństwo narodowe. Siły skierowane przez nas do tej akcji, które już prowadzą działania, to potwierdzają. W pracę zaangażowani są agenci federalni z kilku agencji i nie spoczną, dopóki sprawa nie będzie rozwiązana.

Nastąpiło chwilowe zamieszanie, padały wykrzykiwane pytania.

– Tak, w sklepie przebywali trzej mężczyźni, z którymi chcemy porozmawiać. Nic mi nie wiadomo, żeby byli podejrzani, ale oczywiście zależy nam na rozmowie z nimi.

– Z tymi trzema – prychnął Sly. Uniósł rękę z pilotem i wskaźnik głośności ponownie zjechał do zera.

Sully patrzył na scenę rozgrywającą się w odległości zaledwie paru przecznic. Komendant wciąż mówił, odpowiadał na pytania.

– Tymi trzema? – powtórzył za Sly'em.

– No tak, do cholery, tymi trzema. Ze sklepu.

– Kim oni są?

Sly nie odrywał oczu od ekranu.

– Nie musisz wszystkiego wiedzieć – odparł lekko, tonem pełnym życzliwości.

– Ale ty wiesz.

– No tak.

– I oni się nie zgłoszą na policję?

Sly tylko popatrzył na niego sponad okularów.

– A muszą? – spytał Sully.

– Carter. Nikt stąd nie jest aż tak głupi, żeby zabijać pierwszą białą dziewczynę, jaka się pojawiła w tej okolicy od czasu narodzin Chrystusa.

– Więc ktoś z zewnątrz chciał dołożyć sędziemu Reese'owi?

– Tego nie powiedziałem.

– To nie była operacja firmowana przez Sly'a Hastingsa?

– Naprawdę nie wypada przychodzić do czyjegoś domu i gadać takich rzeczy.

– Zatem kogo powinni szukać miejscowi przedstawiciele prawa?

Sly zerknął na telewizor, a potem znów zajął się krzyżówką. Pociągnął łyk kawy.

– Zastanawiałem się nad tym. Nie wiem.

– To niesamowite, Sly. Myślałem, iż twoja praca polega na tym, że wiesz.

Sly postukał długopisem w gazetę. Nie unosząc głowy, rzekł:

– Mówiłem, że nie wiem. Nie powiedziałem, że nie będę wiedział.

– Zakład?

– Zakładają się głupcy i pijacy. Mądrzy kierują się dowodami, które mają pod ręką.

Sully zrzucił z nóg buty.

– Policja musi mieć dowody, Sly. Jestem o krok za nimi, jeśli nie o dwa kroki. Będą stawać na uszach, dopóki kogoś nie przyskrzynią, a sam wiesz, że ciebie też namierzą i sprawdzą twoje alibi.

– W ogóle mi to nie przyszło do głowy, pomocny biały człowieku.

– Mówię po prostu, że to jest jedna z takich sytuacji, kiedy ty i ja możemy działać razem. Dla obopólnej korzyści.

– Może.

– Więc gdzie mógłbym znaleźć tych trzech, żeby przeprowadzić z nimi dramatyczny wywiad?

– Nigdzie. Jeszcze nie czas. Ja i Lionel dopiero zaczęliśmy się temu przyglądać. Ci trzej muszą zachować incognito. Pewne inwestycje chwilowo wiążą mi ręce.

– Mieszkania? Myślałem, że twoja siostra się nimi zajmuje.

– Nikki jest moją przyrodnią siostrą i nie może robić wszystkiego. Ma mniej czasu, bo dostała stałą posadę w administracji miejskich lokali komunalnych. Kombinujemy obecnie z trzema budynkami, to dwadzieścia osiem mieszkań, mówiłem ci? Ale na razie nie zawracam sobie tym głowy. Teraz myślę o tym, że dziś wieczorem miałeś jeść obiad z moją sympatią. Co mówiła?

– O czym?

– O mnie.

– Mniej więcej to, co zapowiadałem. Że jesteś dupkiem, którego należałoby zamknąć, zakała, bla, bla, bla. Poza tym wkurzyła ich ta sprawa z Chuckiem.

– Z Chuckiem? Pieprzonym Chuckiem? Tego się czepiają? – Zamilkł, wpatrzył się w ekran, a potem wybuchnął śmiechem. – Dobrze. Podoba mi się. Bardzo dobre.

– Odniosłem wrażenie, że współpracowałem jako świadek.

– Owszem.

– Wiedzą, że jesteś w Park View, ale nie wiedzą, czym się zajmujesz.

– Nie przewąchała cię?

– Powiedziałem, że potrzebuję napisać o jakimś draniu, który ma szacunek w środowisku. Wymieniła ciebie.

Sully upuścił długopis na gazetę, skrzyżował ręce na piersi i obrócił się razem ze stołkiem.

– Cóż, to prawie komplement. Kogo jeszcze wymieniła, asie wywiadu?

– Przerwało nam zejście panny Reese. Ale nie wyczułem, żeby miała jeszcze kogoś na myśli. Zaraz. Rayful Edmund. Podała mi Rayfula jako sprawę z przeszłości. Próbowwała mi sprzedać twoją historię. Domyślałam się, że chciała sprawdzić, czy cię to ruszy.

– Jeśli akurat ich to obchodzi.

– Myślę, że obchodzi ich, kto poderznął gardło Sarah Reese. Więc... dawaj. Chciałeś, żebym sprawdził, czy mają coś na ciebie, więc to zrobiłem. Teraz twoja kolej. Jeśli to nie ci trzej, to kto z tutejszych ma problem? Przez białą dziewczynkę? Kto używa noża?

– Powiedziałeś, że poderżnięto jej gardło.

– Owszem.

– W telewizji tego nie podawali.

Sully się uśmiechnął.

– Dostałeś dzisiaj jutrzejszego newsa, amigo. Nie tylko ty coś wiesz.

– Kto ci powiedział?

– Nie musisz wiedzieć wszystkiego. No więc, kto używa noża?

Sly wstał i przestąpiwszy Donnella, podszedł do lodówki, zirytowany, że Sully rzucił mu w twarz jego własne zdanie.

– Zmierzasz do końca gry bez okrażania planszy. W ciągu najbliższych dwudziestu czterech do czterdziestu ośmiu godzin wyjdą najróżniejsze rzeczy, najgorsze gówno, i do niczego ich to nie zaprowadzi. Wszystko będzie dotyczyć tych trzech. Zginęła biała dziewczyna, policja szuka trzech przestraszonych czarnych chłopaków. Zmierzają w niewłaściwym kierunku. Wiem to tylko ja, nikt inny. I to mi umożliwi szukanie gdzie indziej.

– Masz pewność, że to nie oni? Skąd?

Sly znów przeszedł nad Donnellem, opuszczając kuchnię; teraz był już wkurzony, może nawet trochę wyprowadzony z równowagi.

– Mam i już. Po prostu. Nie ufasz mi, to czep się swoich gliniarzy. Oni gówno wiedzą. Poderżnięte gardło? I co z tego? Dali ci lizaka. To odpowiedź na pytanie jak, nie kto. Tak się składa, że rozmawiasz z jedyną osobą, która coś wie w tej sprawie. Wiesz dlaczego? Ponieważ reszta świata szuka tych trzech ze sklepu, a ja już z nimi rozmawiałem. Odbyliśmy rozmowę. Więc to wiem. Wiem też, że ktoś właśnie zaczyna grę na moim boisku, bez zapytania o pieprzone pozwolenie, i że nic z tej gry nie będzie. To też wiem.

Urwał, jakby w ostatniej chwili ugryzł się w język. Stał metr od kanapy.

– Słuchaj. Nie mogę tak po prostu zamknąć interesu, jest za bardzo roz hulany. Potrzebuję, żeby miejscowi stróże prawa zrobili z tym porządek, pronto. Nie chcę, by ludzie z FBI, CIA i DEA... roili się na ulicy przed moim domem tygodniami, nękali braci przebywających na zwolnieniu warunkowym, na zasiłkach i w ogóle. Jakieś gówno musi przez to wypłynąć, oni już tak mają, a mnie to nie pasuje. Dlatego popytam i będę cię informował na bieżąco... no dobra, przyda mi się artykuł w gazecie

zawierający fakty, naciśnię na federalnych, żeby nie kręcili. A ty? Ty dasz mi znać, kiedy usłyszysz, że się do mnie zbliżają.

Popatrzyli na siebie bez słowa. Sully wiedział o zabójstwie Sarah Reese więcej, niż ujawniał. Sully zdawał sobie z tego sprawę. Miał dobrych informatorów w terenie, prawdopodobnie lepszych niż posiadała którakolwiek z instytucji odpowiedzialna za przestrzeganie prawa. Nie było jednak sposobu, żeby się dowiedzieć, co dokładnie wie, komu ta wiedza posłuży, a komu zaszkodzi, ani jak Sully ją wykorzysta. Przydawała się lekcja, którą pobierał jako korespondent wojenny na różnych frontach: jeśli chcesz wiedzieć, co robią ci źli, trzymaj się ludzi noszących broń. Oni wiedzą, o co chodzi.

– Umowa stoi – rzekł Sully.

– Świetnie. – Sully nacisnął guzik w pilocie i telewizor zgasł. – Możesz jechać do domu.

– Nie mam motoru. Podwieziesz mnie?

Sully prychnął.

– Możesz iść pieszo do Georgia Avenue i tam próbować złapać taksówkę albo możesz się walnąć na kanapie. Nie waż się stąd po kogokolwiek dzwonić.

– Walnę się.

Sully pokiwał głową i skierował się do swojej sypialni na tyłach pomieszczenia, wciąż napięty i wyraźnie niespokojny.

– Na twoim miejscu nie ruszałbym się z kanapy – rzucił, gasząc światło. – Donnell nie przepada za pijakami łażącymi po ciemku.

Sully po omacku zdjął z oparcia kanapy narzutę, położył się i naciągnął ją na siebie. Jedną z tapicerowanych poduszek wsunął sobie pod obolałe kolano, drugą pod głowę, następnie wyjął z kieszeni telefon, żeby nie uwierał. Wybrał domowy numer Dusty. Włączyła się od razu poczta głosowa.

– Obejrzyj wiadomości – mówił szeptem. – Nie zwinąłem się bez powodu.

Rozdział 7

Śniadanie stanowiło ważny początek dnia, dlatego Sully usmażył sobie jajecznicę i wypił kolejne piwo. Sly, siedzący na barowym stołku przy kuchennym blacie, zrezygnował z jajek, popijał kawę i czytał gazetę otwartą na drugiej stronie. Dopiero co minęła ósma, na zewnątrz lekko mżył deszcz. Wcześniej wyprowadzał Donnella na poranny spacer i wciąż miał na sobie czarny dres zapinany z przodu na suwak, ozdobiony lampasami wzdłuż rękawów i nogawek.

– Piszą tu, że Reese jest republikaninem – powiedział Sly.

– Z Teksasu.

– Domyśliłem się, że jest jednym z tych ćwoków z Południa, jak tylko go usłyszałem w sądzie.

– Jest dupkiem, ale nie ćwokiem.

Sly nie oderwał oczu od gazety.

– Jasne.

– Ci z Teksasu nie są ćwokami.

Sly tylko chrząknął.

Sully polał jajecznicę pikantnym sosem.

– Tłumaczyłem ci już, goście z Georgii, północnej Florydy, z Karoliny, jednej i drugiej, ci są ćwokami. Wirginia Zachodnia, Kentucky, Tennessee, Arkansas? To prostaczki. Wieśniacy z Missisipi, Alabamy, północnej Luizjany... i jeszcze z zachodniej części Tennessee i z delty Arkansas? Kmiotkowie. Południowa Luizjana? Cajunowie. Tyle. Święty Boże nie pomoże.

- Dla mnie wszyscy wyglądają tak samo.
- Nic nie poradzę na twoje uprzedzenia.
- To którzy z nich są ubogimi białymi śmieciami?
- Ci, którzy odstrzelą ci dupę, jeszcze zanim skończysz wymawiać te słowa, pomiędzy „białymi” a „śmieciami”.
- A ty do których się zaliczasz?
- Wokół rzeki jest jakby teren neutralny. Zwykle trzymaliśmy się po stronie Luizjany.
- Czujesz się Kreolem?
- Niespecjalnie.
- Więc kim są Tekszańczycy?
- Tekszańczykami. Myślą, że słońce wschodzi w Beaumont, a zachodzi w El Paso.

Sly wrócił do lektury.

- Wy z Południa...

W radiu leciał jazz, z saksofonem jako instrumentem prowadzącym, jednak Sully nie potrafił rozpoznać utworu, a nie chciał dać Sly’owi satysfakcji. Dopił piwo.

- No i co mówią o naszym sędzim i jego nieodżałowanej córce?
- Że jest następny w kolejce do Sądu Najwyższego.
- O ile republikanie w listopadzie wygrają wybory, co według mnie jest przesądzone.
- Powinni łagodniej traktować braciszka Billa.
- Braciszek Bill nie powinien dawać do obciążenia stażystkom.
- Posłuchaj. Piszą, że trwa „szeroko zakrojona akcja poszukiwania” tych trzech. Mówi tak agent federalny, nazwiska nie podają. Szef policji nadal wciska kit, że chce tylko porozmawiać z tymi osobami, ale potwierdza, że akcja trwa. Mam tu cały artykuł o sprawach, w których orzekł Reese. Podobnie jak ty, próbują sugerować, że brał w tym udział ktoś, kogo on skazał. Piszą o Juniorze Simpsonie, sądzonym w zeszłym roku. Tym, co

kierował gangiem w Trinidad, za Gallaudet? Sędzia skazał Juniora na dożywocie z możliwością ubiegania się o zwolnienie warunkowe po dwudziestu pięciu latach. Po ogłoszeniu wyroku Junior coś powiedział... – Sły przysunął sobie gazetę bliżej do okularów. – „Jeszcze się spotkamy”. Tak powiedział do sędziego. Adwokat twierdził, że Junior miał na myśli apelację.

– A co teraz mówi?

– Odmawia komentarza.

– No jasne.

– Sędzia skazał też na dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego jakiegoś człowieka, którego nazywają terrorystą. Z Libii. Robił bomby.

Sully włożył brudne naczynia do zlewu.

– To wszystko są pozorowane działania, krycie własnej dupy, liczenie, że może coś wyjdzie. Oczywiście stawiamy na to ostatnie.

– Naczynia się same nie umyją, bracie.

Sully zawrócił i przełożył naczynia ze zlewu do zmywarki.

– Dzięki. Mam tu problem z mrówkami. – Sły znów skupił uwagę na gazecie; po chwili potrząsnął nią zadowolony. – Proszę bardzo, jest biały chłopak. Hmm. Włoch. Liczy się? „Jak wskazują archiwa sądowe, reszta spraw prowadzonych przez sędziego Reese’a dotyczyła głównie korupcji w środowisku białych kołnierzyków, jednak trzy lata temu rozstrzygał w sprawie o wymuszanie okupu dotyczącej Josepha Fiori, domniemanego członka nowojorskiego syndykatu zbrodni. Źródła zbliżone do Departamentu Sprawiedliwości wyraziły sceptycyzm co do udziału mafii w zabójstwie Sarah Reese”. Cholera. Nie było trudno się domyślić.

– Nie lubisz za to mafii?

– Nie zrobiłby tego nikt z profesjonalistów. Nawet Junior jest na to za sprytny. Chociaż jego stroju nie można nazwać profesjonalnym.

Sully podszedł i spojrzał mu przez ramię.

Jego materiał, zebrany razem z Chrisem, znajdował się po prawej, w miejscu przeznaczanym tradycyjnie na najważniejsze wiadomości dnia. Środek strony zajmowało zdjęcie z miejsca zbrodni; dwie białe dziewczyny obejmowały się płacząc, tuż za żółtą policyjną taśmą wokół sklepu Doyle'a. Nagłówek brzmiał: „Córka sędziego zamordowana”. Nieco mniejsze litery pod spodem układały się w zdanie: „Intensywne poszukiwania trzech osób związanych ze sprawą”.

Tony umieścił informację o podejrzeniu gardła w trzecim akapicie.

Teksty powiązane z zabójstwem Sarah Reese wypełniały całą resztę strony i połowę następnej. Był tam artykuł cytowany przez Sly'a, biografia sędziego i lista jego ostatnich rozpraw oraz wspomnienie o Sarah, z przytoczonymi wypowiedziami jej przyjaciół i szkolnych kolegów. Chryste, pomyślał Sully, musieli szukać tych dzieciaków naprędce, „Witam, Bogata Pani Biała, czy mógłbym porozmawiać z pani synem Brandonem? Cześć, Brandon, jestem reporterem i z przykrością muszę cię poinformować, że twoja koleżanka Sarah nie żyje, naprawdę, to straszne, nawet sobie nie wyobrażam, co czujesz, więc... jaką była uczennicą?”

Wyciągnął swoje buty spod ławy przy kanapie i usiadł, żeby je włożyć.

– Mam szukać tych trzech jeszcze dzisiaj?

– Jeśli chcesz marnować czas.

– Jezu. Dobra. W takim razie kto używa noża?

– Ludzie, którzy nie mają spluwy.

– Jesteśmy do tyłu, bracie.

– Wiem.

– No to się ruszmy. Masz kogoś, kto by mnie podwiózł do Stoneya?

– Lionel jest na końcu ulicy. Powiedz mu, żeby tu wrócił.

Sully opuścił piwnicę i natychmiast usłyszał, jak Sly zamyka za nim drzwi na zasuwę. Wyszedł na zewnątrz, w przejmująco zimną mgłę. Na rogu Rock Creek Church i Warder dostrzegł czarno-złote camaro z 1982 roku należące do Sly'a. Kiedy dzieliło go od auta jakieś dziesięć metrów,

Lionel się zmaterializował: wychynął z narożnego sklepu; głowę trzymał opuszczoną, twarz zasłaniała mu czapka White Sox. Rozległ się sygnał zdejmowanego alarmu, po czym Sully otworzył drzwi i ciężko opadł na przednie siedzenie pasażera.

Przejechali kilka kilometrów, milcząc, w płynnym, pozbawionym korków rytmie sobotniego poranka.

- Będzie z tego niezły gnój – odezwał się wreszcie Lionel.
- Wygląda na wkurzonego – przyznał Sully.
- Takie zachowanie nie wróży nic dobrego.
- Będę o tym pamiętał.

Lionel wjechał w wąską uliczkę i zatrzymał się przed knajpą Stoneya. Motocykl, Ducati 916 z 1993 roku, stał samotnie, oparty tylną oponą o krawężnik. Sully kupił go za gotówkę, dzięki pewnym wysoce kreatywnym rozliczeniom podczas wojny, zaksięgowanym jako rekompensata za nadgodziny.

Można to było zrobić na milion sposobów, a najprostszy wyglądał tak: mówiło się pracodawcy, że twój służbowy samochód został skradziony w Sarajewie i wysyłało się na potwierdzenie policyjny raport. W rzeczywistości Sully i połowa innych zagranicznych korespondentów odpalała pięćset dolców chętnemu funkcjonariuszowi, który wypełniał stosowny formularz – zdumiewające, biurokracja działała wciąż bardzo sprawnie – a następnie z pomocą tłumacza (kolejne pięćset dolców łapówki) sprzedawali samochód za niebotyczną sumę jakiejś agencji pomocowej albo ludziom z ONZ, albo po prostu temu, kto dał najwięcej. Do kieszeni trafiało od osiemnastu do dwudziestu pięciu tysięcy z drobnymi.

Sully wsiadł na motor i zapalił silnik, który natychmiast ożył z głośnym pomrukiem. Siodełko było mokre i zimne, poczuł się, jakby jakaś lepka ręka złapała go za krocze. Puścił sprzęgło, dodał gazu, pochylił się nad bakiem i oderwał obie nogi od ziemi. Tylne koło zabuksowało na mokrym

chodniku, ale zaraz potem złapało przyczepność i maszyna osiągnęła setkę jeszcze przed dojechaniem do pierwszych świateł.

Sully mieszkał w małym, wąskim, liczącym sobie sto siedem lat, w lecie gorącym jak ceglany piec szeregowym domu na Wzgórzu Kapitołińskim, przy Sixth Street. Skromne wnętrza udekorowane były zdjęciami, dywanami, obrazami i sprzętami przywiezionymi przez niego z różnych części świata. Perskie dywany kupił w Bejrucie, a stół z drewna tekowego w jadalni został zrobiony z elementów kolejowej kuszetki w niegdysiejszej Rodezji. Wszystkie talerze i półmiski pochodziły z małego studia ceramicznego w Warszawie. Kupił cały serwis pewnego mroźnego zimowego ranka, tuż po upadku muru berlińskiego. Sądził wówczas, że taki zakup pomoże mu się ustatkować. W wąskim holu wisiły obrazy postimpresjonistów holenderskich oraz dwa oprawione kawałki ręcznie tkanego płótna z Mali, kupionego na targu w Nigerii.

Zdjęcie Nadii, zrobione przez niego w mokry, śnieżny poranek w Sarajewie, jako jedyne przedstawiało bliską mu osobę. Długie czarne włosy, tylko częściowo odgarnięte z oczu, brak makijażu, wydatny nos, pełne usta. Miała na sobie džinsy i podkoszulek z nazwą baru w Nowym Orleanie, gdzie kiedyś pracował. Tamtego ranka wyjeżdżał z Sarajewa na reporterski rajd po okolicy i Nadia odprowadziła go na dół ze swojego mieszkania na drugim piętrze. Do ostatniej chwili baraszkowali w łóżku, więc narzuciła na siebie byle co, podczas gdy on pośpiesznie zbierał swoje rzeczy, żeby zdążyć do hotelu Holiday Inn na spotkanie z pozostałymi uczestnikami wyprawy. Na zewnątrz leżał śnieg, więc drżąc z zimna, objęła się ramionami. Kiedy wyciągnął aparat, żartobliwym gestem przytknęła do ust wskazujący palec. „Nie mów nikomu”... Zdjęcie stało w tekowej ramce pod lampą koło kanapy.

Wyjął z lodówki piwo, tym razem meksykańskie, zrzucił z siebie ubranie, wszedł pod prysznic i zastanawiał się, co powie szefom o swoich planach

na ten dzień... jeszcze zanim do niego zadzwonią z jakimś gównianym zadaniem. Pod strumieniem wody chłuszczącej go po plecach i czaszce postanowił uwierzyć Sly'owi, że trzej podejrzani są zwykłą podpuchą; nie zamierzał dać się wpuścić na ten trop, skoro miał się okazać ślepy. Wolał go zostawić Chrisowi i Jamiemu. Duże pieniądze? Można je było zdobyć, odnajdując faktycznego zabójcę. Potrzebował dobrych informacji z ulicy, a żeby je mieć, musiał krążyć pieszo wokół Princeton Place, trzymać się blisko Sly'a, znosić szorstkie odprawy, szukać człowieka z nożem. Dopóki tego nie masz, graj na zwłokę.

Wyszedł spod prysznic i zadzwonił do R.J. do domu.

– Napiszę ci klimatyczny szkic o tamtej okolicy – oznajmił. – Huśtawki na deszczu, bieda, podłość.

– Jak w poezji Bukowskiego – rozmarzył się R.J., wchodząc mu w słowo. – Bukowski w czystej postaci. – Sully wyobraził go sobie, jak siedzi w salonie, z kawą, od świtu na nogach, już po porannej przebieżce przez Rock Creek Park. Słyszał, jak Elwood, jego partner od ćwierć wieku, brzdąka na pianinie, ale nie potrafił rozpoznać melodii. – Cudownie – podjął po zaczerpnięciu łyka kawy. – Ale nie chcesz pisać o poszukiwaniu tych trzech mężczyzn?

– Nie – odparł Sully, przyjmując wersję Sly'a o ślepym tropie, ale nie ujawniał jej jeszcze przed przełożonym. Postanowił robić to, co zaplanował, niezależnie od okoliczności. – To nie moja działka. Nie lubię gwiazdorzyć.

– Możemy cię w to włączyć później. A opis atmosfery panującej w tamtej okolicy nam się przyda. Pisz z rozmachem, jak na pierwszą stronę. Ta sprawa musi być nasza. Na jutro, tak?

– Tak.

– Zawiadomię redakcję i tych od zdjęć. Bierz się do roboty, chłopcze.

Sully wrzucił w siebie kanapkę z indykiem i serem, stał przed kuchennym zlewem i wyglądał przez okno na swoje podwórko wielkości znaczka

pocztowego. Czereśnia – posadził ją zaraz po tym, gdy kupił ten dom, przed pierwszą zagraniczną misją – drżała we mgle. Mokre liście opadały z gałązek i zaścierały trawnik. Każdej wiosny przez trzy tygodnie drzewko wyglądało jak różowa chmura. Przeszedł do sypialni, włożył cienką bluzę wciągana przez głowę i czarne mokasyny. Do wąskiego plecaka spakował notatnik, aparat fotograficzny, dyktafon i kilka długopisów. Po momencie wahania podszedł do szafy i z górnej półki zdjął małe pudełko. Wyjął ze środka pistolet Tokarev M57 produkowany przez Zastawę, stary, lecz sprawny, otrzymany od dowódcy po nocy spędzonej w górach, kiedy mu rozwalili nogę. Sprawdził zawartość magazynka, następnie umieścił broń w prawej wewnętrznej kieszeni motocyklowej kurtki, tej przeznaczonej na złą pogodę. Gdyby wówczas dostał pistolet, kiedy noc się zaczynała, a nie kiedy dobiegła końca, teraz inaczej by wyglądał i chodził...

Motocykl powiózł go Massachusetts Avenue do North Capitol, a potem w lewo, czteropasmową Irving Street NW, aż znów znalazł się w rejonie Park View. Po obu stronach ulicy ciągnęły się szeregowe domy; wejściowe ganki dzieliło od jezdni zaledwie kilka metrów, rdzewiejące bramy i płoty wyrastały z betonu tuż przy krawędzi chodnika.

Zaparkował motor w górnej części Princeton Place i wybrał jeden z domów w połowie кварталу. Podszedł do drzwi, nacisnął dzwonek; ze spuszczonego wzrokiem, rękami złożonymi przed sobą i notatnikiem zatkniętym pod pachą, starał się wyglądać najbardziej niewinnie, jak to było możliwe. Gdy drzwi się uchyliły, zobaczył za nimi filigranową czarną staruszkę. Miała na sobie różową podomkę i nie przyjęła wizytówki, którą do niej wyciągnął.

– Witam panią. Proszę mi wybaczyć, że niepokoję panią o tak wczesnej porze, ale nazywam się Sully Carter i jestem reporterem naszej gazety. Pracuję nad artykułem o tym, co się wydarzyło wczoraj wieczorem w sklepie Doyle’a. Byłem...

Kobieta zamrugała, po czym spokojnie zamknęła mu drzwi przed nosem.

Rozdział 8

Nigdy nie przestajesz być w ruchu. Na tym to polega. Bez przerwy naciskasz, jeździsz, pytasz, zaglądasz ludziom w twarz, przyjmujesz na siebie ich niechęć, obelgi, walczysz z przygnębieniem i poczuciem beznadziei; i nagle, niespodziewanie, zdarza się, że ktoś ci coś powie.

Boisko do koszykówki w centrum rekreacyjnym, na którym trzej podejrzeni grali poprzedniego wieczoru, było otoczone policyjną taśmą; popołudniowe rozgrywki przeniosły się na przyległą do centrum uliczkę, gdzie do słupa telefonicznego przytwierdzono gołą obręcz. Ledwie Sully zrobił trzy kroki w tamtą stronę, grający zaczęli go zaczepiać.

- Hej, ty, blady, czego tu szukasz?
- Jak nie masz nakazu, to spadaj, suko.
- Lepiej od razu się wynoś.

Przeszedł do następnej przecznicy. Były tam dwa domy, zupełne rudery, a przed nimi stała grupka ludzi przypominających zombie; z rękami w kieszeniach obserwowali go, patrzyli, czy przyszedł po działkę... Kobieta, która siedziała na schodach jednego z pustostanów – wychudła, z kolanami o barwie popiołu i oczyma podbiegniętymi krwią – zaproponowała, że obciągnie mu za dwadzieścia dolców. Kiedy odwrócił głowę, żeby jej odpowiedzieć, rzuciła:

- No dobra, znasz cenę, tak? Daj dychę.

Ruchome stalowe kraty zasłaniały wejście do Big Apple. U Doyle'a zostały opuszczone do połowy, technicy laboratoryjni schylali się, przemykając pod nimi w jedną lub drugą stronę. Pamiętał, że Doyle

mieszka gdzieś niedaleko sklepu, ale nie miał jego adresu. W telefonicznej informacji o numerach operatorka stwierdziła, że nie ma osoby o tym nazwisku na liście. Nie pomyślał, żeby poprzedniego wieczoru zlecić w redakcji sprawdzenie wykazów nieruchomości.

Na końcu ulicy znajdował się bar ze striptizem. Nic się nie zmieniło od czasu, gdy Sully wstąpił tam podczas pracy nad sprawą Lany Escobar. Sześciu klientów, jedna kobieta na rurze, barman oszukujący na drinkach, nieprzyjemne czerwone światło we wnętrzu. Les Samuels, menedżer, który urzędował w zagraconym kantorku na zapleczu, nie powiedział mu nic, czego by już nie wiedział.

Do trzeciej Sully zdążył zapukać do piętnastu domów i porozmawiać z sześcioma właścicielami sklepów, ale nie usłyszał nic na temat trzech podejrzanych; nabierał przekonania, że nikogo na Princeton Place i w jej okolicach nie interesuje Sarah Emily Reese.

Dostawca piwa wysiadł z ciężarówki przed restauracją Hunger Stopper, nie gasząc silnika. Sully, niemal w biegu, jako że czas nieubłaganie uciekał, zawołał:

– Przepraszam pana na moment.

Mężczyzna wyjął z auta wózek do skrzynek i przyjrzał się Sully'emu; ponura szarość dnia odbijała się w wyrazie jego twarzy.

– Nie żeby mnie to obchodziło – powiedział, kiedy Sully wyjaśnił mu, co robi i dlaczego – ale chyba trochę późno się załapałeś, bracie? –

Na moment przerwał kontakt wzrokowy, żeby spojrzeć na bliźnię. – Park View od lat schodzi na psy. Ta młoda Latynoska, zabita w zeszłym roku. Potem zginęła Noel. O tym jakoś nie czytałem w twojej gazecie.

Nie przestawał gderać: zginęła biała dziewczyna, od razu są kamery telewizyjne, zginęła biała dziewczyna, pełno o tym w gazetach... Sully miał w głowie tylko imię Noel. Noel Pittman. To wydarzenie usiłował sobie przypomnieć poprzedniego wieczoru. Studentka Uniwersytetu Howarda,

zabawowa dziewczyna. Zniknęła po wyjściu z nocnego klubu. Mieszkała na Princeton Place.

Sully przeniósł ciężar ciała na zdrową nogę i pozwalając mężczyźnie mówić, próbował jednak wejść w jego monolog.

– Lana, Lana, pamiętam Lanę – udało mu się wreszcie wtrącić. – Trochę o niej pisałem. Ale ma pan rację, niezbyt dużo. Na ostatniej stronie działu lokalnego. – Wzruszył ramionami. – Gdyby jej tata był sędzią federalnym, pewnie byśmy robili więcej.

– Gdyby tata był sędzią federalnym – powtórzył za nim mężczyzna – sprawa jej śmierci zostałaby wyjaśniona.

Sully się uśmiechnął.

– Wygląda, że znał pan tę drugą? Noel?

– Nie tak dobrze, jak bym chciał. Na tyle, żeby się poznawać na ulicy. Można ją było oglądać w klubach. Tańczyła w Halo, na takim wzniesionym podeście. A potem któregoś dnia jeździłem z dostawą i widziałem jej twarz na plakatach z napisem „zaginęła”.

– I tylko tyle? Tak po prostu zniknęła? Nie przeprowadziła się do swojego chłopaka?

Mężczyzna oparł się na wózku, wyciągnął rękę i potrząsnął dłonią tak, jakby strzepywał wodę z palców. Ludzie tu dużo gadali, różne rzeczy. Wszedł do szoferki i otworzył schowek w desce rozdzielczej. Pogrzebał tam w papierach, po czym wyjął i rozłożył kartkę formatu dwadzieścia osiem na trzydzieści pięć centymetrów, z dziurkami u góry i u dołu, w miejscach gdzie została przymocowana zszywaczem do słupa.

Zdjęcie ukazywało młodą kobietę uśmiechającą się do obiektywu; miała brązowe oczy, ciemną skórę, gładką cerę. Na górze widniało jej imię i nazwisko wypisane grubą czcionką, a pod zdjęciem tekst: „Ostatni raz widziana 24 kwietnia 1998 roku”. I numer telefonu.

– Będzie pan miał coś przeciwko temu, żebym wykorzystał plakat? – spytał Sully. – Przepraszam, nie zapytałem, jak się pan nazywa. – Pochylił

się, żeby uścisnąć dostawcy rękę. Biali w tym mieście raczej tak nie robili, nie wychylali się, nie podawali ręki, nie nawiązywali kontaktu wzrokowego. Czarni doskonale o tym wiedzieli.

– Rodney – przedstawił się mężczyzna, mocno odwzajemniając uścisk. – Rodney Wilson. Wychowałem się tu, na Warder. Zatrzymaj plakat, opublikuj w gazecie jej nazwisko. – Popatrzył na Sully’ego z błyskiem drwiny w oku. – Wypadałoby coś zrobić dla tej dzielnicy, choć odrobinę, a nie wyłącznie ją doić.

Sully tylko pokiwał głową. Kilka ekip telewizyjnych nadawało sprzed sklepu Doyle’a reporterskie relacje na żywo. Znowu zaczęło mżyć. Wyjął komórkę i zadzwonił pod numer spod zdjęcia Noel Pittman. Nagrany kobiecy głos poprosił o zostawienie wiadomości, jeśli ktoś posiada informacje o Noel, żadnych pytań. Po sygnale Sully wyjaśnił, kim jest, i poprosił o oddzwonienie.

Zegarek na jego przegubie wskazywał szesnastą siedemnaście.

Przestronny newsroom na szóstym piętrze świecił pustkami, w sobotę po południu zwykle nie było tam nikogo poza ludźmi z działu sportowego; telewizory zwisały z sufitu, nadawano transmisje z rozgrywek w college’ach.

Sully przeszedł między niskimi boksami wypełniającymi całe pomieszczenie, chciał sprawdzić, czy najważniejsze osoby z personelu są obecne w swoich przeszklonych biurach na południowej ścianie. Edward Winters siedział w gabinecie redaktora naczelnego, jak zawsze, ale nie było widać nikogo innego. W głównym newsroomie garstka redaktorów z wydania weekendowego przygotowywała niedzielny dodatek do druku. Dalej, w dziale krajowym była niewielka grupka reporterów. Panował spokój, większość fluorescencyjnych lamp na suficie zgaszono.

Biurko Sully’ego stało wetknięte w odległy lewy róg pomieszczenia za małą wnęką, na ziemi niczyjej, pomiędzy działem śledczym a miejskim.

Chris powiesił jego kurtkę na oparciu krzesła. W należącej do Sully'ego części była mosiężna łuska pocisku artyleryjskiego rzeźbiona w misterne wzory, kupiona od uchodźców w Bośni; były różańce, około dziesięciu, które kolekcjonował bardziej jako turystyczne pamiątki niż religijne talizmany, ułożone na łusce, razem z żółto-zielonymi koralikami z Mardi Gras.

Jednak najważniejsza w zajmowanej przez niego przestrzeni była ręcznie rysowana mapa miasta z zaznaczonymi miejscami zbrodni, przedmiot jego dumy i pewnie też radości. Miała rozmiar plakatu, dziewięćdziesiąt na sto trzydzieści centymetrów, przedstawiała obszar siedmiu policyjnych dystryktów, z zaznaczonymi głównymi ulicami, i stanowiła dla niego wyrocznię w kwestii Waszyngtonu. To był jego sposób na rozumienie życia – badanie dróg umarłych; ten zwyczaj tak mocno wszedł mu w krew po latach opisywania wojen i innych konfliktów, że tkwił w nim poza świadomością. Kiedy młodzież z college'ów zapraszała go na spotkania, mówił im, że jeśli chcą zrozumieć jakieś zwierzę, muszą rozumieć zachowanie, które odróżnia je od innych, a człowiek różni się od innych ssaków tym, że posiada korę przedczołową, przeciwstawny kciuk, dobrze rozwiniętą krtani oraz skłonność do torturowania i zabijania innych członków swojego gatunku. Gdy studenci czasami protestowali przeciw takiemu podejściu, uznawszy je za chorobliwe, albo powoływali się na względy religijne czy wręcz pierwiastek boski, odpowiadał, że dotąd nie znalazł żadnych dowodów na istnienie pierwiastka boskiego, natomiast wszystkie książki, gdzie są opisy pięciu tysięcy lat ludzkiej historii, potwierdzają jego przemyślenia na temat ludzkości.

– Nawet jeśli wierzyć, że Biblia przedstawia prawdziwe wydarzenia – mawiał – to już kiedy liczba osób zamieszkujących naszą planetę wynosiła cztery, Kain, zabiwszy Abła, zredukował ją do trzech. Zabójstwo nie jest dewiacją. Jest normą. Jest częścią naszej tożsamości.

Na jego mapie każde zabójstwo popełnione w danym roku było zaznaczane pinezką, małym krzyżykiem i numerem. Pinezki swoim kolorem przedstawiały rasę ofiary. Krzyżyki oznaczały stan śledztwa: czarny – zamknięte, czerwony – otwarte. Mikroskopijne numery przyklejone taśmą do pinezek pokazywały chronologię zabójstw w danym roku i korespondowały z bazą danych, w której Sully umieszczał imię i nazwisko ofiary, datę zbrodni, dane podejrzanych (jeśli jacyś byli), dane krewnych (jeśli ofiara jakichś miała) oraz nazwisko detektywa prowadzącego dochodzenie. Każde zabójstwo miało własną kartonową teczkę ze zdjęciami miejsca zbrodni, ofiary, zabójcy i tym podobne.

Kilka lat wcześniej, w czasie największego natężenia epidemii, jaką było wprowadzenie kokainy w formie tak zwanego koksu, co roku pojawiało się ponad czterysta krzyżyków. Tego roku, do października postawił ich około dwustu i niemal wszystkie skupiły się w najuboższych rejonach miasta: we wschodniej części dzielnicy Anacostia, w pasie na wschód od Wzgórza Kapitońskiego, przez Trinidad, po Brookland. Uchodzące za skażone największą liczbą przypadków przemocy komunalne osiedla Benning Terrace, Barry Farm, Potomac Gardens i Sursum Corda stanowiły na mapie plamę czerwonych krzyżyków.

Park Rock Creek, ze wschodnim krańcem, który sięgał aż do Sixteenth Street, dzielił miasto, zarówno geograficznie, jak i pod względem liczby zabójstw. Niemal wszystkie były popełniane na wschód i na południe od tej enklawy zieleni. Na zachód od parku – na zachód od parkowych ścieżek do joggingu i wzgórz z malowniczymi strumykami – miasto stawało się bogate i w przeważającej części białe; postawione w tym rejonie nieliczne czerwone krzyżyki wyglądały jak kropelki krwi.

Sully szukał miejsca na pinezkę i czerwony krzyżyk dla Sarah.

– Sullivan, Boże, dobrze, że cię widzę – rozległ się niespodziewanie donośny głos. Melissa Baird, szefowa działu miejskiego, z uśmiechem

osaczała go jak szybki jastrząb powolnego królika. – R.J. mówił mi, że masz piękny artykuł o tej okolicy, po prostu piękny.

Dłgie do ramion, ciemne włosy miała ściągnięte w kucyk, a jej odprasowane džinsy i rozpięta pod szyją koszulowa bluzka – tak sobie wyobrażała niezobowiązujący strój na sobotę – niemal krzyczały, że zrobiła magisterium z pieprzonego dziennikarstwa na Columbii i urodziła się w bogatej rodzinie w Westchester. Szeregową postać z aspiracjami w gazecie idealizującej przynależność do Ivy League i cały ten idiotyzm rodem ze Wschodniego Wybrzeża. Sully odwrócił się wraz z obrotowym krzesłem i popatrzył na ścienny zegar. Dochodziła piąta. Za piętnaście minut zaczynało się kolegium redakcyjne, omawianie pierwszej strony.

– Całe szczęście, że masz coś tak efektownego – mówiła. – W śledztwie nic się nie dzieje, poza tym, że nadal szukają tych trzech facetów ze sklepu. – Weszła do jego boks i z lekkim podskokiem usiadła na krawędzi biurka – była z tego znana w newsroomie – z nogami skrzyżowanymi w kostkach, wyprostowanymi sztywno plecami, dłońmi opartymi o blat po obu stronach.

– Policyjne źródła Huntera nie chcą puścić pary z ust – ciągnęła. Sully siedział jak na szpilkach, zastanawiał się, ile to jeszcze może potrwać. Cholerna impertynentka. – Federalni nawet nie raczą odbierać telefonu. Rodzina Reese’a zaszyła się w domu w McLean. Damy materiał ze śledztwa na pierwszą stronę – bo przecież musimy, prawda? – ale wygląda to cienko. Twój artykuł nas uratuje. Ma walor artystyczny, zauważyłeś? Wczesny ranek, spowita mgłą uliczka wychodząca na Georgia Avenue, za którą zamordowano dziewczynę, parę witryn sklepowych, człowiek w obdartych spodniach i koszuli przechodzi przez jezdnię, wchodzi w kałużę. R.J. to zobaczył i powiedział, że udało ci się odmalować właśnie taką atmosferę.

– R.J. jest bardzo uprzejmym człowiekiem.

– Wspomniał coś o poezji Charlesa Bukowskiego.

Sully bez trudu przejrzał grę Melissy. Próbowwała go podkreślić i jednocześnie uświadamiała mu, pod jaką ona, a pośrednio także i on, jest presją. Nie mówiąc mu wprost, co ma napisać, mówiła mu dokładnie, co ma napisać.

– Cóż, takim tekstem – zaczęła, usiłując wymyślić coś, żeby się jej pozbyć – ...według mnie pokazujemy ludziom, jak jest w tamtej okolicy. Pokazujemy im, o czym mówi dostawca piwa rozładowujący towar i jaka piosenka dudni w samochodzie, który się zatrzymał na światłach. Mówimy im, jaki zapach panuje w toalecie klubu ze striptizem na końcu ulicy. Opowiadamy o tamtejszej szkole podstawowej, z huśtawkami na deszczu i zużytymi igłami na placu zabaw po piątkowym spotkaniu ćpunów, i o tym, że ludzi, którzy tam mieszkają, w tej zaniedbanej Ameryce, w ogóle nie interesuje opowieść o morderstwie, chociaż, jak wiesz, wprawiło w przerażenie pozostałą część stolicy.

– Doskonale! Po prostu fantastycznie. – Rozpromieniona Melissa, cała w uśmiechu, odchyliła się do tyłu i uniosła rękę. – Mniejsza o kolegium o piątej, ale pisz na otwartej stronie, żebyśmy mieli podgląd, okej? To pomoże ludziom od tytułów. Zdążysz wysłać ostateczną wersję do siódmej?

Sully przytaknął skwapliwie.

Melissa złożyła rękę, zeszła z biurka i w poczuciu dobrze wypełnionego obowiązku zaczęła się wycofywać.

– Fragment o tamtejszych mieszkańcach, że w ogóle ich nie interesuje morderstwo, które fascynuje resztę miasta, jest doskonały. Ale możesz zmienić na resztę kraju. Nudny weekend. Wszystkie kanały nadają tylko o tym, nawet kablówka. BBC właśnie poświęciło tej sprawie osiem minut.

Pokiwała głową, jakby to była informacja, której akurat w tej chwili bardzo potrzebował, po czym odwróciła się i odeszła niemal w podskokach, uradowana. Sully, trzymając długopis w ustach, wystukał nagłówek –

PRINCETON PLACE – i niecałe dwadzieścia sekund później poczuł kropelki potu, które mu się zbierały na karku, pod pachami, na wewnętrznej

stronie dłoni. Dlaczego nie pozwalali już pić w newsroomie? Komu to przeszkadzało?

W piątek wieczorem ktoś wrzucił ciało Sarah Emily Reese do pojemnika na śmieci niecałe sześćdziesiąt metrów od skrzyżowania Georgia Avenue z Princeton Place NW, w tej obskurnej części dzielnicy. Zbrodnia wprowadziła w stan osłupienia, jeśli nie przerażenia, cały kraj. Jednak wczoraj na miejscu zabójstwa nie pojawiły się symbole pamięci i współczucia w postaci pluszowych misiów, kwiatów i ręcznie nabazgranych plakatów, typowych oznak sąsiedzkiej żałoby w tym rejonie miasta.

Przeciwnie, tutejsi mieszkańcy mogą być najmniej ze wszystkich Amerykanów zainteresowani brutalnym zabójstwem dziecka znanego sędziogo w średnim wieku. Wczoraj w miejscowych barach telewizory nastawione były na kanały sportowe, nie oglądano ciągłych relacji z miejsca zbrodni nadawanych przez kablówce i stacje informacyjne. Przechodnie omijali żółte policyjne taśmy wokół sklepu Doyle'a i wstępowali do restauracji Hunger Stopper na śniadanie, wafle albo smażonego kurczaka. Nikt nie miał apetytu na snucie domysłów. Show Bar, klub ze striptizem położony dwie przecznice od miejsca zbrodni, zmienił wprawdzie popołudniowy program atrakcji...

Sully miał złe przeczucie... i zaraz usłyszał Melisę wołającą z drugiego końca pomieszczenia.

– Sullivanie Carter! „Nikt nie miał apetytu na snucie domysłów”. Dobijasz mnie!

– Uhm – odwrócił się Sully; nie odrywał oczu od ekranu.

Ograniczony czas, świadomość, że kilku redaktorów na bieżąco śledzi tekst, że już wymyślają tytuł, że każdy błąd ortograficzny, źle wpisana cyfra w adresie czy pomyłka spowodowana niedokładnie zapamiętanym faktem dadzą powód do poprawek podważających jego wiarygodność i kwaśnych min u kierownictwa...

Przerwał pisanie, żeby zerknąć na materiały z paru starych zbrodni, odszukał też w swojej bazie dane Lany i Noel. Następnie przeszedł do sporządzonego naprędce życiorysu sędziego Reese'a, w którym zapowiadano jego przyszłość w Sądzie Najwyższym, do opisu studia tańca Reginy Blocker, składu społecznego mieszkańców opisywanej dzielnicy, tego, jaki ruch panował na tym odcinku Georgia Avenue w piątek wieczorem. Stukot klawiszy co chwilę ustawał, by zaraz zabrzmieć ponownie.

Park View ma kilka fast foodów z kurczakami, dwa sklepy monopolowe, parę narożnych marketów, punkt z chińszczyzną na wynos i komis samochodowy. Ludzie mieszkający na Princeton Place i sąsiednich ulicach zwykle pracują jako kierowcy autobusów, pielęgniarzy, mechanicy w metrze, obsługują kasy w supermarketach, są zatrudniani w parkach i obiektach rekreacyjnych oraz w sekretariatach różnych innych miejskich instytucji. Niektórzy są właścicielami swoich domów. Większość wynajmuje. Przemoc, narkotyki i prostytutka są tam na porządku dziennym.

Lanę Escobar, lat dwadzieścia pięć, znaleziono martwą na boisku do baseballu w centrum rekreacyjnym Park View 14 lipca zeszłego roku. Została uduszona. Sprawa zabójstwa pozostała niewyjaśniona, a policja twierdzi, że Escobar uprawiała prostytutkę i jej śmierć miała związek z tym zajęciem.

Inna młoda kobieta, Noel Pittman, słuchaczka Uniwersytetu Howarda, zniknęła 24 kwietnia zeszłego roku. Wczorajsza próba kontaktu pod numerem telefonu podanym na plakacie z jej zdjęciem i prośbą o pomoc w poszukiwaniach pozostała bez odpowiedzi...

Sully popatrzył na zegar: piętnaście po siódmej. Jeszcze tylko podsumowanie i będzie w domu. Wertując notatki, przypomniał sobie, że nie napisał nic więcej o klubie ze striptizem, wspominał tylko we wstępie. Jeśli wróci do niego na końcu, będzie to wyglądało na zamierzony efekt.

Les Samuels, który prowadzi klub ze striptizem, twierdzi, że mieszkańcy nie pozostają obojętni na zabójstwo Sarah Reese. Wczoraj po południu był w swoim biurze na zapleczu klubu, wypełniał papiery dla rozmaitych instytucji udzielających pozwolenia na jego działalność.

Ludzie po prostu nie chcą dodatkowych kłopotów, powiedział. Mają pod dostatkiem własnych. Bogata biała dziewczyna zostaje zamordowana na ich ulicy? To kolejne kłopoty. Człowiek woli się trzymać od czegoś takiego z daleka.

– Sullivan!

Sully wysłał tekst, naciskając odpowiedni klawisz.

– Poszło!

Udał się do łazienki. Nachylony nad umywalką wsunął ręce w zimny strumień, nabrał wody w złożone dłonie i ochlapał sobie twarz. Przejechał mokrymi palcami po włosach i spojrzął w lustro. Blizny były na swoim miejscu, jak kości roztopione przez ogień, przez prąd elektryczny. Pomyślał o swoim domu i ciszy, jaka w nim panuje, wydał mu się podobny do krypty, nie chciał tam jechać, nie chciał być sam ze swoimi myślami.

Po powrocie do biurka przebiegł wzrokiem notatki, dla pewności jeszcze raz sprawdził nazwiska, a potem dostrzegł, że Melissa przywołuje go, machając ręką. Wprowadziła kilka zmian, które miały zagęścić i rozjaśnić tekst. Dokonała adiustacji, żeby było widać układ pierwszej strony.

W pobliżu nie było nikogo, lecz mimo to ściszyła głos, co należało do jej zwyczaju, bo lubiła dawać do zrozumienia, że wyświadcza rozmówcy przysługę.

– Fantastyczna robota, Sullivan. Uratowałeś nas. A teraz posłuchaj. Trzeba, żebyś jutro pojechał do domu Reese'ów. O pierwszej wydają coś w rodzaju oświadczenia.

Sully zamrugnął. Musiała szeptać, dając mu takie upierdliwe zadanie?

– Chris... jego tam wyślijmy – zaproponował. – Pozwól mi się zająć własnym dochodzeniem, związanym z poszukiwaniami tych trzech, ale

dotyczącym nie tylko tego.

Oderwała wzrok od ekranu i popatrzyła na Sully'ego, niezadowolona, że odmawia.

– Dzięki za radę, ale Chris obstawia gliny. Jamie pracuje nad federalnymi. Potrzebny mi u rodziny prawdziwy zawodowiec. Oświadczenie, czy cokolwiek to będzie, nie wniesie wiele nowego, ale wiem, że ty coś z niego wyciśniesz. Damy je w ramce na pierwszej stronie.

– Oświadczenie? Mówisz serio? – odezwał się również szeptem, jakby wymieniali poufne rekomendacje giełdowe. – Wysyłasz mnie do McLean, żebym zapisał to, co mówią? Wyślij fotografa i stażystę.

– Nie – powiedziała stanowczo, patrząc mu w oczy. – Potrzebuję kogoś, kto potrafi stworzyć wizję. To niedziela. W niedzielę nic więcej się nie zdarzy. Potrzebuję, żebyś zrobił to co dzisiaj. Napisz artykuł na pierwszą stronę. Oświadczenie rodziny, wiesz, patos, nieutulony żal rodziców zamordowanych dzieci.

– Reese i ja mamy pewne zaszłości...

– Które nikogo nie obchodzą – przerwała mu ostro. – Obaj jesteście profesjonalistami. Jakaś kłótnia sprzed lat nie będzie miała dla żadnego z was znaczenia, kiedy chodzi o zamordowanie jego dziecka.

– Kłótnia? Cholera, przecież on próbował mnie wylać. Udzielił mi poufnych informacji, a potem twierdził...

– Zawsze to powtarzasz – ucięła.

– Pieprz się. – Wstał. – I pieprzyć tego...

– Sullivan. – Edward Winters miał minę, jakby dyscyplinował szarpnięciem smyczy kiepsko ułożonego psa. Wykrochmalona koszula w paski, starannie zaczesane do tyłu włosy, gniewnie ściągnięte usta. Stał po prawej stronie boksu redaktora prowadzącego; Sully podszedł do niego, czuł się jak wezwany na dywanik. Inni redaktorzy wychylali się z krzesel, zerkali na nich, ale udawali, że wcale nie patrzą w ich stronę.

– O co chodzi? – spytał Edward świszczącym szeptem; w twardym spojrzeniu niebieskich oczu było wszystko, od studiów w Princeton po rezydencję na Martha's Vineyard, w najdroższym miejscu Ameryki. Miał za sobą sześćdziesiąt parę lat życia pełnego luksusu i przywilejów związanych z bogactwem. Na takich osobnikach nie było mocnych.

– Reese. Sprawa sędziego Foya. Pamiętasz. Zawiesiłeś mnie na tydzień.

– A co to ma do rzeczy?

– Melissa chce, żebym jutro wysłuchał oświadczenia na jego podwórku.

– Więc jedź.

– Szkoda mi czasu. – Wyczuł, że to jest moment na wyciągnięcie asa z rękawa. – Pracuję nad czymś, Eddie. Ci trzej podejrzani... Oni nie mają z tą sprawą nic wspólnego. Błędny trop.

– Skąd wiesz?

– Z własnego źródła. Pracuję nad tym i muszę...

– Nie, wiesz, co naprawdę musisz? Musisz zrozumieć, że nie pracujesz już jako korespondent wojenny. Pojedziesz na tę konferencję prasową o pierwszej i wysłuchasz oświadczenia. Mówimy o przyszłym sędzim Sądu Najwyższego. Musimy położyć łapę na tym materiale, a ty... ty musisz zapomnieć o swojej niechęci do Reese'a. Dałeś ciała. Były reperkusje. Koniec kropka.

Sully przez chwilę siłował się z nim wzrokiem.

– Jasne, szefie – powiedział.

Wrócił do Melissy, która postanowiła kuć żelazo, póki gorące. Wychyliła się do przodu, oparta łokciami o biurko, z brwiami ściągniętymi w surowym grymasie.

– Żebyśmy mieli jasność – zaczęła. – Jestem. Twoją. Przełożoną. Twoją przełożoną. Przełożoną. Jeśli jeszcze raz tak na mnie naskoczysz, wyślę notatkę służbową do kadr. Będziesz pisał sprawozdania z uczelnianych rozgrywek piłki nożnej, dopóki się nie zwolnisz. To, co Eddie ci powiedział na temat zakończenia wojny...

– Którą wojnę masz na myśli? Bo ja pamiętam mniej więcej sześć. W zależności od twojej definicji otwartego konfliktu...

– W takim razie wszystkie, Sullivan. Wróciłeś do domu. Spójrz na mapę. Tu panują inne reguły.

Zachował kamienną twarz, choć czuł, jak furia podsycana upokorzeniem wzbiera mu w gardle i wypełnia głowę. W takich momentach, od czasu postrzału, a może już wcześniej, miał wrażenie, że mózg mu się gotuje.

– Spróbuj tylko pode mną kopać – wycedził, pochylając się nad nią z jadowitym uśmiechem. – Śmiało. Idź do gabinetu swojego szefa, dobry stary Eddie już tam wrócił, i wyjaśnij mu, że wysyłasz swojego najlepszego reportera na wysłuchanie oświadczenia, ponieważ uznałaś za świetny pomysł wystawienie dwudziestosiedmioletniego nowicjusza do kontaktów z policją, żeby ci z „New York Timesa” zjedli go na żywo.

Przerwała kontakt wzrokowy i odchyliła się do tyłu, żeby przynajmniej z daleka nie widać było, że się kłóca.

– Okej, Sully. Jest późno. Wszyscy są zmęczeni. Uspokójmy się i...

– Będiesz miała swoje oświadczenie – przerwał jej szorstko. – W ciągu czterdziestu ośmiu godzin podam ci je na talerzu. Tylko się nie udław.

Udało mu się wykonać zwrot na pięcie; gdy się oddalał, miał wrażenie, że ściany się trzęsą, a w uszach tak głośno mu huczało, że aż musiał zacisnąć powieki.

Kiedy naciskał guzik windy, ręka mu drżała.

Rozdział 9

Po powrocie do domu odkrył, że dzwoniła Dusty. Tylko tego mu brakowało... Odsłuchiwał pocztę głosową – „Zadzwoń do mnie, dawno się nie odzywałeś, co się dzieje?” – i postanowił zignorować prośbę. Cała ta bezsilna wściekłość, dławiąca w gardle... Dusty by nie zrozumiała, a on nie potrafił jej tego wyjaśnić. Nalał whisky do szklanki z lodem, bez wody, otworzył dwuczłonowe drzwi, które prowadziły na tyły domu i usiadł na schodach.

Mrugając, skierował wzrok na czereśnię; próbował uspokoić oddech tak, jak uczyli go lekarze: skupić całą uwagę na czymś małym. Drzewko, małe drzewko. Za parę tygodni miało zrzucić liście. Robiło się coraz chłodniej. Wsłuchany w szum ulicznego ruchu z Constitution Avenue czuł, że jego pierś unosi się coraz wolniej. Wyciągnął przed siebie rękę – drżenie prawie ustało.

Wrócił do środka, wziął butelkę i wszedł na górę. W szafie na półce stało pudełko, takie jakich firmy prawnicze używają do trzymania akt. Przeniósł je na łóżko, rozwiązał jedwabne tasiemki, odwrócił pudełko spodem do góry i wytrząsnął całą zawartość.

Zdjęcia, stare paszporty, dokumenty w obcych językach, pomięte banknoty w bladym odcieniu niebieskiego. Apaszka Nadii. Usiadł na łóżku, stawiając szklankę na poduszce. Było tam kilka zestawów zdjęć z Bośni, spiętych razem zieloną gumką; przeglądał je, dopóki nie znalazł tych, o które mu chodziło. Ściągnął gumkę i zdjęcia rozsypały się po pościeli.

Zostały zrobione w szkole, przy słabym oświetleniu, a Nadia na większości nie była na pierwszym planie, ponieważ wtedy jeszcze jej nie znał.

Artykuł opowiadał o szkole podstawowej, działającej w piwnicy czynszowego domu podczas pierwszej wojennej zimy; uczęszczały do niej dzieci rodziców, którzy zostali poza miastem, dobrowolnie albo z konieczności, odkąd wjazd i wyjazd z Sarajewa został zamknięty. Oblężenie miało w sobie coś surrealistycznego. Ludność nie zdążyła się jeszcze oswoić z morderczymi warunkami: ostrzałem artyleryjskim, kolejkami po chleb, snajperami, benzyną po dwadzieścia sześć dolarów za litr, tyle samo, ile trzeba było dać za tabliczkę czekolady.

Szkoła obejmowała pięćdziesięciu sześciu uczniów z sześciu klas, uczonych – jeśli to odpowiednie słowo – przez trzy nauczycielki. Ta nauka przypominała Sully’emu lekcję pacyfikowania tłumu. Dzieci były agresywne, hałaśliwe, niespokojne. Stały, kiedy powinny siedzieć, biegały, kiedy należało chodzić, rzucały przedmiotami. Wizyta zagranicznego reportera dodatkowo je podkreśliła, wrzeszczały i zachowywały się jak szalone. Sully nigdy specjalnie nie przepadał za dziećmi, był skłonny raczej ostro przywołać je do porządku. Jego tata w wielu sprawach miał rację.

Dwie pozostałe nauczycielki były starsze, po czterdziestce, Nadia, o jakieś dziesięć lat od nich młodsza, prawie w ogóle się nie odzywała. Uczyła grupę najmłodszych. Sully od razu zwrócił uwagę na jej szczerść i ciepło (owszem, również na jej oczy w głębokim miodowym odcieniu), a po kilku minutach rozmowy był pod wrażeniem jej bystrości i lekko chropawego głosu (paliła papierosy).

Tego pierwszego dnia wszędzie leżał świeży śnieg. Gdzie się podziały zdjęcia...? O, tu, Nadia w niebieskim swetrze, dzierganym na drutach w warkoczowy wzór, w dżinsach i wysokich butach. Czarne włosy związane naprędce w kucyk. Dzieciaki otaczały ją kołem, podekscytowane stroiły miny do obiektywu. Nadia siedzi przy biurku, a chłopczyk o imieniu Sasha przytula głowę do jej ramienia. A tu, w czasie lekcji, Nadia pisze

na białej tablicy, a drugą ręką przytrzymuje połę płaszcza na piersi, w lodowato zimnej klasie.

Minął miesiąc, nim znów ją zobaczył. Zawiózł jej kopię artykułu, wersję, która została wybrana i zamieszczona na pierwszej stronie „International Herald Tribune”. Wtedy czworo dzieci z jej klasy już nie żyło, a szkoła dwa razy zmieniała lokal. Widział ją też raz na targu Merkale Market, przelotnie, zdążył ją wówczas tylko pozdrowić. Dwa tygodnie później znowu ją tam spotkał. Nie śpieszyła się, stała na zewnątrz przy ladzie z anemicznymi warzywami, w lewej ręce trzymała papierosa; w słabym zimowym słońcu, ledwie wychodzącym zza gór, skórę miała bladą jak pergamin. Sully nie mógł opanować nerwowego drżenia w głosie.

– Może mógłbym cię zabrać na kolację albo gdzieś... kiedyś? Mógłbym...

– Nikt nie chodzi na kolacje. Jedynie zagraniczni *novinari* i ci z misji pokojowej ONZ.

– No dobrze. Próbowałem tylko...

– Możesz przyjść, jeśli lubisz makaron.

– Słucham?

– Makaron. Jadasz?

– Tak, jasne, ale...

– Mówisz też po angielsku?

– Tak.

– No to wszystko jasne, przyjdź, zjesz makaron.

Uśmiechnął się. Żartowała sobie z niego, specjalnie mówiąc z charakterystycznym bałkańskim akcentem.

– Mogę przyjść. Mam dwie butelki czerwonego wina ze sklepu bezcłowego.

I tak to poszło w tej przyśpieszonej, wyostrej wojennej rzeczywistości. Nim styczeń dobiegł końca, uprawiali seks: na jej łóżku, na sofie,

na dywanie przed sofą. Zdarzało jej się klękać przed sofą, ale żadne z nich nie pozostawało długo w jednej pozycji. Przed snem rozmawiali:

– Podobają ci się jugosłowiańskie dziewczyny?

– Cóż, nie mam wielkiego rozeznania w temacie. Ale ta... – dotknął palcem czubka jej nosa – bardzo mi się podoba. Myślałem, że teraz jesteście Bośniakami.

– Urodziłam się jako Jugosłowianka. Tito mówił, że wszyscy jesteśmy Jugosłowianami.

– Tito nie żyje. Jugosławii już nie ma.

– To nie zmienia tego, kim jestem. Ty jesteś Amerykaninem. Z Południa?

– Z Luizjany.

– Co robią ludzie z Luizjany? Luuu...iz...jaa... ny.

– Walczą. Bzykają się. Grają w piłkę. Łowią ryby.

Chichocząc, odgarnęła włosy z twarzy i oparła głowę na łokciu; z okna za jej plecami wpadała do pokoju blada księżycowa poświata. W oddali majaczyły wzgórza, ciemniejsze niż niebo nad nimi. Widział je za nią. Ona była cieniem, kształtem i miała chyba najpiękniejszy głos, jaki słyszał w życiu.

– Tylko tyle?

– No dobrze, jeszcze gotują. Mówią śmiesznym angielskim. Chodzą do kościoła, przynajmniej większość z nich, są katolikami albo baptystami, nieortodoksyjnymi. Najpierw uczą dzieci strzelać, a dopiero potem prowadzić samochód. Maniery. Większość z nich ma dobre maniery, chyba że są dupkami, wtedy mają fatalne. Naprawdę fatalne.

– A twoi rodzice?

– Nie żyją. Jak Tito.

– Pochodzili z Luizjany?

– Tak.

– Więc przestałbyś być Luizjańczykiem, gdyby ktoś tak ogłosił?

Do lata ich związek rozwinął się na tyle, że mieszkał u niej, kiedy był w mieście. Rozważali pomysł, by ją zatrudnił jako swojego tłumacza i spróbował zdobyć dla niej wizę, wydawaną przez siły ONZ zawiadujące lotniskiem, by mogła razem z nim przekroczyć granice oblężonego miasta. Oboje jednak wiedzieli, że taki plan się nie uda, i ta myśl wisiała między nimi podczas długich wieczorów w jej mrocznym mieszkaniu. Wypełniali je lekturą przy świecach i rozmowami. Nadia czytała Bułhakowa, przypominała sobie Gogola i zmuszała Sully'ego do czytania Ivo Andrića. Czytała Güntera Grassa, czytała Garcíę Márqueza i Faulknera, których jej przywiózł. Książkę Elmore'a Leonarda połknęła w jeden wieczór, próbowała mówić slangiem, pracować nad swoim akcentem.

Sully przypuszczał, że czyta tak dużo i kocha się z nim, ponieważ wie, że nie zdoła się wyrwać z miasta, dopóki trwa wojna. Była Serbką żyjącą pośród muzułmanów i Chorwatów, żywym anachronizmem, reliktem czasów Tita. Wiedziała, podobnie jak on, że musi pozostawać z dala od linii frontu. Od Serbów, uważających ją za zdrajczynię, bo została w Sarajewie, słyszała, że nie mogliby jej zagwarantować bezpieczeństwa, gdyby zechciała się udać na teren Serbii, co znaczyło, że tak naprawdę czekał ją strzał w tył głowy, gdyby zrobiła następny krok.

Została więc, bez rodziców, bez dalszej rodziny, tak samo jak on; rozmawiali o swoich wcześniejszych losach i o tym, co, być może, czeka ich w przyszłości. Wojna przeciągnęła się na następne lato i kolejną zimę.

- Nie skończy się, dopóki wszyscy nie wyginiemy.
- Skończy się. Skończy się, zanim to nastąpi.
- Wy, Amerykanie, NATO... to nam nie pomoże.
- Pomoże. Myślę, że pomoże.

Tego sierpniowego popołudnia siedzieli w pizzerii we wschodniej części miasta, w małym lokalu o tynkowanych ścianach, przy wąskiej uliczce pośrodku gęstej zabudowy. Miejsce zostało osłonięte przed kulami snajperów i było niedostępne dla ostrzału artyleryjskiego z okupowanych

przez Serbów wzgórz, gdyż taki lot pocisku byłby sprzeczny z prawami fizyki. Podawano tam względnie chłodne piwo, siedemnaście dolarów za butelkę. Nadia zjadła dwa kawałki pizzy i pół następnego, wciąż była zbyt szczupła, ze stresu, przez lata żywienia się makaronem prawie bez warzyw, robiły jej się pryszczki na czole.

– Za dwa lata będziemy w Paryżu – powiedział Sully. – I będzie tak jak kiedyś.

– Nie podoba mi się Paryż.

– Okej. Zatem Nowy Jork. Pojedziemy do Nowego Jorku.

– Nie podoba mi się Nowy Jork.

– Nigdy tam nie byłaś.

– Ale by mi się nie spodobał.

– No to ty mi powiedz. Powiedz gdzie.

Zastanowiła się, patrząc na niego.

– Santorini.

– Grecja?

– Lubię oliwki.

– I chcesz tam zamieszkać?

– Dlaczego nie?

– To mała wyspa. Co byśmy tam robili?

– Będziemy uprawiać oliwki. I hodować kozy. I dzieci.

– Kozie dzieci.

– Będziemy mieć kozłeta. – Zaśmiała się, nareszcie nastrój jej się zmienił o sto osiemdziesiąt stopni. Uderzyła otwartą dłonią w blat stolika, wychyliła reszkę piwa, roześmiała się jeszcze głośniej. – Sully i Nadia, bzykają się i robią kozłeta!

Sully przeciągnął po kolanie apaszkę Nadii, jedyną rzecz, jaka mu po niej została. Nie wąchał jej już, wiedział, że zapach dawno wywietrzał.

Pod koniec zimy w trzecim roku wojny, kiedy nie czuło się jeszcze nadchodzącej wiosny, wybrał się do miasta samolotem pomocy

humanitarnej. Nie mógł pójść do jej mieszkania z powodu późnej pory i godziny policyjnej, także opadów śniegu. Spędził noc w hotelu Holiday Inn i następnego ranka poszedł do szpitala porozmawiać ze znajomym lekarzem, jako że pracował nad artykułem o operacjach chirurgicznych wykonywanych bez elektryczności, znieczulenia i bieżącej wody. Wychodząc, zatrzymał się w kostnicy, ponieważ jedynym sposobem poznania liczby ofiar bez użycia telefonu, było policzenie ich osobiście. Na noszach ustawionych na lodowatej betonowej podłodze leżało kilka ciał, wśród nich Nadia. Miała zamknięte oczy i głowę niemal rozłupaną na pół pociskiem moździerza. Reszta ciała – co zobaczył, odsunąwszy prześcieradło – pozostała nienaruszona.

Trzymał w ręku jej zdjęcie, to w niebieskim swetrze z dzierganymi warkoczami, i słyszał jej głos, z tym lekko chrapliwym bałkańskim akcentem, powtarzający dwie sylaby jego nazwiska – „Car-ter, Car-ter” – jak refren, jak modlitwę, jak wtedy, kiedy się kochali, słyszał ten głos, jakby wiatr przyniósł mu go z drzwi jej balkonu.

Rozdział 10

Słońce rzucało na pokój jasne pasy światła, z dołu dobiegał szum ulicznego ruchu. Nie dało się określić, która jest godzina. Kula z waty dławiała go w gardle, ból rozsadzał mu czaszkę nad czołem. Dzwonił telefon.

Zamrugał i usiadł. Miał na sobie koszulę z poprzedniego dnia, ale przed snem zdjął dzinsy i skarpetki. Wszędzie wkoło leżały zdjęcia: na łóżku, na podłodze, na półce. Rozglądał się, dopóki nie natrafił wzrokiem na zegar koło nocnej lampki. Dwadzieścia po dziesiątej.

– Cholera – mruknął.

Na wyświetlaczu komórki nie było numeru, tylko informacja, że dzwoni „osoba prywatna”. Odkasznął i odebrał.

– Nie sądziłem, że pracujesz w niedzielę rano – wydusił z siebie skrzekliwie.

– W niedzielę przy dobrej pogodzie jadam brunch na mieście – odpowiedział Sly Hastings. Głos miał taki, jakby wstał o szóstej i od tego czasu zdążył pobiegać i poćwiczyć na siłowni. – Siedzę tu sobie i czytam gazetę w zacnym otoczeniu, w miejscu, do którego ludzie stoją w kolejce, i natrafiłem na twój artykuł. Jak widać próbujesz obniżyć wartość moich nieruchomości.

– Nie wymyśliłem tej okolicy, Sly, i nie zabiłem tam nikogo.

Nastąpiła pauza.

– Co jest? Jaja sobie robisz?

Sully znów zakaszłał, po czym zgarniając zdjęcia do pudełka, odparł:

– Żadnych jaj, hombre. Chcieli poetyckiego opisu tamtej dzielnicy. Chcesz lepszej poezji, to się przeprowadź do lepszej dzielnicy. A co to za zacne otoczenie?

– Colorado Kitchen. Robią tu prawdziwe gofry i smażonego kurczaka. Właśnie to jem, dzięki tobie. Przyszła nam ochota, mnie i Lionelowi.

– Więc przynajmniej wyświadczyłem ci przysługę.

– Aż tak bym tego nie odbierał. Można mówić raczej o sugestii. Ale nie po to dzwonię. Słuchaj, dzwonię po to, żebyś się przygotował, bo możesz dziś otrzymać pewne informacje. Myślę, że nasi przyjaciele ze służb stojących na straży prawa przypadkiem wpadną na tych trzech braci, których szukają.

Sully na chwilę zaniemówił, a potem wyrzucił z siebie:

– Nie zrobiłeś tego.

– A owszem, jak najbardziej. MPD i DEA, i FBI, i reszta tych matołów latają jak kot z pęcherzem. Dwaj detektywi i jeden agent federalny wczoraj wieczorem zapukali do moich drzwi, wyobrażasz sobie? Zachowywali się miło, pytali, czy może czegoś o czymś nie wiem. Wiesz, o czym to świadczy? O tym, że nie mają na mnie nakazu, nie mają nawet pieprzonego mandatu, bo gdyby mieli, to by mnie zaraz dorwali. A tak, proszą o przysługę? Świetnie. To jest propozycja biznesowa. Dlatego jako odpowiedzialny właściciel nieruchomości i podatnik udzieliłem wsparcia miejscowym stróżom prawa. Podpowiedziałem, gdzie ewentualnie mogliby znaleźć tych trzech.

– I kiedy to ma nastąpić?

– Sam rozumiesz, policja nie może tak po prostu zgarnąć tych gości. Muszą wezwać SWAT i piętnastu innych uzbrojonych po zęby dupków.

– Myślałem, że współpraca z policją jest źle postrzegana.

– Owszem, gdy robisz w interesie, za który możesz beknąć. Jeżeli trzymasz rękę na pulsie i robisz pieniądze, czym ja się zajmuję, od czasu do czasu warto podjąć taką decyzję. Zwłaszcza jeśli wiesz, że oni tego nie

zrobili. Posiedzą w areszcie pół roku, a potem wrócą do domu. Tatuś Sully zaopiekuje się nimi, kiedy wyjdą po odsiadce.

– Uważasz, że nie stanie im się krzywda?

– To nie jest parada niewiniątek, słyszysz? Nie martwiłbym się o tych trzech braciszków, nawet gdyby skończyli z wyrokami po dwadzieścia pięć lat. Ale wykluczone, żeby oni to zrobili, nie zarzuci im tego nawet prokurator generalny.

– Powiedziałeś to swoim nowym przyjaciółom z policji?

– Do diabła, jasne, że nie. W swoim mniemaniu ratują teraz swoich białych rodaków przed czarną zarazą.

Minutę później Sully się rozłączył i zszedł na dół nastawić kawę. Kiedy już była gotowa, zadzwonił do redakcji i powiedział, że ma nastąpić aresztowanie trzech podejrzanych. Patrick Ogle, pełniący akurat dyżur, zaskoczony spytał o źródło informacji, na co Sully zapewnił go, że jest wiarygodne i nie musi się o nie martwić. Głosem słodszy od miodu dodał, że chętnie bardziej by pomógł, ale Melissa kazała mu jechać do domu Reese'ów wysłuchać oświadczenia, więc musi się zbierać. Poza tym pojedzie tam na motorze, więc przykro mu, ale nie będzie mógł odbierać telefonu.

Bębniąc palcami o kuchenny blat, wsypał trzy łyżeczki cukru do kawy, podniósł kubek do ust i spojrzał na swoje drzewko. Następnie wybrał na komórce numer porucznika Johna Parkera z komendy miejskiej policji, chcąc sprawdzić, co uda mu się od niego wyciągnąć.

John był przyzwoitym człowiekiem, ale przed rokiem został dowódcą zdemoralizowanego zespołu dochodzeniowego w wydziale zabójstw, grupy ludzi zmęczonych długoletnią walką z narkotykami i rozgrywkami związkowymi, a potem jeszcze ugodzonych ostatecznym ciosem – niespodziewanym zarządzeniem decentralizacji. Ich naczelny dowódca wpadł na genialny pomysł, by rozesłać swoich najlepszych detektywów po siedmiu miejskich rejonach. Prawdopodobnie funkcjonariusze w terenie

znaleźliby się bliżej rzeczywistych wydarzeń, bliżej typów w rodzaju Grubego Chucka, a ci mogliby ich doprowadzić do grubszych ryb, takich jak Sly Hastings, co pomogłoby rozwiązać więcej spraw z obecnych sześćdziesięciu pięciu procent, które pozostawały niewyjaśnione. Statystyki wyglądały nieciekawie, to Sully był skłonny przyznać – dwóch na trzech zabójców w mieście uchodziło bezkarnie – jednak rozwalanie wydziału, rozdzielanie najtęższych umysłów i najbardziej doświadczonych funkcjonariuszy oznaczało marnowanie sprawności operacyjnej nabywanej przez całe dziesięciolecie. Istniała też praktyczna strona zagadnienia: ludzie Johna, którzy wykonywali tę pracę od dwudziestu lat, nagle musieli dojeżdżać do swojego komisariatu nie dwadzieścia minut, tylko godzinę w jedną stronę, przedzierając się przez miasto, żeby dotrzeć do wyznaczonego dystryktu. Wprowadzone zmiany fatalnie działały na morale, lecz mimo to John wciąż płynął pod prąd tej rzeki gówna.

Tego ranka sygnał w jego komórce zabrzmiał pięć razy, po czym włączyła się poczta głosowa. Sully odchrząknął, nadal nie całkiem obudzony.

– Cześć, potrzebuję wiedzieć, o której i gdzie odbędzie się nalot na podejrzanych w sprawie zabójstwa Sarah Reese – nagrał się. – Przejeżdżając, zobaczyłam twoje auto w czwartym dystrykcie, więc nawet nie próbuj mi wciskać, że nad tym nie pracujesz. Będę do ciebie dzwonić co trzy minuty. Wiesz, że cię kocham.

Rozłączył się i wyszedł na podwórko.

Doszedł do wniosku, że drzewko będzie wyglądać lepiej otoczone kwiatami. I potrzebuje nawozu. Obszedł dom dookoła, żeby wziąć gazetę sprzed frontowych drzwi. Rozłożył ją i zobaczył, że jego artykuł zajmuje środek pierwszej strony. Zadzwoił telefon.

– Nie jesteś ani w połowie tak sprytny, jak ci się zdaje – powiedział John.

– Uwierzyłbym w to, gdybyś tak szybko nie oddzwonił.

– Kupiłeś to w naszym sklepiku czy u federalnych?

– Jestem powszechnie lubianym młodzieńcem, John. Ludzie uwielbiają się ze mną kontaktować. To mi pochlebia. Nie wiem, czy wspominałem... nic nie wyjdzie na światło dzienne. W ogóle z tobą nie rozmawiałem.

– Pogadamy o tym później.

– Uhm.

– 1500 First Street, Southwest. Koło skrzyżowania First i P Street. Dwupiętrowy blok. Nawet nie próbuj wchodzić na First. Zostań na P.

– Kiedy?

– Powiedziałbym, że tuż przed zmierzchem. Miej oczy dookoła głowy.

Sully połknął dwie tabletki na ból głowy, ubrał się i wkrótce potem wjeżdżał motocyklem na Constitution Avenue, koło muzeum i promenady. Na moście nad ciemnobrunatnymi wodami Potomaku dodał gazu, wjechał na Virginia Street i skręcił w prawo w George Washington Parkway. Po deszczu powietrze zrobiło się nieprzyzwoicie czyste, w oddali widać było jachty zacumowane na rzece, w słońcu wyglądały jak świecące białe kropki. Lekarz z Landstuhl, amerykańskiego wojskowego szpitala w Niemczech, ten, który mu kazał skupiać umysł na dobrych rzeczach, powiedział, że potrzeba mentalnej dyscypliny, żeby się oderwać od tego wszystkiego, co się wydarzyło na wojnie, od tego, co utracił.

Zanim David Reese o wpół do drugiej stanął na progu swojego domu, na ulicy zgromadziło się już pięćdziesięcio- lub sześćdziesięcioosobowe stado zdenerwowanych dziennikarzy, głośno wyrażających niezadowolenie. Reese, w czarnym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie, szybkim krokiem wszedł na swój podjazd i skierował się w stronę ulicy. Dom, chociaż okazały, nie przytłaczał, piętrowy budynek w stylu kolonialnym nie wyróżniał się spośród innych podobnych na tej ulicy; można było odnieść wrażenie, że sędziowie federalni posiadali genetycznie zaprogramowaną skłonność do osiedlania się w tego rodzaju enklawach zamożności pozbawionych wszelkiej ostentacji. Starannie przystrzyżone żywopłoty,

dobrze nawiezione rabaty z kwiatami, kilka dębów od frontu tworzących zielony baldachim. Sully domyślał się, że za domem jest basen i taras, być może z małym ozdobnym wodospadem. Potrzebował kilku minut, żeby wypatrzeć kamery monitoringu, zamontowane dyskretnie na balkonie nad głównym wejściem i przy oświetleniu podjazdu. Pomyślał, że chciałby choć raz spotkać sędziego federalnego, który by mieszkał w domu szeregowym, jeździł hondą civic i spędzał wakacje w Ocean City, bo tylko na tyle mógłby sobie pozwolić.

Na widok Reese'a wśród reporterów zapanowało ożywienie, operatorzy nastawiali sprzęt, żeby uchwycić go, gdy idzie – kilka dodatkowych sekund nagrania stanowiło cenny podkład – w obstawie tajniaków lub funkcjonariuszy straży sądowej. Reese doszedł do rzędu mikrofonów i tam się zatrzymał, natomiast towarzyszący mu mężczyźni zbliżyli się do przedstawicieli mediów.

Wyższy z nich, z ciemnymi włosami, powiedział prawie szeptem:

– Żadnych pytań. Absolutnie żadnych. Sędzia Reese wygłosi oświadczenie i na tym koniec. – Następnie on i ten drugi ustawili się po obu stronach grupy.

Sędzia stanął przed mikrofonami, spojrzął najpierw w lewo, potem w prawo, jakby na coś oczekiwał. Był wysokim, mocno zbudowanym mężczyzną, mógł mieć metr dziewięćdziesiąt wzrostu i według Sully'ego ważył jakieś dziewięćdziesiąt kilo. Jego twarz, zwykle opalona, miała barwę popiołu. Wyglądał, jakby mrugał w zwolnionym tempie. Valium? Garść jakichś innych uspokajaczy? Sully spojrział na dom, żeby sprawdzić, czy ktoś może wygląda przez okno, ale żadna zasłona nawet nie drgnęła.

Sędzia pochylił się lekko do mikrofonów.

– W piątek wieczorem, pierwszego października, nasza córka Sarah Emily została zamordowana po lekcji tańca w Waszyngtonie D.C. – zaczął pełnym, zdecydowanym głosem. Mówienie pomogło mu skupić wzrok, ale przez szarą, jakby martwą skórę sprawiał wrażenie przemawiającego

manekina. Sully stał na skraju tłumu reporterów, szybko włączył dyktafon i uniósł w wyciągniętej ręce.

– Chcielibyśmy podziękować wszystkim służbom za wsparcie i profesjonalne działania, prowadzone przez cały czas. Chcielibyśmy skierować nasze podziękowania do Białego Domu, podziękować Prezydentowi i Pierwszej Damie, oraz personelowi Kancelarii i przewodniczącemu Senatowi za ich osobiste kondolencje. Chcielibyśmy też podziękować milionom Amerykanów, którzy z różnych stron naszego kraju zwracali się do Tori i do mnie, za wyrazy współczucia, troskę i modlitwy. To naprawdę poruszające. Jak i to, że gdy wyglądamy przez okna na ulicę, codziennie, przez cały dzień widzimy reporterów, kamerzystów i fotografów; bynajmniej nie wyrażają żalu, lecz, jak widać, mają za zadanie dokumentować nasz smutek, chociaż naruszają granice naszej prywatności. Prosimy tych, którzy ich zatrudniają, żeby zwolnili pracowników z tego obowiązku, a nam pozwolili w spokoju przeżywać żałobę. Uroczystości pogrzebowe będą miały charakter rodzinny. Nie oczekujcie żadnych dalszych oświadczeń ani informacji na ten... ten temat.

– Urwał, zakołysał się lekko na piętach. Ręce, wcześniej splecione przed sobą, schował za plecami. Zaczynał się pocić, drobne kropelki rosiły mu czoło. Sully pomyślał, że sędzia jest gotowy przejść do kolejnej części przemowy. Tymczasem on tylko się skłonił. – Dziękuję wam za przybycie – powiedział. – A teraz będę wdzięczny, jeśli zechcecie odejść. Dziękuję.

Odwrócił się i skierował w stronę domu.

Nikt się nie odzywał, dopiero przy wyłączeniu świateł jeden z operatorów powiedział cicho:

– Bezbożne, krwiopiczne amerykańskie media także panu dziękują.

Rozległy się pomruki i tłumione chichoty; moment później Dave Roberts wyłonił się z tłumu ze słowami:

– Powiedziałbym, że nas kocha. – Skierował się do wozu transmisyjnego. Przechodząc koło Sully'ego, klepnął go w ramię i zarechotał. – To było

świetne, trzeba mu przyznać – dodał. – Poczekaj godzinę, zobaczysz, że rozpierzchną się jak wrony.

Sully przytaknął skinieniem, po czym odszedł na bok, żeby podyktować przez telefon kilka akapitów opisujących scenę.

– Tak, tak, piszę – powiedział Patrick. – Ale nie rozłączaj się, Eddie chce z tobą gadać.

– O co chodzi z tym zatrzymaniem podejrzanych? – usłyszał na linii głos Edwarda.

– To, co już powiedziałem Patrickowi. Dostałem cynk, że może nastąpić dzisiaj.

– Chris twierdzi, że o niczym nie słyszał.

– Dziwi cię to?

– Bierz się do roboty, Sullivan. Możesz trochę podrażnić temat?

– Mogę spróbować. Ale nic nie obiecuję. Chcesz więcej o oświadczeniu?

– Nie. Oglądałem w telewizji. Reese zadziałał bardzo skutecznie. Napiszemy o nieszczęśliwym ojcu, który prosi, żeby go zostawiono w spokoju, to wyjdziemy na ostatnich drani.

– Więc... chcesz, żebym się skupił na podejrzanych?

– Tak. Nie muszę ci mówić, jakie to ważne.

Rozłączył się i od razu zauważył, że część dziennikarzy już odchodzi do swoich samochodów i odjeżdża. Obsługa wozów transmisyjnych pakowała sprzęt; zespół Dave'a trochę się ociągał, ale i on był gotowy się zwijać. Dave siedział w środku pojazdu obok kierowcy i mocował się ze zbyt ciasno zawiązanym krawatem.

– Hej – zwrócił się do Sully'ego. – Trzy kilometry stąd jest niezła knajpa, gdzie podają owoce morza. Mają też bar. Zabierzesz się? Musimy wytracić czas do nagrania o szóstej.

– Może dołączę tam do was później.

– Knajpa nazywa się Chesapeake. Trzy kilometry na zachód, po prawej.

Sully pokiwał głową i wsiadł na motor. Nie zapalił silnika, z zadumą obserwował „odwrót” pojazdów. Po dwudziestu minutach, kiedy zrobiło się już całkiem pusto, kulejąc, wrócił przed dom sędziego i skręcił na podjazd, jakby był u siebie.

Funkcjonariusz z patrolowego radiowozu wysiadł i patrzył na niego z niedowierzaniem. Jeden ze strażników sądowych wyłonił się z garażu i razem ruszyli w jego stronę. Sully parł naprzód, z rękami uniesionymi nad głową; w dwóch palcach lewej dłoni trzymał wizytówkę.

– Proszę to przekazać sędziemu. – Podał policjantowi wizytówkę. – I proszę mu powiedzieć, że chce ze mną porozmawiać parę minut. Teraz. Musi ze mną natychmiast porozmawiać.

– Wie pan, że mam rozkaz aresztować każdego dziennikarza, który będzie próbował takich sztuczek? – odpowiedział policjant, niemal zderzając się z nim torsem. Pocił się pod kuloodporną kamizelką.

– Dlatego grzecznie proszę.

Policjant przyjął wizytówkę, obejrzał, następnie gestem przywołał strażnika sądowego, który wziął ją od niego i zaniósł do domu. Po upływie kilku minut znów się pojawił, kiwnął palcem na Sully’ego i zaprowadził go do holu. Przestronne, wysokie pomieszczenie miało kamienną posadzkę, a całe umeblowanie stanowiło ścienne lustro w ciężkiej ramie i niewielka szafka. W każdym pokoju, do którego wchodziło się z holu, leżał gruby dywan, a na wprost wznosiły się schody na piętro. W domu panowała przytłaczająca cisza.

– Siedzisz w gównie po uszy – wycedził szeptem strażnik. Wysoki, zażywny mężczyzna o bystrym, nieprzyjaznym spojrzeniu, miał czarny garnitur starannie zapięty na wszystkie guziki. Zgięty w pasie nachylił się tak, że Sully widział jego twarz z odległości jakichś dwudziestu centymetrów. Była to poza człowieka posiadającego władzę, którą Sully natychmiast rozpoznawał i której nie znoślił.

Ściągnął usta jak do pocałunku, co wystarczyło, by strażnik gwałtownie się cofnął.

– Tak myślałem, twardzielu – mruknął Sully.

Mężczyzna zmierzył go wściekłym spojrzeniem i ruchem ręki nakazał, by szedł za nim korytarzem wyłożonym miękkim chodnikiem. Zapukał cicho do drzwi na końcu, otworzył je i wpuścił Sully'ego do pokoju, który pełnił funkcję domowego gabinetu sędziego. David Reese siedział przy masywnym biurku. Nadal miał na sobie marynarkę i starannie zawiązany krawat. Pomieszczenie atmosferą przypominało salon pogrzebowy.

– Doprawdy nie mogę uwierzyć w pańską zuchwałość – odezwał się Reese, gdy tylko strażnik zamknął drzwi. – Nie mieści mi się w głowie, że wysyła pan do mojej rodziny jakieś niezrozumiałe wiadomości w takim momencie. Wpuściłem pana tylko dlatego, żeby móc udokumentować pańskie zachowanie przed pańskimi przełożonymi, którzy zostaną o wszystkim powiadomieni, ci na samej górze, w ciągu godziny. Zapewniam, że tym razem nie może pan liczyć na moją łaskawość.

– Ostatnio, kiedy mieliśmy ze sobą do czynienia, Davidzie, okłamał mnie pan, a potem usiłował doprowadzić do tego, żeby mnie zwolniono, więc darujmy sobie te pokrzykiwania. – Sully usiadł bez zaproszenia. –

Naprawdę mi przykro z powodu pańskiej córki. Daję słowo. Jeśli pan zadzwoni do moich zwierzchników i powie im, że jako jedyny zdołałem wejść dziś do pańskiego domu dzięki temu, że pokazałem funkcjonariuszowi wizytówkę i powiedziałem mu, że mam ważną sprawę, będą pełni podziwu dla mnie, nie wściekli. Ale do rzeczy. Odbierze Eddie Winters. Dopiero co z nim rozmawiałem. Czeka pod telefonem.

Popatrzyli na siebie w milczeniu.

– Śmiało – zachęcił Sully. – Poczekam.

– Musisz mieć jakiś powód – powiedział Reese.

– Owszem. Mam. To nieoficjalna wizyta. Nie napiszę ani słowa o tym, że byłem w pańskim domu, ani o tym, jak wygląda. Wykorzystam to, co pan

powiedział przed domem i nic więcej. Przyszedłem panu powiedzieć, że najprawdopodobniej dzisiaj albo jutro wcześniej rano policja aresztuje trzech mężczyzn, czy raczej chłopców, którzy byli w sklepie Doyle'a w tym samym czasie, co Sarah.

Sędzia poderwał się gwałtownie, wywracając krzesło.

– Skąd pan wie? Nikt mi nic takiego nie mówił.

– To nastąpi już niedługo. Chodzi jednak o coś innego. Przyzwoitość każe mi uprzedzić pańską rodzinę, byście nie wierzyli w zasadność tych aresztowań. Zarzuty się nie potwierdzą. Uważam pana za buca, ale uznałem, że należy to zrobić, chociażby ze względu na pańską żonę, żeby nie pozwalała sobie na zbyt wielkie oczekiwania w związku z tą akcją.

– Skąd możesz wiedzieć o zatrzymaniach, nie mówiąc już o tym, czy okażą się zasadne?

– To długa historia.

Reese pokręcił głową.

– Nie wierzę w ani jedno twoje cholerne słowo.

Sully pokiwał głową ze zrozumieniem i wstał.

– Na pańskim miejscu chyba też bym nie wierzył. Ale chciałem, żeby pan wiedział. Uznałem, że pan powinien. Może pan z tym zrobić, co zechce. Wyrazy współczucia dla pańskiej żony. Szczere.

Po opuszczeniu gabinetu został odprowadzony do granicy posiadłości przez strażnika, który na koniec rzucił tonem ostrzeżenia:

– Doigrasz się.

– Pocałuj mnie w dupę – odpowiedział mu Sully.

Rozdział 11

Sully skierował motocykl z powrotem w stronę centrum miasta. Czuł przypływ adrenaliny, rozpieierała go energia. Nim zjechał z autostrady 395 na South Capitol, zostawiając za sobą Biały Dom, poczuł, że jest we właściwym miejscu, gotowy na to, co ma nastąpić.

Skręcił w prawo na O Street SW, oddaloną o jedną przecznicę od celu i jakieś półtora kilometra od nabrzeża pełnego klubów i restauracji; od najbardziej obleganej przez turystów części miasta dzieliła go odległość artyleryjskiego strzału. Minął Half Street i skręcił na południe w First, zbliżając się do miejsca, którego namiary podał mu John. Dwa białe chevy caprice classic, zaparkowane na zakazie, każdy z czterema osobami w środku, nie pozostawiały wątpliwości, że dobrze trafił. Cofnął się do McDonalda na East Capitol, kupił colę i zadzwonił do Johna. Od razu włączyła się poczta głosowa. Na parkingu stał niebieski oldsmobile cutlass z włączonym silnikiem. Sully mógłby przysiąc, że widział go w swoim wstecznym lusterku na GW Parkway.

– Chyba żartujesz – powiedział na głos.

Po dwudziestu minutach, nie doczekawszy się telefonu od Johna, wyszedł na zewnątrz. Oldsmobile stał na swoim miejscu. Sully ruszył do swojego motocykla, z kaskiem pod pachą, lecz w ostatniej chwili zmienił kierunek, podszedł do oldsmobile'a. W środku było dwóch mężczyzn, białych, ubranych w dżinsy i bawełniane bluzy. W tej części miasta.

– Hej! – Zastukał w okno od strony pasażera.

Szyba zjechała w dół do połowy, siedzący za nią człowiek nie odezwał się ani słowem.

– Powinniście spróbować hamburgerów – poradził Sully. – Według mnie to miejsce wkrótce stanie się modne.

Szyba została zasunięta.

Kilka minut później znów wprowadził motor na South Cap, dodając gazu do oporu; osiągnął prędkość prawie sto pięćdziesiąt kilometrów na godzinę. Po przejechaniu niecałych dwustu metrów nie było mowy, żeby jakikolwiek czterokołowy pojazd dotrzymał mu tempa. Następnie przyhamował i składając się mocno, skręcił w prawo w M, wziął kolejne dwa zakręty, zlekceważył znak stopu i po niecałych trzech minutach był na P, już bez ogona.

To w swojej pracy lubił najbardziej.

Ponownie przejechał do połowy kwartału, ale tym razem dławił gaz. Ostentacyjnie uniósł przyłbicę i spojrzał na motor od lewej, a potem od prawej strony. Przejechał na luzie około pięćdziesięciu metrów, odwracając uwagę od swojej lewej ręki, gdy nią delikatnie naciskał hamulec, żeby zatrzymać maszynę przed minięciem uliczki, która odchodziła na południe.

Dwupiętrowy ceglany budynek opisany przez Johna miał na wprost. Zdjął kask i splunął na ulicę z udawaną złością. Następnie otworzył schowek pod siedzeniem, wyjął zestaw narzędzi, przyklęknął i kluczem zaczął luzować i dokręcać śruby mocujące akumulator.

Jakiś samochód podjechał do niego od tyłu i zatrzymał się nienaturalnie blisko. Sully zerknął przez ramię, to był jeden z białych chevroletów, które widział wcześniej.

– Jakiś problem, Evel?¹ – rozległ się głośny baryton.

¹ Nawiązanie do postaci Evela Knievela, amerykańskiego showmana znanego z akrobacji motocyklowych. (Przyp. tłum.)

Sully mocniej ścisnął klucz.

– A ty masz jakiś, mistrzu?

– Hej – rzucił głos ostrzegawczo. Sully udał, że nie słyszy.

– Hej – zabrzmiało ponownie, po czym otwierane drzwi uderzyły go w plecy i pchnęły na motocykl.

Spodziewał się tego, co nastąpiło. Wstał i odwrócił się gwałtownie, udając zaskoczenie i gniew. Policjant w samochodzie, członek jednostki specjalnej SWAT, w kuloodpornej kamizelce pod bawełnianą bluzą, uniósł odznakę na wysokość swojej twarzy, ale nie wystawił jej poza wnętrze samochodu.

– Zabieraj swojego grata z ulicy – zażądał.

Sully podszedł bliżej, żeby się przyjrzeć odznace; nadal udawał głupiego.

– Jezu, człowieku, skąd miałem wiedzieć? Mam go tam zepchnąć? – Kiwnął głową w stronę P Street.

– Dalej. – Policjant machnięciem pokazał na First.

Sully ocenił, że może się przesunąć o jakieś pięćdziesiąt metrów, nie tracąc przy tym z oczu obserwowanego bloku. Usłyszał dobiegające z oddali dudnienie motocyklowego silnika.

– Pozbieram tylko narzędzia i się zwinę.

Policjant strzepnął z torsu popiół z papierosa.

– Ładuj je na ten cholerny motor i się wynoś. – Odjechali, od razu skręcając w lewo. Sully domyślił się, że zataczają kółko, by wrócić na wcześniejszą pozycję.

Zepchnął motocykl na wskazaną ulicą, ale cały czas kątem oka zerkał na interesujący go budynek. Ponownie wyjął klucz i uklęknął za maszyną.

Kilka minut później po drugiej stronie ulicy zaparkowało białe auto dostawcze. Nastąpiła chwila przerwy, po czym minął go ciężki mikrobus z przyciemnionymi szybami, ostrym zakrętem wjechał w P i tam gwałtownie się zatrzymał. Wskoczyło z niego czterech, pięciu, sześciu ludzi ze SWAT – pierwszy trzymał tarczę z pleksiglasu, dwaj ustawieni

za nim karabiny szturmowe – i wszyscy ruszyli pędem w stronę wejścia do bloku. W tym samym momencie otworzyły się tylne drzwi dostawczej ciężarówki i gromada agentów rzuciła się biegiem przez sąsiednią parcelę, przeskakując niskie graniczne murki. Zmierzali do tego samego celu.

Rozległ się głośny łomot, słyszalny na całej ulicy, a potem nad blokiem uniósł się kłęb dymu. Krzyki. Brzęk rozbijanej szyby. Dwa, a potem jeszcze trzy tępe pyknięcia. Charakterystyczny hałas w górze narastał, co oznaczało, że helikopter znajduje się dokładnie nad miejscem akcji. Sully przestał udawać, pobiegł w stronę bloku. Natknął się na jakiegoś policjanta, który wycelował w niego, a kiedy Sully stanął i podniósł ręce do góry, policjant odwrócił się, nie zwracając na niego więcej uwagi.

Z wąskich drzwi bloku wyłoniła się gromada funkcjonariuszy, a między nimi człowiek z opuszczoną głową, skuty kajdankami; szarpał się, wrzeszczał, kłął, kiedy szybko prowadzono go do czarnego vana zaparkowanego na ulicy. Kolejna grupa w drzwiach, spowita rzednącymi smugami dymu, i następny zatrzymany, również w kajdankach, tak samo siłą doprowadzony do vana. Kilka sekund później Sully ujrzał trzeciego z aresztowanych; podtrzymywany przez policjantów bezwładnie ciągnął stopami po chodniku, sprawiał wrażenie nieprzytomnego.

Wszystkie samochody biorące udział w akcji odjechały jednocześnie z głośnym wyciem syren. Sully wyciągnął komórkę i zadzwonił do Patricka, który dyżurował w redakcji.

– Podejrzani właśnie zostali zgarnięci – oznajmił, dodał adres i kilka dodatkowych informacji na początek artykułu. – Zresztą sam przyjadę – zapowiedział, oglądając się przez ramię. W pobliżu stali policjanci, obserwowali go, komunikując coś przez radio, a potem ruszyli w jego stronę.

Zaklął, wrzucił narzędzia do schowka. Jeden z radiowozów włączył koguta i zaczął zawracać. Sully odpalił motor i już w kasku na głowie dodał gazu, pochyliwszy się mocno nad bakiem, żeby maszyna nie stanęła dęba.

Natychmiast wystrzelił do przodu, zostawiając wóz patrolowy daleko w tyle.

Przecznicę dalej, kiedy znów zignorował znak stopu i gnał z prędkością ponad stu kilometrów na godzinę, dostrzegł niebieskiego oldsmobile'a, który stał zaparkowany przy krawężniku i ani myślał go gonić.

Pięć godzin później siedział u Stoneya przy długim barze w kształcie litery L; przed nim na mahoniowym blacie stał koktajl Sazerac, w schłodzonej szklance, ze skórką cytryny na dnie, wyglądającą jak mała zakonserwowana rybka.

– Czekaj – odezwał się gość z drugiego końca baru. – Pogłośnij. Coś mówią.

Podniósłszy wzrok, Sully zobaczył, że Dmitri, który próbował już sprzątać przed zamknięciem, sięga ponad lustro i podkręca głoś w wysoko zawieszonym telewizorze.

– ...właśnie podano nazwiska trzech podejrzanych, których dzisiaj aresztowano. Są to Reginald Jackson, lat siedemnaście, zamieszkały w D.C., D'onte Highsmith, lat osiemnaście, również z D.C., oraz Jerome Deland, lat dwadzieścia dwa, mieszkaniec Prince George's County. –

Człowiek na ekranie czytał dalej z trzymanej w rękach kartki. – Jak twierdzi rzecznik policji, wszyscy trzej mają kryminalną przeszłość. Deland był czterokrotnie aresztowany: za napaść, pobicie, niezgodne z prawem korzystanie z pojazdu – tak brzmi w D.C. oskarżenie o kradzież samochodu – oraz posiadanie marihuany z zamiarem sprzedawania. Według danych sądowych był na... hm... zwolnieniu warunkowym. Highsmith ma na koncie dwa aresztowania, oba za posiadanie narkotyków, został zwolniony pięć tygodni temu i oczekuje na proces. Natomiast Jackson, jak twierdzi policja, przebywał w Oak Hill, w poprawczaku, z którego uciekł dwa tygodnie temu. Wszystko wskazuje, że byli na sąsiadującym ze sklepem boisku do koszykówki tuż przed zabójstwem Sarah Reese,

a także kilka minut później, ponadto znaleziono przy nich podczas dzisiejszego aresztowania rzecz należąca do Sarah.

– Jaką „rzecz”? – odezwał się Dmitri. – Czemu nie powiedzą, co konkretnie?

– Bo policja im nie powiedziała – wyjaśnił Sully. – Mnie też nie powiedzieli. Co za różnica? Okaże się w sądzie. Oni chcą... policja chce, żeby ludzie kładli się dziś spać przekonani, że jest po wszystkim.

Dmitri znów ściszył odbiornik.

– Jeszcze jednego?

W odpowiedzi Sully tylko postukał w swoją szklankę. Dmitri uniósł brwi, spoglądając na mężczyznę siedzącego trzy stołki dalej, który pokręcił głową. Napełnił drinka Sully’emu, ale zapowiedział, że to ostatni, Sully przytaknął i w tym momencie rozdzwonił się jego telefon.

– Skąd wiedziałeś? – usłyszał głos Melissy.

– Udało mi się zgadnąć.

– Słuchaj, jeśli zamierzasz być dupkiem...

– Tak się cieszę, że mogłem być u Reese’a i słuchać jego oświadczenia, kiedy twój chłopak trzymał rękę na pulsie śledztwa.

Nastąpiło piętnaście sekund ciszy.

– Już powiedziałam, że miałeś rację, okej, ale...

– Nie podniecałbym się za bardzo tymi aresztowaniami – powiedział, specjalnie wytrącając ją z równowagi. – Wyglądają na trefne.

– Trefne? Eddie mówił, że idziesz tym tropem. Ci trzej dopiero co opuścili więzienie, kiedy to się stało. Coś zaszło w tym sklepie i oni...

– Na pewno jutro mi o tym opowiesz – przerwał jej i się rozłączył.

Barmanka wychynęła z zaplecza, przeszła wzdłuż całej długości baru, po drodze jeszcze bardziej ściszyła telewizor; kiedy prześlizgiwała się obok Dmitriego w wąskiej przestrzeni, długie do ramion ciemne włosy zafalowały jej przy twarzy. Podeszła do Sully’ego, położyła na barze

między nimi najpierw jedną, potem drugą rękę. Następnie wzięła jego szklanę i pociągnęła łyk Sazeraca.

– Dusty – powitał ją – jak tu stoję.

Rozdział 12

Stała pod strumieniem wody, mówiła zza zasłony; drzwi łazienki były zamknięte, lustra zaparowane. Sully wyszedł już spod prysznica, siedział na zamkniętej toalecie, w ręczniku zawiązanym wokół bioder. Na przykrywie spłuczki czekały dwie porcje bourbona, lód topił się w szklankach.

– Więc twierdzisz, jeśli dobrze zrozumiałam, że osoba, która zabiła córkę sędziego, nadal jest na wolności? I że Sly to ustawił?

– Mniej więcej. – Lubił jak brała prysznic. Lubił słuchać jej głosu, wody i szmeru kropelek spadających na plastikową zasłonę. W domu rzadko rozbrzmiewał czyjś głos poza jego własnym, a jej głos, z miększym akcentem, wyższy, pełen śmiechu i ciepła, sprawiał, że to miejsce wydawało się jakby lepsze.

– Ale dlaczego? Dlaczego miałyby to robić?

– Chciał, żeby gliny przestały węszyć w jego okolicy, tak przynajmniej mówi. Wiedział, gdzie są podejrzani, więc rzucił ich policji na pożarcie.

– Brzmi jak ustawka.

Sully sprawdzał stan swoich paznokci u nóg, zastanawiając się, gdzie mogą być cążki.

– Właśnie to powiedziałem.

– Nie. Chodzi mi o to, że chce zatrzeć własne ślady.

– Sly? Sugerujesz, że Sly Hastings zabił córkę Davida Reese'a?

Woda pod prysznicem przestała lecieć. Dusty odsunęła zasłonę i wyciągnęła rękę po drinka. Napła się, odstawiła szklankę na miejsce

i sięgnęła po ręcznik.

– Skąd mam wiedzieć? Miał czas i sposobność, czyż nie? Pytałeś go, gdzie wtedy był? Brakuje tylko jednego... – Wyszła z brodzika i stanęła przed Sullym, z piersiami na wysokości jego oczu, uśmiechnięta. – Motywu. Którego, jak sam zawsze mówisz, nikt nigdy tak naprawdę nie zna.

Rozprostował nogi, zrzucił z siebie ręcznik, próbując być... jak by to określić... obecnym. Był on, przepaść, a dopiero za nią druga osoba. Nie potrafił już powiedzieć, od kiedy tak się działo, ale pierwszy raz to zauważył po śmierci Nadii. Później, po tym gdy dostał odłamkiem, ta przepaść stała się ziejącą otchłanią, kanionem, tak szerokim, że nie dało się zobaczyć drugiego brzegu. Przyjął, że obecnie to dla niego stan normalny i nigdy się nie zmieni. Jednak nadzieja bywa uparta i po ośmiu czy dziewięciu miesiącach spotykania się (dość regularnego) z Dusty, zdarzały się momenty, takie jak ten, kiedy czuł, że ta wyrwa się zamyka. Kiedy był dzieckiem, ojciec uczył go pływać w Missisipi i powiedział, że lekcje się skończą, gdy przepłynie z jednego brzegu na drugi, z Luizjany do Missisipi, prawie dwa kilometry. Ojciec płynął obok niego w łodzi z doczepionym silnikiem, uzbrojony w strzelbę przeciwko jadowitym mokasynom błotnym. Od tamtego czasu Sully wierzył, że duże odległości da się pokonać, jeśli tylko człowiekowi starcza odwagi.

Dusty usiadła mu okrakiem na kolanach. Objął ją, przesunął dłonie na krągłości pośladków i przyciągnął ją do siebie bliżej. Napierała na jego rękę, gdy odchyliwszy się do tyłu zaczęła ręcznikiem wycierać włosy. A potem, narzucając sobie ręcznik na ramiona, pochyliła się do przodu. Delikatnie przylgnęła piersiami do jego twarzy.

– Chyba za tobą tęskniłam – wyznała mu szeptem w czubek głowy.

Przytaknął, zamknął oczy i odwrócił głowę w bok. Dusty była ciepła, miejsce między nogami i wewnętrzną stroną ud wciąż miała wilgotne. Z prysznicza kapiała woda.

– Nie widzę sensu w tym, żeby Sly chciał zabić tę małą – powiedział. – Wielkie ryzyko, a co w zamian? Nie wszedł w konflikt z Reese’em.

– Możemy rozmawiać o czymś innym?

– Teraz nie.

– Czemu to takie ważne? – Wsunęła mu palce we włosy.

– Bo taka jest moja praca.

– Jesteś po godzinach.

– Bo ja taki jestem.

Trzymała go, kołysząc się leciutko, ledwie wyczuwalnie.

– No dobrze. – Westchnęła, prostując ramiona. Domyślił się, że chce mu pomóc, by szybciej mieć to z głowy. – Więc... ktoś, kto ma zatarg z sędzią, go wynajął? A on wystawia chłopaków ze sklepu, żeby odpowiedzieli za niego?

– Po pierwsze, Sly Hastings nie jest człowiekiem do wynajęcia. To on wynajmuje ludzi. A po drugie, jeśli rzeczywiście ich wystawia, żeby odpowiedzieli za zabójstwo, dlaczego mi mówi, że oni nie są winni? Nie widzę sensu. W piątek wieczorem był wściekły. Ktoś zrobił na jego terenie coś, czego on sobie nie życzył, i go to wkurzyło.

– Więc prawdziwy zabójca nadal chodzi sobie wolno?

– Tak sądzę. Przypuszczam, że Sly chce się dowiedzieć, kto to zrobił, wyprzedzając policję. Myślę, że mnie do tego wykorzystuje.

– Chce sam zrobić porządek? Chce, żebyś mu pomógł odkryć, kogo ma się pozbyć?

– Wolałbym nie. Wolałbym też nie myśleć o tym w taki sposób.

Zakasłała, domyślił się, że celowo, by stłumić śmiech.

– Czy to ma być gra wstępna? – spytała.

– Ech, wy dziewczyny z Miami. Jesteście takie niecierpliwe.

– Z Fort Lauderdale, głupku – rzuciła lekko. – To nie to samo. A może i to samo? Jak sądzisz?

– Tylko jeśli tobie jest wszystko jedno.

– Chyba żartujesz.

Wstała, naciągnęła na siebie ręcznik i skierowała się do wyjścia.

– Zabierz olejek do masażu. Jesteś mi coś winien za przedwczorajszą ucieczkę. Weź też mojego drinka.

– Myślisz, że możesz mi rozkazywać?

– Zawsze – odpowiedziała, wchodząc do sypialni.

Sully zgasił światło i zabrał szklanki. Zdążył zrobić trzy kroki, nim sobie przypomniał o olejku.

– Zawsze tak mówisz, dopóki cię nie zwiążę – mruknął.

Słyszał, jak Dusty po ciemku kładzie się na łóżku; w smugach światła, jakie wpadało do pokoju z ulicy, widział ją wyciągniętą na brzuchu, jej włosy opadające na ramiona, oliwkową skórę, długie, smukłe nogi. Głowę ułożyła na wyciągniętych przed siebie, skrzyżowanych rękach.

– Chłopcy z Luizjany za dużo gadają – powiedziała.

Rozdział 13

Dusty poruszyła się przez sen. Czarną jedwabną opaskę, której Sully użył do zawiązania jej oczu, miała na szyi. Zsunął się z łóżka, spoglądając na zegar – Chryste, co kazało ludziom dzwonić o tak wczesnej godzinie – i chwycił komórkę, nim sygnał zdążył zabrznieć po raz drugi. Nie rozpoznał numeru. Gdy schodził na dół, włożył po drodze sportowe szorty.

– Lepiej, żeby to było coś ważnego – odezwał się do telefonu.

– Dzień dobry, słońce, tak, to ważne.

– John? Porucznik Parker? To ty? Co to za numer?

– Pożyczyłem telefon. Słuchaj. Musisz przywieźć swoją chudą dupę na Princeton Place. Aha, no i miło cię widzieć na pierwszej stronie. Nie sądziłem, że naprawdę jeszcze tam pracujesz.

– Na Princeton Place? Nie mógłby człowiek od czasu do czasu zaprosić gości bez tego gówna?

– To jest wolny kraj dla białych ludzi, Sully. Możesz zostać w łóżku i pieprzyć się jak królik, jeśli wolisz. Ja w każdym razie jadę na Princeton Place.

– Co miałbym tam zobaczyć?

– Mnie, bracie.

Połączenie zostało przerwane.

Sully wrócił na górę, znalazł dżinsy i koszulę, następnie podszedł na palcach do łóżka, nachylił się i pocałował Dusty w plecy między łopatkami. Przez chwilę nie odrywał ust, jej skóra przypominała brzoskwinię, miękki meszek łaskotał mu wargi.

– Muszę iść. Chodzi o sprawę Reese’a.

– Uhm.

– Możesz zostać?

– Nie. Dziś wieczorem pracuję w Baltimore – wymruczała, półprzytomna od snu.

– Zadzwoń.

– Uhm.

Podszedł do motocykla zaparkowanego na ulicy, po czym odwrócił się i spojrzał w okno na piętrze. Miał wrażenie, że wciąż czuje na sobie zapach Dusty. Okno było otwarte, firanka powiewała, zaczepiając o ramę; Dusty spała metr dalej, niewidoczna w cieniu.

Żółta policyjna taśma, którą wcześniej otoczono ulice objęte śledztwem w sprawie śmierci Sarah Reese, znów się pojawiła, tym razem o jedną latarnię dalej w głąb кварталу. Inny radiowóz stał na skos po drugiej stronie ulicy, niemal w tym samym miejscu co wcześniej. Dalej parkowało jeszcze kilka wozów policyjnych. Sully ruszył w stronę nieoznakowanego auta z otwartymi drzwiami. Z okna wyłoniła się ręka i machnięciem przyzywała go, by podszedł bliżej.

Pokuśtykał środkiem ulicy i schylając się pod taśmą, wszedł na odgradzony teren.

– Jednak się zjawiłeś. – John Parker poprawił ciemne okulary zsunięte na wygoloną głowę. Siedział na fotelu pasażera, w jasnobrązowym garniturze, w krawacie o nieco ciemniejszym odcieniu, zawiązanym na wykrochmalonej białej koszuli.

– Obiecałeś ciekawe widowisko.

– Owszem. I będziesz je miał. Tylko najpierw mi powiesz, jak się dowiedziałeś o wczorajszym zatrzymaniu. – Wstał, marynarka rozprostowała się, szeroki krawat elegancko odbijał od koszuli. Sully od dawna miał ochotę spytać, jak się robi taki idealny węzeł.

- Daj spokój, człowieku.
- Ktoś od nas?
- Co, pękasz, że się umawiam z kimś innym?
- Żarty żartami, a przecieki przeciekami, Sully, ale to był grubszy kaliber. Próbuję jakoś zapanować nad tą grupą, swoim zespołem. Wiesz, jak fatalnie w tej chwili to wygląda? A ten przeciek, bracie, był na wysokim szczeblu.
- Wiesz, że nie mogę ci powiedzieć.
- Ktoś od nas? – powtórzył pytanie.
- Sully zawahał się, po czym przesadnie głośno wypuścił powietrze.
- Nie.
- W porządku. – John pokiwał głową, przyjrzał mu się, jakby sprawdzał, czy Sully mu wierzy. – W porządku. To mi wystarczy. Jeśli się dowiem, że było inaczej, ani tobie, ani twojemu kapusiowi nie będzie do śmiechu. I uważaj na siebie, słyszysz? To jest zabawa dla dużych chłopców.
- Zanotowałem. Aha, czy to twoi ludzie jeżdżą niebieskim oldsmobile’em? Białe osiłki w sportowych ciuchach?
- Nie są z mojego zespołu. Ktoś cię niepokoi?
- Jeszcze nie.
- A, byłbym zapomniał. – John dotknął palcami skroni i zaraz opuścił rękę. – Domek na plaży. Jest już zarezerwowany na święta Bożego Narodzenia i Nowy Rok.
- Super Bowl?
- Mogę sprawdzić. Pani Parker zajmuje się takimi rzeczami. Na lato większość jest jeszcze wolna.
- Nigdy nie lubiłem plaży w lecie. W zimie jest fantastycznie, jak na pustyni. – Uniesionym podbródkiem wskazał radiowozy stojące dalej na ulicy. Funkcjonariusze i technicy z laboratorium wychodzili z ostatniej, narożnej szeregowki. – No i co ma być tą obiecaną atrakcją?
- John westchnął.
- Noel Pittman. A raczej to, co z niej zostało.

Sully zaniósł się kaszlem, dawały o sobie znać zarwane noce i whisky. Nie tego się spodziewał.

– Ta dziewczyna z Howarda?

– Znaleźli ją wczoraj wieczorem, zidentyfikowali dziś rano po uzębieniu. Była w piwnicy. Tam jest drewniana podłoga na legarach, takie jakby duże panele ze sklejki z wykładziną dywanową na wierzchu. Leżała w tej ciasnej przestrzeni między legarami, przykryta mnóstwem różnego śmiecia.

– Mieliście psa do szukania zwłok?

John wydał usta, oparł się o drzwi samochodu. Dwadzieścia trzy lata w służbie, z początku na ulicy, wydziałem zabójstw rządzą sami biali, od wielkich spraw, a on, porucznik, próbuje poskładać do kupy swój dysfunkcyjny zespół, w poniedziałkowy ranek gada z reporterem i ma problem, bo znalazł rozkładające się ciało.

– Pieprzony fuks. Funkcjonariusz tuż po akademii robi powtórny wywiad środowiskowy, żeby sprawdzić, czy ktoś może sobie coś przypomnieć z tamtego wieczoru, gdy zginęła Sarah Reese. On i jego partner Gung Ho idą do opuszczonego domu, pod 722, pukają i zamiast powiedzieć, że jest pusty, zaglądną do środka. Wchodzą do piwnicy. Widzą stertę starych krzeseł, jakieś belki, wszystko ułożone nie wiedzieć czemu na środku podłogi. Rozgrzebują, widzą kości.

– Niech to szlag.

– Niech to szlag.

– Robi wrażenie.

– Pomyślę, może zostanie szefem detektywów.

– Jakiś związek z Sarah Reese?

– Wygląda, że jedynie geograficzny. Pittman mieszkała niedaleko. W tamtym domu przy skrzyżowaniu.

– Kto jest właścicielem domu, w którym ją znaleziono?

– Bank. Przejęcie nastąpiło dwa lata temu. Jakiś człowiek z Delaware skupował domy, próbował je remontować i odsprzedawać z zyskiem.

– A co... – Miał zamiar spytać o Lanę Escobar, zamordowaną na boisku do baseballu, ale się rozmyślił. – A... czy ciało Pittman leżało tam przez cały ten czas?

– Tak sądzę, ale nie wiem.

– A... nie przeszukiwaliście tej okolicy po tym, gdy zniknęła?

– Trochę, i jak się okazuje niezbyt dokładnie. Ostatni raz widziano ją, kiedy wyjeżdżała z klubu, nie tutaj. Nie znaleźliśmy jej samochodu. Poza tym chodziło o zaginięcie, nie zabójstwo. Mamy dość swojej roboty.

– Gdyby cały czas tu leżała, chyba byłby zapach?

– Zauważyłeś jakie rudery stoją na tej ulicy? Te, z których wszyscy rano powychodzili?

– Zauważyłem.

– One wszystkie śmierdzą.

– Jezu...

– Właśnie. Widziałeś zdjęcia tej Pittman?

– Nie. Znaczy tak, jedno, to z plakatu.

– Nie, mam na myśli wiesz jakie zdjęcia. Dziewczyna była modelką. Niegrzeczną modelką. Pozowała nago. Dotarły do wydziału, kiedy zaginęła. Miała sesję próbną, chyba do „Playboya”. W seksownych pozach z drugą dziewczyną.

– Jestem grzecznym chłopcem z małego miasta nad wielką rzeką, John.

– Przystaniesz nim być, gdy je obejrzysz.

– Mógłbyś mi załatwić taki przegląd?

– Prawdopodobnie.

Sully zastanawiał się przez chwilę, myślał o dostawcy piwa Rodneyu Wilsonie, który z goryczą wypomniął, że o czarnej i ciemnej dziewczynie nie wspomniano ani słowem w gazetach.

– Chyba o tym napiszę, poruczniku Parker. Pokażesz mi te niegrzeczne zdjęcia? W ramach zbierania materiału. – Spojrzał ponad bagażnikiem na szeregowy dom po lewej stronie ulicy; przed wejściem parkował

policyjny samochód, na ganku stało dwóch funkcjonariuszy. – Jest tam ktoś, z kim mógłbym porozmawiać?

John obejrzał się.

– Tylko technicy, zbierają ślady. Komendant przyjechał i odjechał. Burmistrz też się pojawił, bo telewizja nagrywała.

– Sprawa nabrała rozgłosu dziś rano?

– Kiedy ty byłeś z ukochaną. Widziałem tutaj wcześniej twoich kolegów, tego grubego.

– Chrisa. Dziwne, że redakcja nie... – Przypomniał sobie nagle swoją wieczorną rozmowę z Melissą. Tylko się zrewanżowała. No, no... Z każdą godziną robiło się coraz lepiej.

Rozdział 14

Dwadzieścia pięć minut później wchodził do newsroomu, mijając szybkim krokiem rzędy boksów. Na ramieniu miał plecak, wstąpił też wcześniej do kafeterii na dole po gazowany napój, potrzebował kofeiny. R.J. musiał widzieć, że Sully wysiada z windy, bo natychmiast się poderwał i ruszył w jego stronę, wyprzedzając go, zanim dotarł do biurka Melissy. R.J. potrząsnął uniesioną pięścią, wielki i zamaszysty, niemal wykrzykiwał gratulacje z powodu artykułu o aresztowaniu trzech podejrzanych.

– Nikogo innego tam nie było – ekscytował się. – Nawet telewizji. Różne stacje powołują się na ciebie, opisując przebieg akcji. Nawet ci najwięksi nic nie mieli.

Parskał śmiechem, ale Sully dostrzegł w jego oczach niepewność, ciekawość, czy wie o znalezieniu Noel Pittman; R.J. badał grunt, sprawdzał, czy Sullivan jest zły i czy czuć od niego whisky.

Carter rozgrywał sytuację na spokojnie.

– Tak, właśnie wracam z Princeton Place. Okazuje się, że dotarłem jako ostatni na spotkanie z Noel Pittman. Słyszałem, że Chris był tam dwie godziny temu.

R.J. patrzył na niego zza okularów z dzielonymi szklami; muszka na szyi, masywna postura, wciąż czarne włosy przylizane na żel gładko do czaszki, krótko przycięta broda. Potrafił być hałaśliwy jak Norman Mailer, kiedy chciał, albo siedzieć ze skrzyżowanymi nogami, stylowy człowiek prasy, profesjonalny, rozsmakowany w dyskusjach już nie o pierwszym, lecz

o drugim Pulitzerze, lawirujący pomiędzy Sullym a Melissą, która była gdzieś tam w dziale miejskim.

– Pittman to temat uboczny. Stara historia dla Chrisa, żeby się młody miał czym zająć. Natomiast to.... To twoja szansa, żeby przejąć sprawę Reese'a. Rozumiesz? Wiesz, o co idzie gra? Podejrzani dziś po południu będą mieć wstępne przesłuchanie w sądzie. Możemy cię tam wysłać, żebyś trzymał rękę na pulsie, a potem zajął się...

– Ten sąd to pokazówka – przerwał mu Sully. – W tym rejonie miasta nie wychodzi się za kaucją. Istnieje ryzyko ucieczki i zagrożenie dla społeczeństwa. Nigdzie nie pójdę. Keith obstawia sądy. Jego tam wyślij.

– No tak, ale potrzebujemy wiedzieć wszystko o tych ludziach czy nastolatkach, nieważne. Keith może być na przesłuchaniu, ale ty musisz się rozejrzeć w środowisku, jako stary wyjadacz, zawodowiec, odszukać rodziny, krewnych, sąsiadów.

– Niech zgadnę. Mam grzebać w ich popieprzonym życiu rodzinnym, problemach z dyscypliną w szkole, zagadywać mamusie, przysięgające, że ich dziecko po prostu nie mogłoby zrobić czegoś takiego, i ojców, którzy....

– Czyżbyś miał coś konkretnego na myśli, Sullivan?

– Owszem, miałem. Mam. Będziemy pisać o tej historii, odnosząc się do morderstw na Princeton Place, nie tylko tego jednego morderstwa. To właśnie chciałem powiedzieć wczoraj, ale Melissa i Eddie nie chcieli mnie słuchać. Trzy kobiety zostały zabite w miejscach odległych od siebie o niecałe sto pięćdziesiąt metrów i zbrodnie nie zostały wyjaśnione. Sarah Reese jest ostatnią z tych trzech ofiar. To...

– Zaraz, zaraz. Sarah Reese, Noel Pittman. I kto jeszcze?

– Lana Escobar. prostytutka. Została zamordowana na boisku do baseballu na początku ulicy, zeszłego lata. Lana, Noel, Sarah. Trzy.

– prostytutka? Jezu, Sullivan, zejź na ziemię. Inaczej na to patrzę. Zatrzymali trzech rzezimieszków w związku z zabójstwem Sarah Reese, tak przynajmniej wyczytałem w twoim artykule na pierwszej stronie. A dzisiaj

rano mamy ciało jakiejś młodej kobiety, być może bardziej przywiązanej do kokainy niż do swojego stałego adresu, znalezione w piwnicy domu stojącego nieco dalej przy tej samej ulicy. Nikt w tej sprawie nie został aresztowany i prawdopodobnie nigdy nie zostanie. I do tego jakaś dziewczyna spod latarni. Uważasz, że da się to połączyć w jeden artykuł?

– Tematem: „Kto zabija te wszystkie kobiety?”

– Obrażasz się. Nie odebrałeś telefonu dziś rano. Bo ci to nie pasuje.

– Ci trzej podejrzani w związku z Reese to ślepy zaułek, R.J. Nic z tego nie będzie. Nie warto się za bardzo angażować w ten wątek, bo się na nim przejedziemy.

– A jeśli twoja wersja jest nic niewarta?

– Zatrzymano trzech mężczyzn podczas spektakularnej akcji i policja twierdzi, że to oni zabili Sarah Reese. O tym napisałem i to jest prawda. Zarzuty wobec aresztowanych się nie utrzymają. I to też jest prawda.

– Kto tak twierdzi?

Sully próbował rozluźnić ramiona. W piersi, od strony pleców czuł ucisk, trzewia miał jakby związane w supeł. Redakcja, redakcja... kto, u diabła, wpadł na pomysł, że można pracować w redakcji?

– No dobrze. Części z tego, co wiem, nie mogę ci zdradzić. Informacje pochodzą od zaufanej osoby...

– Która się nazywa i pełni funkcję?

– Nie mogę powiedzieć.

– Nie możesz zatajać źródeł przed swoim wydawcą, przecież wiesz. Poufność znaczy, że nie umieścimy nazwiska w gazecie...

– Nie potrzebuję wykładu o podstawowych zasadach...

– ...i że prędzej trafisz do więzienia, niż ujawnisz je sędziemu lub opinii publicznej. Jednak wydawcy znają dane informatora swojego reportera, jeśli istnieje taka potrzeba. A zapewniam cię, że istnieje.

– W takim razie będziemy musieli tę zasadę pominąć, bo nie ma mowy, żebym zrezygnował z tego źródła.

R.J. zamrugał, przypatrując mu się zza okularów. Nawet nie drgnął.

– Pamiętasz swoje zawieszenie. Korzystałeś z poufnego źródła informacji na temat sędziego Foya...

– Moim źródłem był David Reese.

– On twierdzi inaczej. A Edward się z nim zgadza.

Głęboki oddech.

– Okej, przemyśl to, R.J. Zdaj się na węż. Ci trzej faceci? W piątkowy rano, wcześniej, grają w kosza, piją piwo, gadają o głupotach, parę przecznic od Georgia Avenue. Idą do sklepu, wpadają tam na białą dziewczynę... i co, wyciągają ją na zaplecze i podrzynają jej gardło?

– Znalezione przy nich portfel tej dziewczyny, tak oświadcza policja.

– Więc to była ta „rzecz”?

– Chris wyciągnął to od pewnego detektywa dziś rano, przy okazji sprawy Pittman. Będą o tym wspominać dzisiaj po południu w czasie przesłuchania.

– No dobrze. Więc dziewczyna upuszcza portfel w sklepie, oni go zabierają. Może kradną. W to jestem skłonny uwierzyć. Nie mogę natomiast uwierzyć, że w jakiś sposób wywabiają ją na uliczkę za sklepem i tak po prostu zabijają.

R.J. wyglądał, jakby zaczynało z niego uchodzić powietrze. Jakby ktoś wyciągnął małą plastikową zatyczkę z jego torsu i zmienił go w wypompowany balon. Sądząc po minie, zastanawiał się, jaki byłby wynik testu, gdyby Sully w tym momencie dmuchnął w alkomat.

– Czy ty masz awersję do większych pieniędzy, Sullivan? Jesteś na prostej drodze do numeru na pierwszej stronie gazety, jeśli nie wydania krajowego, a dopraszasz się, żeby cię wysłać na jakieś okrzęzne, boczne ścieżki. Psychiatrizy nazywają takie zjawisko samonegacją.

Rozmawiając, dotarli do biurka Sully’ego, który opadł na krzesło, zadowolony, że może ująć ciężaru z chorego kolana. Gestem zachęcił R.J., by przysunął sobie krzesło. Potrzebował go jako sojusznika. R.J., dobrze

ustawiony członek elit, mógł z powodzeniem uczestniczyć w personalnych rozgrywkach związanych z wydawaniem gazety, w przepychankach, do których Sully'emu – o czym doskonale wiedział – brakowało formalnego wykształcenia, taktu i cierpliwości. R.J. po burzliwej i dostatniej młodości w Bostonie, wyrzucony z wojska podczas wojny w Wietnamie (homoseksualizm, niesubordynacja), rozkwitł jako błyskotliwy dziennikarz i intelektualista, takich uwielbiała waszyngtońska socjeta i nowojorska branża wydawnicza. Czterokrotnie nominowany do Pulitzera, dwa razy zdobył nagrodę. On i jego partner, artysta Elwood Douglas, zajmowali wysoką pozycję w artystycznych i muzealnych kręgach D.C. Ich dom zapełniały dzieła sztuki, głównie płótna Elwooda, jakkolwiek na gzymsie kominka spoczywał ręcznie dekorowany przyrząd do odsysania jadu węża, należący kiedyś do Trumana Capote'a, co świadczyło o fantazji R.J., jego łatwo zdobytym bogactwie, a także szczerych, choć może nieco protekcyjnych poglądach na sztukę i szaleństwo Południa.

Za R.J. na ścianie boksu rozpościerała się mapa zabójstw.

– Okej. Spójrz... po prostu spójrz na mapę, R.J., jest za tobą. Nie, tam dalej, musisz się trochę odchylić. Pinezki oznaczają zabójstwa. Czarne pinezki, czarne ofiary płci męskiej. Białe pinezki, biali mężczyźni. Żółte, Azjaci. Pomarańczowe, Latynosi.

– To trochę rasistowskie, nie uważasz?

– Różowe pinezki, ofiary kobiety dowolnej rasy.

– Rozmawiałeś z kadrami o treningu wrażliwości?

Sully wiedział, bez liczenia, że z ostatniego roku jest dwieście sześć pinezek łącznie we wszystkich kolorach. Z czego sto siedemdziesiąt jeden czarnych. Jedenaście pomarańczowych. Cztery białe. Jedna żółta.

– Jest tylko dziewiętnaście różowych pinezek, R.J. Zobacz, jak są rozmieszczone, głównie po wschodniej stronie Anacostii.

– Wszystkie są głównie po wschodniej stronie Anacostii.

– Owszem. Spójrz na to. – Sięgnął do górnej szuflady biurka i wyjął trzy różowe pinezki. Podjechał na krześle do ściany boksu. Odnalazł na mapie skrzyżowanie Georgia Avenue z Princeton Place, a następnie przesunął palcem lekko na prawo, do centrum rekreacyjnego. Wcisnął wszystkie trzy pinezki, znacząc miejsca śmierci Sarah, Noel oraz Lany. Odepchnął się nogami i przetoczył swoje krzesło na miejsce obok krzesła R.J.

Mapa dokumentowała – w sposób, który ekonomiści i socjologowie społeczni powielali przy wielkich nakładach czasu i pieniędzy – istnienie linii podziału, układającej się w kształt rombu, pomiędzy rasą a klasą. Na zachód od zielonej połaci parku Rock Creek znajdowały się tylko trzy pinezki, dwie białe i jedna czarna. Na prawo od parku, na wschód i południe, było ich ponad sto dziewięćdziesiąt, prawie wszystkie czarne.

Dokładnie pośrodku, z dala od wszystkich innych pinezek, tkwiły trzy, które Sully dopiero co wcisnął. Tworzyły małą różową wysepkę.

– Dwudziesta, dwudziesta pierwsza i dwudziesta druga – powiedział Sully. – Niemal jedna na drugiej. Oznaczają jedyne białe dziecko z obu płci, jedyną Latynoskę i jedną z około piętnastu czarnych kobiet. Wszystkie zamordowane w odległości niecałych dwustu metrów jedna od drugiej, wszystkie w ciągu osiemnastu miesięcy.

R.J. pokręcił głową.

– Zanim się wdamy w analizę statystyczną, na której żaden z nas się nie zna, morderstwo Reese jest, przynajmniej oficjalnie, wyjaśnione i poza tą mapą. Słuchaj, masz prostytutkę zabitą kilka ulic dalej i ciało porzucone w piwnicy. To nie...

– Daj mi trzy dni, R.J. – poprosił Sully, wychylając się do przodu, żeby być lepiej słyszany. – Daj mi trzy dni i zobaczymy, co znajdem.

– Po co? Słuchaj, Jamie i dwóch innych z magazynu krajowego obstawiają śledztwo prowadzone przez federalnych, a Keith pilnuje sądu. Ale materiał o podejrzanych pociągnie nam nakład! To twój temat! A ty chcesz wziąć trzy dni wolnego, żeby się pieprzyć z kawałkiem o jakichś

nieszczęsnych dziewczynach spod latarni? Chyba nie chcesz tego łączyć z Sarah Reese? Nie ma między tymi sprawami żadnych zbieżności.

– Jak już powiedziałem, nie zajmujemy się śmiercią Sarah Reese. Zajmujemy się kobietami z Princeton Place, które zginęły albo zaginęły. Przede wszystkim mam zamiar napisać o Pittman i Escobar, wiesz, jako o młodych osobach, które straciły życie w dzielnicy pełnej przemocy.

– To mniej więcej zrobiłeś przedwczoraj.

– Tamto było o dzielnicy. Teraz będzie o ofiarach. Daj spokój, R.J., kilka zabójstw w tym samym miejscu. Chcesz powiedzieć, że to przypadek?

R.J. podniósł się z westchnieniem. Nieznacznie podciągnął spodnie; natrafił palcami na cienką złotą sprzączkę paska i manipulował przy niej, dopóki nie znalazła się idealnie równo pomiędzy szlufkami, dokładnie pod końcem krawata. Ułożył lewą rękę w poprzek piersi, oparł na niej łokieć prawej i palcami prawej dłoni pogładził się po brodzie.

– Jezu. Dobrze. Na razie niech będzie po twojemu. Zostawię Chrisa przy śledztwie policyjnym, Keith zajmie się sądem, Jamie federalnymi. A ty znikaj w swoim półświatku, zapuść się w złe dzielnice pełne prostytutek, ich klientów i zabawy, gdzie młode kobiety są zakopywane w piwnicach opuszczonych domów. Jeżeli stamtąd wrócisz, to nam wszystko opowiesz. Zaczynaj od zaraz, tylko daj Chrisowi materiał do jutrzejszego artykułu na temat znalezienia ciała Pittman. Rozciągniemy go tak, żeby z jednej szpalty zrobiły się dwie.

– Załatwione.

R.J. nachylił się i przedrzeźniając sposób, w jaki zwracał się do niego Sully, zapytał szeptem:

– Masz minutę, bohaterze?

– Minutę, nie więcej.

– Wszyscy wiedzą, że znowu pijesz. Nie zauważyłeś, że Edward chodzi wokół tej sprawy na paluszkach? Zadaje ci niewygodne pytania? Już nie te czasy, kiedy posiadanie mocnej głowy należało do podstawowych

wymogów w naszym zawodzie. Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że nie mam się czym martwić.

– Nie masz się czym martwić.

Podniósł się ciężko. Klepnął Sully’ego w ramię, na tyle mocno, że przypominało to bardziej uderzenie niż przyjacielski gest. Minę miał surową, policzki nad siwą brodą mu poczerwieniały.

– Kiedy z tym skończymy, zabierzesz dupę w troki i znów pójdiesz na odwyk.

Odwrócił się na pięcie i już go nie było. Sully patrzył za nim, układając papiery na biurku. Spojrzał na swoją mapę, a potem znów na drugą stronę newsroomu. Pociągnął długi łyk ze styropianowego kubka; pod plastikowym wieczkiem skrywał się słodki, cudowny zapach jego popołudniowego bourbona z colą.

Rozdział 15

Po południu Sully rozparty na krześle, z nogami na biurku, przeglądał zapiski na temat zniknięcia Noel Pittman.

Chodziła do miejskiej podstawówki, liceum Coolidge'a, a następnie podjęła studia part-time na Uniwersytecie Howarda. Uzyskiwała przyzwoite, choć nie wybitne oceny i była znana w środowisku czarnych odnoszących sukcesy we wschodniej części miasta... w odróżnieniu od zajętych grą w polo beneficjentów funduszy powierniczych z Georgetown, którzy uśmiechali się promiennie ze zdjęć w plotkarskich czasopismach. Nikt z otoczenia Noel nie został nigdy zaproszony do tego towarzystwa.

I prawie nikt, także jego gazeta, nie napisał o Noel. Właściwie jedyna wzmianka o jej zaginięciu pochodziła z biuletynu rozpowszechnianego na kampusie, „Hilltop”, w którym jakiś student, członek zespołu redakcyjnego, zamieścił krótki tekst o jej zniknięciu w kwietniu ubiegłego roku. Opisano ją tam jako imigrantkę z Jamajki.

Było zdjęcie Noel, uśmiechała się na nim, miała wysoko upięte włosy, dyndające kolczyki, jasnobrązową skórę i ciemne oczy. Śmiała się do aparatu, wręcz promieniowała ciepłem. Sully wyciągnął rękę i bezwiednie dotknął fotografii.

Po raz ostatni widziano ją, kiedy po weekendowym występie w charakterze tancerki opuszczała Halo, elitarny klub na New York Avenue, około drugiej w nocy, po czterech godzinach pracy. To znaczyło, że kiedy zniknęła, dzień dwudziesty piąty kwietnia trwał od dwóch godzin. Nigdy

więcej jej nie widziano. Wyjechała swoim samochodem z klubowego parkingu i rozplynęła się w próżni. Mieszkała na Princeton Place, w domu podzielonym na dwie części: suterene i wyższe poziomy. Zajmowała tę drugą. W momencie jej zniknięcia lokal w suterenie był pusty.

W notatkach nie było nic o zdjęciach do „Playboya”, wpisanie jej nazwiska do rejestru skazanych też nie przyniosło rewelacji. Sully odwiedzał kilka razy klub Halo, co wystarczyło, by wiedział, że „tancerkami charakterystycznymi” nazywano dziewczyny, które tańczyły na podestach wzniesionych nad parkietem, na najwyższym piętrze klubu. Nosiły stringi, szpilki i skąpe bieliźniane staniki.

Postukał w klawisze, żeby wejść do redakcyjnego systemu, dającego mu wgląd w artykuł Chrisa – przynajmniej w to, co do tej pory zostało napisane – który miał być zamieszczony w prawym dolnym rogu pierwszej strony działu miejskiego. Zobaczył schematyczny tekst o „zaginionej kobiecie, którą odnaleziono martwą”. Była wzmianka o zbieżności miejsca z przypadkiem Sarah Reese i o tym, że policja bada ten fakt pod kątem ewentualnych powiązań. Tu przytoczono wypowiedź kierującego dochodzeniem – twierdził, że ich istnienie jest mało prawdopodobne, jednakże nie można go wykluczyć. Artykuł opatrzone zdjęciem ofiary, tym samym, które znajdowało się na plakacie. Jego widok przypomniał Sully’emu, by ponownie spróbować się dodzwonić na podany tam numer. Jednak po pięciu sygnałach i tym razem włączyła się poczta głosowa.

Chcąc uzyskać żywy głos do przytoczenia w artykule, zadzwonił na domowy numer profesora prawa karnego z Georgetown. Profesor potwierdził to, co było oczywiste – zabójstwo trzech kobiet, jeśli Noel została zamordowana, w odległości niespełna dwustu metrów jedna od drugiej zdarzało się niesłychanie rzadko i nie mieściło w kategorii zbiegu okoliczności. Ta wypowiedź trafiła do materiału, który przygotowywał dla Chrisa.

– Jesteśmy zaniepokojeni – oświadczył David Belham, radny miejski z dzielnicy obejmującej swoim obszarem teren wszystkich trzech zbrodni. Do niego także Sully zadzwonił do domu. – Niezależnie od tego, czy zabójstwa są ze sobą powiązane, czy nie, jest ich za dużo. Nie powinno tak być.

John Parker, kiedy wreszcie zdecydował się odebrać telefon, nie miał nic do dodania na temat śledztwa, ale powiedział, że ma zdjęcia Noel Pittman. Sully umówił się z nim na spotkanie następnego dnia o jedenastej przed południem.

Spojrzał na zegar, zostało mu niewiele czasu. Pisał szybko, wiadomości z notatek, trochę statystyki, rzeczy, które przychodziły mu bez zastanowienia.

Seria niewyjaśnionych śmierci na tak ograniczonym terenie każe kryminologom wątpić w zwykły zbieg okoliczności...

Po napisaniu kilku dalszych akapitów w podobnym tonie wysłał tekst, kierując jednocześnie wiadomość do Chrisa, że gotowy materiał jest do jego dyspozycji. Po chwili namysłu wstał i przeszedł przez niemal pusty newsroom do biurka Chrisa. Jego miejsce pracy zawsze otaczał szczególny zapach... hm... co to mogło być? Chińszczyzna na wynos?

Pochylił się nad ścianką boksu. Chris nie podniósł wzroku ani nie oderwał palców od klawiatury.

– Wysłałem ci – powiedział Sully.

– Uhm. Dzięki. – Nawet na niego nie spojrzał.

Niewdzięczny, wredny sukinsyn.

Już z powrotem u siebie dwoma długimi pociągnięciami przez słomkę dopił whisky. Rozejrzał się, wziął kubek z resztkami lodu i wyrzucił go do kosza na śmieci przy stanowisku innego reportera.

Buty do jazdy na motocyklu trzymał pod biurkiem, sięgnął po nie, myśląc o burgerze u Stoneya, o tym, że Dusty jest w Baltimore, gdzie w ciągu

tygodnia pracowała, zastanawiał się, czy Eva odbierze, jeśli do niej zadzwoni. Rozległo się kasznięcie, a potem ciche:

– Hej, człowieku.

To był Chris, wsparty na sięgającej piersi ścianie działowej, z kartką papieru w dłoni.

– Tak? – odezwał się Sully. – Skończyłeś? Na czym stanęło z tymi trzema w sądzie?

– Bez niespodzianek. Nie przyznają się do winy, zatrzymani do procesu. Keith był na miejscu. – Wyciągnął w jego stronę trzymany w palcach papier. – Ta kobieta zostawiła wczoraj dwie wiadomości na głównej sekretarce działu miejskiego, pytała o ciebie. Powiedziała, że odpowiada na twój telefon. Asystentka dała mi to dzisiaj, pewnie dlatego, że jestem zainteresowany tematem.

Sully wziął od niego świstek z zapisanym nazwiskiem i numerem, który zaczynał się od 301. Kierunkowy do Maryland. Nazwisko brzmiało Lorena Bradford. Nic mu nie mówiło.

– Powiedziała, o co chodzi?

– Tak. Powiedziała, że dzwoniłeś do niej w sobotę, zanim znaleziono ciało. Jest siostrą Noel Pittman.

John Parker siedział już przy stoliku, a przed nim stała kawa, kiedy Sully następnego ranka wszedł do kawiarni, zmagając się z lekkim kacem. Wziął piwo imbirowe i usiadł.

– Odsłuchałeś wiadomości? – spytał bez wstępów John.

– W redakcji? A powinienem?

– Ten twój dzisiejszy artykuł... W całej okolicy aż wrze. Mieliśmy czterdzieści, czterdzieści pięć telefonów z pytaniem, czy na wolności grasuje seryjny morderca.

– Nie pisałem nic o seryjnym mordercy.

– Nie użyłeś tego określenia. Ale „niewyjaśnione śmierci”? Na „ograniczonym terenie”? Nie wykręcaj się. Wiesz, jak to działa. Belham też. Z jego inicjatywy dzisiaj wieczorem będzie spotkanie obywatelskie, zaprosił komendanta, wszystkich.

– Cóż, nie sądziłem, że zrobi coś takiego. Ale ty nie wierzysz, że coś łączy te zabójstwa?

John wzruszył ramionami.

– Nie. Same zabójstwa nie. Wiesz, co się dzieje, kiedy na jakimś terenie jest mnóstwo kokainy? Umiera za dużo ludzi zbyt młodych, by umierać. Rozumiem, jak kombinujesz, żeby ci wyszedł artykuł do gazety, ale w śledztwie w sprawie zabójstwa zbieg okoliczności nie odgrywa większej roli. – Przesunął po blacie stolika żółtą kopertę, zdjęcia Noel Pittman. – Tylko dla dorosłych – ostrzegł. – Ktoś ci je przysłał mailem.

Sully zajrzał do środka i próbował zobaczyć, co jest na odbitkach formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów, żadnej nie wyjmując.

– O kurczę.

– No.

– Co możesz mi o nich powiedzieć? – Wyjął notatnik.

– Zaczęło się od akt, które przeglądałem, nie zawierały zbyt wiele, chodziło o zaginioną osobę. To był kwiecień zeszłego roku. Ktoś z rodziny zaczął na nas naciskać, więc paru mundurowych rozglądało się po okolicy. Jak ci już wspominałem, denatka mieszkała po tej lepszej stronie kwartału z numerami od 700 na Princeton. Dziesięć, może dwanaście domów za budynkiem, gdzie ją znaleźliśmy.

– Jak wyglądało jej mieszkanie?

– Nie zostało splądrowane, jeśli o to ci chodzi. Nie mam nic więcej. Z raportu wynika, że ludzie dobrze się rozejrzeli. Nic podejrzanego w telefonach nagranych w poczcie głosowej ani w komputerze. Nigdy nie znaleziono jej samochodu. Żadnego punktu zaczepienia, dopóki nie

zadzwoił ten fotograf. Dotarło do faceta, że wężymy, i pomyślał, że chcemy się do niego dobrać. Prowadzi studio w Petworth.

– Była jego klientką?

– Twierdzi, że Pittman potrzebowała profesjonalnych zdjęć, żeby wysłać do czasopism reklamujących bieliznę, do czasopism dla mężczyzn, coś w rodzaju portfolio. Przychodziła do jego studia na sesje, których rezultaty właśnie oglądasz. Pierwszego dnia fotografował ją samą, drugiego w scenach z dziewczyną. To było około dwóch miesięcy przed jej zaginięciem.

– Co z tym fotografem? Przyjrzelście mu się z bliska?

– Owszem, moim zdaniem to oślizły typ, ale nie znaleźliśmy nic, za co by go można przygwoździć. Tłucze ciężką kasę na tak zwanej fotografii buduarowej.

– Gospodynie domowe na golasa?

– Coś w tym rodzaju. Kochanki, jak zwał tak zwał. Robi też dużo zdjęć reklamowych, fotografuje modę i różne takie. Wyprowadził się.

– Kim jest dziewczyna numer dwa? – spytał Sully, zaglądając do koperty.

– Nie wiadomo. Fotograf nie zapisał jej nazwiska. I po sprawie. Według akt jeden z funkcjonariuszy poszedł do Halo. Byłeś tam?

– Parę razy. Dziewczyny tam tańczą na podeście; ona też to robiła.

– Dlatego poszliśmy tym tropem. W raporcie stoi, że policjant rozmawiał z bramkarzami, barmanami, ludźmi z kuchni. Niczego się nie dowiedział. Znaczący... kupowała trochę koki, ale nie było się do czego przyczepić. Przez jakiś czas obserwowaliśmy jednego czy dwóch bramkarzy. Żadnych wściekłych byłych chłopaków czy byłych dziewczyn. Pracowała także na pół etatu w sklepie z seksowną bielizną na Union Station. No i studiowała na Uniwersytecie Howarda. Marketing jako główny przedmiot.

– Co z jej samochodem?

– Starsza czarna acura, dwudrzwiowa. Z tego co nam mówiono, miała rozdarte przednie siedzenie i wgniecenie w prawym błotniku. Użyliśmy

lokalizatorów. Nic nie pokazały.

– Dużo wiecie o jej pochodzeniu, finansach, innych takich?

– Nie. Przybyła tu z Jamajki, kiedy miała osiem lub dziewięć lat. Poza siostrą, nie natrafiliśmy na innych krewnych. To ona naciskała, żebyśmy się bardziej starali.

– Brała kokę, nie wpadła w długi?

– Z raportu nic takiego nie wynika. Słuchaj, musisz pamiętać, że to nie było regularne śledztwo. Chodziło o osobę, która zaginęła. Wiesz, ile jest takich zgłoszeń? Członkowie rodziny się wkurzają, chcą, żebyśmy robili więcej, ale niewiele możemy, jeśli nic nie wskazuje na morderstwo. Była winna parę tysięcy za auto, może tyle samo zalegała na karcie kredytowej. Nie sądzę, żeby regularnie brała kokainę.

Sully wyciągnął z koperty kilka zdjęć.

Odbitki były czarno-białe, błyszczące. Żadne tam fotki w wystudiowanych erotycznych pozach, tylko ponad dwadzieścia artystycznych fotografii. Robiły wrażenie. Ułożył je sobie na kolanach, poniżej blatu stolika, gdzie nikt poza nim nie mógł ich widzieć, i spokojnie oglądał jedną po drugiej.

Noel Pittman miała skórę o odcieniu miodu, długie do ramion, prostowane czarne włosy, naturalnie wypukłe usta, pełne piersi, kształtne biodra i długie nogi. Sposób zachowania przed obiektywem wskazywał na jej dobre wyczucie stylu. Umiała się zaprezentować. Te zmierzwione włosy, błysk w oczach... Sully zastanawiał się, jaki mogła mieć głos. Na bardziej odważnych zdjęciach leżała na brzuchu w poprzek łóżka, oglądała się przez ramię, ubrana jedynie w naszyjnik i stringi, albo opierała się o ściankę prysznic.

– Jacyś podejrzani?

– Przecież dopiero co znaleźliśmy ciało, partnerze. Ale nie, nie mamy. Przynajmniej wiemy już, że nie zabawia się w tercecie u jakiegoś miliardera w Buenos Aires.

– Kto prowadzi śledztwo?

– Jensen. Powodzenia. Nie nazywamy go Kutasem bez powodu. Ma współpracować z ludźmi prowadzącymi dochodzenie w sprawie Reese, tego wymaga skrupulatność, ale... wiesz, to jest stary materiał. Zapoznamy się z raportem koronera i jeśli pojawi się jakiś trop, to nim podążymy.

– Dasz mi numer komórki Jensena?

– Ode mnie go nie dostałeś. – Parker sprawdził w swoim telefonie, po czym nabazgrał rząd cyfr na serwetce.

– Kto odpowiada za śledztwo w sprawie Sarah?

– Bill, Billy Hairston. Słuchaj, nie żartuję... nawet do niego nie dzwoń, rozumiesz? Facet ma przerąbane. Nie może się spokojnie wysrać, bo ludzie z biura idą za nim do kibla.

Sully podniósł się od stolika.

– Dzięki za zdjęcia.

– Nakręcają człowieka na cały dzień, nie?

Sully wyszedł na zewnątrz, zadzwonił pod numer Richarda Jensena, usłyszał komunikat z automatycznej sekretarki i zostawił wiadomość. Szanse, że doczeka się oddzwonienia, oceniał na zero. Jensenowi zostały dwa lata do emerytury, ale mentalnie był już jedną nogą za drzwiami. Nie ulegało wątpliwości, że nie zechce się narażać, nie pozwoli, żeby jakiś pismak cytował go w gazecie.

Rozdział 16

Siedziba głównego lekarza sądowego Dystryktu Columbia mieściła się w budynku z szarej betonowej kostki na skraju dzielnicy, u stóp niewielkiego wzgórza nad Anacostią i przylegała do więzienia. Otaczały ją trawniki porośnięte chwastami.

Sully zaparkował przed kostnicą, budynkiem nr 27, i siedząc okrakiem na motocyklu, sprawdził swoją redakcyjną pocztę głosową. John nie żartował: trzydzieści dwie nowe wiadomości. Wykasował je bez odsłuchiwania. Nie potrzebował tej całej nienawiści, którą dzwoniący chcieli na niego złać; w istocie, gdyby ktoś pytał, z chęcią by przyznał, że nigdy go nie obchodziło zdanie czytelników. Nie prowadził jakiegoś cholernego baru z winem. Wolałby siedzieć na innym kontynencie i stamtąd przesyłać artykuły do swojej gazety. Taki układ najbardziej by mu odpowiadał.

Kilka stopni doprowadziło go do przeszklonych drzwi wejściowych; powierzchnia szyby odbijała jego postać, zniekształcała ją niczym krzywe lustro w wesołym miasteczku. W środku słaby, mdły zapach formaliny i innych chemikaliów wciskał się do nosa, w ubranie, osiadał na skórze. Nagle Sully'emu stanął przed oczami obraz Noel, tkanka mózgową, lepkie prześcieradło...

Recepcjonistka zmierzyła go obojętnym spojrzeniem.

– Witam – zaczął, przytrzymując się lady wyciągniętą ręką; wizja zbladła i po chwili ustąpiła. – Doktor jest w środku?

– Nie widziałam tu pana od czasu, gdy się pan pozbył poprzedniego.

– Według mnie to była decyzja rady miejskiej.

– Po tym, co pan napisał. Jason jest na zapleczu, jeśli chce pan z nim rozmawiać. Nadal pan jeździ na motocyklu.

Sully spojrział na kask trzymany w prawej ręce.

– Codziennie – potwierdził.

– Zaraz do pana przyjdzie. – Sięgnęła po telefon i powiedziała do słuchawki: – Doktorze Reitman? Jest tu pana znajomy dziennikarz. – Nastąpiła krótka pauza. – Ten z motocyklem.

Chwilę później ukazał się Jason, szybki, chudy, uśmiechnięty od ucha do ucha; pchnął stalowe drzwi i przytrzymał otwarte, żeby Sully mógł wejść.

– Niech zgadnę, chodzi o Sarah Reese?

– Noel Pittman – sprostował Sully, kuśtykając za nim korytarzem. Jason, w białym fartuchu nałożonym na elegancką koszulę i krawat, zwolnił, żeby zrównać z nim krok. Stawiał stopy od pięty do palców i za każdym razem unosił się na palcach.

– Pittman? Zdegradowali cię? Nikt nie mówi o Pittman. Wszystkich interesuje tylko ta Reese.

– Nie będę im w tym przeszkadzał. Pozwól jednak, że zapytam: nie ma śladów wykorzystania seksualnego u panny Reese?

Jason patrzył prosto przed siebie, nawet nie zwolnił, przy każdym ruchu notatnik na twardej podkładce obijał mu się o biodro.

– Instytucja, którą reprezentuję, nie udziela komentarzy do spraw będących w toku, zwłaszcza takich, o których aż huczy w mediach. Nie mogę więc wyrazić żadnych uwag na temat twojego całkowicie nieuzasadnionego, lecz absolutnie słusznego założenia.

– Nie spodziewałem się. Ale to podejrzenie gardła, wyjątkowo paskudne...

– Jesteś w nastroju, żeby o tym pogawędzić?

– Możliwe.

– Tak jak wcześniej? Wcześniej ci zaufałem i byłeś w porządku. Nie znam innych, nie zamierzam też nadstawiać karku, ale to dziwne, stary, naprawdę dziwne.

– Bez powoływania się na osobę – zapewnił Sully. – Ewentualnie na „jednego ze stróżów prawa zorientowanego w sprawie”.

Jason się zastanowił.

– Tylu ich się tutaj kręci, że prawdopodobnie obleci. Ale wolałbym, żebyś znalazł kogoś, kto to potwierdzi.

– Już się zgodziłem.

Dotarli do wąskiego jak wagon gabinetu Jasona. Doktor opadł na obrotowe krzesło i zaczął wykonywać kołyszące ruchy na boki.

– Poderżnięcie gardła nastąpiło po śmierci.

Sully zmarszczył czoło.

– Ktoś poderznął jej gardło już po tym, gdy ją zabił? Zatem co było przyczyną śmierci?

– Uduślenie. Została uduszona, wygląda, że wepchnęli jej coś do ust – znaleziono włókna takie jak na piłce do tenisa – a następnie nakryli twarz rękami albo poduszką. Miała też złamaną kość gnykową.

– Więc najpierw ją udusili, a potem poderżnęli gardło?

Jason potwierdził skinieniem.

– Bardzo słabe krwawienie, w każdym razie jak na takie cięcie. Normalnie miałbyś całe wiadra krwi, wszystko wkoło zachlapane.

– Dlaczego to zrobili?

– Mnie pytasz? Dla emocji. Podobał im się widok. Chcieli w ten sposób przekazać wiadomość. Umarła za szybko. Cokolwiek.

– Ale nie została zgwałcona?

– Mówię ci to nieoficjalnie, nie do druku: nie. Żadnych siniaków, szarpaniny. Majtki na swoim miejscu. Jakkolwiek miała w tej dziedzinie pewne doświadczenia. Nie była dziewicą... Ale nie przyszedłeś do mnie, żeby o tym słuchać.

– Masz rację. Przyjechałem sprawdzić, czy nie mógłbyś mi udzielić informacji o Noel Pittman.

– Nie mógłbym ci udzielić informacji o panie Pittman, której robiłem sekcję wczoraj. A raczej temu, co z niej zostało.

– Tak szybko?

– Prawdę mówiąc, akurat miałem trochę czasu. Poza tym stare przypadki są ciekawsze. Autopsje dwudziestotrzylatków z dodatkowymi otworami w głowie, z zawodowego punktu widzenia nie są, jak by to powiedzieć... wyzwaniem.

– Zatem czego nie możesz mi powiedzieć?

– Niestety, Yoricku, nie znałem jej dobrze. Rozkład jest nieprzyjemnym aspektem życia po życiu. Owady, gryzonie, robactwo, sam wiesz, wszystkie boże istoty muszą jeść. Trochę skóry uległo... mumifikacji, ale z reszty niewiele zostało.

– Wiadomo, jaka była przyczyna śmierci?

– Nie od cięcia ostrym narzędziem. Nie miała żadnych złamanych kości. Nikt nie strzelił jej w głowę. Tyle mogę powiedzieć.

– Przedawkowanie?

– Badanie toksykologiczne niemożliwe.

– Uduszona? Poderżnięte gardło?

– Myślisz, że ją i Sarah spotkało to samo? Cóż, nie sposób tego ustalić... W tym miejscu w ogóle nie było tkanki. Naprawdę chcesz opisu szkieletu w zetłonym ubraniu?

– Co miała na sobie?

– Wyglądało to na dzinsy, pasek... była metalowa sprzączka i coś w rodzaju żakietu albo kurtki.

– Została zabita tam na miejscu? W piwnicy?

– Zapytaj policję. Nic, co na niej widziałem, nie dawało odpowiedzi na to pytanie. I jeszcze czegoś ci nie powiem: w oparciu o materiał, jaki posiadamy, nie można stwierdzić, że ktoś ją zabił.

Sully zamrugał gwałtownie.

– A to, że została wepchnięta do dziury w piwnicy nie oznacza gwałtownego i nienaturalnego końca?

– Oznacza gwałtowny i nienaturalny pochówek. Ale chodzi o to, co dzieje się z ludźmi, zanim umrą. Z tego, co obaj wiemy, mogła przedawkować, a jej koledzy od koki chcieli nadal korzystać z domu, więc zorganizowali kameralny pogrzeb. To narusza ogólnie przyjęte zasady, bez wątpienia, i zapewne fakt niezgłoszenia śmierci stanowi wykroczenie, ale tylko tyle.

– To brzmi jak jakieś pieprzone brednie, Jason. Wiecznie się tak wykręcacie. Zostaje znalezione ciało i co? Przyczyna śmierci „nieokreślona”. A te zwłoki w śmietniku na nabrzeżu, kiedy to było, w zeszłym roku? Też stwierdziliście „nieokreślona”. Korpus w pojemniku na śmieci i nikt nie mówi o zabójstwie. Bo to nie podnosi wskaźnika morderstw. Nie obwiniam ciebie, ale znam politykę...

– Nie. Tak było za poprzednich rządów. Peter właśnie tak robił cały czas, nie mówiąc już o malwersacjach, które opisywałeś. Swoją drogą, nieźle nawywijał. Bardzo chętnie nazwałbym to zabójstwem, gdybym miał dowody. W tym przypadku można powiedzieć, że autopsja nie przyniosła rozstrzygnięcia co do powodu śmierci, ale uznano ją za podejrzaną.

– Jak sądzisz, co się stało?

– Co się stało?

– Przedawkowała i jej kolega spanikował.

– Pisziesz o tym? Czy po prostu rozmawiamy sobie o dziewczynach?

– Chcę o tym napisać. Moi zwierzchnicy bynajmniej nie są zachwyceni. Nie będę cię cytował, jeśli o to pytasz. Szukam wskazówek.

Jason się skrzywił.

– Wyglądasz, jakbyś cierpiał na zaparcie, Jason. Posłuchaj, interesują mnie twoje nieodpowiedzialne spekulacje. Są lepsze od moich.

Jason rozparł się na krześle i skrzyżował ręce na piersi. Przez chwilę milczał, wykonując po ćwierć obrotu to w prawo, to w lewo.

– Nie sądzę. Nie sądzę, żeby przedawkowała. Jeśli interesują cię nieuzasadnione domysły, to uważam, że prawdopodobnie ktoś ją zgwałcił, zabił i ukrył ciało. Była młoda, piękna, wiadano o niej, że eksponuje się jako obiekt seksualny, i bez wątpienia wiadano, że bierze narkotyki. Jeśli ktoś taki zostaje pogrzebany w piwnicy opuszczonego domu w kiepskiej dzielnicy, instynkt mi podpowiada, że trafiła na jakiegoś popieprzonego Teda Bundy’ego. Ale nie mam pewności, a sekcja nie wykazała nic, co by mogło uchodzić za dowód.

– A gdybyś badał ciało dzień po tym, gdy ją tam pochowano?

– Włókna, siniaki, rany cięte, krwawienie... mielibyśmy wszystko. Ten, kto ją pochował, czy raczej upchnął pod stertą śmieci, mocno się postarał. Cóż, powinienem właściwie powiedzieć: pochował po raz pierwszy. Dzisiaj jest jej drugi pogrzeb.

Sully wstał. Pogrzeb... patos, symbole, odpowiednie wprowadzenie do artykułu. Potrzebował tego, żeby sprostać wymaganiom i naciskom ze strony R.J. Potrzebował czegoś, czego nie miał, czyli rodziny, emocji. Chcesz emocji, idź na pogrzeb.

– Dzisiaj? Pogrzeb jest dzisiaj?

– Firma pogrzebowa zabrała ciało zaraz, kiedy tylko skończyliśmy. Zresztą, według mnie to nie jest typowy pogrzeb, tylko złożenie szczątków do grobu.

– Przecież... znaleźli ją zaledwie wczoraj rano – wyraził zdziwienie Sully.

Jason wzruszył ramionami.

– My Żydzi nie czekamy długo z pochówkiem. Ona wprawdzie nie należy do plemienia, ale może rodzinie się śpieszyło.

– Rodzina. – Pomyślał, że będzie tam jej siostra, ta, która rozwiesiła plakaty, która do niego dzwoniła.

– Masz nazwę tej firmy pogrzebowej, Jason? Żeby nakarmić padliną medialne sępy?

Rozdział 17

Padał deszcz.

Jeszcze zanim Sully dotarł na cmentarz, zaczęła siąpić zimna, jakby niezdecydowana mżawka. Wilgoć spływała po szybie przyłbicy, ściekała mu z kasku na szyję, a potem po plecach. Czuł, jak opony zbierają wodę z asfaltu i ochlapują mu nogi.

Nim dojechał na Everlasting Cemetery – dobre sześć kilometrów za obwodnicą Beltway, na północnym krańcu przedmieścia, kawał drogi New Hampshire Avenue – deszcz przybrał na sile, zmieniając się w regularną ulewę, więc przemókł do suchej nitki i trząśł się z zimna. Cmentarz znajdował się po jego prawej stronie, na szczycie długiego, łagodnego wzgórza. Wrzucił pierwszy bieg i starając się poruszać jak najciszej, zajechał od tyłu. Od razu zobaczył to, czego szukał. Dwa samochody i karawan zbliżyły się do zielonej markizy, pod którą ział otwór grobu. Trumna, biała, stała na katafalku.

Z samochodu wysiadła kobieta w czarnej sukni i stylowym czarnym kapeluszu oraz dwóch mężczyzn w garniturach. Wszyscy trzymali w rękach parasole. Sully zjechał na pobocze i wyłączył silnik. Oparł stopy na podnóżkach, ręce na baku.

Kobieta i dwaj mężczyźni w garniturach weszli pod zieloną markizę. Poza nimi trojgiem nie było nikogo. Dopóki jeden z mężczyzn nie wyjął Biblii, nie otworzył jej i nie zaczął czytać, Sully nie zdawał sobie sprawy z tego, co widzi. Był tam pastor, był urzędnik cmentarny, była siostra Noel i nie było nikogo innego.

– Chryste – powiedział do siebie. Ceremonia prezentowała się zbyt smutno, by na nią patrzeć.

Przez chwilę wszyscy troje stali pod markizą. A potem kobieta i jeden z mężczyzn usiedli na plastikowych ogrodowych krzesłach ustawionych przez obsługę cmentarza. Drugi mężczyzna w garniturze, ten który nie usiadł, podszedł do katafalku i najwidoczniej coś przycisnął lub pociągnął. Trumna powoli zaczęła opadać w dół, aż zniknęła w czerwonej ziemi. Kobieta wrzuciła do grobu róże o długich łodygach. Pastor wstał i ujął obie jej ręce, zwrócony do niej twarzą. Modlili się przez kilka minut. Potem puścił jej ręce. Kobieta znów usiadła. Obaj mężczyźni pozostali w pozycji stojącej.

Po jakimś czasie kobieta się podniosła. Cała trójka wyszła spod markizy, rozłożyła parasole i ruszyła w stronę drogi, do samochodów.

Sully wziął głęboki oddech, zaklął i odpalił motor. Powoli zjechał ze wzgórza, aż znalazł się kilka metrów za ostatnim z pojazdów. Zatrzymał motocykl i zgasił silnik. Zsiadł, zdjął rękawice, potem kask, włożył je do kasku i zostawił na jezdni. Rozpiął kurtkę, przesunął dłonią po włosach, żeby je odgarnąć z twarzy, i ruszył przed siebie. Deszcz padał coraz mocniej. Nienawidził się za to, że tam jest, że narzuca się w taki sposób. Nawiązał kontakt wzrokowy najpierw z jednym z mężczyzn, skłoniwszy głowę w lekkim ukłonie, a potem spojrzał na kobietę w kapeluszu.

Nie ulegało wątpliwości, że to siostra Noel Pittman. Była wysoka i miała ten sam miodowy odcień skóry. Miała też wysokie kości policzkowe, prostowane włosy i głębokie brązowe oczy. Patrzyła na niego.

– Przepraszam wszystkich – zaczął, najpierw ogarniając wzrokiem całą trójkę, by po chwili znów skupić się na niej. – Proszę pani? Nazywam się Sully Carter. Jestem dziennikarzem. Próbowałem się skontaktować z siostrą Noel Pittman. Jeśli to pani, pani Bradford, to przepraszam, że zjawiam się tak znieczeka, ale wymieniliśmy już wiadomości telefonicznie.

Wszyscy troje stanęli, mężczyźni popatrzyli na Sully'ego i prawie natychmiast przenieśli spojrzenia na kobietę, która przyglądała mu się z nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Jeden z mężczyzn ruszył w jego stronę z groźną miną. Spoglądał Sully'emu w oczy, ale nagle wzrok jakby sam uciekł mu na błądźny, a twarz zmarszczyła się w nerwowym tiku.

Sully stał nieporuszony. Znow patrzył na kobietę.

– Ostatnio dzwoniłem pod numer z plakatu wywieszanego po zniknięciu Noel Pittman. Jakaś kobieta oddzwoniła do mojej gazety, panowało zamieszanie i zostawiła wiadomość innemu dziennikarzowi. Podała numer, więc zadzwoniłem, ale nikt nie odebrał. Nagrałem się. Jeśli to była pani, pani Bradford, to chciałbym...

Mężczyzna w granatowym garniturze stanął przed Sullym, w odległości mniej niż pół metra od jego nosa, zasłaniając mu widok na kobietę. Miał dobre trzydzieści kilo i pięć centymetrów przewagi nad Sullym.

– To prywatna ceremonia – odezwał się ściszym głosem. – Będzie pan musiał odejść.

– Brama cmentarza była otwarta, a ja nie mówię do pana – odpowiedział szeptem Sully, mierząc się z nim spojrzeniem. – Jeśli pani sobie nie życzy...

– Czego on chce, panie Robinson? – zawołała kobieta spod parasola.

Mężczyzna przekręcił głowę lekko w prawo, nie odrywając oczu od Sully'ego.

– Twierdzi, że jest dziennikarzem. I mówi, że do pani dzwonił.

Wciąż stała na cmentarnym trawniku, nie dotarła jeszcze do drogi. Obcasy zapadały jej się w rozmięklej ziemi. Popatrzyła na swoje stopy, potem na pastora, wreszcie na Sully'ego i pana Robinsona.

– To pan napisał ten artykuł w dzisiejszym numerze? – spytała. – O tym, jak została znaleziona? O seryjnym zabójcy i tak dalej?

– Nie wydaje mi się, że bym pisał... tak, proszę pani, napisałem większość tego materiału.

Pastor wziął ją pod rękę i pomógł jej wyjść na drogę. Deszcz jeszcze się wzmógł. Podeszła do Sully'ego, wciąż schowana pod parasolem, i spojrzała mu w oczy. Zauważył, że źrenice rozszerzają jej się lekko, z tęczywki zostaje jedynie cienka brązowa opaska wokół czerni i kiedy pomyślał o tym, jakie jej oczy wydają się głębokie, splunęła mu w twarz. Nie odezwał się, tylko zamrugął. Nie otarł twarzy. Spiorunowała go wzrokiem, stojąc tuż przed nim, a potem odwróciła się i ruszyła w stronę limuzyny.

Pan Robinson wyciągnął prawą rękę, wysunął dwa palce i z uśmiechem dwukrotnie dźgnął nimi Sully'ego w pierś. Twarz wykrzywił mu uśmieszek ni to groźby, ni pogardy. A potem odwrócił się i odszedł.

Rozdział 18

Światła się zmieniły, kilka samochodów pojechało prosto, a Sully skręcił w lewo na Princeton Place. Wahał się, czy nie stanąć w uliczce na tyłach sklepu Doyle'a, ostatecznie przejechał kilka domów dalej i zaparkował między dwoma samochodami. Zdjął z głowy kask i wrócił pieszo, ciężko stąpając po chodniku.

Wiedział, że powinien usłuchać rady Jasona i próbować znaleźć kogoś, kto potwierdzi, że Sarah poderżnięto gardło, kiedy już nie żyła, by w razie medialnej wrzawy nie ściągnąć na patologa kłopotów. To odkrycie rzucało nowe światło na sprawę zabójstwa i – przynajmniej w pojęciu Sully'ego – znacznie ograniczało prawdopodobieństwo, że trzech czarni chłopcy są sprawcami. Mogli dziewczynie poderżnąć gardło w chwili paniki, kierowani nienawiścią lub brutalnością, ale dokonanie tego po jej śmierci wydawało się czynem wykalkulowanym na chłodno, beznamiętnie.

Pochylił się do przodu i splunął na jezdnię, dochodząc do najbliższego rogu. Chris mógł sobie sam zbierać materiał. On, Sully, zamierzał się skupić na historii trzech zabójstw, a Lorena Bradford ze swoim pluciem niech idzie do diabła. Obraziła się, że jej siostra mogła paść ofiarą seryjnego mordercy? Nie podobało jej się to, co napisali o jej tańcu i nagich zdjęciach? Zdumiewało go, co ludzie w tym kraju uważają za obraźliwe, zawstydzające czy upokarzające.

Teraz musiał się dowiedzieć, co Doyle Goodwin widział tamtego wieczoru, kiedy Sarah została zamordowana... albo każdego innego wieczoru. Jeśli prawdziwy zabójca był wciąż na wolności – a zabójstwa się

ze sobą łączyły – prawdopodobnie bywał w jego sklepie lub w pobliżu i to zapewne często. Psychopaci w swoich działaniach kierowali się nawykiem, nie impulsem.

Otworzył prawą stronę podwójnych przeszklonych drzwi i odezwały się wiszące u góry blaszane dzwoneczki. Telewizor ryczał na pełny regulator, a kuzynka Doyle'a Bettie pobierała należność za chipsy i colę od jakiegoś nastolatka. Sully już prawie zapomniał, jaką była okropną babą, ze swoją fryzurą w kształcie ula z lat sześćdziesiątych, piskliwym głosem i upodobaniem do oper mydlanych oglądanych za ladą.

Żeby zabić czas, dopóki jedyny klient nie opuści sklepu, Sully przeszedł się między regałami, wziął torebkę cukierków M&M's i puszkę piwa imbirowego, postął chwilę przy stojaku z czasopismami, wreszcie, kiedy w sklepie zrobiło się pusto, przeszedł do lady; alejka między półkami była tak wąska, że musiał niemal ustawiać się bokiem.

– Dzień dobry, Bettie – zagadnął z uśmiechem. – Jestem Sully Carter, z gazety. Pamięta mnie pani z zeszłego roku? Miło znów panią widzieć.

Pulchna twarz zmarszczyła się na moment, Bettie spojrzała na niego przez szkła okularów.

– Cześć, złotko – odpowiedziała. – Ktoś cię wepchnął do basenu?

– Nie, proszę pani. Strasznie leje. Ulewa mnie złapała, kiedy jechałem na motorze.

– Lepiej jedź od razu do domu, weź gorący prysznic i zjedz porządną kolację.

– Tak też planuję, ale jadąc do domu Georgia Avenue, zobaczyłem, że znowu macie otwarte, i pomyślałem, że wstąpię do Doyle'a, by chwilę pogadać o tym, co się wydarzyło.

– Boże miłosierny, wiedziałeś, że tu byłem, gdy to się stało? Może jako ostatnia na tej ziemi rozmawiałam z tą dziewczyną?

– Właśnie...

– To było straszne. Straszne. I ci trzech czarni chłopcy, przez cały czas kręcili się po sklepie. Policja teraz twierdzi, że to oni zrobili i wszyscy tu wkoło myślą, że na nich doniosłam. Ale to nieprawda! Nic takiego nie mówiłam! Nawet nie wiem, jak się nazywają! Oni po prostu wybiegli głównym wejściem od frontu, tylko tyle powiedziałam policji, bo tylko tyle mi wiadomo. A teraz nikt nie chce przychodzić po zakupy, bo myślą, że wydaliśmy tych chłopaków!

Sully ułożył na ladzie wybrane przez siebie produkty wraz z banknotem dziesięciodolarowym; przybrał zatroskaną minę, dodatkowo kuląc ramiona dla odpowiedniego efektu.

– To okropne!

Bettie wydała resztę, ani na chwilę nie przestając mówić, wyraźnie ożywiona, z błyskiem w oku.

– Doyle jest na zapleczu, jeśli chcesz z nim rozmawiać, ale on ci nic nie powie, w ogóle. Jest zdenerwowany. Policjanci wpadli tu jak burza i trzymali nas na miejscu całą noc, zadawali pytania.

– Domyślałam się, że chcieli obejrzeć nagranie monitoringu z tamtego popołudnia – podsunął Sully. Opierając się o ladę, wskazał na małą przemysłową kamerę zawieszoną u sufitu za kasą.

Bettie nawet nie odwróciła głowy.

– Och, kochany, to nie działa od czasu, jak Jezus chodził w krótkich spodenkach. Fachowiec chciał górę pieniędzy za naprawę. Wysiadła drugi raz, więc Doyle się domyślił... Doyle, chodź tu, złotko! Ten chłopak z gazety znowu do nas przyszedł... więc Doyle się domyślił, że wykorzystują nas jako źródło stałego dochodu, pewnie potrzebowali na nowe wózki golfowe w tym swoim klubie.

– Więc po prostu zostawiliście kamery jako atrapy?

– Zgadza się. Dokładnie. Żeby drobne złodziejaszki i źli ludzie myśleli, że widzimy wszystko na taśmie. To chyba działa. Od lat nie mieliśmy

problemu gorszego niż drobne kradzieże, ludzie są przekonani, że to niebezpieczne, taki sklep w takiej okolicy, ale moim zdaniem, po prostu...

– Bettie.

Oboje odwrócili głowy na dźwięk barytonu dobiegającego od strony zaplecza. Doyle Goodwin stał przy wahadłowych metalowych drzwiach, ubrany w spodnie khaki i wykrochmaloną koszulę, z rękawami starannie podwiniętymi do łokci. Miał pociągłą, ogorzałą twarz, szpakowate włosy krótko przycięte i zaczesane na bok; wyglądał jak marynarz, którym kiedyś był w istocie. Jakiego stopnia się dosłużył? Czegoś odpowiedniego dla sklepikarza?

Zdjął okulary i przecierał szkła specjalną ściereczką.

– Cześć, Sully – powiedział cicho. – Domyślam się, że Bettie zdaje ci sprawozdanie z naszej przygody.

Sully skłonił się Bettie i podszedł do Doyle'a, wyciągając rękę na powitanie. Zapomniał, że właściciel sklepu ma nie więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu. Jednak jego pierś i ramiona rozpychały koszulę, świadczyły o regularnych ćwiczeniach na siłowni, o wojskowej dyscyplinie.

– Owszem – potwierdził Sully. – Naprawdę mi przykro z powodu tego wszystkiego. Kiedy tylko zobaczyłem, gdzie to się stało, ten sklep, od razu sobie przypomniałem, że u was byłem i z tobą rozmawiałem.

– Doceniam to, Sully. Naprawdę. To było okropne. Okropne dla tej rodziny, dla tej dziewczynki.

– Masz coś przeciwko, żebym cię spytał o parę rzeczy w związku z tą sprawą?

Doyle po momencie zastanowienia wskazał ruchem głowy na zaplecze.

– Wejźmy.

Pchnął drzwi i wszedł do magazynu. Sully podążył za nim, mijając tabliczkę „Tylko dla personelu”. Górne światła były wyłączone. Po obu stronach ciągnęły się drewniane półki, zastawione od podłogi po sufit

puszkowanym jedzeniem, zgrzewkami napojów gazowanych, papierowych ręczników, jednorazowych talerzy i papieru toaletowego. Za półkami po prawej stronie mieściła się wąska toaleta, paliło się w niej światło. Kantorek właściciela sklepu znajdował się na końcu, oznaczony małą tabliczką z napisem „Biuro”.

Doyle otworzył drzwi, wszedł do środka i usiadł za starym, metalowym biurkiem, które wyglądało, jakby ważyło tonę. Na blacie stał komputer starego typu, a na nim monitor. Były tam też rozmaite papiery, coś, co przypominało rozsypane paragony, sterta cienkich czarnych ksiąg rachunkowych, pudełka z próbkami reklamowymi, zawierające pojedyncze małe opakowania makaronu, puszki zupy albo paczki gum do żucia.

Sully usiadł na żółto-brązowym krześle, tuż przy biurku.

– Zmokłeś – zauważył Doyle.

– Złapała mnie ulewa, kiedy jechałem na Everlasting Cemetery w Colesville, czy jak tam zwą to cholerne miejsce. – Sully ściągnął z siebie kurtkę. – Wybrałem się tam na pogrzeb Noel Pittman.

Doyle poprawił się na krześle, dotknął papierów na biurku. Ledwie zauważalnie pokręcił głową.

– Dobry Boże, chyba wciąż jesteśmy w lekkim szoku. Pracuję tu od trzynastu lat i dotąd nic takiego się nie działo, a teraz? Zdarzyło się, że którejś nocy pijak wyciągnął w sklepie broń, ale był po prostu pijany. A teraz... te dwa zdarzenia w ciągu zaledwie paru dni.

– Bettie mówiła, że prawie nie ma ruchu, odkąd znów otwarliście.

– Powiedziałbym, że jest o jakieś pięćdziesiąt, sześćdziesiąt procent mniejszy. Coś okropnego.

Sully milczał przez chwilę. To był zawsze najtrudniejszy moment takich wywiadów. Próbował nadawać im pozory zwykłej rozmowy, podczas gdy naprawdę wyciągał informacje, tak jakby wrywał ząb. Sztuka polegała na tym, by utrzymać rozmówców w nieświadomości, że robi to, co robi.

– Rozumiem, że tamtego dnia nie widziałeś Sarah Reese?

– Chwileczkę. Rozmawiamy, bo chcesz wydrukować to, co powiem, w swojej gazecie? Muszę ci powiedzieć, że nie mam ochoty spędzić kolejnej nocy na komisariacie, odpowiadać detektywom sto razy na te same pytania i oglądać zdjęć do trzeciej nad ranem. Ten jeden raz pożałowałem, że sprowadziłem tu Bettie.

– Dlaczego?

– No cóż, jest moją ciotką, jak wiesz. U siebie straciła pracę w domu opieki... pochodzimy spod Newport News... musiało minąć od tego czasu już z pięć lat. Paru kuzynów dzwoniło do mnie i namawiało, żebym ją zatrudnił. Jest w porządku... kiedy się już człowiek przyzwyczai do tych jej oper mydlanych, ale na komisariacie urządziła istny cyrk. Wrzeszczała, klęła i płakała na przemian.

– Wyobrażam sobie, że była nieźle przerażona.

– Myśli, że ci chłopcy ze sklepu, albo ich koledzy, przyjdą i podziurawią nas kulami.

– To nie jest takie całkiem niedorzeczne.

– Nie, ale... – Ściągnął okulary i potarł dłonią grzbiet nosa. Sully zauważył, że ma lekko podkrążone oczy, co znaczyło, że nie sypiał zbyt dobrze. – Ale obowiązują jakieś zasady postępowania. Nie powinno się... Mniejsza z tym. Nie przyszedłeś tu słuchać o rodzinnych problemach. Czego oczekujesz?

– Chciałem usłyszeć trochę więcej o tym, co się stało. I dowiedzieć się trochę więcej o Noel Pittman... jeśli coś wiesz. Tak naprawdę to o niej piszę.

– Pittman? Myślałem, że o Sarah Reese?

– Właściwie o obu. I jeszcze o Lanie Escobar, tej młodej kobiecie, zamordowanej na boisku do baseballu zeszłego lata.

Doyle nie wyglądał na zadowolonego.

– No tak, właśnie przez to, co napisałeś, wszyscy są wkurzeni. Posłuchaj. Ledwie sobie radzimy, a to, co robisz, jest dla nas niedobre, jest niedobre

dla całej okolicy. Nie mogę pozwolić, żeby znów było w gazecie o moim sklepie. Bettie mogłaby przez to stracić resztki rozumu.

– Nie wykorzystam tego, co powiesz. Potrzebuję informacji tylko na własny użytek, żebym mógł lepiej zrozumieć, co się dzieje.

– Niewiele ci to pomoże. Wiesz już, że Bettie jako ostatnia widziała tę małą Reese żywą... poza tym, kto ją zabił, oczywiście. Dziewczyna wystraszyła się tych trzech czarnych wyrostków. Wybiegła tylnym wyjściem, tak twierdzi Betty. Nie wiedzieliśmy o niczym aż do momentu, gdy... bo ja wiem, jakieś pół godziny później przyjechała policja.

– Sarah przeszła tu koło ciebie? Obok biura?

– Żeby się dostać do tylnego wyjścia, musiała pokonać tę samą trasę, co my przed chwilą. – Znów włożył okulary. – Ale nie mogę ci powiedzieć na pewno. Byłem w domu. Otwieram sklep rano, a potem przychodzi Bettie i jest tu od dziesiątej do mniej więcej siódmej, potem znów ja przychodzę i pracuję do zamknięcia. Po południu idę do domu na przerwę, coś w rodzaju sjesty, żeby wypić zimne piwo. Byłem w domu... mieszkam niedaleko, dwie przecznice stąd, kiedy usłyszałem syreny. Przeszedłem do pierwszej przecznicy. Na wzniesieniu, tam przy Warder, zobaczyłem, że radiowozy stoją przed moim sklepem. Resztę drogi przebiegłem.

– W ogóle nie znałeś Sarah Reese?

– Nigdy jej nie widziałem, dopóki mi nie pokazali jej zdjęcia na komisariacie.

– A Noel Pittman?

Pokręcił głową.

– Czytałem twój artykuł, napisałeś, że mieszkała na tej ulicy, pomiędzy moim domem a sklepem. Ale zupełnie jej nie pamiętam.

– Lana Escobar?

– Chodzi ci o tę prostytutkę? Możliwe, że jeśli pracowała na Georgia Avenue przychodziła tu się wysikać albo ogrzać na chwilę zimą. Pozwalam

na to tym dziewczynom. Koszt prowadzenia interesu. Ale o niej nic nie wiem.

– Uhm. Czyli dzień, kiedy zginęła Sarah Reese, nie wyróżniał się niczym szczególnym?

– Nie, dopóki policja tu nie wpadła. Potem się zrobiło dość szczególnie.

– Jacyś wyglądający groźnie mężczyźni, albo może nie tyle groźni, ile tacy, którzy często się tu kręcą?

– Groźnymi bym ich nie nazwał. Typowi dla tej okolicy, sam wiesz. Dlaczego pytasz?

– Przyszło mi do głowy, że może ci trzech nie zabili Sarah, może zabójstwa są ze sobą powiązane, tak jak sugerowałem w artykule. Ale może za bardzo naciskam. Nie wiem, czy widziałaś...

– Niewiele mogę do tego dodać. Pracujemy tu codziennie i nie widzieliśmy, żeby ktoś obserwował sklep czy zachowywał się jakoś podejrzanie.

– Mógłbyś mi pokazać uliczkę na tyłach? Nie wiem dokładnie, gdzie dziewczynę znaleźli.

Doyle popatrzył na niego i Sully dostrzegł pewne zniecierpliwienie.

– Nie, przykro mi. Sam możesz sobie obejrzeć. Wychodzę tam, żeby wyrzucić śmieci, wychodzę też tymi drzwiami w środku dnia, idąc do domu. Wisi tabliczka, że włączy się alarm, ale tylko po to, żeby odstraszyć sklepowych złodziei. To wszystko, co wiem o tej uliczce. Mogę ci jeszcze powiedzieć, że policja ustawiła tam nowy pojemnik na śmieci. Ten stary zabrali.

– To chyba zrozumiałe. – Sully wstał. Ta rozmowa prowadziła donikąd.

Doyle również się podniósł. Przejechał dłonią po włosach, a potem oparł ręce na biodrach.

– Posłuchaj, Sully, nie chcę być niemiły. Prowadzę interes, nie szukam kłopotów i nie chcę zadzierać z radą miasta czy tutejszym dzielnicowym. Sponsoruję dziecięcą drużynę koszykówki z miejskiej ligi rekreacyjnej. Nie

ścigam sprawców kradzieży sklepowych. Sporo tracę, ale tego nie robię. Po części dlatego... że prowadzę tu interes. Sam wiesz... Bettie i ja jesteśmy białymi świadkami w sprawie o zamordowanie białej dziewczynki przez czarnych nastolatków. To nie my jesteśmy tu górami.

– Rozumiem.

– Okej, to możesz mi powiedzieć, co o wszystkim sądzi policja? Myślisz, że koledzy, towarzysze... czy jak ich tam zwać, tych trzech, dobiorą się do nas?

– Nie, ale słusznie zachowujecie czujność. Założę się, że w tej sprawie policja musi mieć DNA i inne rzeczy, skoro tak szybko dokonali aresztowania. Założę się, że ci trzej mają na głowie większe problemy niż przejmowanie się Bettie.

Doyle pokiwał głową. Jego uśmiech nie pozostawiał wątpliwości – przynajmniej dla Sully'ego – że nie wierzy w ani jedno słowo. Sully pomyślał, że właściciel sklepu jest zupełnie rozbity, jego stan jakby nie pasował do osoby mającej za sobą służbę wojskową, gdzie człowiek posiada broń i ma prawo jej użyć. Cywilne życie rządziło się jednak innymi prawami.

Na zewnątrz deszcz już prawie ustał. Sully zadzwonił do Johna Parkera; zastał go przy biurku.

– Trzy razy próbowałem się skontaktować z Jensenem. Nie oddzwania – poskarżył się do telefonu, oparty o motor.

– Domyślałem się, ale nie mogę mu nakazać, żeby do ciebie dzwonił.

– No tak, jasne... jasne... w takim razie podejźmy do tego w inny sposób – powiedział Sully. – Potrzebuję obejrzeć zdjęcia klientów aresztowanych w czwartym dystrykcie. Tylko recydywistów. W ich kartotekach będą nazwiska dziewczyn, z którymi się zadawali, zgadza się?

– Nie jestem pewien, czy...

– To ogólnodostępna kartoteka, John. Wiesz o tym.

Pauza.

– Chcesz sprawdzić, czy ktoś został przyłapany z Escobar i może Pittman. Tylko że Pittman nie pracowała na ulicy. Akta Escobar już przeglądaliśmy, kiedy została zabita. Nie tkwiła w branży aż tak długo, nie miała żadnych stałych zleceń. Gdyby coś takiego było, poszlibyśmy tym tropem.

– Ale teraz jest więcej powodów, żeby dokonać weryfikacji. Sprawa ma szerszy zasięg. Może człowiek, który zabił Pittman, myślał, że ona jest prostytutką. Może bywalec Halo pojechał za nią, kiedy wracała do domu. Może w kartotece klientów figuruje ktoś, kto był osobno notowany za użycie noża.

– Sięgasz po omacku. Znowu ten pomysł, że aresztowaliśmy niewłaściwych ludzi w sprawie Sarah Reese.

– Escobar została uduszona. Reese podcięto gardło. O Pittman nic nie wiadomo. Chodzi o kogoś, kto się posługuje rękami. Warto się temu przyjrzeć, przynajmniej ja chętnie poświęcę na to czas.

– To twój czas, ale go marnujesz. Posadzę cię w pokoju z kartoteką, w komputerze. Możesz sobie oglądać tych kutasów, dopóki nie skończę służby. Jak szybko możesz przyjechać?

– Daj mi dziesięć minut.

– Wejdz od tyłu.

Rozłączył się i kiedy zakładał kask, zauważył na ulicy jakiś samochód, stał niedaleko, przy krawężniku z włączonym silnikiem i zgaszonymi światłami. Nie spojrział w tamtą stronę wprost, ale odjeżdżając, zerknął w lusterko. To nie był oldsmobile, tylko ciężki sedan, czterodrzwiowy; na przednim siedzeniu majaczyły dwie sylwetki. Sully wypadł na Georgia Avenue, dojechał do następnej przecznicy, a potem wrócił przez Otis i Warder na Princeton, okrążając kwartał.

Kiedy dotarł na miejsce, z którego wyruszył, samochodu już nie było.

James Jasper. William Darden. Darrell Turner. Andre Green... Imiona, nazwiska i budzące politowanie zdjęcia ich właścicieli przelatywały przez ekran. Klienci stanowili żałosne towarzystwo, nawet jeśli starali się dobrze wypaść przed obiektywem, ale tworzyli podstawę całego procederu. Brali dziewczyny z ulicy, za dziesięć dolarów, za trzydzieści albo po prostu za działkę koki, chędożyli je w opuszczonych domach albo kazali sobie robić laskę na przednim siedzeniu samochodu zaparkowanego w którejś z bocznych uliczek.

Sully zapisał nazwiska i szczegóły dotyczące Turnera i Greena. Obaj byli młodzi, wysocy i mocno zbudowani, mogliby z łatwością udusić kobietę, gdyby zechcieli, mieli kryminalną przeszłość i obaj mieszkali kilka przecznic od Princeton Place. W momencie ostatniego kontaktu z policją żaden z nich nie pracował.

Jasper, żylasty biały mężczyzna, jak się okazało od dawna kochający metedrynę, także mógł być brany pod uwagę. Mieszkał w bloku przy North Capitol, jednakże ani zdjęcie, ani zapis w kartotece nie sugerowały skłonności do przemocy.

Sully'emu podobała się kandydatura Dardena, ten lubił młode dziewczyny, co mogło go przyciągnąć do Sarah i pchnąć do gwałtu, który zakończył się katastrofą, zanim zdążył jej ściągnąć majtki. Sully uniósł brwi – Darden był wcześniej aresztowany między innymi za napaść z niebezpiecznym narzędziem, rzeźnickim nożem, zabrał go z kuchni swojej dziewczyny.

John wszedł do pokoju dziesięć minut przed północą. Poza nimi dwoma w komisariacie nie było już nikogo.

– Wychodzę, co znaczy, że ty też musisz już iść. Widziałeś coś, o czym powinienem wiedzieć? Co moi najlepsi ludzie przegapili?

Sully pokazał mu zaznaczone przez siebie karty; John wydrukował je w dwóch egzemplarzach i jedną kopię dał Sully'emu. Przyjrzał się nazwiskom.

– Tymi się akurat nie martwię. Darden, pamiętam tego dupka. Zapuszkowałem go, kiedy to było... jakieś piętnaście lat temu? Sprął wtedy swoją kobietę do nieprzytomności. Pracowałem w czwartym dystrykcie. Będziesz się z nim widział? Powiedz mu, że jakby co, to bez problemu wsadzę jego dupę z powrotem za kratki.

Rozdział 19

Leżał na swoim łóżku w ciemności, bezsennie, wciąż nakręcony; myśli kłębiły mu się w głowie, zataczały pętle. Zielone cyfry na wyświetlaczu budzika pokazywały, że jest 2.23 w nocy. Dusty wreszcie odebrała telefon.

– Dopiero teraz zamknęłaś? – spytał domyślnie.

– Tak.

– Chcesz, żebym po ciebie przyjechał?

– Do Baltimore?

– Przyjadę. Zawsze lubiłem jeździć późną nocą.

– Jest już bliżej rana.

– Och, nie bawmy się w detale.

– Chyba nie.

Miał na sobie tylko spodenki do koszykówki, przez otwarte okno wpadał do pokoju październikowy chłód, miękkie pomarańczowe światło halogenowych lamp z ulicy sączyło się przez drzewa, rzucało cienie, które ruszały się i przesuwały niczym duchy w ciemności. Podbijał piłkę tenisową i łapał ją, przytrzymując telefon przy uchu uniesionym barkiem.

– Wiesz, że chciałbym cię zobaczyć.

– Nie tylko w nocy, w łóżku?

– Hej, daj spokój. Tak. Jasne. W dzień zjemy późny lunch i będziemy się kochać. Zrobię sobie wagary.

– Już to przerabialiśmy. Wystawiłeś mnie.

– Ten jeden raz, kiedy miałaś dla mnie czas.

– Dwa razy i nie próbuj przerzucać winy na mnie. Już od roku próbujemy coś z tym zrobić. Wygląda tak, że ja jestem na każde twoje zawołanie, a ty na moje wtedy, kiedy masz ochotę. Nadia. Tak było z Nadią?

Złapał piłkę i przytrzymał.

– Zawsze jest nie fair, kiedy ktoś wypowie jej imię.

Wziął głęboki oddech.

– Okej, posłuchaj, może...

Usłyszał też głębokie westchnienie po drugiej stronie linii.

– Okej, posłuchaj. Posłuchaj. Przykro mi. Nasze rozkłady jazdy nie bardzo do siebie pasują. Ty robisz swoje, ja swoje. Pracujesz w nieregularnych godzinach, a ja mam bar i szkołę pielęgniarstwa. Nie jest łatwo. – To miały być przeprosiny, ale Dusty mówiła tym szczególnym tonem, jak zawsze gdy była zmęczona albo w złym humorze, albo zła.

– Wyraziłem tylko pragnienie. – Piłka znów wyleciała w górę. – Powiedziałem, że chciałbym cię zobaczyć. Co w tym złego?

Chwila milczenia. Szła, słyszał odgłos kroków.

– Idziesz do swojego samochodu? – spytał.

– Do mieszkania.

– Szybko dojechałaś do domu.

– Owszem.

– Meczący wieczór?

– Do tego rano wcześniej zaczynam. Mam zajęcia o wpół do dziesiątej.

– Więc...

– Zadzwoń do ciebie jutro po południu. Może będę w lepszym nastroju. To miejsce, gdzie pracuję... To nie jest knajpka dla turystów zwiedzających port. Parszywa speluna. Przy moich klientach John Waters wygląda jak harcerzyk.

– Nie mogłabyś się zatrudnić tu w mieście na pełny etat?

– Przecież właśnie o tym mówię. „Nie mogłabyś”... Jakby to ode mnie zależało. Mam jeszcze rok studiów tutaj, zanim otrzymam dyplom.

- Wiem, ja tylko...
- Jest późno, Sully. Naprawdę.
- Okej, okej. Możemy...

Rozłączyła się.

Popatrzył na telefon i odłożył go na łóżko. Piłka znów wyleciała w górę, opadła w dół. Wyżej i w dół. Chwycił ją otwartą dłonią, kończąc rundę rzutów. Pomagało mu to ogarnąć przeciwny punkt widzenia. Rzeczywiście, mieli napięte programy. I może... on, ten starszy (o siedem lat? osiem?), z ustabilizowaną karierą zawodową, zachowywał się jak drań, a ona była cierpliwą, kochającą partnerką. Możliwe. Mogło tak być. Wiedział jednak, że pragnie trzymać ją przy sobie tak mocno, jak tę piłkę tenisową, żeby była bezpieczna i silna. Naprawdę tego pragnął. Tylko ta przepaść... Luka. Związek, taki prawdziwy, był jak zamknięcie bez klucza. Po raz pierwszy poczuł, że wymyka mu się przez palce, jak woda, jak krew... i przyszło mu do głowy, że Dusty musiała to czuć już od dłuższego czasu.

Zielone cyfry na zegarze wskazywały teraz 2.31. Nie zapowiadało się, by w ogóle miał zasnąć. Pozostały jakieś cztery godziny z okładem do świtu.

Piłka w górę, piłka w dół.

Rozdział 20

Poranny koktajl miętowy stał na schodach od podwórza, przygotowany dla poprawy samopoczucia, żeby uśmierzyć ból głowy spowodowany niedostatkim snu, pobudzić umysł, pomóc zaplanować działania na ten dzień. R.J. mówił o trzech dniach i właśnie trwał albo drugi, według rachuby Sully'ego, albo trzeci, jeśli liczyć pół tamtego, kiedy R.J. wyznaczał mu ostateczny termin. Należało się spodziewać, że cholerny redaktor uzna, że to dzień trzeci.

Wystukał na komórce numer biura Evy i zamknął oczy, kiedy rozległ się sygnał.

- Pan Sully. – Głos miała łagodny.
- Sprawdzamy rozmówcę?
- Mamy co robić.
- Robicie dość, by wiedzieć, że ci durnie nie zabili Sarah Reese?
- Masz podstawy, żeby tak mówić? – odezwała się po chwili milczenia.
- Jezu. Wszyscy święci. Jasne.
- Powiedziałabym, że zarzuty są bardzo mocne. Istnieją twarde dowody na mataczenie, posiadanie skradzionego przedmiotu i kradzież.
- Nie usłyszałem na początku „morderstwa”.
- Sprawa jest rozwojowa.
- Ale na wstępnym przesłuchaniu mówiono o morderstwie pierwszego stopnia.
- Owszem, zgadza się.

Zawahał się. Przyszło mu do głowy, by powiedzieć o pośmiertnym podejrzeniu gardła, pokazałby jej, że coś ma, ale się powstrzymał. Zamiast tego rzekł:

– Zatem sytuacja wygląda tak, że nie znaleźliście narzędzia i żaden z nich się nie przyznaje.

– Nie potwierdzę i nie zaprzeczę. Dopilnuję, żeby zostali oskarżeni o morderstwo i żeby wszystko przebiegało, jak trzeba.

Była w swoim biurze i zachowywała się tak, że nie mógł jej rozszyfrować. Pociągnął łyk koktajlu.

– Okej, wzięłaś pod uwagę chronologię wydarzeń? I motyw?

– Chcesz, żebym ci podała psychologiczną ocenę ludzi, którzy zabijają innych ludzi? Nie wiem. I tak naprawdę nie muszę wiedzieć. Posyłałam ludzi do więzienia na wieki wieków, nie mając, pojęcia dlaczego zrobili to, co zrobili. Powiedziałabym jednak, że okazja bywa potężnym motywatorem. Podobnie jak – nie chcę być niedelikatna – seks lub możliwość, że do niego dojdzie.

– Na uliczce za sklepem?

– Nie wymieniłam głupoty?

– Wszystko to może dotyczyć przestępstw, gdzie doszło do wykorzystania sposobności, ale nie morderstwa.

Po drugiej stronie linii rozległo się wyraźne sapnięcie.

– Wydaje ci się, że coś wiesz, Sully?

– Nie. Ja tylko...

Usłyszał głos wołający go po imieniu.

Nad ceglany murkiem wokół podwórka ukazała się głowa i górna część torsu Sully'ego Hastingsa. Miał na sobie białą koszulę i okulary przeciwsłoneczne. Zdjął je, spojrzał na Sully'ego, po czym chwycił za kłamek metalowej furтки. Sully pokiwał uniesionym palcem, dając mu znak, by się nie zbliżał.

– Po prostu na twoim miejscu wykonałbym jak zwykle dobrą robotę. Zachowaj czujność w tej sprawie. Dzięki, że poświęciłaś mi czas.

– Gdybyś coś usłyszała...

– Zadzwoń do ciebie. – Zakończył połączenie.

– Dobijałem się od frontu, bracie. – Sły otworzył furtkę. – Musisz być bardziej towarzyski, bo ludzie mogą odnieść błędne wrażenie. Chodź. Mamy robotę.

Sully zajął miejsce na tylnym siedzeniu chevroleta camaro, a Sły usiadł obok Lionela, który prowadził. Jechali North Capitol Street do części miasta, gdzie zabito Sarah; Sły, znów w ciemnych okularach, raz po raz odwracał się na fotelu, zwracając się do Sully'ego.

– Jeździliśmy z Lionelem trochę po mieście przez ostatnie kilka dni – mówił. – Podpytywaliśmy ludzi, tu i tam, na wypadek, gdyby wiedzieli coś pożytecznego.

– Pożytecznego? Powiedziałaś „pożytecznego”?

– Owszem, geniuszu. Pożytecznego. Jeśli chcesz się mnie czepiać, to spadaj. Zobaczymy, czy daleko zajdziesz. Zasięgamy języka, szukając czegoś pożytecznego. Gadałem z jednym gościem na Columbia Road, z bloku nr 500. Zaczął mi opowiadać, że jego siostrzenicy już nie ma. Siostrzenicy? To była jego siostrzenica, Lionel?

– Siostrzenica. Jego byłej żony.

Sully popatrzył na Sły'a, a potem na Lionela.

– Jakiś gość nie może znaleźć siostrzenicy swojej byłej żony? I to jest ta pożyteczna wiadomość?

– Powiedziałem, że jej już nie ma. Nie mówiłem, że nie mogą jej znaleźć. Mogą ją odszukać bardzo prosto. Leży na cmentarzu Lincoln Memorial. Nazywała się Escobar. Lana Escobar.

Odwrócił się na fotelu całym tułowiem i zdjął okulary.

– I jak, chcesz z nim pogadać?

Sully wszedł po schodach do wąskiego, szeregowego domu, za Sly'em, przed Lionelem. W pokoju tuż przy wejściu była grupa ludzi, Latynosów. Sully kiwnął głową, starając się nawiązać kontakt wzrokowy. Nie udało mu się. Przeszli holem dalej, do niewielkiej kuchni, niechlujnej, z pootwieranymi szafkami. Przy składanym stoliku siedział wąsaty mężczyzna o beczkowatej piersi. Miał na sobie robocze spodnie i wielki biały podkoszulek. Na stole przed nim stał kubek z kawą. Opierając się łokciami na blacie, mężczyzna spoglądał to na Sly'a, to na Sully'ego. Sully nie potrafił rozstrzygnąć, czy to znaczy, że był przyzwyczajony do obcych, gdy pojawiali się z nienacka w jego kuchni, czy też Sly uprzedził go o wizycie.

Sly przez chwilę szeptał coś gospodarzowi do ucha, po czym mężczyzna gestem zachęcił Sully'ego, by usiadł na zielonym krześle po drugiej stronie stołu, co też Sully uczynił.

– *No hablo español* – powiedział Sully, wywołując u swego rozmówcy uśmiech. – W każdym razie niewiele.

Mężczyzna przyglądał mu się brązowymi oczami. Przypominał Sully'emu Gabriela Garcíę Márqueza, wypukłym brzuchem, szpakowatymi brwiami i wąsami, tym nieruchomym spojrzeniem.

– W porządku – odezwał się wreszcie. Jego wysoki głos nie pasował do fizjonomii, jak u Aarona Neville'a, posiadającego anielski głos i ciało barowego wykidajły. – Mieszkam w Waszyngtonie piętnaście lat. Całkiem dobrze mówię po angielsku.

– Jestem Sully. – Wyciągnął dłoń ponad stolikiem.

– Hector Ramos.

– Jestem dziennikarzem.

– A ja koszę trawniki.

– Pozwoli pan, że o coś zapytam – zaczął Sully. – Dla mnie osobiście nie ma to żadnego znaczenia, ale czy jest pan tu legalnie?

Mężczyzna zaprzeczył ruchem głowy.

- Więc nie chce pan, żebym go cytował w mojej gazecie, zgadza się?
- Za nic. Od razu by mnie deportowali.

Sully popatrzył na Sly'a.

- Hector, opowiedz temu człowiekowi o swojej siostrzenicy. Nie musi znać twojego nazwiska. Powiedz mu to, co mnie mówiłeś.

Hector spojrział na Sully'ego.

- Chce pan, żebym opowiedział o Lanie?

Sully przytaknął skinieniem i wyjął notatnik.

- Ale niech pan posłucha, jeśli o tym napiszę... *si*, jeśli napiszę, to nie wymienię pańskiego nazwiska. Napiszę, że jest pan krewnym, który przebywa w tym kraju nielegalnie. Wykorzystam to, co pan mi powie, ale bez nazwiska. Może tak być? Jest jeszcze ktoś z rodziny, kto mógłby mówić, ujawniając swoje nazwisko?

Hector pokręcił głową.

- Tylko ja. A co do tego drugiego, to okej. Tylko bez nazwiska.

– *Sin nombre*.

Hector prawie niezauważalnie skinął głową.

- Dziękuję panu – powiedział Sully. – Co może mi pan powiedzieć o Lanie? Niewiele o niej wiem. Napisałem krótki tekst, kiedy ją znaleziono, to wszystko.

Rysy Hectora stężały, jakby napiął wszystkie mięśnie w twarzy.

- Okej, Lana nie spotykała się z mężczyznami za pieniądze, jak pan to napisał w swojej gazecie. – Uniósł rękę, zanim Sully zdążył cokolwiek odpowiedzieć. – Policja tak twierdziła i pan tak napisał. Mówili też w telewizji. Cóż, może jej się zdarzyło raz czy drugi... nie mogę powiedzieć na pewno, bo mnie przy tym nie było. Skąd mam wiedzieć? Ona też przebywała tu nielegalnie, ale chodziła do college'u, na jakieś kursy, które wyszukiwały z jej ciotką. Ona była wtedy moją żoną, wie pan? Jej ciotka. Potem się rozwiedliśmy i jej ciotka wróciła do domu, do Gwatemali. Lana została tutaj. Całkiem dobrze się dogadywaliśmy.

Planowała mi pomagać w mojej pracy. Miała odbierać telefony i rozmawiać z klientami. Bardzo dobrze знаła angielski. Jakby się tu urodziła.

– A nie urodziła się tutaj?

– Nie. Wszyscy pochodzimy z Gwatemali. Z miasta Chimaltenango. Tam poznałem moją byłą żonę i Lanę. Moja była żona ją tu przywiozła na prośbę siostry.

– Jak pan poznał swoją byłą żonę? Ciotkę Lany?

– Jej kuzynka przyjaźniła się z moją kuzynką.

– Lana miała chłopaka?

Hector gwałtownie zamrugał.

– Nie bardzo sobie radziła, jeśli chodzi o mężczyzn. Dla jednego z nich robiła sobie zdjęcia.

– Zdjęcia.

– Bez ubrania.

– Aha – mruknął Sully. – Nago? Całkiem bez ubrania?

– W samych butach.

– W butach.

– Tak. Na tych, które widziałem, miała na sobie tylko buty.

– Nie podobało się to panu?

Mężczyzna zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie, wcale. To nie pasuje do mojej rodziny. Chodzimy do kościoła. Pracujemy. Nie mamy nic wspólnego z narkotykami i... i takimi rzeczami. To paskudna sprawa.

– Kto robił zdjęcia?

– Nie wiem. Nigdy go nie spotkałem, a Lana się nie przyznała.

– Jak te zdjęcia trafiły do pana rąk?

– Zostawiła je w swoim pokoju. Na łóżku. Mieszkaliśmy wtedy kilka przecznic stąd. W dużej grupie. Lana miała swój pokój. Dzwonił jej telefon, więc wszedłem, żeby odebrać. Zdjęcia leżały na łóżku.

– Ukazały się w jakimś czasopiśmie? Wie pan, w którymś z tych, co zamieszczają fotografie nagich kobiet.

– Nie wiem. Skąd miałbym wiedzieć? Nie oglądam takich rzeczy. Nigdy bym nie oglądał, wiedząc, że jest tam Lana. Bardzo się wstydziłem za nią.

– I był pan zły.

Kiwnął głową.

– To było tuż przed jej śmiercią. Może jakieś cztery albo pięć miesięcy. W lutym. Wyszła z domu i więcej jej nie widziałem. W czerwcu okazało się, że nie żyje.

– Wyszła czy pan ją wyrzucił?

Hector uniósł barki, a potem opuścił, wbijając wzrok w blat stołu.

– Po części jedno i drugie, wie pan, co mam na myśli? Powiedziała, że jestem obleśny, bo oglądałem te zdjęcia. A ja na to, że jest zepsutą dziewczyną, bo je zrobiła. – Wzruszył ramionami. – Powiedziała, że się wyprowadza, a ja nie miałem nic przeciwko. Znalazła sobie jakieś małe mieszkanie kilka przecznic stąd, przy Thirteenth Street. Zabrała tam wszystkie swoje rzeczy. Nie dzwoniła do nas. Moja żona... moja nowa żona, nie ta stara... czasem do niej dzwoniła i rozmawiały. Ja do niej nie dzwoniłem.

– Kiedy pan się dowiedział, że została zamordowana?

– Dopiero tydzień po tym, kiedy ją zabili. Moja żona Sandra poszła złożyć zawiadomienie o zaginięciu. Martwiła się o nią. Lubiła Lanę. Myślała, że ona jest po prostu wściekła i wstydzi się tych zdjęć. I że za parę miesięcy wszystko wróci do normy, rozumie pan? Nie miała od niej wiadomości przez tydzień, potem drugi. Przechodziła koło jej mieszkania...

– Przepraszam, że panu przerywam, ale pamięta pan dokładny adres?

– To była Thirteenth Street, 3508. Tak, na końcu 08. Mieszkanie 36-A.

– W porządku. Zatem pańska żona tam poszła?

– Tak, i zobaczyła, że wejście jest zagrodzone policyjną taśmą, ale pomyślała tylko, że może Lana nie zapłaciła czynszu i ją wyeksmitowano.

Poszła na komisariat. Wypełniła formularz o zaginięciu. I wtedy oni jej powiedzieli: „Ale ta kobieta nie żyje”.

– Przecież miała przy sobie dokumenty, kiedy ją znaleziono, prawda? Została zidentyfikowana. Nie zadzwonili do was?

– Nie. Lana to siostrzenica mojej byłej żony, nie moja córka. Nazywała się Escobar. Ja jestem Ramos. Hector Ramos. Była jedynie córką siostry mojej żony, rozumie pan? Jej matka jest w Gwatemali. Nie występowaliśmy razem w żadnych papierach.

– Nie widział pan artykułu w gazecie? Nikt panu o nim nie powiedział?

– Nie czytamy gazet po angielsku. Może mówili coś w hiszpańskojęzycznym radiu, ale nie słyszałem. Dopiero na pogrzeb ktoś przyniósł pańską gazetę.

Sully pisał szybko, żeby nic nie uronić. Już rozumiał, skąd wrażenie, że Lana była całkiem sama na świecie, kiedy ją znaleziono. Nowy adres, niewiele dobytku, żadnych papierów, może notowana za prostytutkę, kiedy próbowała zarobić na wyższy czynsz. Z pobieżnego śledztwa, na którym porzeczano, wynikało, że to latynoska prostytutka w podłej dzielnicy, sprzedająca się w plenerze. Policja nie wiedziała o żadnych krewnych, dopóki na komisariat nie zgłosiła się żona Ramosa. Ale wtedy żadni dziennikarze, także Sully, już się nie interesowali tą sprawą.

– Ma pan jakieś normalne zdjęcia Lany? Takie, które mógłbym zamieścić w gazecie? A tamte rozbierane pan zachował?

Hector wyprostował się, gwałtownym ruchem zdjął ręce ze stołu.

– Chce pan oglądać ją naga?

– Nie, nie. Chciałbym sprawdzić, czy może znajdę na nich odpowiedź, kto je zrobił albo kiedy i gdzie.

Hector wziął głęboki oddech. Zatarł ręce, rozpostarł i znów zetknął dłonie.

– Mamy kilka dobrych zdjęć Lany. Ładnych. Jeszcze ze szkoły. Spytałem żonę, gdzie są. – Po krótkiej pauzie dodał: – Tych gołych nie zatrzymałem.

– Przychodzi panu do głowy, kto mógłby chcieć skrzywdzić Lanę? Może zły były chłopak?

Hector Ramos popatrzył na Sully'ego i kilka razy zamrugął. Jego opanowanie nie brało się z braku emocji czy współczucia, tylko z narzuconej sobie powściągliwości.

– Zadawaliśmy sobie takie pytanie wiele razy. Była w tym kraju z nami. – Urwał, podnosząc rękę. – Dobrze, że się wyprowadziła. Tego nie żałuję. Trzeba mieć jakieś... jakieś zasady. Ale powinniśmy więcej o niej wiedzieć, o tym, gdzie się podziewa. Nie powinniśmy jej aż tak spuszczać z oczu.

Popatrzył na Sully'ego i nie powiedział nic więcej.

Rozdział 21

Dwa zdjęcia formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów zostały zrobione na imprezach, w których Lana brała udział, w rodzaju balu maturalnego, gdzie wynajęty fotograf uwiecznia pary. Trzymając odbitki na kolanach, Sully podniósł głos, żeby przekrzyczeć hałas ulicznego ruchu, kiedy w aucie otworzyli okno.

– Powiedz mi jeszcze raz, jak znalazłeś Hectora.

– Nie mówiłem ci – odpowiedział Sully z przedniego siedzenia. – Powiedziałem tylko, że go znaleźliśmy, ja i Lionel. I co uważasz?

– Uważam, że to było pożyteczne.

Sully odwrócił się, żeby na niego spojrzeć.

– Pieprzony arogancki sukinsyn.

– Nie, mówię serio. A Noel Pittman? Pozowała nago, do „niegrzecznych” zdjęć, temu fotografowi z Petworth.

– Kiedy zamierzałeś mi o tym powiedzieć?

– Właśnie ci powiedziałem. Sam się dowiedziałem dopiero wczoraj.

– Daj mi nazwisko.

– Nie znam, ale mogę się dowiedzieć.

– No to chwytaj za telefon, człowieku. Cholera. Obie te dziwki ściągały majtki przed jakimś gościem, żeby im strzelał foty? I obie nie żyją? No, no... Trzeba go odwiedzić.

– Sam nie wiem... Zdjęcia Noel wyglądały profesjonalnie, to nie było żadne tanie porno. No i wygląda, że to ona dzwoniła do fotografa, więc nie on jej szukał. Tak przynajmniej słyszałem.

– Od kogo to słyszałeś?
– Od miejscowej policji.
– Oni tego nie sprawdzają?
– Niezbyt gorliwie: człowiek, którego wyznaczyli do tej sprawy, odłożył ją do archiwum.

– Który to?
– Dick Jensen.

Sly zaśmiał się szczekliwie.

– Ha! Ten sukinsyn! Znam Dicka Jensena. Aresztował mnie... kiedy to było, jakieś piętnaście lat temu?

– Nie słyszę, żebyś to przeżywał.

– Wiesz, co ci powiem? Jak cię dorwą za grubszą robotę, módl się, żeby kajdanki ci zakładał Jensen.

– Wymigałeś się w sądzie.

– Zarzuty zostały w całości oddalone i nawet nie doszło do procesu. Adwokat nie miał nic do roboty.

Przez chwilę jechali w milczeniu, mijając inne pojazdy; Sully myślał gorączkowo, niezadowolony, że za bardzo się wygadał przed Sly'em.

– Więc twoja ulubienica zajmuje się jako prokurator sprawą Sarah Reese – powiedział. – Odnoszę wrażenie, że przywiązała się do myśli, że ci twoi trzej chłopcy nie są tacy do końca niewinni.

– Nie mówiłem, że są całkiem niewinni. Powiedziałem, że nie zabili tej małej Reese.

– Wiesz to na pewno? Skąd?

– Stąd, że tak twierdzą.

– Myślisz, że nie kłamią?

– Nie spytałem ich o to grzecznie.

– Sly, do cholery. Co to znaczy?

Sly odwrócił się do niego twarzą.

– To znaczy, że Jerome, ten najstarszy, ma siostrę, czternastoletnią. Jazzmine. Dzień po tym, jak to się stało, w sobotę, zabrałem Jazzmine z placu zabaw, z parku, czy jak to tam nazywacie, tego niedaleko jej domu. Zabrałem ją na jedną z moich met i kazałem jej stamtąd zadzwonić i powiedzieć bratu, gdzie się znajduje. Potem wziąłem telefon i spytałem, gdzie on jest. Zostawiłem Jazzmine z Lionelem i pojechałem do niego. Siedzieli w Southeast, w tym małym mieszkanku, przerażeni jak diabli. Powiedziałem mu: „Wrócę do domu, zerznę twoją siostrę, a jak tylko się spuszcze, palnę jej dwie kulki w tył głowy. Potem ją wrzucę do Anacostii jako karmę dla sumów. Chyba że mi powiesz, co się stało z tą białą dziewczyną”.

Przez kilka minut słychać było tylko szum przejeżdżających pojazdów.

– To bardzo pożyteczny sposób zadawania pytań – odezwał się Sully.

– Sam to zauważyłem.

– I co on ci powiedział?

– Że widzieli tę dziewczynę w sklepie. Trochę gadali o jej tyłku. Ona się wkurzyła. Upuściła portfel, wypadł jej i wybiegła na zaplecze. Wzięli portfel i wybiegli głównym wejściem od frontu. W środku było jakieś gówniane trzydzieści pięć dolarów. Zatrzymali pieniądze, a portfel wyrzucili do kosza na śmieci, tego na boisku do koszykówki, w centrum rekreacyjnym. Wrócili do domu, a tu w telewizji na wszystkich kanałach trąbią, że szuka ich policja.

– Oni ją widzieli ostatni, znaleźli przy nich jej pieniądze, mają ich odciski.

– Tak to wygląda.

– Niedobrze.

– Już ci mówiłem, że z tego wyjdą. Słuchaj, to się jeszcze nie skończyło. Kimkolwiek był ten, co nas wciągnął w to gówno, co zabił tę białą dziewczynkę i tę ładną siostrę, i tę Meksykankę, według mnie może być

tylko jedna tak głupia osoba na świecie. Chociaż niektórzy bracia mają problemy z kutasem. Ja...

– Nie była Meksykanką.

– Kto?

– Lana Escobar. Pochodziła z Gwatemali, nie z Meksyku.

– Gwatemala, Meksyk, Kosta-pieprzona-ryka. Ona nie żyje.

– Co według ciebie się stało?

– Komu?

– Każdej z nich. Sarah. Noel. Lanie.

Sly wyjrzał przez przednie okno. Przez chwilę w milczeniu obgryzał paznokcieć.

– Ta biała dziewczyna stanowi największy problem, rozumiesz. Czy ja będę rozpytywał o tę sprawę, czy ty będziesz rozpytywał, prędzej czy później wpadniemy na gości z odznakami, sam wiesz. Widzę to tak, że dowiem się, kto załatwił tę Meksykankę albo Noel, albo obie, i to mi powie coś, co potrzebuję wiedzieć.

– Tak sądzisz?

– Po pierwsze, powie mi, kto zabił dwie suki na moim terenie.

– Ale nie szukałeś sprawcy, kiedy zabito Lanę Escobar.

– Ona była dziwką. Takie rzeczy się zdarzają. Noel, ta dziewczyna z college'u, z tego co mi było wiadomo, pojechała do L.A. kręcić pornosy.

– A teraz?

– Ta biała dziewczyna wszystko zmienia. Ona jest trzecia, a obaj wiemy, że policja się myli. Dlatego dowiemy się, kto zabił tamte dwie. Może to nic nie da. A może ten sam morderca zabił tę białą dziewczynę. Wtedy byśmy kupili trzy w jednym. Ale ja nie będę rozpytywać o tę białą. Robię to, co mogę. Gliny idą w lewo, ja w prawo. – Odwrócił się na siedzeniu. – A ty?

– Jak myślisz? – mruknął Sully. – Robię notatki o Lanie Escobar.

Kilka minut później Sully wysiadł z samochodu. Sztywno zbliżył się do czarnej żeliwnej furtki na skraju chodnika, a potem wszedł po schodach. Otwierając kluczem drzwi, pomyślał, że jeśli Sly pierwszy pozna tożsamość zabójcy, nikt się nigdy nie dowie, kto nim był. Sly po prostu go wyeliminuje i pytania pozostaną bez odpowiedzi na całe lata. Na tym polegał problem.

A Sully nie miał wątpliwości, że Sly'owi bardzo zależy na osiągnięciu celu. Obgryzanie paznokci, nerwowa paplanina, facet był wyraźnie zaniepokojony wzmożoną aktywnością policji w dotychczas zaniedbywanej dzielnicy; federalni pukali do drzwi, zamykali ludzi na podstawie błahych zarzutów, tylko po to, żeby ich zabrać do centrum miasta, grozić im zamianą wyroku w zawieszeniu na odsiadkę i ogólnie naciskać. Zazwyczaj robili to dzielnicowi, którzy znali swoich podopiecznych, byli im znani, a wszyscy zainteresowani znali zasady gry.

Natomiast federalni byli dupkami, których nie obchodziły niepisane reguły panujące w środowisku. Wiedzieli, że mieszkańcy dzielnicy dużo wiedzą i gdyby ta wiedza przeszła w ich ręce, dla Sly'a mogłoby się rozpętać istne piekło. Dlatego się pocił. Dlatego potrzebował pomocy Sully'ego, żeby rozwiązać zagadkę morderstwa Sarah Reese i pozbyć się federalnych ze swojego terenu. Jeśli wyjaśnienie dwóch poprzednich zabójstw mogło to ułatwić, świetnie, ale należało się pozbyć złudzeń – nikogo nie obchodziło, kto zabił Noel i Lanę. Liczyła się wyłącznie Sarah Reese.

Rozdział 22

Dwie godziny później kobieta, wskazując na wysłużoną sofę, zachęcała go, żeby usiadł. W pokoju był telewizor, na podłodze koło krzesła leżała pusta torebka po chipsach i dwie puszki po piwie. Dom, zapuszczona ceglana szeregówka, stał w nieciekawej okolicy przy Thirteenth Street NW, dziesięć czy dwanaście przecznic od Princeton Place. To był ostatni znany adres Williama J. Dardena, klienta prostytutek, damskiego boksera.

Kobieta poszła na górę i od dłuższej chwili nie wracała, a Sully siedział na sofie, czekał z nadzieją, że zyska coś, czego będzie mógł użyć, co pokaże całą nędzę tego procederu, plugawość gęstej zupy, w której pływali. Wreszcie na schodach rozległy się kroki, twarde, szybkie, niekobiece, więcej niż jednej osoby. Zaskoczony Sully rozstawił stopy, gotowy szybko wstać, ale nie podniósł się z sofy.

William Darden, wielki chłop – Chryste, raport z aresztowania nie wspominał, że facet ma posturę pieprzonego niedźwiedzia grizzly, jakieś metr dziewięćdziesiąt pięć wzrostu i co najmniej sto dziesięć kilo żywej wagi – wszedł do pokoju nabuzowany, w bojowej pozie. Za nim stanęło jeszcze dwóch mężczyzn, nie aż tak potężnych, ale Sully nie miał czasu, żeby im się dokładniej przyjrzeć.

– Co jest? – odezwał się, podchodząc do Sully’ego. – Czego, pieprzony dupku?

Sully wstał. Całe ramiona Dardena, od barków do dłoni, pokrywały więzienne tatuaże.

– Panie Darden, chciałem porozmawiać ze znajomymi Lany Es...

W prawej ręce Dardena pojawił się pistolet, jak wytrząśnięty z rękawa; bez żadnego ostrzeżenia wymierzył nim mocny, szybki cios, na poziomie głowy. Sully uniósł ramię i odwrócił się, co złagodziło nieco siłę uderzenia, ale i tak się zachwiał i tylko dzięki osłonie sofy utrzymał się na nogach.

Nie zdążył odzyskać jasności widzenia, gdy jeden z mężczyzn towarzyszących Dardenowi, szybki jak kot, złapał go za ramiona, wypchnął go do holu i rozpląszczył na ścianie.

Notatnik poleciał łukiem, Sully walnął łopatkami o drewnianą boazerię. Ustał, ale pozbawiony tchu zgiął się wpół, jednocześnie sięgając pod motocyklową kurtkę. Kiedy Darden się nad nim pochylał, Sully przysiadł na piętach, żeby wytworzyć między nimi większą odległość, po czym wyciągnął ciężki jugosłowiański pistolet; trzymaną w obu rękach broń odbezpieczył kciukiem i strzelił dwukrotnie w sufit, a następnie wycelował w pierś Dardena.

Na huk wystrzałów Darden cofnął się gwałtownie, omal nie upadł na plecy.

– Co ty, kurwa, robisz? – ryknął. – Nie wolno ci!

– Spróbuj mnie dotknąć jeszcze raz, to następne dwie wylądują w twoim pieprzonym mózgu – ostrzegł Sully. Siedział na podłodze, oparty o ścianę, zlany potem, metr od drzwi; pistolet nawet mu nie drgnął w sztywno wyprostowanych rękach. Mężczyzna po jego lewej stronie się nie ruszał. Ten trzeci umknął po schodach na górę.

– Tym z telewizji nie wolno nosić broni – wydukał Darden, wciąż zszokowany. – Nie możesz... tak tu wejść i strzelać.

– Nie jestem z żadnej pieprzonej telewizji.

– Jak to? Ona mówiła, że jesteś.

– Gównu mnie obchodzi twoja telewizja. Jestem...

– Jesteś z brygady antynarkotkowej? Pokazuj odznakę.

– Jestem dziennikarzem. Z gazety. Gównu mnie obchodzi, co ty...

– Dziennikarzem? Z takim gnatem? Co, może pożyczyłeś od tatusia?

– Odłóż ten cholerny pistolet – poradził Sully. – Nie ma co brnąć w gówno. Chciałem cię tylko zapytać o jedną prostytutkę.

– O co? – Ton złagodniał.

– O Lanę Escobar. prostytutkę. Dwa lata temu zostałeś zatrzymany, przez policjantkę w cywilu, byłeś przesłuchiwany. Wymieniłeś wtedy Lanę jako jeden ze swoich stałych kontaktów. Latynoska, mniej więcej metr sześćdziesiąt wzrostu, mocnej budowy. Ładny tyłek.

Darden opuścił broń. Sully zrobił to samo.

– Pokaż mi swoje dokumenty. I nie gadaj tak głośno.

Kobieta była gdzieś tam na górze i mogła ich słyszeć.

Sully ściągnął noszoną na szyi legitymację prasową i rzucił do Dardena. Ten złapał ją, obejrzał i odrzucił mu z powrotem.

– Myślałem, że jesteś od tych z telewizji. I że to jej sprawka.

– No nie. Jezu...

Darden podszedł do sofy i usiadł, wciąż patrzył na Sully'ego ze zdziwieniem. Sully schował pistolet w kieszeni kurtki, a potem połą koszuli wytarł pot z twarzy. Wziął głęboki oddech.

– Muszę przyznać, panie Darden, że wdepnął pan wówczas w niezłe gówno.

– Ty mi to mówisz?

Sully miał ochotę się zaśmiać, nawet wydał z siebie nieokreślone parsknięcie.

– No dobrze. Okej. Miejmy to już z głowy i żyjmy szczęśliwie dalej. Zatem Lana Escobar. Wskazałeś ją podczas przesłuchania.

– Człowieku, ledwie to pamiętam. Nie znałem żadnych nazwisk. Pokazali mi jakieś zdjęcia i ją wybrałem. Zgarnęli mnie na warunkowym. Człowiek musi kogoś wydać, żeby nie wrócić do pierdła.

– Robiłeś jakieś zdjęcia Lanie? Może takie rozbierane?

– Co ty, wyglądam na zboka? I kto zapłaci za te dziury w suficie?

Do zmroku sprawdził resztę osób z listy.

Jasper się wyprowadził, nikt nie wiedział dokąd. U Greena nikt nie odbierał telefonu. Darrell Turner, mieszkający na górze w piętrowym domu bez windy, też nie odpowiadał. Sully zapukał i usłyszał z wnętrza szmer kroków na drewnianej podłodze. W szparze pod drzwiami pojawił się cień, ktoś stał po drugiej stronie, bez ruchu. W drzwiach nie było wizjera. Sully zapukał jeszcze raz; osoba po drugiej stronie, niecałe dziesięć centymetrów od niego, nawet nie drgnęła. Sully wstrzymał oddech, nie odrywał oczu od cienia pod drzwiami, wciąż nieruchomego. Po chwili odszedł, ani na chwilę nie odwracając się plecami.

Zanim wrócił do domu, gdzie mógł nałożyć lodu do plastikowej torebki i przyłożyć do twarzy, by uśmierzyć skutki ciosu, który Darden zadał mu pistoletem, czuł jak ból narasta. Jezu Chryste, miał wrażenie, że Darden, cholerny Darden, pogruchotał mu szczękę. Pieprzona robota, człowiek musi się zadawać z różnymi popaprańcami... Szkoda nerwów, trzeba oszczędzać swoje cenne, pieprzone nerwy. Zawsze dobrze znosił trudne sytuacje, trzymał się. Ale Nadia, odłamek, a teraz jeszcze to... Spójrz na siebie. No, kurwa, spójrz. Dygotka. Było po wszystkim, a on cały się trząsał, stojąc we własnej kuchni przed lodówką. Lewa ręka, uniesiona na wysokość oczu, wibrowała jak kamerton. Tam u Dardena pistolet ukazał się spod kurtki i wystrzelił, jakby ten kawał metalu miał własny rozum i sam decydował. Sully czuł coraz silniejszy ucisk w piersi, zaczynało mu brakować powietrza, hałas w czaszce nasilał się, aż do ryku, jakby stał na pasie, z którego właśnie startuje samolot. Niech to szlag. Szybko przeszedł przez kuchnię, mdliło go, jakby miał zaraz zwymiotować, otworzył górną część drzwi na podwórko i zaczerpnął świeżego powietrza, starając się nie dławić i nie ulec hiperwentylacji. Nachylić się, oddychać. Głęboko oddychać. No, już. Już. W porządku. Już w porządku. To nie była ta noc w górach. Wszystko wracało do normy. Lekarz, ten z Landstuhl, uprzedzał go, że takie rzeczy będą się zdarzać, więc powinien cały czas się leczyć, jasne,

powinien, ale nie mógł już znieść spojrzenia terapeuty, jego pytań. Czuł, jak oddech mu się uspokaja. Lewa ręka, znów podniesiona do oczu, stopniowo nieruchomiała. Na blacie stała kryształowa szklanka. Pięć kostek lodu, trochę whisky, usiąść na ganku od podwórza... i w tym momencie, cholera, przypomniał sobie o zebraniu, do którego sam doprowadził, bo mieszkańcy Park View przestraszyli się, że w ich okolicy grasuje na wolności seryjny morderca.

Rozdział 23

Centrum rekreacyjne Park View znajdowało się na rogu Warder i Otis; ten amerykański projekt urbanistyczny z początku lat siedemdziesiątych, ze swoją pozbawioną wszelkich ozdób ceglana architekturą, świadczył o oszczędności rządu i kompletnym braku fantazji za czasów Nixona. Po trzydziestu kilku latach użytkowania obiekt wyglądał, jakby miał ponad sześćdziesiąt, zwalisty relikw z innej epoki, sterta metalu i cegieł wypełniały przestrzeń pośród niskiej zabudowy.

Zgiełk towarzyszący zebraniu, które odbywało się w hali do koszykówki, dało się słyszeć z daleka, zanim jeszcze Sully dotarł na miejsce. Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma. Dick Jensen przemawiał do mikrofonu, próbując odpierać stawiane mu zarzuty.

– Mówi pan, że zamordowano trzy dziewczyny, nikt nie został za to aresztowany, a my nie mamy się czego obawiać? – pytał jeden ze zgromadzonych. Trzymał ustawiony na statywie mikrofon obiema rękami, jakby dusił węża. Nieprawdopodobnie chudy, wyglądał na Etiopczyka. – Mam córki. Mam żonę. Mam...

– Ma pan to samo, co my wszyscy, którym zależy na bezpiecznym miejscu zamieszkania – przerwał mu Jensen, głośniejszym głosem. – Proszę nie myśleć, że skoro jestem biały, to mam gdzieś, i że nie odróżniam pańskich synów w luźnych portkach od recydywisty, który dopiero co opuścił Lorton.

Jensen sam siebie zaskoczył tym wybuchem, Sully to zobaczył, siadając na składanym krześle z tyłu, za uczestnikami zebrania. Zapadła cisza.

W hali zawisło napięcie, gdzieś wysoko nad głowami zebranych, niczym balon, który w każdej chwili może pęknąć.

– Słuchajcie – odezwał się znowu Jensen, nieco ściszym głosem. – Rozmawiamy o tym prawie od godziny. Wszyscy jesteście zdenerwowani. Rozumiem. Jestem detektywem, prowadzę śledztwo w sprawie Noel...

– I nic pan nie zrobił! – zawołała jakaś kobieta. – A gdzie jest gliniarz, który prowadził sprawę tej latynoskiej dziewczyny? – Przez tłum przetoczył się głośny pomruk, a po nim rozbrzmiały okrzyki: „Tylko tyle”, „Teraz cię nie słychać”, oklaski, chaotyczne gwizdy i buczenie, dawały upust skumulowanym emocjom, rosło napięcie, od tylnych rzędów tłumu do przodu, grożąc pęknięciem balonu.

– Może pozwolicie mi skończyć – Jensen się nie poddawał. Zduszony głos świadczył, że jest wyczerpany. Miał na sobie trzyczęściowy garnitur, nie zdjął marynarki, jak Sully się domyślał, żeby nie pokazać plam od potu pod pachami. – Ja prowadzę śledztwo w sprawie Noel Pittman. Odpowiadam za sprawę Pittman i związku ze sprawą Sarah Reese, nad którą pracuje mój partner z zespołu Billy Hairston, siedzący po mojej lewej stronie. Billy... – Gestem wskazał człowieka o zaciętej czarnej twarzy i wygolonej na łyso głowie, żeby ludzie nie mieli wątpliwości; Hairston siedział z rękami splecionymi na wielkim brzuchu, z miną złośliwego zrzędy.

– Tak więc ja szukam jakichkolwiek tropów, które prowadziłyby do Pittman, podobieństw, rozumiecie, o co chodzi? Nie mam zamiaru usprawiedliwiać się przed wami. Mój szef, siedzący obok mnie po prawej stronie oraz pan Belham z rady miejskiej, po jego prawej, poprosili mnie, żebym oderwał się od pracy i był tu obecny. Gdybym nie był tutaj, to bym pracował nad tymi sprawami, zamiast o nich mówić.

Ludzie się uspokajali, z powrotem siadali na krzesłach.

– Zajmowałem się najpoważniejszymi przestępstwami w tym mieście od czasu prezydentury Forda. Wiem, że się martwicie. Wiem, że czytaliście

artykuł w gazecie, może też oglądaliście różne materiały w telewizji. Ale chcę podkreślić: nie jest dziś prawdą nic, co nie było prawdą w zeszłym miesiącu, czy w zeszłym tygodniu. Jeśli chodzi o was i wasze dzieci, wasze rodziny, to nie grozi wam niebezpieczeństwo większe niż groziło w ostatnie Boże Narodzenie, w święto czwartego lipca czy dziś rano, kiedy się obudziliście. Różnica polega wyłącznie na tym, że w gazecie pojawił się wprowadzający w błąd artykuł. Przedstawia trzy zabójstwa, do których doszło w tej dzielnicy i sugeruje, że są ze sobą powiązane, bo wydarzyły się w niedalekiej odległości od siebie. To nedorzeczne. Gazety, stacje telewizyjne, radio... Na koniec może się okazać, że oni wszyscy nie mieli racji. Nie oni wsadzają sprawców do więzienia. Osiągają to, czego chcieli – reakcję ludzi. Wysoką sprzedaż gazety. My, policja, musimy robić, co do nas należy. A to nie jest takie proste, jak publikowanie historii z wybiórczo podanymi faktami i straszenie ludzi. Billy Hairston prowadził dochodzenie w sprawie zabójstwa Escobar, które, jak wiecie, miało miejsce tuż obok. Nie było poważnego podejrzanego. Mógłbym tu siedzieć i gadać bez końca, ile pracy włożyliśmy w śledztwo, ale jedno mogę wam powiedzieć na pewno: nikt, ale to absolutnie nikt nie powiedział nam, że coś widział. Cokolwiek. Widzieliście coś? Wiecie o czymś? Czy to wam coś przypomina?

Rozejrzył się, wypatrywał wzroku, który zatrzyma się na nim o sekundę dłużej, głowy schylonej w potakującym skinieniu, ramion opuszczonych pod ciężarem odpowiedzialności. Sully nie widział, czy Jensen znalazł w tłumie jakąkolwiek odpowiedź, ale po raz pierwszy, odkąd się tam pojawił, zapanowała całkowita cisza.

– Możecie powiedzieć później. Nie musicie teraz się zgłaszać. Wiecie, gdzie jesteśmy. – Kiwnął głową do swojego partnera, a potem zszedł z podium i zrobił kilka kroków w prawo; miał minę, jakby zapomniał, na czym skończył, jakby przegapił jakiś mentalny drogowskaz i nie wiedział już, dokąd zmierza.

Ponownie zbliżył się do mikrofonu schludnie ostrzyżony mężczyzna z bronią na biodrze, zabiegał o zaufanie, o podpowiedź, wykorzystywał uwagę zebranych, sprzedając swoją szczerą, sprzedając poczucie celu.

– Mogę wam też powiedzieć, że właśnie odkryliśmy ciało Noel Pittman i że lista chętnych do współdziałania świadków jest taka sama, jak w przypadku zabójstwa Escobar. Zero. Nic. Pracujemy na tym, co wykazała sekcja. Sprawa Sarah Reese, tu mamy przełom. Ktoś zidentyfikował podejrzanych. Ktoś nam powiedział, kim są. Wyłącznie z tego powodu mogliśmy dokonać aresztowania. To, że jedna ofiara jest biała, a dwie pozostałe nie, jest przypadkiem.

– Więc nie możecie nikogo aresztować, chyba że wam się poszczęści? – To był ten sam mężczyzna, który odezwał się pierwszy.

– Mniej więcej – przyznał Jensen. – Jeśli za szczęście uważa pan świadków gotowych złożyć zeznania. Ludzie zabijają innych ludzi i potem się ukrywają. Nie dzwonią do nas i nam o tym nie mówią. Nie strzelają do siebie przed komisariatem. Muszą zostawiać po sobie jakieś ślady. Muszą być przez kogoś widziani. Muszą coś spieprzyć. Albo, jak pan to ujął, musi nam się poszczęścić.

– Kiedy zamierzacie przeszukać resztę domów?

Męski głos, płaczliwy, lecz stanowczy, dobiegał z odległego krańca hali.

– Słucham? – spytał Jensen.

– Resztę domów. Kiedy je przeszukacie? Ta Pittman znalazła się pod jednym z nich. Wiecie, ile tu jest opuszczonych budynków? Moja córka, nie ma jej od miesiąca...

Sully'emu zabręczała komórka. Niech to szlag. Zwlekał z odebraniem, żeby usłyszeć nazwisko mówiącego, Williams, a potem szybko wyszedł bocznymi drzwiami na korytarz.

– Sully! Chłopcze! – zadudniło mu w ucho. – Jakże miło usłyszeć twój głos, zwłaszcza, że nie widzieliśmy cię w newsroomie. Jak tam twoje

peregrynacje do półświatka naszego wspaniałego miasta? Mam nadzieję, że nie złapałeś żadnej choroby zakaźnej.

– Jestem na spotkaniu mieszkańców z Princeton. Pracowałem w terenie...
Urwał, żeby wysłuchać R.J.

– Będę potrzebował jeszcze paru dni – powiedział Sullivan. – Escobar nie prowadziła się całkiem tak, jak sądziliśmy. Dokopałem się do jej, jak by to powiedzieć, kogoś w rodzaju ojczyma. Nikt z nim wcześniej nie rozmawiał. Znalazłem też siostrę Noel Pittman. Pojechałem nawet na pogrzeb. –

Nastąpiła kolejna pauza. – Do Colesville. Nie była zbyt przyjaźnie usposobiona.

R.J. mówił przez chwilę.

– Hej, człowieku, wiem, że nikogo to nie obchodzi. – Sully chodził tam i z powrotem, stukając podszwami o ceramiczną posadzkę, wciąż rozedrgany, wciąż nakręcony. – Sprawimy, że zaczną ich obchodzić, okej? Ale musisz mi dać trochę czasu. Wpadłem po uszy między dziwki i nielegalnych imigrantów. Co zabawne, oni nie lubią białych gości z notatnikami, wiesz? Okazuje się, że mogą być jeszcze inne zaginione dziewczyny, nie tylko zamordowane, więc powiedz Melissie, żeby się odchrzaniła.

Wyłączył telefon i wrócił do środka. Zebranie dobiegało końca.

David Belham, radny Okręgu Pierwszego, stał przed podium, otoczony niewielką grupką ludzi, zapisywał coś w kalendarzu i spoglądał na każdego ze swoich rozmówców. Widać było, że liczy potencjalnych wyborców. Była tam kobieta z komitetu doradczego dzielnicy – o nie, nie miał zamiaru podchodzić do tej wariatki – i rzecznik miejskiej policji. Komendant stał pośrodku większej grupy, bliżej kamer i świateł. Sully rozejrzał się, ale nigdzie nie dostrzegł człowieka o nazwisku Williams. Zauważył natomiast Jensena, który zmierzał w stronę drzwi.

Jensen górował wzrostem nad pozostałymi jeszcze w hali ludźmi, zobaczył Sully'ego i rysy mu stężały. Zatrzymał się, świdrując go

wzrokiem.

– Chcesz porozmawiać o problemie? – odezwał się donośnym, scenicznym głosem, tak, by słyszał go nie tylko Sully, ale i otaczający ich ludzi. – Dlaczego z nim nie porozmawiacie. Obecny tu Carter napisał ten artykuł.

Niewielki wianuszek osób wokół Jensena, podstarzali właściciele domów, młody aktywista, cztery lub pięć oburzonych kobiet, wszyscy mierzyli Sully'ego nieprzyjaznym wzrokiem.

Graj w otwarte karty, poradził sobie w duchu. Uśmiechnięty starał się nawiązać możliwie najszerszy kontakt wzrokowy.

– Bardzo chętnie zacytowałbym w swoim artykule detektywa Jensena, gdyby odpowiedział na któryś z trzech telefonów, które wykonałem na jego numer, zanim zacząłem pisać.

– Nie rozmawiamy z dziennikarzami, zwłaszcza o śledztwach w toku – oznajmił Jensen, nie wychodząc z roli. – Wszyscy o tym wiedzą.

– Dziwne stanowisko u kogoś, kto dopiero co twierdził, że potrzebuje świadków, by móc wykonywać swoją pracę.

Jensen zwrócił się do ludzi:

– Słuchajcie, dziękuję wam wszystkim za przybycie. Jeśli jesteście w posiadaniu informacji związanych z którąś z tych spraw, macie moją wizytówkę. Dzwońcie. A my do was przyjedziemy.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Nikt nie podążył za nim. Ludzie półgłosem wymieniali między sobą uwagi, popatrując przy tym na Sully'ego.

Ktoś przepychał się przez tłum, szturchnął go w prawe ramię od tyłu. Sully odwrócił się i gdzieś pomiędzy „przepraszam” a „patrz, gdzie idziesz”, ze zdumieniem stwierdził, że to Doyle Goodwin.

– Muszę się z tobą jutro zobaczyć – szepnął mu Doyle do ucha, po czym zniknął pośród ludzi, którzy wciąż rozmawiali między sobą, tworząc zmieniające się grupy; głosy zlewały się w jednolity szmer, gniew

i napięcie wciąż przenikały atmosferę w hali, niczym popiół z papierosów rozpylony w powietrzu.

Rozdział 24

Tuż po dziewiątej następnego ranka Sully przedzierał się motorem przez zatłoczoną C Street, by w końcu wcisnąć swój pojazd w szparę między samochodami zaparkowanymi nielegalnie na miejscach oznaczonych „tylko dla motocykli”.

Idąc dalej pieszo, minął pięć lub sześć aut, aż dotarł do budki z hot dogami, przy krawężniku przed Departamentem Motoryzacji. Siedząc na schodach, zjadł podwędzanego z musztardą i ketchupem, niebo w gębie, i popił nędzną mrożoną herbatą sprzedawaną w szklanych butelkach. Wcześniej skontaktował się Doyle’em telefonicznie – nieco później tego dnia mieli się spotkać w jego sklepie. Doyle nie wyjawiał, o co mu chodziło poprzedniego wieczoru ani dlaczego nie może przekazać Sully’emu przez telefon tego, co ma do powiedzenia. To było irytujące, ale nie wskazywało, by zamierzał się zachowywać jak Jensen i winić go za zabójstwa, których policja nie umiała wyjaśnić. Sully beknął cicho, zasłoniwszy usta zwiniętą dłonią. Podwędzane hot dogi miały to do siebie.

Na wprost, po drugiej stronie dwupasmowej drogi miał sąd okręgowy, ostoję federalnej władzy, gdzie Stany Zjednoczone pozywały i były pozywane, gdzie David Reese pełnił funkcję najwyższego rangą sędziego. Gmach sądu stał u stóp Wzgórza Kapitońskiego. Przed nim biegła Pennsylvania Avenue, główna ulica Ameryki; zmierzając nią na zachód docierało się do Ministerstwa Sprawiedliwości, głównej kwatery FBI, Departamentu Skarbu i Białego Domu.

C Street – obejmowała dwa kwartały – biegła tuż za sądem, okrążała go od tyłu i stanowiła wrota do najgorszej części Waszyngtonu. Na jednym końcu przysiadł Departament Motoryzacji, przybytek straszliwego marnowania czasu przez miejską biurokrację, a wyżej, w głównej komendzie miejskiej policji, rezydowali gliniarze, którzy zwalczali handel narkotykami, kradzieże samochodów, rabunki, oszustwa telefoniczne, zabójstwa, gwałty i pobicia, zazwyczaj z marnym skutkiem.

Po sąsiedzku, na drugim końcu ulicy, znajdował się sąd wyższej instancji, gdzie ogromna większość oskarżonych zostawała zwolniona z powodu niepotwierdzonych zarzutów już następnego ranka po aresztowaniu, w tym samym pokoju C-10, przez który przeszli podejrzani w sprawie Sarah Reese. W powietrzu dało się wyczuć zapach depresji zmieszany z odorem kanalizacji i przypalonych tostów z kafeterii na końcu korytarza. Pomiędzy sądem a siedzibą policji przebiegał tunel, droga przemieszczania oskarżonych z jednej instytucji do drugiej, bez wyprowadzania ich na światło dzienne. Jeśli zdarzyło się, że podsądny jednak usłyszał akt oskarżenia, rozprawa odbywała się w którejś z obitych ciemną boazerią sal na piętrze, gdzie docierało najwyżej kilka osób z jego rodziny oraz krewni ofiary.

Sully wyrzucił foliowe opakowanie oraz butelkę do ulicznego kosza na śmieci i wszedł do Departamentu Motoryzacji; chciał się dostać do budynku policji od tyłu, żeby żaden z reporterów oblegających główne drzwi go nie widział. Skręcił w lewo, potem w prawo, przeszedł kontrolę bezpieczeństwa i skierował się do działu nieletnich i prewencji na drugim piętrze, czyli ślepego zaułka, w którym kończyły się sprawy osób zaginionych.

Przy długiej marmurowej ladzie biegnącej przez całą szerokość pokoju najwidoczniej nikt nie dyżurował. Sully odstał przy niej na tyle długo, by zostać zauważony. Mocno zbudowana funkcjonariuszka w mundurze

podniosła się zza biurka w odległym kącie, podeszła do lady i spytała, czego sobie życzy.

– Szukam Rudy’ego Jeffriesa – odpowiedział. – Mogłaby mu pani powiedzieć, że przyszedł Sully Carter?

– Dlaczego Sully Carter chce się widzieć z Rudym Jeffriesem?

– Ponieważ chciałbym go zapytać o pewną zaginioną kobietę. A może nawet dwie.

Oparła się łokciami o marmurowy blat, unosząc brwi, była znudzona lub przynajmniej na taką wyglądała.

– Krewne?

– Nie.

– Podopieczne.

– Też nie.

– Zatem dlaczego chce pan o nich rozmawiać z sierżantem Jeffriesem?

Sully przeniósł ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– Ponieważ jestem dziennikarzem, pracuję nad artykułem o nich i sądzę, że sierżant Jeffries może mi pomóc. Zna mnie.

– To fantastycznie, że pana zna. Nie zameldował się pan u sierżanta Malone’a w dziale kontaktów z mediami, prawda? Bo nie dzwonił, żeby pana zapowiedzieć.

– Znam sierżanta Malone’a i rzeczywiście się nie zameldowałem, ponieważ nie zamierzam cytować Rudy’ego. Ja tylko...

– Skoro zna pan tylu ludzi, powinien też znać przepisy. Sierżant Malone dyżuruje na pierwszym piętrze. Ale zaraz, przecież pan go zna. Więc pan wie, gdzie go znaleźć.

W momencie gdy odwracała się do niego plecami, Sully postukał w ladę i nachyliwszy się powiedział:

– Nikt tu nie próbuje obchodzić przepisów, okej, pani oficer? Mam do Rudy’ego proste pytanie o to, jak działają pewne procedury. Nie chodzi o żadną pieprzoną wielką sprawę.

Dorzucił przekleństwo dla efektu, zakładając, że albo mu się oberwie, albo drzwi trochę się uchylą. Nawet jeśli czekało go to pierwsze, nie przejmował się, bo i tak go spławiła. Malone, owszem, przekazałby jego pytanie Rudy'emu, ale w swoim czasie, co znaczyło dla Sully'ego stratę połowy dnia. Kobieta tkwiła za ladą jak troll na moście, a trolle rządziły mostami i z natury były wrzodami na tyłku, ale nie dało się ich ominąć.

Oddaliła się wolno między biurkami, a potem wyszła na korytarz. Minutę później ukazał się Rudy i przywołał Sully'ego niecierpliwym machnięciem. Sully uniósł ruchomy element lady, wszedł dalej, uśmiechnął się słodko do funkcjonariuszki, która w ogóle nie zwracała już na niego uwagi i poszedł za Rudym. Drzwi do pokoju, w którym Rudy upchnął swój okazały brzuch za biurkiem, były otwarte. Rozmawiając przez telefon, gestem zachęcił Sully'ego, żeby wszedł do środka i usiadł.

– Ponieważ mu powiedziałem, że ma tam być – mówił do słuchawki. – Nie mam ochoty słuchać twoich opowieści, Leon. Nie obchodzi mnie, czy to wykręt, czy wyjaśnienie. Nie obchodzi mnie, czy mu kutas odpadł. Powiedz mu, żeby go podniósł i spotkał się ze mną w umówionym miejscu i czasie.

Rozłączył się, ale wciąż patrzył na aparat i przytrzymał go ręką, jakby się bał, że może wykorzystać okazję, by mu uciec.

– Dzieciak ma siedemnaście lat, niedługo skończy osiemnaście i ma problem z narkotykami. Uciekł z domu, teraz matka go szuka i angażuje nas – powiedział, ani na chwilę nie odrywając wzroku od telefonu. –

Zwrócił się do adwokata, nie wynajął go, rozumiesz, tylko z nim gadał, przez telefon, zasięgał porady. Nie chce wracać do domu, mówi: „Jeśli nie wrócę przez następny miesiąc, to potem już będę pełnoletni”, na co adwokat potakuje. A ja próbuję tego dzieciaka wyrwać stamtąd, gdzie się znajduje, zanim wdepnie w coś innego, za co może trafić do paki.

– Czemu adwokat w ogóle go słucha?

– Bo to Leon. Leon King, jeden z twoich bladolicych braci, z misją ratowania nas przed nami samymi. Dzieciak opowiada mu, że żyje w bagnie, matka wciąga koks i takie tam.

– A wciąga?

Rudy poruszył głową na boki, jednocześnie naciskając sobie kręgi na karku, a potem wreszcie spojrział na Sully'ego.

– Merlie? Nie sądzę. Kończyliśmy liceum Roosevelta w tym samym czasie. Pracuje w Macy's, na stoisku kosmetycznym. Śpiewa też w chórze kościoła metodystów. Więc nie, ten gówniarz nie jest wychowywany przez matkę ćpunkę. Jej problem polega na tym, że kocha tego gnojka, co według mnie skazuje ją na porażkę, ale zadzwoniła do mnie i prosiła, żebym się włączył. – Pochylił się, opierając mięsiste ramiona na krawędzi biurka; sprawiał wrażenie mocno zmęczonego, na granicy kompletnego wyczerpania. – Ale nie po to tutaj jesteś.

– Pomyślałem, że wpadnę poflirtować z moją sympatią. Jak ona ma na imię?

– Sherice? O nie, tacy jak ty nie mają u Sherice żadnych szans.

– Tacy jak ja, czyli jacy?

– Dziennikarze. Ale myślę, że jej chyba w ogóle nie podobają się biali.

– Szkoda.

– No cóż.

– Noel Pittman.

– Tak.

– Widziałeś te zdjęcia?

– One już przeszły do legendy, bracie.

– Prowadzicie śledztwo pod kątem zabójstwa?

– Spytaj tych z wydziału zabójstw.

– Zaczęło się od zaginięcia.

– W czwartym dystrykcie, owszem.

– Tam się zaczęła sprawa zabójstwa. Ale ja mówię o momencie, kiedy została uznana za zaginioną. Nie jest tak, że tropicie zaginionych dorosłych, w całym mieście?

– Kiedyś tak było. Ale po tej reorganizacji, która tak się podoba szefowi... Przekazał sprawy osób zaginionych do poszczególnych okręgów, w zeszłym roku, przy okazji decentralizacji wydziału zabójstw.

– Cholera.

– Tak, kochany. A jak jest teraz? Wszystkie okręgi, a jest ich siedem, są zobowiązane składać nam raporty, ale nad sprawami pracują same. Tymi, które dotyczą dorosłych. Bo dziećmi z całego miasta nadal my się tu zajmujemy.

– Wydaje mi się to jakieś pochrzanione.

– Bo jest pochrzanione.

– Więc mimo że Pittman, dorosła osoba, na początku była uznana za zaginioną, wy tutaj nic z tym nie zrobiliście.

– Kurczę, ależ jesteście bystry.

– Mówi ci coś nazwisko Lana Escobar?

Rudy przez moment się zastanawiał, nim powiedział:

– Zeszły rok. Pracowałem wtedy jeszcze w obyczajówce. Znalezione ją martwą, w Park View.

– Znaczą, że znali ją ci z obyczajówki?

– Musiałbyś się zgłosić do kartoteki. Jeśli została spisana, będzie o tym w raporcie. Mogę cię jedynie zapewnić, że nie była na tyle znana, żebym o niej wiedział. Właśnie sobie przypomniałem, że coś tam o niej pisałeś. Powtarzam ci, to wszystko się działo, kiedy szef zaczął mieszać w tym gównie. Odchodziłem z obyczajówki. Ludzie przenosili się z centrum, ci z wydziału zabójstw i z kryminalnej, i cała reszta, do poszczególnych okręgów.

– Rodzina dziewczyny twierdzi, że zgłosili jej zaginięcie.

– Świetnie.

– Mówią, że w tym samym czasie, kiedy zgłaszali zaginięcie, dowiedzieli się, że ona leży niezidentyfikowana w kostnicy.

– Bardzo im współczuję.

– Nie zastanawia cię, że Noel Pittman, kiedyś zaginiona, zostaje znaleziona w piwnicy domu przy Princeton Place 700, i Lana Escobar, kiedyś zaginiona, zostaje znaleziona na boisku centrum rekreacyjnego Park View, które leży tuż koło Princeton Place 700? I że te kobiety zagięły w odstępie pół roku?

Rudy odchylił się na krzesło i splótł dłonie na karku. Światło jarzeniówki odbijało się w jego wygolonej czaszce. Wzniósł oczy na sufit.

– O tym był twój artykuł sprzed paru dni.

– Dickowi Jensenowi się nie podobał.

– Dick nie jest taki zły. Stara szkoła, trudno z nim wytrzymać, ale bywają gorsi. Grałem z nim kiedyś w golfa. Nie oszukiwał.

– Więc ty też uważasz, że artykuł był do dupy?

– Posłuchaj, napisałeś tam tak, jak teraz mówisz, że te kobiety zagięły. Jasne, łatwo krytykować. Ale wiesz, ile mamy zgłoszeń o zaginięciach? W zeszłym roku cztery tysiące sto. W tym mamy już przeszło trzy tysiące. To mniej więcej dziesięć dziennie, jak rok długi, nie wyłączając weekendów, wakacji i świąt kościelnych. Wydaje mi się, że liczba zabójstw w zeszłym roku wyniosła dwieście sześćdziesiąt. W tym, do tej pory, było sto dziewięćdziesiąt. Coś koło tego. I w mieście o powierzchni stu osiemdziesięciu kilometrów kwadratowych, z tysiącami ludzi uznanych za zaginionych, gdzie co mniej więcej trzydzieści, trzydzieści pięć godzin jest popełniane zabójstwo, pytasz, czy to nie dziwne, że dwa z nich zdarzyły się przy tej samej ulicy? – Zdjął ręce z karku, oderwał wzrok od sufitu i pochylił się naprzód, znów opierając przedramiona na biurku. – Powiedziałbym, że prawdopodobnie nie. Albo że być może. Ty uważasz to za oczywiste.

– Jak mógłbym sprawdzić inne dziewczyny, kobiety, które zaginęły na tym terenie?

– Te poniżej osiemnastu lat u nas, ale niewiele się dowiesz, bo są niepełnoletnie. Jeśli chodzi o dorosłe, trzeba się udać do czwartego dystryktu. Muszę cię jednak ostrzec: nie podchodź do tamtejszych akt ze zbyt wielkim nabożeństwem.

– Bo?

– No cóż, po pierwsze, nawiązuję do tego, o czym wspominałem wcześniej, senatorze. Wszystko jest pochrzanione. Po drugie, dorośli mają prawo zniknąć. Nieposiadanie stałego adresu nie jest przestępstwem, nie łamiesz prawa. wynosząc się gdzieś, gdzie twoja mama i inni cię nie znajdą. Poza tym zapewniam cię, że dziewięćdziesiąt osiem... dziewięćdziesiąt dziewięć procent zaginionych dorosłych to bezdomni, włóczędzy, osoby chore psychicznie, zagorzałe ćpuny. Odnajdują się po tygodniu lub dwóch na McPherson Square, Freedom Plaza albo koczują pod wiaduktem na Brooklynie, albo po pięciu latach trafiają do schroniska dla bezdomnych w Minneapolis, albo też lądują w kostnicy jako niezidentyfikowane zwłoki. Nie więcej niż garstka z tego to osoby „rzeczywiście zaginione”, na przykład porwane, lub dziewczyny, które wyjechały do pracy i nigdy nie wróciły do domu. Spójrz na to tak: jesteś funkcjonariuszem w swoim dystrykcie, ciągniesz podwójne dyżury, nie wyrabiasz się na zakrętach. Rodzina dzwoni, bo jakiś brat zniknął, histeryzują albo są wściekli, albo po prostu czują się zobowiązani, żeby to zgłosić. Wiedzą, że facet jest popieprzony, ale dzwonią, bądź co bądź to członek rodziny, więc jakże nie zadzwonić? Sprawa trafia do ciebie, a to nie jest... Widziałeś kiedyś taki formularz zgłoszenia? Ma około trzydziestu pieprzonych stron. Dane od dentysty, tatuaże, lista przebytych zabiegów chirurgicznych. Nie uwierzyłybyś. Siedzisz więc z nimi, wypełniasz rubryki, a to nawet nie jest kartoteka, bo ten gość nie złamał prawa. Tracisz półtorej godziny z jedyne go życia, jakie masz, a potem wysyłasz papiery tu do nas. Pięć dni

później okazuje się, że ten popapraniec mieszka pod plandeką na Farragut Square. Odkrywasz, że miał problemy z koksem od czasu gimnazjum, rodzina dobrze o tym wiedziała, ale nie pisnęła ani słowa, świadoma, że wtedy byśmy go nie szukali. I racja, co nie zmienia faktu, że wszystko to o dupę potłuc. No więc jesteś wkurzony, że jego rodzina zawraca ci głowę, ale musisz zaprzestać działań, wykasować go z systemu u siebie, a potem zadzwonić do nas: „Hej, wykasujcie gościa”, wtedy u nas ktoś musi ruszyć dupę i rzeczywiście to zrobić, bo jeśli ty zapomnisz albo ktoś tu u nas zapomni, sprawa zawisa w próżni, a takie sytuacje możesz pomnożyć przez milion. Tak mniej więcej wyglądają akta, które chcesz studiować.

– Twierdzisz zatem, że Stary Testament jest bardziej wiarygodny?

– Lepiej nie zaczynamy o Biblii. Merlie jest, jak by to ująć, moją szczególną przyjaciółką.

Rozdział 25

To musiały być żarty. Ludzie mówią człowiekowi takie rzeczy, naprawdę tak się dzieje, a jednak nie sposób w to uwierzyć.

Urzędnik w czwartym dystrykcie wyciągał z szuflady z aktami kolejne zapisane strony oficjalnych zgłoszeń o zaginięciach; w pewnym momencie kartki wysypały mu się na podłogę, cała sterta. Chryste Panie...

Na górze każdej z nich widniało słowo „zaginiony” lub „zaginiona” wydrukowane dużą, pogrubioną czcionką, a pod nim zdjęcie osoby, której dotyczyło zgłoszenie. Dół wypełniały dodatkowe informacje, takie jak nazwisko, wiek, ostatnie znane miejsce pobytu oraz numer komisariatu policji. Zgłoszeń ponad setka, może nawet były dwie setki. Nie układano ich w żadnym specjalnym porządku, a baza danych stanowiła skomputeryzowany bałagan. Niektóre sprawy zostały zamknięte, na kartkach pojawiał się wówczas dopisek, że osoba wróciła na łono rodziny albo została znaleziona martwa.

Na jednych podano dokładną datę zaginięcia, inne miały oznaczenie na przykład „lato 1998”. Zdarzały się zgłoszenia nawet z końca lat osiemdziesiątych. Jedno – Sully je zabrał – zostało dodane zaledwie przed tygodniem. Część zawierała adres zaginionej osoby, a nie miejsca, gdzie ją ostatnio widziano. Wszystko razem wydawało się jakieś surrealistyczne, jakby te karty były pocztówkami z koszmarnego snu.

Wychodząc, Sully zatrzymał się przy tablicy ogłoszeń w głównym holu, oblepionej plakatami i ulotkami, w większości ręcznie wykonanymi, które przedstawiały zaginionych. Patrzył na zdjęcia uśmiechniętych młodych

kobiet, zażywnych mężczyzn w średnim wieku. Prawie wszystkie twarze były czarne, reszta w większości latynoska i tylko dwie lub trzy białe, te należały do starych niechlujnych mężczyzn z wyraźnymi zaburzeniami psychicznymi. Kilka ulotek Sully rozpoznał jako duplikaty – dopiero co oglądał je w archiwum. Przejrzał zrobione chwilę wcześniej kserokopie i pozaginał rogi kartek ze zdjęciami tych, których rodziny wydawały się szczerze zainteresowane poszukiwaniami.

Przebiegł przez ulicę do McDonalda, kupił colę i frytki, zajął miejsce w boksie, wyjął piersiówkę, doprawił colę porcją bourbona i rozsiadł się wygodnie.

Sześć lub siedem przypadków od razu go zainteresowało. Linda Blackwell, Kellie Meikle, Rebekah Bolin, Andrea Thompson... Dobry Boże, wszystkie zaginęły w ciągu ostatnich trzech lat i wszystkie mieszkały nie dalej niż cztery, może pięć przecznic od Princeton Place. Czy ktoś w ogóle zwrócił na to uwagę?

Wyciągnął komórkę i zaczął wybierać kolejne numery. Blackwell i Meikle, obie miały zainstalowane automatyczne sekretarki. Pod numerem Bolin odebrała jakaś kobieta, wysłuchała go, a potem rzuciła szorstko, że jej córka nie żyje.

– Bardzo przykro mi to słyszeć, proszę pani – zapewnił Sully. – Jednak... bardzo by mi pomogło, gdybym się od pani dowiedział, gdzie została znaleziona. Nie widzę jej na liście zabójstw.

– Znaleźli Bekah pod jednym z domów na Princeton Place, w kwartale, gdzie numery zaczynają się od 600 – odpowiedziała kobieta.

Ręka Sully'ego znieruchomiała nad notatnikiem.

– Pod domem?

– Pod podłogą. W tej wąskiej przestrzeni między legarami. Dom był opuszczony.

– Kiedy to było?

– W styczniu tego roku. Wtedy ją znaleźli. Leżała tam jakiś czas.

Sully spojrział na ulotkę.

– Tu jest napisane, na ulotce, że ostatni raz widziano ją w czerwcu poprzedniego roku, czyli siedem miesięcy wcześniej.

– Zgadza się.

– Zdarzało się pani nie widzieć jej przez tak długi okres?

– Powiedziałam panu, że ona nie żyje.

– Tak, proszę pani, słyszałem. Przykro mi. Ale... może... według ulotki miała dwadzieścia trzy lata, więc może dużo bywała poza domem?

– Bekah chodziła własnymi drogami, odkąd skończyła siedemnaście lat.

– Ale... dlaczego nie uznali tego za zabójstwo? Nie chcę być wścibski, po prostu...

– Bekah włóczyła się po ulicach, odkąd wyrzucili ją ze szkoły. Ważyła czterdzieści dwa kilo. Aresztowali ją za narkotyki, sama nie wiem ile razy. Wracała do domu, a ja musiałam ją odsyłać do jej ojca. Kradła, co popadnie.

– Wczoraj wieczorem w centrum rekreacyjnym było zebranie mieszkańców. Policja... nawet nie wymienili jej nazwiska, a jej sprawa mogła być...

– Powiedzieli, że przyczyna śmierci nie została ustalona.

– Ale przecież znaleziono ją pod podłogą opuszczonego domu.

– Powiedzieli mi... powiedzieli: „Słuchaj, od dawna brała kokę, niedawno była zatrzymana za heroinę, prawdopodobnie wzięła za dużo naraz i prawdopodobnie dostała zawału...”

– Prawdopodobnie?

– ...i z tego powodu umarła. Tak, prawdopodobnie. Co jeszcze? Kochałam moje dziecko. Ale nie mam zamiaru udawać, że była inna.

Sully czekał, próbował znaleźć jakieś miłe słowo, ale nic odpowiedniego nie przychodziło mu do głowy. Kobieta wiedziała swoje.

– Okej, jak już wspominałem, piszę o Princeton Place i o tym, co się dzieje w tamtej okolicy. Mógłbym dostać zdjęcie Rebekah, żeby...?

- Może pan wykorzystać to z ulotki.
- Dziękuję. Mogę spytać, jak się pani nazywa? Bo...
- Pearl. Pearl Bolin.
- I... chcę się upewnić, czy dobrze usłyszałem, była pani jej matką?
- Nadal jestem.

Rozłączył się, w głowie tak mu wirowało, że zapomniał o whisky. Coś tu się działo, tyle kobiet, a przecież tak na dobre jeszcze nie zaczął... Gdzie to było, gdzie to było? O, tu. Williams. Ulotka z policji, Michelle Williams, niewykluczone, że to jej ojciec zabierał głos na zebraniu.

Wystukał numer z ulotki i wstrzymał oddech, wpatrzony w zdjęcie uśmiechniętej młodej kobiety, pulchnej, ślicznej.

W telefonie rozległ się baryton, który słyszał poprzedniego wieczoru.

– Halo? Pan Williams? Nazywam się Sully Carter. Jestem dziennikarzem z gazety i pracuję nad artykułem o zaginionych osobach z tej okolicy. Z terenu wokół Princeton Place. Próbowałem się skontaktować z rodziną Michelle Williams. Ktoś wymienił jej nazwisko na wczorajszym zebraniu mieszkańców, więc chciałem sprawdzić...

– Mówi ojciec Michelle. To byłem ja. Po co pan dzwoni? Znalaziono ją?

– Nie, w każdym razie nic mi o tym nie wiadomo. Jestem dziennikarzem. Pracuję nad artykułem o zaginionych młodych kobietach. Michelle chyba można do nich zaliczyć. Dlatego dzwonię.

Cisza. Coraz dłuższa.

Sully spojrzął na telefon i powiedział:

– Chciałem się o niej więcej dowiedzieć. Widziałem ulotkę na policji, widziałem też raport o zaginięciu i słyszałem część pańskiego zapytania wczoraj wieczorem. Rozumiem, że zniknęła jakiś tydzień temu.

W telefonie zatrzeszczało.

– Cztery. Nie ma jej już cztery tygodnie. Wreszcie wywiesili ulotkę, ale na dodatek przekręcili datę. Co jeszcze chcesz wiedzieć, dziennikarzu? –

Głos nie brzmiał wrogo. Była w nim rezygnacja... i otwartość, w której Sully zwiertzył dla siebie szansę.

– Prawdę mówiąc, sporo, panie Williams. Podstawowe rzeczy: kiedy ją pan widział ostatni raz, miejsca, do których według pana mogła pójść... ale też jaka jest, co lubi robić, jakie ma plany.

– Miała. Jakie miała plany. Skoro moje dziecko się do mnie nie odzywa od czterech tygodni, znaczy, że nie żyje. Ale pytam się, co to pana obchodzi?

Sully westchnął.

– To po części moja praca, panie Williams. Nie dzwonię do pana w moim wolnym czasie, bo żywię dziwne zainteresowanie zaginionymi młodymi kobietami. Jestem w pracy. Wykonuję ją od dwudziestu lat i traktuję poważnie. Zaginęło jeszcze kilka innych dziewczyn z tej okolicy i... nie będę pana okłamywał, znaleziono je jako ofiary zabójstw albo nałogu narkotykowego. Piszę o nich i zbierając materiał, trafiłem na nazwisko Michelle. Chciałbym się z panem spotkać, dowiedzieć się więcej o pana córce i... jeśli się pan zgodzi, umieścić jej zdjęcie w gazecie.

Znów zapadła cisza.

– Gdzie pan jest? – odezwał się wreszcie baryton. – W tej chwili?

– W McDonaldzie na Georgia Avenue, tuż za skrzyżowaniem z Missouri.

– Wie pan, gdzie jest ulica Warder?

– Wiem.

– Mieszkam pod 3530. O szesnastej muszę być w pracy. Mógłby pan przyjść teraz, tylko proszę się pośpieszyć.

Cały kwartał składał się z szeregowej zabudowy, a dom Williamsa nie różnił się niczym od pozostałych: dwa poziomy plus suterena, markiza nad betonową werandą (jego była pomalowana na szaro), cztery stopnie do trawiastego ogródka, ceglany chodnik od drzwi do ulicy. Zardzewiały parkan wzdłuż chodnika. Tuż za parkanem dwa udostępniane przez miasto

pojemniki na śmieci, zielony plastik upstrzony plamami. Otwierając żelazną furtkę, żeby wejść na posesję, Sully odwrócił się i spojrzął w stronę Princeton Place. Trzy przecznice dalej widział kamienny budynek szkoły podstawowej Park View. Po jej drugiej stronie, na boisku baseballowym w centrum rekreacyjnym została zamordowana Lana Escobar. Noel Pittman mieszkała w pierwszym domu za ogrodzeniem terenu centrum. Rebekah Bolin została znaleziona po wschodniej stronie skrzyżowania z Warder. Michelle Williams mogła przejść koło nich wszystkich w niecałe pięć minut.

Zapukał, zgrzytnął otwierany zamek w wewnętrznych drzwiach i na progu ukazał się wysoki, barczysty mężczyzna; brzuch rysował się wyraźnie pod koszulką wystającą spod rozpiętego kolejowego munduru.

– Sully Carter. – Sully wyciągnął rękę.

– Curtis Williams – odpowiedział gospodarz, ściskając podaną dłoń. Cofnął się, żeby wpuścić gościa do domu. Był na tyle potężny, że Sully ledwie się zmieścił w wąskim przejściu.

W holu panował półmrok, podobnie jak we frontowym pokoju po prawej stronie od wejścia. Ciszę zakłócał jedynie odgłos wentylatora, który kręcił się pod sufitem, trochę nierówno, przy każdym obrocie klikał i lekko się trząsał.

– Porozmawiamy w kuchni. – Williams wskazał na drugi koniec holu. Weszli do pomieszczenia z żółtą ceramiczną posadzką, również ciemnawego. Pod ścianą stał mały prostokątny stół z dwoma krzesłami. Sully przysunął sobie jedno i usiadł, na blacie położył swoją wizytówkę.

– Mam jakieś dwadzieścia minut, a potem muszę wyjść – uprzedził Williams.

– Dobrze, dziękuję, że poświęca mi pan czas – odparł Sully, patrząc mu w oczy. Miał nie więcej niż minutę, żeby zdobyć zaufanie rozmówcy. Ludzie bardzo szybko podejmowali decyzje, niemal instynktownie. To była kwestia pierwszego wrażenia, percepcji opartej na fizycznej obserwacji

i poczucia komfortu. Chodziło o szczerość, której nie dało się nauczyć ani udawać.

– Pracuje pan na stacji czy wyjeżdża w trasy?

– Głównie jeżdżę w trasy. Sprawdzam bilety, w drodze robię rozliczenia. Czasami sprzedaję kawę z wózka, jeśli nie mają nikogo innego.

– Mam wrażenie, że długo pan tam już pracuje.

Williams uniósł brwi.

– Dwadzieścia trzy lata – powiedział, akcentując każdą sylabę. Miał niski głos, ale mówił tak cicho, że Sully musiał się wychylić naprzód, żeby go słyszeć. Williams wziął wizytówkę i oglądał ją, podczas gdy Sully opowiadał mu o artykule, który zamierzał napisać. Po jakichś trzydziestu lub czterdziestu sekundach wyjaśnień Williams usiadł, sięgnął do sterty papierów na stole i wyciągnął zdjęcie Michelle. Szkolne zdjęcie. Miała na nim włosy zaczesane do tyłu, radosny uśmiech, ciemnoniebieski podkoszulek i wiszące kolczyki. Cienkie brwi, wyraźnie podskubywane i modelowane. Trochę przyciężka sylwetka.

Sully uśmiechnął się, patrząc na fotografię.

– Ma pan dzieci? – zapytał Williams.

Sully zaprzeczył.

– Nie byłem dobrym chłopcem, kiedy dorastałem. Mam siostrę, której nie widziałem od sześciu czy siedmiu lat. Mieszka w Phoenix. Dzieci raczej się nie udawały w mojej rodzinie.

Williams pokiwał głową.

– Rozumiem. Moja żona odeszła, kiedy Michelle miała trzy latka. Zostaliśmy tylko we dwoje, ja i ona. Mam krewnych, ale mieszkają daleko, w Karolinie Północnej. Na lato wyjeżdżała do mojej matki. Po odejściu żony przez długi czas nie brałem nocnych kursów, tylko do Nowego Jorku i z powrotem, w tym samym dniu. Dobrze się dogadywałem z Michelle. Chodziła do szkoły w Cardozo.

Sully zapisał tę informację w swoim notatniku.

– Kiedy dokładnie się urodziła?

– Dwudziestego drugiego sierpnia tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego piątego roku.

– Może mi pan opowiedzieć o dniu, kiedy zniknęła?

Wstał i odsunął krzesło od stołu na tyle daleko, żeby móc rozprostować nogi. Gdy usiadł, jego ciało zmieniło postawę z dominującej na obronną.

– Nie bardzo – przyznał. – Wziąłem nocny kurs do Nowego Jorku. Wróciłem do nich kilka lat temu. Ostatni pociąg w tamtą stronę i pierwszy poranny z powrotem. – W jego głosie pobrzmiwała ta sama rezygnacja, którą Sully usłyszał wcześniej przez telefon. – Proszę zrozumieć, nie widziałem nic niezwykłego w tym, że nie ma jej w domu, kiedy wracam z pracy. Lubiła zostawać na weekend u którejś ze swoich przyjaciółek. Była dorosła. Dwadzieścia cztery lata. No i... miała problem z narkotykami, panie Carter. Wiecznie się gdzieś włóczyła. Dostawała pracę, zaraz ją traciła i wracała do ćpania. Nie widziałem więc nic szczególnego w tym, że zniknęła na kilka dni.

– Była na odwyku?

– Kilka razy. Kłóciliśmy się o to. Starłem się wychować ją na porządną dziewczynę. A potem... sam nie wiem. Już w gimnazjum zaczęła się zadawać z nieciekawym towarzystwem. Ta dzielnica... mieszkam tutaj od czasu wyjścia z wojska, a wyszedłem tuż przed narodzinami Michelle. Starsi mieszkają tu dłużej. Wiele tutejszych dzieciaków, choć nie są złe, kończy... na dnie, nie mają żadnych ambicji.

Sully odchylił się na oparcie krzesła, na moment oderwał pióro od notatnika.

– Nie jest łatwo, jak się ma dzieci.

– To była radość. Przez długi czas. Kiedy miała cztery latka wciąż powtarzałem, że chciałbym, by na zawsze pozostała w tym wieku.

– Jaki to był dzień, kiedy pan miał tamten nocny kurs?

– Trzeci września. Piątek.

– Pracowała wówczas gdzieś?

– Nie. Pracowała w restauracji Hunger Stopper na Georgia, ale bardzo krótko, pracowała także gdzieś w Dupont Circle, a potem w drogerii na Sixteenth Street. Wszystko to w ciągu dwóch lat. Z każdej roboty ją wywalali. Nie sądzę, żeby po tym ktoś ją jeszcze zechciał zatrudnić.

– Zatem wrócił pan tamtej soboty i co się stało?

– Wróciłem około pierwszej po południu. Nie było jej w domu, ale jak już mówiłem, nie widziałem w tym nic nadzwyczajnego. Nie wróciła tego dnia na noc, ale to też nie było dziwne. Próbowałem dzwonić na jej pager w niedzielę po południu.

– Nie oddzwoniła?

Williams pokręcił głową, a potem masywną ręką strzepnął coś ze stołu, zadziwiająco delikatnym gestem.

– Nigdy. Zostałem w domu, dali mi tydzień płatnego wolnego, żeby jej szukać, nie kazali nawet brać urlopu... ale nic nie wskórałem. Jakby się zapadła pod ziemię. Poszedłem na policję we wtorek, tak, chyba we wtorek. Sprawdzili w aktach... była aresztowana raz, za narkotyki, a do tego sam przyznałem, że ma z nimi problem. Powiedzieli, że nie została zatrzymana, żebym poszukał w przytułkach dla bezdomnych, a potem znów się z nimi skontaktowałem.

Sully spojrział na ulotkę zdjętą ze ściany w komendzie policji.

– Hmm. To zostało powieszone dopiero trzeciego października, parę dni temu. Jest informacja, że ostatni raz ją widziano trzynastego września.

– Wiem. Policja nie za bardzo się stara, zauważył pan? Pierwszy raz poszedłem do nich i, jak już wspominałem, wtedy nie kiwnęli palcem. Poszedłem więc znowu tydzień później, trzynastego września, i wtedy zdecydowali, że można ją formalnie uznać za zaginioną. Potrzebowali prawie trzech tygodni na wydrukowanie ulotki, a i tak pomylili datę. Dlatego poszedłem na to zebranie, żeby im wygarnąć.

– Rozumiem, że sam rozpytywał pan o Michelle w sąsiedztwie?

– Michelle spędziła tutaj całe swoje życie. Gdyby się naćpała gdzieś na Thirteenth Street, ktoś by ją widział. I mi doniósł.

– A pańska rodzina, była żona, jej znajomi, Michelle nie kontaktowała się z kimś z nich?

Williams pokręcił głową.

– Nie miała też stałego chłopaka, z tego co mi wiadomo. Pewnie się umawiała, tak na jedną noc, żeby razem ćpać. Przez jakiś czas spotykała się z takim jednym, miał na imię Kevin, kompletny nieudacznik, ale nikogo by nie skrzywdził. Zatrudniony przez miasto, sprząta w budynkach szkolnych. Poszedłem do niego, ale był tak samo zaskoczony jak ja. Zresztą, nie widywali się już od dwóch czy trzech lat.

– Policja nic nie zrobiła?

– Sprawdzali w kostnicach, tutaj, w Baltimore, w Richmond. Zostawiali w takich miejscach informacje, na wypadek gdyby znaleziono niezidentyfikowane ciało. Powiedzieli, że nie ma dowodów, by popełniono zbrodnię. Zażyczyli sobie, żebym im dostarczył jej kartę od dentysty.

Sully przerwał pisanie i spojrzał na zdjęcie. Williams powiedział, że może je zatrzymać, bo ma ich mnóstwo. Zmienił pozycję na krześle; Sully domyślił się, że rozmowa dobiegła końca. Rozejrzał się po kuchni, małej, schludnie utrzymanej. Żadnych brudnych naczyń w zlewozmywaku. Czyste blaty. Na jednym z nich, pod ścianą, leżała paczka krakersów Ritz.

– Ożenił się pan powtórnie, panie Williams?

– Nie.

– Czy ktoś... jakaś znana panu osoba mogłaby chcieć zrobić Michelle krzywdę?

– Policja o to pytała. Nie. Nie mieliśmy z nikim zatargów. Chodziliśmy do kościoła od czasu do czasu, a kiedy była mała regularnie. Grała w koszykówkę w Cardozo. Miała całkiem dobre oceny. A potem nagle jej się ubzdurało, że kokaina jest odpowiedzią na wszystkie problemy.

– Ma pan coś przeciwko temu, żebym obejrzał jej pokój? Żebym mógł go opisać w swoim artykule.

Williams wreszcie podniósł wzrok.

– Wolałbym nie. Nie widzę potrzeby. Doceniam pańskie zainteresowanie Michelle, naprawdę. Ale nie rozumiem, jak wpuszczenie pana do pokoju córki miałyby pomóc w jej odnalezieniu.

Sully pokiwał głową i wstał. Szukał czegoś bardziej osobistego, jakiegoś poruszającego szczegółu, ale gospodarz nie zamierzał mu tego ułatwić.

– A mógłbym sam o nią popytać w okolicy, pokazując zdjęcie? Nie chcę, żeby pan był zaskoczony, kiedy ktoś panu doniesie, że obcy facet wypytuje o Michelle.

Williams wzruszył ramionami. Odprowadzając Sully’ego do drzwi, spojrzął na zegarek. Półmrok wokół przytłaczał, dopiero w holu Sully sobie uświadomił, że w całym domu pali się tylko jedno światło, kuchenna lampa nad zlewozmywakiem. W ciemności głos Williamsa wydawał się jeszcze niższy i bardziej ponury.

– Może pan pytać, proszę bardzo. Nie spodziewam się już, że ktoś ją znajdzie. Sam myślę, że nie żyje. Ale podrywam się, gdy dzwoni telefon. Kiedy słyszę w pociągu dziewczęcy śmiech. Domyślam się, że już zawsze tak będzie.

Wykonał gest w stronę drzwi; Sully otworzył je i wyszedł na zewnątrz. Zamrugał, oślepiiony słońcem wyzierającym zza chmur. Nie było sensu się odwracać, żeby powiedzieć do widzenia, bo drzwi już się z powrotem zamykały.

Rozdział 26

Zatem nie trzy młode kobiety zginęły czy zaginęły na tej samej ulicy w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy, w odległości niecałych dwustu metrów od siebie.

Na razie wiedział o pięciu.

Oczywiście mogło być więcej. Nie sądził, że wie o wszystkich. Miał jeszcze dziesiątki ulotek, których nie przejrzał. Cóż, nie dało się stwierdzić, że w każdym przypadku wchodziło w grę zabójstwo... jasne, okej, Rebekah Bolin mogła przedawkować. To się zdarzało, jak mówił John Parker, i było smutne, ale nie kryło tajemnicy.

Tylko że narkomani nie wczolgiwali się pod podłogę, żeby tam umrzeć. Rebekah i Noel Pittman, znalezione w takich miejscach, w domach odległych od siebie o jedną przecznicę. Lana, uduszona na boisku, w połowie drogi między tymi domami. Sarah, podcięto jej gardło piętnaście metrów od miejsca, gdzie znaleziono ciało Noel. Michelle, może jest gdzieś w pobliżu, czeka, żeby ją odkryto?

Wszystko to mogło stanowić kombinację przypadku i dysfunkcji, oczywiście, nie dało się wykluczyć takiej możliwości. Jednak idąc ulicą, Sully pozwolił sobie na wypowiedzenie na głos tego, o czym był przekonany; gdyby nie potrafił się na to zdobyć, z pewnością nie zdołałby przekonać nikogo w newsroomie.

– W mieście jest ktoś – powiedział głośno – ...kto zabija kobiety.

Przed sobą miał rząd starych szeregowych domów, były obłożone brązowym kamieniem, a ich fundamenty się zapadały. Stały odsunięte

od ulicy, nieme i jakieś dziwnie groźne w swej wynikającej z nędzy brzydocie. Wszystkie niemal identyczne jak dom Williamsa. Parter i piętro, weranda, jaskółki z małymi oknami, sutereny, betonowy taras. Miasto posadziło drzewka przed co drugim domem, na wąskim skrawku ziemi pomiędzy chodnikiem a jezdnią. Miały dostarczać cienia i zieleni – drobny makijaż na starzejącym się obliczu dzielnicy. Rosły jednak tak anemiczne, tak kiepsko utrzymane, że jeszcze wzmacniały wrażenie starości i zużycia.

Wybrał na chybił trafił jeden z domów, wszedł po schodach i zapukał. Gdzieś tam, za zbutwiałyymi drzwiami, ktoś wiedział więcej, niż mówił.

Do piątej osiągnął więcej, niż się spodziewał. W sześciu domach ludzie odpowiedzieli na pukanie i pamiętali Michelle. Nikt nie znał Lany, a tylko jedna lub dwie osoby rozpoznały Noel.

Dwie starsze pary znały Curtisa Williamsa od dawna. Powiedzieli Sully’emu, że widywali Michelle, od kiedy jako dziecko chodziła latem do narożnego sklepu po lody czy wracała z basenu w centrum rekreacyjnym. Dwie staruszki – rozmawiały z nim przez drzwi, ale podały swoje nazwiska – dobrze pamiętały Michelle, twierdziły też, że ze dwa razy widziały Noel. Młoda kobieta, która otworzyła mu ubrana w długą koszulę, a pod nią nie miała nic więcej, powiedziała, że rozmawiała z Noel na ulicy, mówiły sobie „cześć” i widziała ją w klubie. Rozmowa odbyła się na progu, Sully nie został zaproszony do środka, sam także się nie wpraszał.

Zakończył dwie bramy od opuszczonego domu, gdzie znaleziono Noel. Pod numerem 724 nikogo nie zastał, przeszedł więc chodnikiem dalej i stanął przed 722. Budynek był obskurny, od dawna niezamieszkały. Ktoś pozabijał sklejką wszystkie okna na parterze i większość na piętrze. Żółta policyjna taśma, którą otoczono werandę po odkryciu zwłok Noel, spadła na ziemię.

Mógłby po prostu nad nią przejść. Myślał o tym, rozglądając się w obie strony; ulica była pusta. Sully uważał tę okolicę za swoje terytorium, ale

przecież udzielił mu niewypowiedzianej zgody na to, żeby trochę powęszył. Sully szybko ruszył przed siebie. Pokonał zarośnięty przez chwasty chodnik mniej więcej dziesięcioma krokami, wbiegł po schodach i znalazł się na werandzie. Drzwi wejściowe opatrzone żółtą nalepką z wielkim napisem „Nie wchodzić – miejsce przestępstwa”. Zapukał, nacisnął klamkę i pchnął drewniane skrzydło.

Drzwi się uchyliły.

Dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie. Wyprostował plecy, instynktownie rozstawił nogi na szerokość ramion, dla lepszego utrzymania równowagi. Wsunął rękę do kieszeni, poczuł ciężar pistoletu, ale go nie wyciągnął.

Zwiniętą w pięść dłońią pchnął drzwi mocniej, aż ze skrzypieniem zawiasów otworzyły się na oścież, uderzyły przy tym lekko o wewnętrzną ścianę; przytrzymał je ręką. W środku było ciemno. Sully widział tylko schody na górę i złuszczoną tapetę. Kiedy się przechylił na bok, zobaczył w jednym z bocznych pokoi stertę gratów, kanapę, kilka krzeseł i wiadra odwrócone dnem ku górze.

Obejrząwszy się za siebie, wszedł dalej i puścił drzwi, pozwalając, by się za nim zamknęły.

– Halo! Tu policja miejska! Zabezpieczamy tę nieruchomość! Wychodzić!

Jego słowa odbijały się od ścian i sufitu, poza tym wokół nie było śladu życia. Drobinki kurzu przeleciały Sully’emu tuż przed nosem. Spojrzał w górę; dach przeciekał, tynk na suficie obłaził całymi płatami. Odczekał jeszcze chwilę. Z zewnątrz dobiegał szum ulicznego ruchu na Georgia Avenue, samochodów i ciężarówek. Odnalazł w plecaku mały nylonowy woreczek i wyjął z niego ledową latarkę, malutką, wielkości breloka do kluczy. Włączył ją i zrobił kolejne trzy kroki przed siebie.

– Hej, dupku, mówi do ciebie policja miejska! Natychmiast się wylegitymuj! Naruszasz teren miejsca przestępstwa!

Z góry, gdzie kilka okien nie zostało zabitych deskami, wpadało słabe światło dogasającego dnia. Dolne okna były zasłonięte arkuszami sklejki,

ale przez szpary między nimi też przebijały jasne smugi. Sully stał nieruchomo, wstrzymał oddech. Policzył do dwunastu. Nie słysząc żadnego dźwięku, nawet szmeru, wypuścił powietrze i wykonał następny krok. Gdyby w domu gnieździli się narkomani, z pewnością by ich usłyszał, jakoś by się ujawnili. Zejście do piwnicy miał tuż przed sobą, na końcu wąskiego korytarza obok schodów na piętro. Postawił plecak na ziemi za drzwiami wejściowymi, nie chciał, żeby go spowalniał albo stanowił pokusę na wypadek, gdyby nagle zmaterializował się jakiś naćpany zombie.

Szedł po schodach na górę, chcąc się upewnić, że nikt go nie zajdzie od tyłu i nie odetnie mu drogi do wyjścia. Stawiał stopy na zewnętrznych krawędziach stopni, uważając, by pociemniałe od wilgoci drewno nie zapadło się pod jego ciężarem. Udało mu się dotrzeć na piętro.

W łazience panował brud, wszędzie widać było odchody gołębi i szczurów, rurki prysznicza pokrywała rdza, a na podłodze walały się odłamki rozbitego lustra i pokruszonych kafli. Lampy dawno ktoś pozrywał, z sufitu zwisały końcówki odsłoniętych kabli. Na podłodze w każdym pomieszczeniu zbierały się kałuże wody. W sypialni od podwórza stało łóżko z ramą i sprężynami, ale bez materaca. Karaluchy umykały Sully'emu spod nóg.

Okna frontowej sypialni były zabite arkuszami sklejki. Wewnątrz panował mrok i wilgoć; pomieszczenie było puste, jeśli nie liczyć śmieci w kącie, puszek po piwie, niedopałków i pustych opakowań po chipsach... oraz charakterystycznego odoru uryny i ekskrementów. Doprawdy trudno uwierzyć, że kiedyś ludzie mieszkali, spali, śnili i kochali się w tych pomieszczeniach, że w tych ścianach rozlegały się ludzkie głosy, snuto plany, istniała perspektywa przyszłości. Nic z tego nie pozostało, obecnie przedstawiały sobą obraz nędzy i upadku.

Zszedł z powrotem na dół, zajrzał do kuchni, a potem otworzył drzwi do piwnicy.

Powitał go wilgotny smród – mokrej ziemi, stęchlizny i ciała w rozkładzie. Zakaszłał. Było całkiem ciemno. Oświetlił spocznik, z którego odchodziły w dół schody. Ujrzał na nim ślady stóp i długie, równe smugi, jakby coś ciągnięto, wyraźne na brudnym podłożu, pozostałości po działaniach śledczych i ekipy techników kryminalistycznych. Próbował sobie wyobrazić noc – bo wyobrażał sobie, że to musiało być w nocy – gdy ktoś znosił Noel do piwnicy.

Kobieta, którą widział na zdjęciach, z piękną skórą, idealnie zgrabnymi biodrami, dużymi kolczykami, włosami szesany na lewe ramię, pełna wigoru, seksowna, nie była żadną zdegenerowaną ćpunką. Tylko ostateczna desperacja mogła zmusić człowieka do zejścia po tych schodach, a nic nie wskazywało, by Noel była zdesperowana. Nie żyła już, kiedy ją wniesiono do tego domu, teraz już miał pewność.

Ostrożnie postawił obie stopy na spoczniku, przykucnął i oświetlił schody aż do samego dołu.

Światło latarki wycięło wąski tunel w ciemności. W kącie pomieszczenia zalegała sterta krzesel, worków na śmieci, stare siedzenie samochodowe, buty, mop, coś, co wyglądało na kłęby szmat, telewizor starego typu, przewrócony na bok. Dostrzegł przepastną dziurę w zniszczonej drewnianej podłodze. Wziął głęboki wdech i szybko zszedł po schodach, po drodze zataczając latarką nierówne koła. Zaczepił o coś stopą, potknął się, zaklął i oparł o podstawę schodów dla złapania równowagi; czuł jak pot zbiera mu się na karku.

Oświetlił grób, parę metrów dalej po lewej. John mówił, że na drewnianej podłodze leżało linoleum. Teraz deski, powyrywane, złożono pod ceglana zewnętrzną ścianą, w sąsiedztwie starych składanych metalowych krzesel, części pralki i porozrywanych worków ze śmieciami. Kawałki drewna wały się wszędzie. Brązową ziemię usypano w kopiec na tyłach pomieszczenia, wokół były rozrzucone większe grudy i drobny pył. Otwór miał może metr głębokości, technicy bez wątplenia kopali głębiej niż ten,

kto dokonywał pochówku. Odór mokrej ziemi i rozkładu dławił w gardle. W ziemi wiły się robaki. Otwór jakby wibrował, niczym otchłań żądna odzyskać swoją lepłą strawę z rozkładającego się mięsa i krwi. Otwarta ziemna czeluść przypominała Sully'emu o masowym grobie, który widział podczas wojny na Bałkanach, głębokim rowie, gdzie zmarłych pochłaniało wodniste błoto.

Skierował promień światła nieco wyżej i obszedł otwór, by dojść do sterty gratów, które musiano usunąć, żeby odsłonić miejsce zakopania ciała. Krzesła, pralka, puste puszki po chili, buty, zetłane koszule, spodnie, damskie bluzki, puste pojemniki po konserwowych warzywach, niedopałki, dwa... trzy zgniecione pudełka po marlboro, takich, jakie palił jego ojciec, stary metalowy koszyk na chleb lub na coś innego... Zawróciwszy w stronę grobu, podążał za promieniem światła z latarki, które rozpraszało smolisty mrok.

Uklęknął i patrząc na ziemię, wyciągnął rękę, żeby jej dotknąć, poczuć ją na palcach. Dno grobu było mokre, nasiąknięte bryły sklejały się ze sobą.

– Noel – odezwał się cicho. Skończyła w takim miejscu, ktoś ją w nim umieścił. Ktoś kopał tę ziemię w ciemności... W pośpiechu?

Na górze zaskrzypiały otwierane drzwi. Zadudniły kroki, tuż nad jego głową. Drzwi zamknęły się z hukiem.

Uklucie strachu u nasady kręgosłupa rozeszło się dreszczem po reszcie ciała. Ktoś był nad nim, odcinał mu drogę odwrotu, zmuszał do pozostania tam na dole, w ciemności, w tym gnoju. Zgasił latarkę, wyciągnął z kieszeni pistolet i odbezpieczył.

Ten ktoś miał ciężki chód, stąpał niezdecydowanie. Przeszedł na prawo, a potem do kuchni. Sully spojrzał w górę schodów. Zostawił drzwi do piwnicy otwarte, a plecak na podłodze za drzwiami wejściowymi do domu.

Szybko odwrócił latarkę światłem do dołu i włączył, zakrywając dłonią szybkę; światło sączyło mu się przez palce i padało na stopy. Wokół nich

widział tylko ziemię. Zrobił krok przed siebie. Żadnego odgłosu. Następny krok, jeszcze dwa i się zatrzymał.

Znalazł się przy grobie, poza zasięgiem wzroku osoby, która stała na spoczniku u szczytu schodów. Wyłączył światło. Intruz nad nim nie wchodził na piętro, tylko obszedł wszystkie pomieszczenia parteru i cofał się do wyjścia.

Nagle, bez ostrzeżenia, przebiegł wąskim przejściem – tup, tup, tup – i stanął przed drzwiami do piwnicy, nie więcej niż jakieś siedem metrów od Sully’ego.

Sully odchylił się do tyłu i przyklęknął, omal się przy tym nie przewrócił. Za wszelką cenę chciał zniknąć z pola widzenia; wystarczyło, żeby ten sukinsyn na górze pochylił się z latarką, a on znalazłby się w potrzasku.

Cień u szczytu schodów nie wszedł na spocznik. Nie poruszył drzwiami. Stał tam, nieruchomo, przez minutę lub dwie. Sully, czując coraz boleśniejszy skurcz w nogach, oddychał w dłonie trzymane przy ustach.

Drzwi piwnicy skrzypnęły, jakby je lekko pchnięto. Odbiły się od ściany, lecz zanim wróciły do wcześniejszego położenia, w progu ukazał się ciemniejszy cień.

Z końca tego cienia wydarł się błysk, kula uderzyła w ziemię koło Sully’ego. Drugi strzał rozbił na drzazgi odłamaną deskę. Sully patrzył na kawałki drewna i myślał gorączkowo: tłumik, człowiek na górze miał broń z tłumikiem. Nastąpiły jeszcze dwa błyski, jedna kula odłupała kawałek betonu ze ściany, druga odbiła się o nią rykoszetem.

Sully zrobił krok do tyłu i w ciemności zaczepił o coś obcasem. Był za bardzo odchylony, żeby odzyskać równowagę. Bezradny w tej sytuacji uniósł pistolet i padając na plecy, wypalił, raz, drugi, trzeci; trafił w schody, w spocznik, wybił dziurę w drzwiach.

Wybuchy zagłuszyły hałas upadku, jego i tego, o co się potknął, prawdopodobnie wiadra. Leżał nieruchomo rozciągnięty na ziemi i spojrzawszy w górę, zastanawiał się, czy trafił sukinsyna.

Dwa wystrzały, oba zagłuszone tłumikiem, odpowiedziały mu na to pytanie; jedna kula wbiła się w ziemię, druga odłamała kawałek porcelany. Kroki na górze cofnęły się w stronę frontowych drzwi, Sully kierował ich śladem lufę pistoletu, ale nie strzelił.

Drzwi otwarły się i zatrzasnęły. Zapadła cisza.

Zamknął i ponownie otworzył oczy, w uszach mu dzwoniło od huku jego własnej broni, którą wciąż trzymał wycelowaną w górę, lewą ręką przytrzymywał nadgarstek prawej.

Wstał powoli i czekał aż krew zacznie normalnie krążyć w zeszywniałych nogach. Prawe kolano... dobry Boże. Poruszył nim kilka razy w przód i do tyłu. Wyciągnął przed siebie lewą rękę, oświetlił ją latarką. Osiemnasta dwadzieścia dwie. Wyłączył latarkę i zaczął liczyć. Kiedy po doliczeniu do stu niczego nie usłyszał, znów ją zapalił. Osiemnasta dwadzieścia cztery.

Człowiek z bronią sobie poszedł albo czekał na niego, schowany gdzieś przy drzwiach; trzaśnięcie mogło być udawane, żeby go wywabić.

Oświetlając sobie drogę, zbliżył się do schodów.

Znów policzył, tym razem do pięćdziesięciu, ledwie oddychając, a potem wszedł na pierwszy stopień, z latarką w lewej ręce, pistoletem w prawej. Nasłuchiwał, wstrzymawszy oddech. Nic. Cisza. Pędem pokonał resztę schodów i pchnął drzwi na oścież. Znieruchomiał na moment, a potem wysunął rękę z bronią do korytarza parteru. Nic.

Ktokolwiek to był, już sobie poszedł.

Wypuścił wstrzymywane powietrze, powoli, bezwiednie. Schował broń do kurtki. Ostrożnie wszedł na spocznik, a potem do holu. Wszystko wokół wyglądało tak samo, jak wcześniej. Ze zdumieniem odkrył, że intruz nie zabrał jego plecaka.

Podniósł go z podłogi i nasłuchiwał, czy odezwą się syreny. Czyżby nikt inny nie słyszał wystrzałów? Szybszym krokiem przeszedł do kuchni, gdzie znajdowały się drzwi wychodzące na podwórze. Przez okno zobaczył

jedynie wysoką trawę i śmieci. Klucz wciąż tkwił w zamku. Dał się bez trudu przekręcić. Kiedy Sully pociągnął za klamkę, drzwi się otworzyły.

Owiało go cudownie świeże powietrze. Wciągnął je głęboko w płuca i wyjrzał na zewnątrz przed wyjściem. Otarł dłonią pot z czoła. Zamknął za sobą drzwi i szybko przeszedł na tyły posesji.

Przeskoczył przez metalowy płot, stęknął, gdy opadł na chorą nogę; znalazł się na chodniku wąskiej uliczki, za sklepami przy Georgia Avenue. Kilka kroków doprowadziło go do zakrętu; ręce mu drżały, nerwy miał napięte jak struny. Szedł po betonowych płytach gdzieśgdzie posypanych żwirem. Po prawej, w odległości jakichś dwunastu metrów stał śmietnik sklepu Doyle'a. Sully spojrzał w lewo, tam uliczka skręcała i jej dalsza część znikła mu z oczu. Wiedział, że zaraz za zakrętem powinny być śmietniki restauracji Hunger Stopper oraz innych sklepów. Z miejsca, w którym stał, nie było ich widać. Śmietnik, gdzie zabito Sarah, znajdował się całkiem poza zasięgiem wzroku.

Sully skierował się w prawo i doszedł do śmietnika. Pojemnik miał żywozielony kolor, bez śladu rdzy, sprawiał wrażenie nowego. Następnie przeszedł do końca uliczki, na Princeton Place i skręcił w lewo. Kilka metrów dalej minął mały parking Doyle'a, a potem wszedł na chodnik równoległy do Georgia Avenue.

W sklepach paliły się światła, uliczne lampy rozpraszały mrok w górze. Samochody też jechały z włączonymi światłami, te widziane od tyłu błyskały czerwonymi przy hamowaniu. Trwała godzina szczytu. Nikt nie krzyczał, nic się nie stało. Gwiazdy wisiały na niebie we właściwych punktach. Zaraz po tym, gdy minął Hunger Stoppera i skręcił w Otis, idąc do swojego motocykla, przyszedł mu do głowy Doyle.

Chryste. Zupełnie o nim zapomniał.

Rozdział 27

Doyle siedział za ladą i czytał czasopismo. W sklepie było pusto, jarzeniówki dawały tępe białe światło. Coś jeszcze się zmieniło, Sully potrzebował minuty, żeby odkryć co – zniknął jazgot telewizora.

– Poszła do fryzjera – odpowiedział Doyle na pytanie Sully’ego o Bettie.

Sully wzięwszy torebkę orzeszków i colę skierował się ku ladzie; dokonywał zakupu przez grzeczność, ale też po to, by zająć czymś ręce, uspokoić nerwy, wciąż napięte po strzelaninie. Doyle, spoglądając znad okularów, wbił należność na kasie i wyjaśnił, że Bettie postanowiła zostawiać sklep przez parę dni w tygodniu na jego głowie.

– Przestraszyła się, niemądra. – Westchnął. Spodnie khaki miał zaprasowane w kant, koszulę wykrochmaloną.

– Masz jeszcze paru innych pracowników, prawda?

– Dwóch, trzech. Ale Bettie jest z rodziny. Zatrudniam ją na etat i płacę pensję. Pozostali są na godziny. Jeśli wezmę kogoś innego, będę płacił i jej, i jemu.

– Może powinieneś po prostu dać jej tydzień wolnego.

– Chyba mógłbym. Tylko że klienci ją uwielbiają, a musimy obecnie dbać o ludzi. I bez tego interes kiepsko idzie.

Sully przegryzł garść orzeszków i popił je długim łykiem coli.

– To mi o czymś przypomina – oznajmił. – Klienci. – Sięgnął do plecaka, dając Doyle’owi czas na spokojne powiedzenie tego, co zamierzał powiedzieć, pogrzebał wśród notatników i znalazł zdjęcia dziewczyn. Rozłożył je na ladzie, odwracając tak, by były skierowane właściwą stroną

do Goodwina. – Rozpoznajesz którąś? Lana Escobar, Noel Pittman, a ta to Michelle Williams. Piszę artykuł o tej okolicy.

– Wszystkie mieszkają tu w pobliżu? – spytał Doyle.

Sully wsypał do ust kolejną garść orzeszków.

– Tak. W promieniu paru przecznic stąd. Chodzę dziś i trochę pytam. Często tu przychodzą? W ogóle je znasz?

Doyle przyglądał się zdjęciom przez szkła okularów; z zadumą obejrzał każde z nich.

– Może, nie wiem. Przeważnie Bettie obsługuje kasę, ja siedzę na zapleczu. A ta, to kto? Wydaje mi się, że widziałem ją na Princeton Place. W tym interesie trudno zapamiętać młodych klientów. Ci starsi, którzy stale przychodzą, to owszem, ich się zna.

– To jest Noel – odpowiedział Sully – Domyślam się...

– O Chryste Panie, taplałeś się w błocie? Co się stało z twoimi butami?

Zaskoczony Doyle aż się wychylił z za lady. Sully spojrzał w dół. Całe buty, po bokach i nawet od góry, miał oblepione ziemią.

– O cholera. – Udawał, że ogląda swoje stopy, grał na zwłokę, zastanawiając się, czy wspomnieć Doyle'owi o wizycie w sąsiednim domu, o tym, co się tam wydarzyło, o strzelaninie. Po namyśle jednak zrezygnował. – Nawadniają trawę w centrum rekreacyjnym, na boisku do baseballu. Rozmawiałem z ludźmi i poszedłem tamtędy na skróty. Zszedłem z trawy na gruntową ścieżkę i dopiero po dwóch krokach się zorientowałem, że całkiem rozmiękła.

Wyszedł na zewnątrz, zatupał nogami na betonowym chodniku, otarł boki butów i podeszwy o barierkę na parkingu, po czym wrócił do sklepu.

– Przepraszam. Powinienem był pójść do domu się przebrać. Ale ciekawiło mnie, co chciałeś mi powiedzieć wczoraj wieczorem.

– Koszulę też masz brudną. – Doyle postukał dwoma wyprostowanymi palcami po własnych plecach.

Sully obejrzał się przez prawe ramię, naciągając nieco materiał koszuli. Zobaczył zabrudzenie, dużą ciemną smugę nad łopatką. Coś takiego musiało irytować człowieka o wielkim zamiłowaniu dla porządku, jakie miał Doyle.

– Co jeszcze? Człowieku, wystarczy się oprzeć o ścianę któregoś z tych domów tutaj i proszę. Niech to szlag.

Doyle machnął ręką, odkaszlnął.

– Okej. Posłuchaj. Musiałem... muszę ci coś powiedzieć w związku z tą Reese, ale na osobności. Nie chciałem tego robić wczoraj wieczorem przy tłumie ludzi. Nie wiem, czy to ważne. Ale według mnie nie w porządku.

Sully próbował zetrzeć brud z koszuli, zadowolony, że Doyle wreszcie przeszedł do rzeczy.

– Tak? Co masz na myśli?

Doyle pokiwał głową, wysuwając do przodu drobne, lecz umięśnione ramiona. Zdjął okulary.

– Ale nie możesz tego wydrukować. Ani wyjawić, że wiesz ode mnie. Jeśli kto inny też ci to powie, świetnie, ale za nic nie chcę, żeby wiązano z tym moje nazwisko.

– Nie mam pojęcia, o co chodzi, dopóki mi nie powiesz, ale zgadzam się, nie wydrukuję tego, jeśli nie uzyskam potwierdzenia od drugiej, a może i trzeciej osoby.

– W porządku. No to mówię. Sędzia. Ojciec Sarah.

– Tak?

– Zdarzało mu się przychodzić tu po colę albo coś innego, późno w piątki, już po tym, kiedy przejmowałem dyżur od Bettie. I w sobotę rano. Ja wtedy otwieram i zostaję do południa. Domyślam się, że odwoził tę małą na próby tańca.

– Okej.

– Nie żebym widział w tym coś szczególnego, ale w tej okolicy nie ma już zbyt wielu białych. Dlatego ci, którzy są, zauważają się, pozdrawiają

przy spotkaniu. Dobrze ubrany biały mężczyzna w moim sklepie? Nieczęsto mam takich klientów. Dlatego zapamiętałem. Więc któreś soboty rano zobaczyłem go na początku Princeton Place, tuż koło boiska do baseballu. Wysiadał z samochodu, z mercedesa albo bmw, w każdym razie czegoś srebrnego. Przechodziłem tamtędy w drodze do sklepu, rozpoznałem go, więc się ukloniłem i powiedziałem „dzień dobry”. A on stał tam i patrzył na mnie, jakbym się w ogóle nie odezwał. Chwilę patrzył, a potem się po prostu odwrócił i dalej coś tam robił. Bardzo nieuprzejmie.

– Zrozumiały dupek, co?

– Ale nie o tym chciałem ci powiedzieć. Chciałem ci powiedzieć, że mnie to wkurzyło. Powiedziałem sobie: „On uważa, że jest ważnym sędzią, a ja jestem drobnym sklepikarzem, więc nawet mnie nie poznaje. Albo uważa, że nie warto się do mnie odzywać”. Jestem marynarzem w stanie spoczynku. Służyłem swojemu krajowi. Nie muszę nikogo za nic przeproszać. Pracuję w tym sklepie od dwunastu lat i wiem, po prostu wiem, że mnie poznał. Odwróciłem się, bo daję słowo, miałem do niego wrócić i powiedzieć: „Nazywam się Doyle Goodwin, a pan przychodzi na zakupy do mojego sklepu tam na rogu ulicy i dobrze pan wie, kim jestem”.

– Dobrze zrobiłeś, należało mu nagadać.

– Tylko że mi nie wyszło, bo kiedy się odwróciłem, to co ujrzałem? On stał już przed drzwiami tego domu, gdzie mieszkała Pittman. Otworzyła mu drzwi. I pocałowała go w usta.

Sully aż się zakrztusił, cola wpadła mu do nosa, poczuł ból w zatokach.

– Co powiedziałaś?

– Miała na sobie jakieś skąpe nocne ciuszki. Wpuściła go do domu.

– Oni się znali? Mam na myśli... w sensie biblijnym?

– Właśnie to ci chciałem powiedzieć.

Sully stał na szeroko rozstawionych nogach.

– Nie mogę... po prostu... Co na to policja?

– Nie powiedziałem im.

– Nie powiedziałaś?

– Przesłuchiwali mnie, zanim się okazało, że ta Pittman nie żyje. Dlatego wtedy nie widziałem powodu, żeby im mówić. Zabili człowiekowi córkę, a ja będę mówił policji, że on się ugania za kobietami? W życiu bym tego nie zrobił. Ale potem, gdy znaleziono tę Pittman martwą, zacząłem o tym myśleć inaczej.

– I nadal do nich nie zadzwoniłeś?

Doyle siedział na swoim krześle za ladą. Potarł dłonią policzek, potem brodę. Zakołysał się lekko do tyłu i do przodu.

– Myślałem o tym. Ale zrozum, już ci mówiłem, zabójstwo tej dziewczyny za naszym sklepem naprawdę się na nas odbiło. Ludzie myślą, że to my wydaliśmy tych chłopaków policji i nie chcą już u nas kupować. W tej sytuacji miałem iść na policję i powiedzieć im, że sędzia federalny zadawał się z tą czarną dziewczyną? Gdybym wierzył, że wszystkich traktują równo, to może. Ale dobrze wiesz, Sully, że tak nie jest. Wszystko by zatuszowali. A ja? Hej, niespodzianka, dostałbym za swoje od wszystkich po kolei, począwszy od miejscowej administracji po skarbówkę. Miałbym kontrole przez osiemnaście lat z rządu. Niewiele znaczą, Sully. On by mnie pogrzebał.

– Rozumiem twoje podejście. Rozumiem. Nie próbuję cię do niczego namawiać. Ale muszę ci powiedzieć, Doyle, że tu chodzi o cholernie dużą sprawę. Sędzia federalny związany z młodą kobietą, którą odnajduje się martwą? I jego córka zabita niemal na tej samej ulicy?

Doyle uderzył w ladę rozpostartą dłonią, okulary zatrzęsły mu się na końcu nosa.

– Właśnie dlatego nie chcę się w to mieszać! Interes ledwie dyszy! Jesteś tutaj od dziesięciu minut, widziałeś, żeby ktoś wszedł? Bettie kurczy się za każdym razem, kiedy ktoś otwiera drzwi, bo myśli, że zaraz ją zastrzela!

Wziął głęboki oddech, próbując się opanować. Oparł ręce na ladzie. Ściszył głos, mówienie przychodziło mu z wyraźnym wysiłkiem.

– Może dojdziemy do siebie przed Bożym Narodzeniem. Może, jeśli ten cały szum się uspokoi. Ale nie, jeśli wystąpię przeciwko sędziemu federalnemu. Bo wtedy będę skoń... czo... ny. – Każdą sylabę akcentował uderzeniem dłoni o blat, żyły na szyi mu napęczniały, poczerwieniały na twarzy.

Sully, zaskoczony wybuchem, oparł się o zamrażarkę z lodami; modlił się w duchu, żeby nikt akurat w tym momencie nie zechciał wejść do sklepu. W głowie mu wirowało, miał wrażenie, że w głębi czaszki wybuchają mu małe białe odłamki.

– No dobrze – odezwał się. – Oto, co mogę zrobić. Nie podam twojego nazwiska, ale powiem ludziom, że mam informatora, który widział Reese’a i Pittman razem, w romantycznej zażyłości. Nie ujawnię, kto jest tym informatorem. Jeśli moi zwierzchnicy się uprą, to im będę musiał powiedzieć, ale to nie znaczy, że nazwisko trafi do gazety. To będzie znaczyło tylko tyle, że chcą mieć pewność, że tego nie zmyśliłem.

– Dlaczego mieliby tak myśleć?

– To nic osobistego. Tak już po prostu jest. Skoro coś ma się ukazać w gazecie, to wszyscy chcą być pewni. Służyłeś w marynarce. Ktoś mówi: „Widzę rosyjski okręt podwodny!” Wtedy kapitan nie odpowie: „Strzelaj”. Powie: „Pokaż mi go”.

Doyle opuścił wzrok, a potem znów spojrzął na Sully’ego. Splótł ramiona na piersi.

– Więc komu właściwie zamierzasz powiedzieć, że masz informatora? Policji nie możesz.

– Nie, nie. Po prostu wykorzystam to jako podstawę dziennikarskiej relacji. Obejdę okolicę ze zdjęciem Reese’a, tak jak zrobiłem z tymi trzema dziewczynami, będę pytał, czy ktoś go rozpoznaje. Tak jak ciebie pytałem,

zgadza się? Pokazałem ci zdjęcia i spytałem, czy poznajesz osoby, które przedstawiają. Nic nie mówiłem o nikim innym.

– W porządku.

– Okej. Reese nadal przychodził do sklepu po zniknięciu Noel?

– Nie robiłem notatek. Ale od dłuższego czasu go nie widziałem.

– Okej. Okej. Spytałem o to krewnych Pittman, powiem im, że mam informacje, jakoby była związana z mężczyzną o imieniu David, i zobaczę, co odpowiedzą.

– A sędzia? Powiesz mu?

– Jeśli jakieś inne osoby potwierdzą, że go widziały, albo znajdę inny dowód, że miał romans z Pittman, wtedy pójdę do niego i przekonam się, jak zareaguje.

– Ale nie użyjesz mojego nazwiska?

Sully wyciągnął rękę ponad ladą.

– Ja nie doprowadzam ludzi do zguby, Doyle.

Mężczyzna za ladą pokiwał głową, uściśnął podaną dłoń. Odchylił się do tyłu na krześle, a potem przeczyścił okulary szmatką leżącą przy kasie, co najwyraźniej było objawem nerwicowym.

– Lepiej mi, kiedy już ktoś o tym powiedziałem – wyznał. Odchrząknął, po czym z niekłamaną ulgą, rozpromieniony dodał: – Okropnie mnie męczyło utrzymywanie czegoś takiego w tajemnicy.

Rozdział 28

Sully wyszedł ze sklepu rozgorączkowany; zanim zdążył pomyśleć o czymkolwiek innym, dostrzegł jaskrawoczerwony świetlny szyld studia tańca Big Apple po drugiej stronie ulicy, który przyciągał jak magnes, jak płomień.

Wykorzystał przerwę w ruchu i przeciął jezdnię. Zapadał zmierzch, robiło się coraz zimniej. Gdy tylko otworzył szklane drzwi, jego uszy zaatakowała dudniąca muzyka z pomieszczeń na piętrze. Biurko recepcjonistki stało nieopodal wejścia pod ścianą.

Zapytał o Reginę Blocker, właścicielkę, na co usłyszał, że tego dnia już jej nie będzie. Chciał zapytać o Victorię, ale sobie przypomniał, że to nie jest jej prawdziwe imię. Odwrócił się i w tym samym momencie zobaczył ją jak na zawołanie; schodziła po schodach.

Miała na sobie trykot, buty do biegania i białą bluzę, z wyciętym pod szyją nożyczkami dużym trójkątnym dekoltem, a na ramieniu przewieszoną sportową torbę. Biała opaska przytrzymywała jej warkoczyki przed opadaniem na twarz. Sully pomyślał, że wygląda atletycznie i atrakcyjnie, jak niska skrzydłowa ze studenckiej drużyny koszykówki.

– No proszę – zawołał. – W samą porę. – Gestem dłoni wskazał drzwi i ruszył w ich stronę, jakby mieli jakieś wspólne plany.

Popatrzyła na niego nieufnie, ale wyszła za nim na zewnątrz.

– Ja tylko lecę na drugą stronę, do Hunger Stopper, żeby kupić coś do jedzenia – powiedziała.

Sully pokiwał głową.

– No to proszę dać się zaprosić.

Kiedy przechodzili przez ulicę, spytała:

– Coś się dzieje? Nie mam nic przeciwko temu, żeby panu pomóc, ale nie chcę...

– Nikt pani nie rozpoznał jako „Victorii”, prawda?

– Nie – przyznała, zdobywając się na uśmiech. Widać było, że czuje się pewnie, kiedy otwierała drzwi do restauracji, podchodziła do okienka z zamówieniami na wynos, czytała menu. Była na swoim gruncie. – Dobrzy jesteście.

– Ale ja nadal nie wiem, jak pani naprawdę ma na imię.

– To tragedia.

Sully, wciąż pod wrażeniem rewelacji usłyszanych od Doyle’a, stał obok niej i czekał, kiedy zamawiała kanapkę z wołowiną i kawę na wynos. Sięgnął do plecaka po trzy zdjęcia. Rozłożył je, najszerzej jak się dało, na ladzie do odbierania zamówień, zadowolony, że nikt nie stoi za nimi w kolejce.

– Muszę pani zadać jeszcze jedno pytanie – zaczął.

– To jest Noel – oznajmiła.

– Nawet nie musiałem pytać.

– Przychodziła kiedyś do studia. Hip-hop. – Obejrzała pozostałe dwa zdjęcia. – To Latynoska, o którą pan pytał w zeszłym roku. Tej trzeciej nie znam.

– Noel brała lekcje?

– Tak. Występowała w Halo. Nie chciała się najeść wstydu.

– Uczęszczała na kurs?

– Przychodziła czasami, z tego co wiem, brała udział w zajęciach grupowych.

– Widziała ją tam pani?

– Prowadziłam te zajęcia.

– Aha. Więc pani też umie tak tańczyć, jak tańczą w Halo?

– Lubi pan takie rzeczy, panie dziennikarzu?

Zaśmiał się, złapany za słowo.

– Nie, nie, nie to miałem na myśli, ja tylko...

– Faceci zwykle lubią. Nie ma się czego krępować. Dlaczego pokazuje mi pan te zdjęcia, kiedy próbuję zdobyć coś do jedzenia? Mam następne zajęcia. Muszę wracać.

– Ja... pracowałem tu niedaleko, więc wstąpiłem. Zna pani Davida Reese'a?

– Tata Sarah, jasne.

– Bywał w studiu?

– Przywoził, odbierał. Głównie w soboty. Jak już panu mówiłam.

– Czekał w studiu, aż Sarah skończy tańczyć?

– Nie. Czasami przyjeżdżał po nią spóźniony dziesięć, piętnaście minut.

– Pamięta pani, o której miała zajęcia?

– Sarah? Była w grupie tańca nowoczesnego, poziom dla średnio zaawansowanych. Czyli osiemnasta w dni powszednie, dziesiąta w soboty.

– Okej, a kiedy odbywały się lekcje, na których bywała Noel?

– W soboty rano. Jako pierwsze. Ale... była też druga grupa z tym samym programem. Zaczynała o jedenastej. Ją też ja uczyłam.

– Domyślam się, że pierwsza zaczynała o dziewiątej.

– Ależ jesteśmy bystrzy.

– Co znaczy, że wczesne zajęcia Noel kończyły się wtedy, kiedy Sarah zaczynała.

– A te drugie zaczynały się, kiedy Sarah kończyła. Okalały je z obu stron.

Człowiek obsługujący ladę przyniósł kartonowy kubek z kawą, przykryty plastikowym wieczkiem i brązową papierową torebką. Nim Victoria zdążyła wyjąć pieniądze, Sully podał mu dziesięciodolarowy banknot i powiedział, że nie musi wydawać reszty.

– Pamięta pani, na które Noel przychodziła najczęściej?

– No, no, dzięki. Nie pamiętam. To dziesięciodniowy kurs. Płacisz przy zapisie i możesz przychodzić albo nie przychodzić, jak ci się podoba.

Wyszła na zewnątrz, popijając kawę, czekała, aż ruch ustanie, żeby móc wrócić na drugą stronę ulicy do studia.

– Jak długo Noel chodziła na zajęcia?

– Nie pamiętam. Może pan spytać Reginę, ale ona nic panu nie powie. Może to był rok. Prawdopodobnie krócej.

– Przychodziła cały czas do momentu, kiedy zaginęła?

Wzruszyła ramionami.

– Nie wiem, kiedy zaginęła. Po prostu przestała przychodzić. W grupie było sześć lub osiem dziewczyn. Nie sprawdzałam obecności.

Na jezdni zrobiło się luźniej, więc ruszyła na drugą stronę. Sully został na chodniku.

– Może mi pani zdradzić swoje imię, jeśli chce – zawołał za nią.

Zawróciła na środku drogi i szła w jego stronę z uśmiechem.

– Prosi pan o mój numer?

Całkowicie go zaskoczyła. Nie miał nic przeciwko temu, po prostu się nie spodziewał, sam pomyślał, że może coś innego niż Dusty...

– A powinienem?

Odwróciła się i ze śmiechem uniosła kubek w geście pożegnania.

– Proszę mnie trzymać z dala od tego gówna.

– A co z pani numerem?

– Musi się pan bardziej postarać. – Pomachała torebką z kanapką.

Sully przez chwilę stał na chodniku. Musiał przyznać, że Victoria jest cholernie seksowna, i droczyła się z nim, co dosyć lubił, ale przecież była Dusty i... Zamrugnął i westchnął. Należało się skupić. Za dużo cholernego szczęścia naraz.

Wyciągnął komórkę i wybrał numer Sully'ego.

Rozdział 29

Pięć minut później Sly Hastings otworzył drzwi, odsunął zasuwę w bramie. Sully podążył za jego kanciastą sylwetką przez hol, a potem schodami do piwnicy.

Na dole grała muzyka, Sully rozpoznał Milesa Davisa, ze środkowego okresu twórczości. Sly usiadł na stołku przy barze. Donnell spał na podłodze w kuchni, otworzył jedno oko i patrzył, kiedy Sully, przekroczywszy go, zbliżył się do lodówki.

– Powinieneś tu trzymać bourbona – powiedział, zaglądając do środka.

– Nie pijam tego gówna.

Sully wyjął puszkę piwa Miller, otworzył i pociągnął długi łyk.

– Ktoś do mnie strzelał – oznajmił. – Parę razy.

Sly oderwał wzrok od telewizora, nastawionego na kanał informacyjny, z wyłączonym dźwiękiem, i spojrzał na Sully'ego. Nie sprawiał wrażenia zaskoczonego.

– Bez jaj – rzucił.

– W domu na Princeton Place, gdzie znaleźli Noel Pittman.

– Dlaczego?

– Skąd mam, kurwa, wiedzieć? Byłem w piwnicy, żeby się trochę rozejrzeć. A ten sukinsyn przyszedł, wstawił rękę do piwnicy i zaczął strzelać. Nie pogadaliśmy.

– Nie widziałeś, kto to był?

– Nie.

– Był sam?

- Tak mi się wydaje.
- Dlaczego nie zeszli na dół i cię nie załatwili?
- Może dlatego, że ja też strzelałem.

Sly zamilkł, zmrużył oczy.

- Polazłeś do tego domu, zszedłeś do piwnicy i strzelałeś?

– Zgadza się.

– Nie wiedziałem, że nosisz broń.

– Odkąd ktoś mi przywalił granatem.

– Ale to było podczas wojny, nie?

– Odebrałem to jako coś osobistego.

– Nie sądziłem, że dziennikarze są uzbrojeni.

– Nic mi o tym nie wiadomo, nie, nie jesteśmy.

– Ale ty jesteś.

– Ja tak.

– I dopiero co próbowałeś zastrzelić tamtego sukinsyna?

– No przecież ci mówię.

– A ja mówię, że tam było dwóch gości strzelających do siebie nawzajem i żaden w nic nie trafił. Na ogół, jeśli chcesz kogoś zastrzelić, to ci się udaje.

– Muszę wstąpić rano na strzelnicę, popracować nad celnością.

– Czego tam szukałeś, w tej piwnicy?

– Czegokolwiek. Nie wiem. Nigdy się nie wie, dopóki się nie pójdzie i nie poszuka. – Popatrzył na swoją rękę, która znów drżała. – Jezu, nie masz tu whisky?

Sly, zamyślony, jakby nie usłyszał ostatniego pytania.

– Ten, co strzelał... w tamtym domu, strzelał na oślep do kogoś w piwnicy. Nie widział cię? Nie wiedział, że to ty?

– Nie sądzę, żeby wiedział.

– Co to oznacza? Że ktoś, może ten, kto zabił Noel, nie chce, żeby tam wchodzić. Może myśli, że coś tam zostawił.

– Gliny dokładnie wszystko przeszukały.

– Niby tak, ale federalni mogli coś przeoczyć. Wszedłeś do domu, który nie posiada właściciela. Nie widzę sensu. Ktoś musiałby cię śledzić albo obserwować dom...

– Chwila. Miałem ogon, słowo daję, niebieskiego oldsmobile'a. Jechał za mną spod domu rodziców Sarah, po wygłoszeniu oświadczenia. Dwóch białych osiłek w sportowych bluzach z kapturami, wiesz, cały ten kamuflaż. Wiążę ich ze sprawą Reese'a. Poszedłem do domu Reese'a, odbyliśmy z panem sędzią nieprzyjemną rozmowę, więc domyślałam się, że przykleili mi ogon. Taktyczne zagranie.

– Dlaczego rozmowa z sędzią była nieprzyjemna?

– Bo... – Sully w ostatniej chwili ugryzł się w język, uświadomił sobie, że wykorzystał informację pozyskaną od Sly'a i powiedział sędziemu, że trzech aresztowani nie popełnili tej zbrodni. Nie mógł się do tego przyznać. –

Bo można powiedzieć, że każda rozmowa z Reese'em jest nieprzyjemna. To kutas. Poza tym dopiero co zamordowano jego córkę.

– Uhm.

– Ale nie to chciałem ci powiedzieć. David Reese. Przyjechałem specjalnie, żeby ci powiedzieć coś innego o Davidzie Reesie.

Sly pokiwał głową; siedział przy barze i bawił się ołówkiem.

– Bzykał Noel Pittman. Przynajmniej ja tak uważam.

Sly zachował pokerową twarz, ale ołówek w jego palcach nagle znieruchomiał.

– Dlaczego tak uważasz?

– Ponieważ ktoś, kto mógł to wiedzieć, właśnie mi powiedział. Ciekawi mnie, czy ktoś inny, kto mógł o tym wiedzieć, tobie powiedział.

Sly odchylił się na barowym stołku i splótł ręce na piersi. Widać było, że stara się nie zaciskać zębów. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Sly czekał, że Sully powie coś więcej. Nie doczekał się.

– No to mamy nowy problem – odezwał się wreszcie. – Bo nikt mi o tym nie pisał ani jednego pieprzonego słowa.

Rysy mu się wyostrzyły i jednocześnie stały się jakby rozmyte, wszystko działo się pod powierzchnią, grom wzbierał wewnątrz burzowej chmury. Sully przytknął lewą rękę do czoła i przejechał nią w dół, do podbródka. Nagle zaklął, gwałtownie odchylając głowę.

– Nie mam pojęcia, jak mogłem wcześniej o tym nie pomyśleć.

Sully pociągnął kolejny łyk piwa; nie spuszczał wzroku ze Sully’ a.

– O czym?

– Chodź. – Sully wstał. – Odłóż to. Musimy z kimś pogadać.

Wyszedł z piwnicy, nie wziął nawet płaszcza czy kurtki. Sully wylał resztę piwa do zlewu i pośpieszył za gospodarzem.

Sully prowadził go przez Warder Street, a potem skręcił w prawo na Princeton Place. Boisko do baseballu znajdowało się po drugiej stronie ulicy. Minął pierwszy, okazały dom, alejkę wybrukowaną klinkierem, potem jeszcze trzy, cztery domy, z frontowymi ogródkami wyniesionymi nad poziom chodnika, coraz bardziej, w miarę jak ulica opadała po zboczu wzgórza. Przed jednym z domów skręcił w prawo, wszedł po czterech lub pięciu betonowych schodach, gestem nakazał Sully’ emu, żeby szedł za nim, po czym pokonał następne pięć lub sześć schodów, wchodząc na werandę. Stała tam drewniana huśtawka oraz dwa metalowe krzesła z pasiastymi poduszkami.

Sully zapukał do drzwi, mocno.

– Otwórz, mamuśka. To ja. Otwieraj.

Stali i czekali. Sully słyszał kroki tuż za drzwiami i bardziej czuł, niż widział, że ktoś wygląda przez wizjer. Wreszcie drzwi się uchyliły – łańcuch nadal pozostawał zapięty – i w szparze ukazała się twarz starszej kobiety. Patrzyła na nich obu wyraźnie niezadowolona.

– Mówiłem, że to ja – powiedział Sully. – Otwórz te drzwi.

Kobieta zrobiła, o co prosił; brzęknął łańcuch i drzwi otworzyły się w ciemność, jedyne światło paliło się w pokoju na drugim końcu holu. Sully poszedł za kobietą do kuchni. Sully zamykał pochód. Wnętrze przypominało mu dom Curtisa Williamsa, tylko było urządzone w „babcinym” stylu. Tanie reprodukcje na ścianach przedstawiały czarnych ludzi na targu, kobietę pijącą z orzecha kokosowego.

W kuchni kobieta stanęła przy piecu i mieszała coś w garnku. Sully był prawie pewien, że pochodzi z Karaibów, kiedy otworzyła usta i rozwiła wszelkie wątpliwości, że jest Jamajką.

– Czego chcecie ode mnie? – Zadała pytanie Sully’owi, ale patrzyła na Sully’ego. Miała na sobie dzinsy, top w kwiatki, pantofle, kolczyki w kształcie małych złotych kółek i chustkę zawiązaną na głowie. W sąsiednim pomieszczeniu ryczał telewizor. Sully zobaczył dwie butelki piwa imbirowego na stole i zastanawiał się, gdzie jest druga osoba, która je piła.

– Ten gość jest dziennikarzem! – Sully wskazał ruchem głowy na Sully’ego. Wyciągnął taboret spod kuchennego stołu i usiadł bez zaproszenia. – Chce cię o coś zapytać. Sam też bym się chciał dowiedzieć. – Dał Sully’emu znak skinieniem.

Sully usiadł, sięgnął do plecaka i wyjął zdjęcia trzech dziewczyn.

– O mój Jezu... – Kobieta westchnęła.

Sully znów zajrzał do plecaka i wyciągnął z niego gazetę. Poskładał ją tak, że na wierzchu znalazło się sprawozdanie z konferencji prasowej przed domem Reese’a, z dużą fotografią sędziego. Stał na niej przed rzędem mikrofonów. Podsuwając kobiecie gazetę przed oczy, Sully odchrząknął i zaczął:

– Nazywam się...

– Omiń całą tę zgraną śpiewkę – przerwał mu Sully. – Ona wie, że jesteś dziennikarzem, prawda, mamuśka? – Kobieta przytaknęła, mrużąc oczy.

– Nazywam się Sully Carter i pracuję w gazecie. – Zgromił wzrokiem Sly'a. Uparł się, by jednak wygłosić standardową formułkę. – No dobrze. Pracuję nad artykułem o tych trzech dziewczynach. Myślę, że pani je rozpoznaje. Chciałbym wiedzieć, czy widziała pani tego dżentelmena w tej okolicy.

Postukał w zdjęcie Reese'a i wygładził stronę gazety.

Kobieta spojrzała na Sly'a, on kiwnął głową. Włożyła okulary, które zwisały jej z szyi na cienkim złotym łańcuszku, i otworzyła szerzej oczy. Suwając stopami po podłodze, podeszła do stołu. Pochyliła się i wyprostowanym palcem dotknęła zdjęcia.

– Minęło dużo czasu, ale go znam. Przychodził do takiej jednej, co mieszkała po drugiej stronie ulicy. W soboty rano. Czasami w piątki.

– O której jednej mówimy?

– O tej złej. Z parafii Manchester. Miała w sobie diabła. – Wskazała na zdjęcie Noel.

– Kiedy pani ją widziała ostatni raz?

Wzruszyła ramionami.

– Od jakiegoś czasu nikt jej nie widział.

– A wcześniej? Jak długo ten mężczyzna tu przychodził?

– Nie zapisywałam. Ale jakieś pół roku. Może nawet rok.

– Jest pani pewna? Absolutnie pewna?

Potwierdziła skinieniem.

– Niewielu tu bywa tych białych diabłów.

Sly walnął pięścią w stół.

– A nie pomyślałaś, nie pomyślałaś choć raz, że mógłbym chcieć o tym wiedzieć? Że cholerny sędzia amerykańskiego sądu okręgowego pieprzy studentkę z mojej dzielnicy? Cztery przecznice od mojego cholernego domu?

Kobieta cofnęła się do pieca, błyskawicznie chwyciła nóż leżący na blacie, wróciła tam, gdzie wcześniej stała i ostrze znalazło się przy

grdyce Sly'a. Można było odnieść wrażenie, że wykonała to wszystko jednym ruchem, gładkim jak rtęć i równie szybkim.

– To jest mój dom! Mój dom! Wy czarni Amerykanie nie macie za grosz szacunku! Nie boję się ciebie! – Trzymała nóż w wyciągniętej ręce, parę centymetrów od szyi Sly'a; ostrze nawet nie drgnęło. Mówiła serio.

Sly patrzył na nią z ogniem w oczach.

– Odpłacę ci, mamuśka – wycedził złowrogo.

– Nie powiedziałaś mi, kim jest ten człowiek! Mówiłam ci, że jakiś biały mężczyzna przychodzi do czarnej dziewczyny z naszej ulicy, a ty odpowiedziałaś: „No i co z tego?”

Sly zamrugnął i z powrotem usiadł na taborecie. Zamyślił się na chwilę, ale nie spuszczał wzroku z kobiety. Ręce trzymał oparte płasko na kolanach. Uniósł jedną dłoń, a potem delikatnie znów położył, poklepał się po udzie raz, drugi, trzeci, gest oznaczał, że sobie przypomina i się poddaje.

– Masz rację. – Pokiwał głową. – Mówiłaś mi. Byłem zajęty... Tak ci odpowiedziałem.

Kobieta wróciła do swojego garnka. Odłożyła nóż, całkiem uspokojona.

Po minucie Sully zwrócił się szeptem do Sly'a:

– Nie będę mógł tego wykorzystać, jeśli nie poda nazwiska.

– Powiedz mu, jak się nazywasz, mamuśka, proszę. – Sly wyglądał, jakby miał migrenę.

– To będzie w gazecie?

– Tak.

– Nie chcę.

– Nie pytałem, czy chcesz, kobieto.

Popatrzyła na niego, a potem na Sully'ego. Głos jej złagodniał.

– Marilyn Winston – powiedziała. – Zadbasz o moje bezpieczeństwo – zwróciła się do Sly'a. Potwierdził skinieniem, masując sobie czoło.

– Pani Winston, muszę o to zapytać, kim pani jest z zawodu? Albo jaki zawód pani wykonywała, jeśli jest pani emerytką?

- Do czego to potrzebne?
- Mamuśka, Jezu. Proszę.
- Pielęgniarka. Byłam pielęgniarką w Washington Hospital Center przez dwadzieścia pięć lat. Na oddziale intensywnej terapii.

Pomysł chodził mu po głowie przez dobrą godzinę, nim zebrał się na odwagę, by go zrealizować. Siedział u Stoneya nad drugą szklaneczką whisky, robiło się późno, spoglądał na telewizor za barem, słuchał oderwanych zdań z rozmów toczących się wokół niego. Wyjął komórkę i patrzył na nią przez chwilę.

Nie chciał tej rozmowy. Nie widział też możliwości, by jej uniknąć.

Operatorka pod 411 odezwała się po trzecim sygnale.

– Numer domowy Loreny Bradford, mieszkającej w Dystrykcie Columbia albo w Prince George County, w Maryland – wyrecytował z westchnieniem rezygnacji.

Po drugiej stronie linii zaklekotały klawisze. Sully zamieszał w swoim drinku i patrzył na kostki lodu.

– Obecnie nie pokazuje się żadna Lorena Bradford w Dystrykcie Columbia ani w sąsiednich hrabstwach w Maryland, ale mam pięć osób, które figurują jako L. Bradford.

– Ile numerów może mi pani podać, tak żebym nie musiał dzwonić drugi raz?

– Dwa.

– To proszę.

Zapisał podyktowane cyfry na serwetce, a potem spojrzął na zegarek. Tuż po dziewiątej. Późno, ale nie aż tak bardzo. Wybierając pierwszy z numerów, myślał o tym, jakie piekło Sly zrobi swoim informatorom z sąsiedztwa, którzy nie zauważyli, że sędzia sądu okręgowego paraduje tam i z powrotem po Princeton Place. Zapowiadało się niezbyt ładnie.

Pod obydwoma numerami, które otrzymał od operatorki, jako pierwsze włączyły się automatyczne sekretarki z nagranyymi męskimi głosami. Uznał, że oba należą do białych mężczyzn i wykreślił numery z listy. Siostra Noel nie wyglądała na osobę skłoną do wiązania się z przedstawicielem innej rasy.

Do niej należał czwarty numer. Kiedy odebrała, natychmiast rozpoznał jej głos.

– Pani Bradford, przepraszam, że dzwonię tak późno, mówi Sully Carter z gazety. Wiem, że dała pani jasno...

– To pan był na cmentarzu? – przerwała mu.

– Tak. Ja nie...

– Cieszę się, że pan dzwoni – znów nie dała mu dokończyć. Odetchnęła, po czym jej głos przybrał łagodniejszy, bardziej kobiecy ton. – Chciałam pana przeprosić za... za tamtą scenę. Zgubiłam pański numer, więc nic z tego nie wyszło. Nie powinnam tak się zachować. To znaczy nie powinnam była pana opluć. Nie mogłam uwierzyć, że przyszedł pan na pogrzeb, żeby zrobić ze mną wywiad, to niestosowne, ale nie usprawiedliwia tego, co ja zrobiłam.

Przytrzymując telefon przy uchu uniesionym ramieniem, Sully złożył dłonie przed sobą; dobry Boże, jak to nigdy nic nie wiadomo...

– Proszę się tym nie przejmować – powiedział. – Ale dzięki, sam wcale nie chciałem tam być. Niemniej nadal interesuje mnie to, co się przydarzyło pani siostrze. Dotarły do mnie pewne informacje, których nie mogę zignorować, dotyczą jednego z jej bliskich znajomych, więc chciałbym do pani przyjechać, żeby o tym porozmawiać, przekonać się, czy...

– Chodzi o Davida? – spytała.

Rozdział 30

Dystrykt Columbia jest obszarem miejskim w kształcie rombu, rozciągniętego z północy na południe; Lorena Bradford mieszkała na najdalszym północnym krańcu, stanowiącym wierzchołek rombu, w bezpośrednim sąsiedztwie Rock Creek Park.

Dom stał przy Chestnut Street, w kwartale, gdzie numery posesji zaczynały się od 3000, jakieś pięć przecznic na zachód od parku i mniej więcej tyle samo na południe od Western Avenue, która wyznaczała granice Maryland. Po północnej stronie Western było już Chevy Chase, ceny nieruchomości rosły niebotycznie, publiczny system edukacji dostosowywał swoją ofertę do oczekiwań rodziców, którzy mogli sobie pozwolić na kształcenie dzieci w prywatnych szkołach, a średni dochód wynosił dwa razy tyle co po południowej stronie ulicy, w tym samym dystrykcie.

Dom Loreny, solidny parterowy bungalow z użytkowym poddaszem, zbudowany z czerwonej cegły, stał po tej skromniejszej stronie linii podziału. Miał lukarny w dachu i cztery schodki przed wejściem. Sama gospodyni otworzyła drzwi, ubrana do pracy, kiedy Sully następnego ranka stanął na ścieżce prowadzącej od chodnika do domu.

– Co pani wie o Davidzie? – zapytał ją poprzedniego wieczoru Sully, był zszokowany tym, co usłyszał.

– Niewiele. Całymi nocami przeglądałam jej rzeczy po tym, gdy zginęła. Robiła zapiski w kalendarzu, takim dzielonym na tygodnie. Przy każdej sobocie rano było napisane „David” albo „D”, czasami także przy

piątkowych wieczorach, w miesiącach poprzedzających jej zniknięcie. Tyle. A dlaczego pana to interesuje? Wie pan, kim on jest?

Gdy jej powiedział wszystko, co mu było wiadomo na ten temat, nastąpiła długa pauza. A potem zaprosiła go, żeby przyjechał do niej do domu.

Teraz, trochę ponad dwanaście godzin później, niewyspany, po nocy pełnej koszmarów, dzielonej między chwilę niespokojnego snu, krążenie po domu, przesiadywanie na schodach od podwórka – nie mógł się doczekać świtu, chciał zadzwonić do Dusty, ale się bał, zniechęcony poprzednią nocną rozmową – wreszcie wchodził żwawo na schody domu Loreny, uśmiechnięty, jakby świat leżał u jego stóp.

– Chyba pani nie zaczyna o świcie? – zawołał z daleka, wskazując na jej strój. Miał świadomość, że próbuje ją rozbroić. Delikatnie, napomniał się w duchu, delikatnie. Delikatnie. Przecież jesteś delikatny. Zauważył, że kiedy się zbliżył, na moment uciekła wzrokiem – znowu te blizny... – by zaraz znów spojrzeć mu w twarz.

– Nie, nie. – Odsunęła się na bok, żeby mógł wejść do środka. – Chciałam tylko mieć pewność, że nie zabraknie mi czasu, jeśli się z panem zagadam, i nie będę musiała pędzić do pracy bez makijażu.

Wnętrze domu było funkcjonalne i schludne. Kilka reprodukcji na ścianach, stare meble, chodniki w korytarzach, wypolerowane drewniane podłogi, wszystko świadczyło o dojrzałości i rozsądnych wyborach gospodyni. Kanapa w frontowym saloniku, stolik do kawy i fotele mogły być zamówione w zestawie u Ethana Allena. Lorena była dyrektorką do spraw komunikacji w sieci domów opieki, o czym go poinformowała; jej własny dom pasował do osoby wykonującej tego rodzaju zawód. Sully'emu od razu przyszło do głowy porównanie: stateczna starsza siostra i zwariowana młodsza.

Obok stolika do kawy stały cztery wielkie plastikowe pudła, Lorena usiadła przy nich na kanapie, a jemu wskazała fotel.

– Pakowałam te rzeczy w wielkim pośpiechu – powiedziała. – Wtedy już... minęło trzy miesiące od chwili zaginięcia i wiedziałam, że nie żyje. Po prostu wrzucałam wszystko jak leci. To jakiś obłąd...

Zdejmowała pokrywy z pudeł, ukazując ich zawartość, która Sully'emu wydała się doskonale uporządkowana. Może na tym polegała różnica między dziennikarzami a ludźmi od technologii komunikacyjnych.

Odetchnął głęboko, wciąż stał. Lorena działała pośpiesznie, nie zastanawiała się, wyraźnie miała problem z opanowaniem gniewu. Sully uznał, że dobrze będzie od tego zacząć.

– Proszę posłuchać, zależy mi, żeby wszystko było jasne. Chcę pani podziękować, że mnie tu dzisiaj zaprosiła, ale też chcę mieć pewność, że pani sobie z tym radzi.

– Pyta pan, czy znów pana opluję?

– Mniej więcej.

Dotknęła rozpostartą dłonią koniuszka nosa, opuściła wzrok, a potem znów spojrzała na swojego gościa.

– Nie. To znaczy tak. Jestem pewna, że sobie poradzę. Ale pierwsze wrażenie zostało, tak? O nic pana nie obwiniam. Nie jestem chora psychicznie, panie Carter, moja siostra też nie była. Różniłyśmy się od siebie z Noel, ale stanowiłyśmy rodzinę i byłyśmy sobie bliskie. Nie mam zamiaru sprawiać panu trudności, ale wciąż nie jestem do końca pewna, że „D” w jej kalendarzu odnosi się do Davida Reese’a. Rozmawiałyśmy, powiedziała mi, że bierze lekcje tańca w Big Apple, a o nim nigdy nie wspomniała. To „D” może oznaczać cokolwiek, na przykład salę, w której miała zajęcia.

– Chodzi o niego, wkrótce to będzie oczywiste. A ja jestem Sully. Proszę mnie nazywać po imieniu. Wspomniała pani wczoraj o zapiskach Noel. To je mam przed sobą?

– Mówiłam panu o tym, jaka Noel była skrupulatna, szczególnie w kwestii finansów? Nabijałam się z niej, że jest jedyną na świecie

księgową w kabaretkach i szpilkach. To są wszystkie jej kalendarze, dokumenty, papiery. Najpierw trzymała paragony w słoikach i puszkach po kawie, ale widać jej to nie odpowiadało i potem wkładała je do specjalnych koszulek w skoroszytach.

Wyciągała z pudła kalendarze, cienkie czarne książeczki z drucianą spiralą zamiast grzbietu, obejmujące trzy albo cztery lata wstecz. Były tam też notesy i teczki opisane na okładce: „ACURA”, „CZYNSZ”, „UNIWERSYTET HOWARDA”, „PRĄD”, „BANK”, „PODATKI”, „INTERNET”, „HALO”, „ATŁASY I KORONKI” i dziesiątki innych.

Całe życie zmarłej kobiety przedstawione w drobiazgach. Sully wreszcie usiadł i spytał, czy policja przeglądała zawartość pudeł. Lorena zaprzeczyła.

– Nawet po odkryciu jej zwłok?

Nie podniosła wzroku.

– Panie Carter... Sully... Poza tym, że jakiś detektyw zadzwonił, aby mnie poinformować o znalezieniu ciała Noel i o tym, że autopsja nie przyniosła wyjaśnienia co do przyczyny śmierci, policja w ogóle się ze mną nie kontaktowała.

– „Atłasy i koronki”?

– To sklep z damską bielizną, gdzie pracowała. Na Union Station, najwyższe piętro.

– Tak, rzeczywiście, zapomniałem.

Wyjął teczkę z napisem „HALO”. Zawierała kopie czeków z wypłatą, umowę o pracę i broszurę z informacjami dla pracownika. Noel zatrudniła się tam jesienią dziewięćdziesiątego siódmego roku, jakieś sześć miesięcy przed zaginięciem. Wyciągał jedną teczkę po drugiej i każdą wertował, gdy nagle mu się przypomniało:

– Kiedy pani musi wyjść? Do pracy?

– Wzięłam wolne przedpołudnie.

Materiał stanowił pęczniejącą masę informacji i mógł być bezcenny, jednak pod warunkiem że Sully zdoła znaleźć trop prowadzący do zaginięcia Noel i podąży nim przez górę detali, zgromadzonych przez nią i przechowywanych. Wyciągając z pudeł kolejne teczki i kalendarze, zorientował się, że Noel postrzegała świat wokół siebie jako zbiór elementów, które można od siebie oddzielić i poumieszczać w osobnych przegródkach, w określonym porządku. Zamrugał, otworzywszy teczkę „uniwersytet”. Wypełniały ją rozkłady zajęć, był też plan kampusu i dokumenty dotyczące pożyczki studenckiej.

Co należało wiedzieć o dziewczynie, która nie żyła? Co mogło się przydać, a co najwyżej zaspokoić chorobliwą ciekawość? Ostatni raz widziano ją, gdy wyjeżdżała z parkingu klubu Halo o drugiej nad ranem w kwietniu dziewięćdziesiątego ósmego roku. A potem, w październiku dziewięćdziesiątego dziewiątego jej rozkładające się zwłoki znaleziono w piwnicy opuszczonej rudery, jakieś dziesięć domów od mieszkania, które wynajmowała.

Miał przed sobą puzzle, które składały się z większej liczby elementów, niż ktokolwiek kiedykolwiek widział. Czuł, jak napięcie zaczyna przechodzić w pulsujący ból w głębi oczodołów.

– Na pewno chce pani pomóc?

– Oczywiście.

– W takim razie zbudujemy chronologię. Zaczniemy od pierwszego kwietnia. Ma pani laptop? Stworzymy główny zbiór na twardym dysku, a potem skopiujemy na dyskietki. Dzięki temu oboje będziemy mieć te informacje. Wprowadzamy wszystko, niezależnie od źródła, według daty.

Chwycił książeczkę czekową i kalendarz, otworzył je na stronie ostatniego miesiąca życia Noel i przyjrzał się kilku pierwszym wpisom.

– Zatem pierwszego kwietnia płaci czynsz, zgadza się? Dziewczyna jak maszyna. Drugiego kwietnia, według kalendarza, ma o drugiej spotkanie ze swoim profesorem historii. W ten sposób. Wszystkie źródła – anulowane

czeki, wpisy w kalendarzu, paragony, rozkłady zajęć – idą do tego głównego zbioru, chronologicznie. Dzięki temu powstanie oś czasu ostatnich trzech tygodni jej życia.

Lorena sięgnęła do drugiego pudła i wyjęła z niego automatyczną sekretarkę.

– Policja odsłuchiwała wiadomości, ale tylko ja byłam nagrana. Nie sądzę, żeby to w czymś pomogło. – Wyszła do kuchni i zaraz wróciła. – Ale tego nie widzieli, bo znalazłam to dopiero dziś rano. Domyślam się, że utknął gdzieś między innymi jej rzeczami. Nie szukałam go, kiedy zniknęła, bo sądziłam, że ma go przy sobie.

W wyciągniętej ręce trzymała telefon komórkowy.

– Jezu Chryste – wyrwało się Sully’emu. – Jak to możliwe, że było ją stać na komórkę? Za moją płaci gazeta.

– Mówiła, że wszystkie dzieciaki w college’u takie mają. W każdym razie bogatsze. Te, które noszą okulary od Prady.

– Działa?

– Usługa jest wyłączona, ale aparat działa. Nadal powinny w nim być zapisane przez nią numery i kontakty.

Przez chwilę trzymał rękę w górze, jak policjant, gdy kieruje ruchem, a potem wyjął terminarze, zaczął od tego na dziewięćdziesiąty ósmy rok. Nie mógł uwierzyć, że Jensen, detektyw prowadzący śledztwo, nie zainteresował się rzeczami Noel po znalezieniu jej ciała. Zapewne policja była zbyt zajęta sprawą Sarah Reese, ale jakkolwiek by na to patrzeć, dopuścili się zaniedbania, co stanowiło niewybaczalny błąd.

Przerzucił strony i zatrzymał się na kwietniu.

Kilka pierwszych dni wyglądało tak samo, jak cała reszta. Dwudziesty czwarty kwietnia, w ostatnim dniu kiedy poszła do pracy, miała rano na uczelni zajęcia z marketingu. Potem nic, aż do wieczora, gdzie widniała zrobiona długopisem notatka „Halo 22 – 2”.

Dwudziesty piąty kwietnia, przy godzinie dziesiątej piętnaście swoim kaligraficznym pismem zapisała pojedynczą literę: „D”. Kolejny wpis znaczył, że pracowała w Halo.

Odwracał strony do tyłu, jeden tydzień, dwa, trzy, cztery, pięć. To samo „D” o tej samej godzinie.

Wyciągnął rękę do Loreny.

– Proszę mi pokazać komórkę – poprosił. Wziął od niej aparat, który tymczasem zdążyła włączyć, i naciskał kolejne klawisze, dopóki nie znalazł spisu kontaktów. Figurowało w nim wiele nazwisk. A na swoim miejscu według alfabetu znajdowała się pojedyncza litera „D”.

Czując ściskanie w dołku, sprawdził, co się pod nią kryje. Wyświetliły się dwa numery, jeden z kierunkowym 202 i początkowymi cyframi 354, które natychmiast rozpoznał, należały do centrali sądu okręgowego Dystryktu Columbia. Drugi zaczynał się od kierunkowego 703.

– Sukinsyn – wyrwało mu się.

– O co chodzi? – spytała Lorena.

Pokazał jej wyświetlacz.

– „D”. Pierwszy numer, na 354, ma centrala sądu. Założę się, że to David Reese. Zachce pani zadzwonić?

Pokiwała głową.

– Chwileczkę, nie z domowego telefonu. Ma pani służbową komórkę?

– Oczywiście. Jestem dostępna pod telefonem przez cały czas.

– Jest na pani nazwisko?

– Co pan ma na myśli?

– Telefon. Wyświetli się pani nazwisko czy nazwa firmy?

– Firma. Numer centrali.

– Cudownie. Mogę?

Wyjęła komórkę z torebki i Sully wybrał na niej numer sądu z listy kontaktów Noel.

– Jeśli ktoś odbierze, proszę powiedzieć, że to pomyłka. – Oddał telefon Lorenie.

Przestawiła na głośnik. Po czwartym sygnale włączyła się automatyczna sekretarka Davida Reese’a. Z jego gabinetu, nie ta z recepcji. Sully wziął od niej komórkę, przerwał połączenie i szybko, żeby nie zdążyć się rozmyślić, wybrał numer na 703. Trzymał telefon w powietrzu, tak żeby oboje mogli słyszeć głos z drugiej strony linii. Lorena pochyliła się, przysuwając ucho bliżej słuchawki i patrzyła przy tym na Sully’ego.

Dzwonek zabrzmiał trzy, cztery, pięć razy. A potem odezwał się męski głos, niski, nieufny:

– Słucham? Kto mówi?

Sully dał Lorenie znak wyciągniętym palcem.

– Och, przepraszam. Pomyliłam numer. – Rozłączyła się i spojrzała na niego pytająco.

Odchylił się na oparcie kanapy i na moment zamknął oczy.

– To był David Reese.

Lorena zaczęła wciskać klawisze na komórce Noel, sprawdzała ostatnie wykonane połączenia.

Podaa aparat Sully’emu. Rozświetlony ekran pokazywał, że ostatni raz Noel Pittman dzwoniła pod numer zaczynający się na 703, z którym dopiero co się łączyli.

Rozmowa odbyła się dwudziestego piątego kwietnia o dziesiątej czterdzieści siedem rano, ponad osiem godzin po tym, gdy Noel wyjechała z klubu Halo i zniknęła.

Rozdział 31

To co właściwie mamy napisać?

Melissa siedziała za swoim biurkiem i patrzyła na niego, jakby był ciężko chory. Edward Winters oparł się o szklaną szybę jej gabinetu, po jednej stronie miał zastępcę redaktora wykonawczego, po drugiej asystentkę od informacji bieżących. Redaktor magazynu krajowego i główny prawnik gazety zajmowali fotele pod tylną ścianą. R.J. siedział obok Sully'ego, jakby był jego adwokatem i znajdowali się w sądzie.

– Że czołowy sędzia sądu okręgowego w D.C. utrzymywał osobiste, jeśli nie intymne stosunki z niedoszlą gwiazdą porno? A rzeczona niedoszła gwiazda porno jest tą młodą kobietą, którą znaleziono martwą, pogrzebaną w piwnicy domu przylegającego bezpośrednio do miejsca, gdzie rok później zamordowano jego nastoletnią córkę? Aha... i jeszcze to, że jest biały, bogaty i ma pięćdziesiąt trzy lata. Ona była czarna, miała dwadzieścia pięć i była „tancerką charakterystyczną”. Coś pominęłam?

– Dzwoniła na jego prywatną komórkę osiem godzin po tym, gdy ją ostatni raz widziano – powiedział Sully. – Ja bym to dodał.

Melissa, ze zmarszczonym czołem, rozpostartymi dłońmi, wyglądała jak uosobienie sarkazmu.

– Tak, dzięki. Zapomniałam. Napisała też może w swoim kalendarzu, jak ją zabił?

– Chwileczkę – odezwał się Edward.

Skrzyżował ręce na piersi; stalowo-złoty rolex błysnął, gdy poluzowawszy zapięcie, potrząsnął lewym nadgarstkiem. Obserwował

Sully'ego, który przedstawiał swoje odkrycia z ostatnich kilku dni, mówił o zniknięciu Michelle Williams, śmierci Rebekah Bolin. Pochylił się do przodu i kiwał głową, kiedy Sully opisywał, jak Lorena Bradford umożliwiła mu dostęp do rzeczy zmarłej siostry, do informacji nieznanym organom ścigania i przez kilka godzin pomagała mu uporządkować te informacje chronologicznie.

– Powiedz jeszcze raz, ile było tych źródeł? Ile osób łączy Reese'a i Pittman?

– Cztery. – Sully wyliczał je na odginianych po kolei palcach. – Pierwsze źródło, Doyle Goodwin, prowadzi sklep na końcu ulicy, ale nie zgodzi się potwierdzić pod nazwiskiem. Za bardzo się boi, ma zbyt wiele do stracenia. Drugie, kobieta, która mieszka po drugiej stronie ulicy, Marilyn Winston. Daje nazwisko. Trzecie, kalendarze Pittman i jej komórka. Czwarte, anonimowe źródło ze studia tańca, potwierdza, że zajęcia Noel i Sarah odbywały się w następujących po sobie godzinach i że Reese często przywoził córkę i ją odbierał. Jednak co najważniejsze, w jej komórce pod literą „D” zapisane są numery prywatnej linii w jego gabinecie oraz jego komórki. To on odebrał, kiedy dziś rano zadzwoniliśmy, w każdym razie twierdzą, że rozpoznałem jego głos. Sprawdziłem numery sądowe, dzwoniłem do informacji telefonicznej, wreszcie zajrzałem do Internetu. Ani jeden z tych numerów nie figuruje w żadnym spisie czy wykazie.

Edward zastanawiał się przez moment.

– Moglibyśmy uzyskać więcej nazwisk do zacytowania?

– Wezmę jego zdjęcie, pochodzę, popytam i zobaczymy, co uda się zdobyć.

– Jak mogli się poznać?

– W studiu tańca. Lekcje Pittman się kończyły, kiedy Sarah zaczynała w sobotę rano, były też zajęcia bezpośrednio potem. On wchodził, ona wychodziła, coś w tym rodzaju.

– Możemy to udowodnić? Oficjalnie?

– Mogę spytać właścicielkę studia, czy potwierdzi, ale to pewne. Moja informatorka uczyła Noel, znała Sarah. Sarah miała w sobotę lekcję o dziesiątej. Według kalendarza Pittman w tym czasie miała się spotkać z „D” czy „Davidem”. O dziesiątej piętnaście.

– Reese domyśla się, że wiemy to, co wiemy?

– Nic mi o tym nie wiadomo. Lorena dzwoniła do jego gabinetu i na komórkę ze swojej komórki. Ślad nie prowadzi do nas.

– Lorena?

– Siostra Noel.

Nastąpiła pauza. Lewis Beale, prawnik zatrudniany przez gazetę, włączył się do rozmowy; wielki brzuch zatrząśł mu się, kiedy zmieniał pozycję na fotelu.

– Powiedz mi jeszcze raz, jak weszliśmy w posiadanie telefonu komórkowego i osobistych ruchomości Pittman.

– Przez siostrę, Lorenę. Mogą wyjść jeszcze inne rzeczy. Spotykamy się znowu u niej dziś wieczorem, po jej powrocie z pracy, żeby dalej przeglądać papiery. Aha, Lewis, technicznie my nie posiadamy tych ruchomości. Ma je siostra Noel.

– Chwila. Czy to nie ta sama, którą cię opluła na pogrzebie? – spytał, rozkładając ręce.

– Owszem.

– A teraz cię kocha.

– „Kocha” to za mocno powiedziane. Przypuszczam, że chce dźgnąć służby śledcze, żeby uznały śmierć Noel za zabójstwo.

– Więc cię wykorzystuje?

– Jak większość kobiet.

Szmer śmiechów, każdy opuszcza wzrok, gryzmoli w swoim notatniku, korzysta z momentu odprężenia.

– Chodzi mi o to, czy jej ufasz.

– Na tyle, na ile ufam lub nie ufam innym. Mam jednak głębokie zaufanie do dokumentów i komórek z wgranymi prywatnymi numerami Davida Reese’a.

Lewis westchnął i popatrzył na Edwarda, następnie na Sully’ego, a potem znowu na szefa.

– Oryginały, na własność, jeśli to w ogóle możliwe. – Edward podjął temat. – Jeśli mamy to wydrukować, musimy mieć stuprocentową pewność. Zostaniemy pozwani. A gra pójdzie o duże pieniądze.

– Eddie, chyba nie mówisz serio – wtrąciła się Melissa. – Gdyby te rewelacje pochodziły od innego dziennikarza, to może. Ale Sully prowadzi wendetę przeciwko Reese’owi od czasu sędziego Foya. Słyszałeś, jak się wściekł, kiedy go poprosiłam, żeby pojechał na wygłoszenie oświadczenia, kłął i miotał się jak szalony, a poza tym, nazywając rzecz po imieniu, on pije podczas pracy.

Edward zmierzył ją ostrym spojrzeniem.

– Wchodzisz w kompetencje działu kadr...

– Wszyscy to wiedzą! Co dział kadr ma do rzeczy? Nie możemy mieć zaufania do materiału, który on zebrał. Poza tym... powiedzmy, że wszystko to prawda. Nadal nie mamy na Reese’a nic poza romanssem, kiepsko ocenia sytuację i prawdopodobnie jest ofiarą fatalnego zbiegu okoliczności. – Rozejrzała się dookoła, po twarzach prawników, innych redaktorów. – To materiał dla brukowca. Odzewem będzie wielkie współczucie dla Reese’a i jad dla nas. A co zrobimy, kiedy się okaże, że nie mieliśmy racji? Tym razem możemy go wylać, ale wyjdziemy na takich pasożytów...

– Od kiedy to gonimy za popularnością? – R.J. gwałtownie wychylił się z miejsca, na dźwięk jego dudniącego głosu wszyscy aż podskoczyli. – Nie publikujemy artykułów po to, żeby ludzie nas lubili. Publikujemy artykuły, tego rodzaju artykuły, ponieważ mamy poczucie odpowiedzialności przed społeczeństwem. David Reese jest ważną osobistością publiczną

w Waszyngtonie. Jeśli po najbliższych wyborach nastąpi zmiana administracji, prawie na pewno zostanie sędzią Sądu Najwyższego, a wówczas będzie stanowił prawo dla trzystu milionów Amerykanów. Nie chodzi między innymi o jego postawę moralną, chodzi wyłącznie o nią. Niektórzy z nas, obecnych w tym pokoju, wiedzą, że okłamał zarząd gazety, próbując doprowadzić do zwolnienia Sully'ego – nie patrz tak na mnie, nigdy nie podpisałem zawieszenia – bo chciał uniknąć nieprzyjemnej politycznej gafy. A to jest znacznie gorsza skaza na moralności. Co będzie, jeśli romans z Noel Pittman, a może też innymi kobietami, wyjdzie na jaw podczas rozprawy potwierdzającej? Opinia publiczna dowie się, że wiedzieliśmy o jego cudzołożnym związku i nic o tym nie napisaliśmy? Nie odniosłaś się ani słowem do stwierdzonych faktów...

– To nie... – zaczęła Melissa.

– Według mnie, skupiamy się nie na tym, co najważniejsze. – Nakręcony, nie dał sobie przerwać. – Nie jest ważne: „Co to znaczy dla biednego Davida Reese'a?” Ważne, co znaczy dla biednej Noel Pittman, dziecka tego miasta, studentki college'u, nigdy nie aresztowanej ani skazanej za przestępstwo. Zniknęła pewnej nocy po wyjściu z pracy. Została zamordowana i pogrzebana w piwnicy. Wiemy z kilku niezależnych źródeł, które nie mają powodu kłamać, że była zaangażowana w intymny związek z najbardziej wpływowym człowiekiem w tym mieście, który, tak się składa, jest żonaty z kimś innym. Wiemy, że dziecko tego człowieka zostało zamordowane niecałe pięćdziesiąt metrów dalej. A dziś Sullivan nam mówi, że ostatni telefon ofiara wykonała, osiem godzin po tym, gdy była ostatni raz widziana, na komórkę tego człowieka.

Głos R.J. nabierał mocy, nie tylko stał się bardziej donośny, ale też brzmiało w nim coraz więcej oburzenia. Niemal krzyczał, przeszywał Melissę wzrokiem przez szkła okularów.

– A ty twierdzisz, że to nie jest historia do gazety? Uważasz, że nie zainteresuje organów ścigania prowadzących dochodzenie w sprawie jej

morderstwa?

– Nie ma dochodzenia w sprawie jej morderstwa – przypomniała mu ostro Melissa. – Śmierć Pittman nie została uznana za zabójstwo.

Sully, który do tego momentu w milczeniu zagryzał wargę, nie zdołał dłużej powstrzymać złości.

– Nie ma dochodzenia, bo oto, co przedstawiają media: „Bogata, śliczna, biała Sarah Reese zostaje napadnięta przez trzech złych czarnych chłopaków”. Tak to wygląda. Stara śpiewka o przebywaniu w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie, podawana ku przestrodze. Współczesna bajka grozy na dobranoc. Dalej: „Biedna, może nie aż taka idealna, czarna Noel Pittman zostaje zabita i upchnięta pod podłogą w piwnicy opuszczonego domu, bo takie okropne rzeczy zdarzają się w Park View”. Wszyscy znają tę wersję, bo w kółko ją powtarzamy. My, inne gazety, telewizja kablowa, programy typu talk-show. – Jakby zapomniał o reszcie obecnych w pokoju, zwracał się wprost do Melissy. – A jeśli ta wersja, tym razem, jest niestety fałszywa? Jeśli twoja pierwsza myśl nie była trafna? Jeśli załadowany pociąg zmierza w złym kierunku?

– Nie pouczaj mnie, jakbyś...

Edward gwałtownie uniósł rękę, dając im znak, żeby natychmiast zaprzestali kłótni.

– Okej – zaczął i wszystkie oczy zwróciły się na niego. – Interesujące argumenty, po obu stronach. Dobra dziennikarska robota, Sullivan. Melissa i R.J. podnoszą kwestie warte przemyślenia. Dobra wiadomość dla nas, że...

– Jest pijakiem i ma osobiste motywacje. – Melissa powiedziała to cicho, spoglądając na Edwarda. – Nie, Edwardzie. Proszę cię, nie możemy mu zaufać w tej sprawie. Trzeba, żeby ktoś inny zweryfikował...

– Słyszałem twoje argumenty – zgasił ją Edward. Odwrócił się do reszty zebranych w pokoju. – Jak już mówiłem, dobra wiadomość jest taka, że

dzięki Sullivanowi posunęliśmy się w tej sprawie daleko do przodu. Nie musimy nic robić natychmiast. Możliwe nawet, że siostra panny Pittman, źródło Sullivana, sama przekaże te informacje policji. Jeśli tak się stanie i zostanie podjęte dochodzenie, będziemy mogli zdawać relacje z działań śledczych, a nie wyrywać się przed orkiestrę i donosić o występkach znanej osobistości życia publicznego. To nas ustawi w dogodnej pozycji: relacjonujemy śledztwo, a nie prowadzimy własnego. Z pewnością taki materiał do druku jest mniej efektowny. Ale dzięki temu, co zauważyła Melissa, nie będziemy postrzegani jako sępy, szarpiące rodzinę ofiary morderstwa.

Sully wykorzystał pauzę, żeby się włączyć.

– Nie chcę zmieniać reguł gry, Eddie, ale dodałbym do tego, co powiedział R.J., że nie powinniśmy zapominać o pierwotnej linii śledztwa. Nie chodziło tylko o śmierć Noel Pittman. Były jeszcze inne ofiary: Lana Escobar i, jak teraz już wiemy, Rebekah Bolin oraz zaginiona i prawdopodobnie martwa Michelle Williams. Wszystkie w promieniu trzech do czterech przecznic. Czy morderstwo Sarah Reese jest elementem obcym w tym schemacie, czy też stanowi część jakiegoś nieokreślonego zagrożenia? O tym miał być mój artykuł.

Edward pokiwał głową, był wciąż sceptyczny, ale też skłonny nieco się ugiąć.

– I może go opublikujemy. A teraz inna rzecz. Masz coś, cokolwiek, co by sugerowało związek pomiędzy sędzią Reese'em a tymi trzema młodymi ludźmi ze sklepu, tymi oskarżonymi o zabicie jego córki? Mogli chcieć się w ten sposób za coś na nim zemścić?

– Nie, nie zapoznałem się z historią spraw, w których orzekał, ale jestem pewien, że zrobili to wszyscy inni dziennikarze z tego miasta, no i organa ścigania. Nikt nie znalazł powiązania. Wszystko wskazuje, że wybór ofiary był przypadkowy.

– Okej. Może szukają nie tam, gdzie trzeba. Może istnieje związek między Pittman a tymi młodymi mężczyznami, a ona łączy ich z sędzią. Nie wiem. Po prostu się temu przyjrzyj. – Edward zrobił dwa kroki naprzód. – Poza tym kop wszędzie, gdzie możesz wykopać coś na temat osobistego życia Pittman. Rób to, ale nie spuszczaaj oka z Reese’a. Chcemy pokazać, co się jej przydarzyło, ale absolutnie musimy wiedzieć, jaką rolę odegrał w tym Reese. Nie widzę możliwości, byśmy pisali o jej zniknięciu i nie wspomnieli o romansie. Jeśli się okaże, że to wszystko jest zbyt mętne, że mamy jakąś kiczowatą historię, której nie sposób wpasować w kontekst, wówczas może odpowiedzią będzie rezygnacja z publikowania czegokolwiek. Utrzymujemy wiele w tajemnicy, jeśli chodzi o Waszyngton, i to może się okazać kolejnym sekretem.

Spojrzał znacząco na Melisę, która, jak Sully zauważył, przyczała się, postanowiwszy czekać na dogodną okazję.

– Ale cokolwiek innego odkryjesz, chcę żebyś poszedł do Reese’a, do jego biura, kiedy skończysz zbierać materiał, i go z nim skonfrontował. Chcemy, żeby to była oficjalna rozmowa. Jesteśmy mu winni publikację na uczciwych zasadach i szacunek dla jego prywatności. Nie jesteśmy mu winni darmowej przejażdżki.

Ktoś otworzył drzwi, Melissa odwróciła się na krześle, tyłem do swojego biurka. Spotkanie dobiegało końca. Sully miał zamiar wychylić się z miejsca, żeby powiedzieć coś do R.J., gdy nagle stanął przed nim Edward.

– Sullivan, to zawieszenie... Sprawa sędziego Foya. Reese cię nie lubi, a jeśli to, co nam powiedział, zeznając pod przysięgą, było prawdą, to mu się nie dziwię. Nie potrafię też sobie wyobrazić, żebyś ty za nim przepadał.

– Jeśli uwierzyłeś jemu, to znaczy, że nie wierzyłeś mnie, Eddie. Moim skromnym zdaniem on kłamał.

– W porządku. Nie zamierzam ci niczego zabierać. Odwaliłeś całą robotę. Pamiętaj jednak, że każde słowo w tym materiale ma być bez najmniejszego zarzutu. Rozmowa z sędzią musi być nagrywana.

Wyobrażam sobie, że sam będzie ją nagrywał. Miej na uwadze, że wykorzysta przeciwko tobie każdą twoją słabość. Dlatego panuj nad nerwami. Uważaj na język. Pamiętaj, że wszystko, co powiesz, może się ukazać w wieczornych wiadomościach i być przytaczane przez inne agencje, które z radością wytkną nam stronniczość i kierowanie się osobistą zemstą. Rozumiemy się?

Sully pokiwał głową.

– Tak jest.

– Kiedy zamierzasz z nim porozmawiać?

– Nie w ciągu najbliższych dwóch dni. Chcę pochodzić po okolicy z jego zdjęciem. Zajrzeć do Halo, sprawdzić, czy ktoś go rozpoznaje jako bywalca pokoju dla VIP-ów, czy jak to tam nazywają. Jeszcze raz przejrzeć rzeczy Noel. Zobaczyć, czy nie znajdzie się jakaś wiadomość od niego, zdjęcie, cokolwiek, co by potwierdzało ten związek albo określało wyraźniej, jaki miał charakter. To niezbędne czynności. A potem... potem się z nim spotkam.

– Dobrze. – Edward, klepnął go w ramię, mocno. – Ale... jeśli się mylisz, Sully, o ułamek, o dzień, godzinę, ułamek dziesiątą? Jeśli jeszcze raz usłyszę o whisky na twoim biurku albo o tym, że pijesz w czasie pracy? Wykopię cię z powrotem do jakiejś dziury w Luizjanie.

Rozdział 32

Trzeciego kwietnia Noel zjadła śniadanie za cztery dolary i trzydzieści siedem centów w restauracji Hunger Stopper (odnotowała dwudolarowy napiwek w gotówce) i pojechała do pracy w „Atlasach i koronkach”; zostawiła samochód na parkingu Union Stadion na sześć godzin, na karcie, którą podbiła, wyjeżdżając stamtąd, widniała godzina siedemnasta dziewiętnaście. Zrobiła zakupy spożywcze w pobliskim markecie Giant, prawdopodobnie w drodze do domu. Paragon opiewający na kwotę trzydziestu ośmiu dolarów i piętnastu centów wydano o osiemnastej czterdzieści trzy.

Była oszczędna, z konieczności. Sklep z bielizną płacił jej około dwunastu dolarów na godzinę, z Halo miała dwieście dolarów za wieczór plus napiwki, ale opłacała szkołę, czynsz za własny kąt, samochód, ponosiła codzienne wydatki na życie.

Sully i Lorena od wielu godzin znów ślęczeli nad jej rzeczami, odtwarzając chronologię wydarzeń. Zapadał wieczór, z zamówionej pizzy zostały tylko okruchy w pudełku. Lorena wciąż miała na sobie ubranie, w którym była w pracy. Przedzierali się przez kalendarze, notatniki, paragony, wszystko, co Noel zostawiła po sobie. Lorena wcześniej pobiegła do punktu ksero i teraz powiększony plan miasta na tekturowej podkładce stał oparty o kanapę. W samym środku, jak czarny krążek w centrum tarczy strzelniczej, znajdowało się mieszkanie Noel przy Princeton Place. Powpinane w plan czerwone, niebieskie, żółte i zielone pinezki, każda z doczepionym strzępkim papieru, wytyczały jej ruchy, stwierdzone

na podstawie dat wydrukowanych na paragonach. Kolor niebieski oznaczał pierwszy tydzień kwietnia, żółty drugi tydzień, zielony trzeci, a czerwony ostatni, aż do dwudziestego piątego, kiedy zniknęła.

– Poszłam do „Atlasów i koronek” zaraz po tym, gdy wyszedłeś rano – powiedziała Lorena.

– Myślałem, że idziesz do pracy.

– Zadzwoiłam, że nie przyjdę. Chciałam nad tym popracować. Jesteś pierwszą osobą, która wykazała jakiegokolwiek zainteresowanie.

– Okej. I co powiedzieli?

– Weszłam tam i rozmawiałam z dziewczyną z obsługi, ale trwało to nie dłużej niż piętnaście sekund, bo ledwie powiedziałam, że Noel znaleziono martwą i że kiedyś tam pracowała, ta dziewczyna mi przerwała. Powiedziała, że zaczęła pracować pół roku temu i o niczym nie wie. Poprosiłam więc, że chcę się widzieć z osobą kierującą sklepem. Na co spytała: „W jakim celu?” Wiesz, z odpowiednią miną. „Żeby porozmawiać o mojej siostrze”, odpowiedziałam. Wyszła na zaplecze, wróciła prawie natychmiast i powiedziała, że kierowniczka zaraz do mnie przyjdzie. Po dziesięciu minutach zjawiała się kobieta z rudym kokiem, powiedziała, że jest współniczką i nie może nic powiedzieć. Przypomniałam jej, że chodzi o moją siostrę, na co dotknęła mojej dłoni... suka, jak śmiała mnie dotykać... i zaczęła mówić tym specjalnym szeptem o prawach pracowniczych, dyskrecji i o tym, że na pewno ją zrozumie. Na co odpowiedziałam, że nie powinna oczekiwać ode mnie pieprzonego zrozumienia, skoro ktoś zamordował Noel, jej pracownicę, a ona nie ma mi nic do powiedzenia.

– Nie sądzę, żeby...

– Wezwała ochronę.

– Aha.

– Poproszono mnie o opuszczenie sklepu.

– No to teraz możesz się ubiegać o wydanie legitymacji prasowej.

– Wyszłam i po dwóch krokach zadzwoniłam do detektywa Jensena, zostawiłam mu wiadomość, że w sklepie „Atłasy i koronki” mają informacje na temat zniknięcia Noel i je ukrywają. Mówiłam naprawdę głośno. Stały tam i gapiły się na mnie, a ja gapiłam się na nie. Trzy kobiety w szpilkach, wyglądające, jakby zaraz miały się pobić.

– I co Jensen na to?

– Oddzwonił do mnie piętnaście minut później i spytał, czy dobrze się czuję.

– A dobrze się czułaś?

– Siedziałam w samochodzie w podziemnym garażu i trzęsłam się jak galareta.

Przyjrzał się jej z troską; patrzyła przed siebie, ze ściągniętą twarzą.

– Potem chciałam jechać do Halo – przyznała. – Zabawić się w Nancy Drew. Jakby ktokolwiek zamierzał mi cokolwiek powiedzieć. Myślałam: zobacz, że jestem jej siostrą, to powiedzą mi wszystko.

– Być może. Jednak bardziej prawdopodobne, że będą się przy tobie szczególnie denerwować, z tego samego powodu. Może pozwolisz, żebym to ja się wybrał do Halo i zasięgnął języka.

– Myślisz, że z tobą zechcą rozmawiać? – W słowie „tobą” zabrzmiały wyraźne nuty sarkazmu.

– Jestem znany ze swego daru przekonywania.

Wzruszyła ramionami, co od biedy można było uznać za gest przyzwolenia.

– No, czasami bywam przekonujący – sprostował. – Zadzwoniłem do Reginy Blocker, właścicielki studia tańca. Nasza rozmowa trwała krócej niż twoja w „Atłasach i koronkach”. Mimo to uważam, że powinnaś mi pozwolić pójść do Halo.

– Cóż, skoro i tak wszystko sprawdzasz... – Zajrzała do torebki, czegoś szukając, po czym wyjęła i podała mu wizytówkę studia fotograficznego

Erica Simmonsa. Wystarczyła sekunda, by wiedział, że to człowiek, który robił nagie zdjęcia.

– Dzięki. – Schował wizytówkę do tylnej kieszeni. Uznał, iż lepiej będzie przemilczeć, że widział już zdjęcia, które udostępnił mu „nieoficjalnie” znajomy z policji.

Przyjrzał się mapie przedstawiającej chronologię poczynań Noel.

– Nie widzę nic z ostatnich kilku dni przed zaginięciem.

Lorena spojrzała na papiery i dotknęła ich, jakby chciała przywołać wspomnienie.

– Próbowałam... robić to po kolei i jeszcze nie dotarłam tak daleko. Poza tym... – Siedziała na kanapie, pochylona do przodu, a teraz plecy jeszcze bardziej jej się zaokrągliły.

– Za dużo tego jak na jeden dzień?

– Konfrontacji z jej śmiercią? Śledzenia jej ruchów, wszystkiego, czym się zajmowała? To jest okropne. Jeśli właśnie z tego żyjesz... – Zamrugła i szybko zmieniła temat. – Matka musiała nas zostawić na Jamajce, kiedy tu przyjechała po raz pierwszy. Tata pracował poza domem, w Kingston, a potem ruszył za nią, kiedy już była w stanie go utrzymać. Zostałyśmy w Maidstone, naszej wsi, z panią Bailey, która mieszkała na tej samej ulicy. Na wzgórzu. Wysoko. Chodziłyśmy do Nazareth All-Age School. To był jeden budynek, żółto-niebieski, betonowy gmach z dziedzińcem. Chłopcy mogli się bawić i brudzić, a dziewczynki nie. Rano myło się podłogi, również betonowe, a po południu nauczyciele otwierali okna i do środka wpadała bryza, pewnie znad oceanu, i to było coś najwspanialszego. Przebywałyśmy tam dwa lata, może trzy, z panią Bailey. Mama dzwoniła dwa razy w miesiącu, w soboty rano. Z czasem stałam się dla Noel bardziej jak matka niż starsza siostra. Mama wreszcie przyleciała po nas, kiedy już mogli sobie pozwolić na wynajęcie wystarczająco dużego mieszkania dla nas wszystkich.

Lorena wstała, podeszła do regału przy oknie, wypełnionego rodzinnymi zdjęciami i kwiatami doniczkowymi. Podała mu zniszczoną fotografię formatu trzynaście na osiemnaście centymetrów, w skromnej ramce. Przedstawiała dwie małe dziewczynki z mamą, obie bardzo starannie uczesane, a w tle samolot. Musiała być zrobiona na lotnisku.

– Podróż do Stanów? – spytał.

Usiadła obok niego.

– Tak. Ani Noel, ani ja nigdy wcześniej nie byliśmy na lotnisku, a co dopiero w samolocie. Bardzo to przeżywałyśmy, jakby chodziło o wyprawę na księżyc. Kupiłam... Spójrz tutaj, widzisz? Kupiłam Noel ten naszyjnik z talizmanem, podpisany jej imieniem, na podróż. Reszty nie widać, ale miałyśmy na sobie bluzki, spódnice, białe koronkowe skarpetki i czarne lakierki.

– Kiedyś ludzie się stroili na podróż.

– Myślałam, że tutejsze ulice są ze złota. Naprawdę tak przypuszczałam, słuchając tego, co ludzie w Maidstone mówili o Ameryce. Trzeba pamiętać, że mieszkało tam może z czterysta osób, nie było nawet świateł ulicznych. Przy głównej ulicy stało pięć lub sześć sklepów krytych blachą. Dwa pomalowane na różowo. Jeden z tych różowych należał do pani Bailey... A potem przybyłyśmy do Ameryki.

– I...?

– Zamieszkałyśmy na Kennedy Street. Nie chcę się rozgadywać. Chodzi o to, że Noel uwielbiała ten naszyjnik. W ogóle się z nim nie rozstawała. Nie znalazłam go, kiedy porządkowałam jej mieszkanie. Musiała go mieć na sobie, kiedy... kiedy...

– ...umarła.

– ...umarła. Ale nie było go na niej, na jej ciele. Zniknął.

– Mógł zostać skradziony. Mógł się zgubić tam, w piwnicy.

– Albo ten, kto ją zabił, mógł jej go zerwać z szyi, przekonany, że jest wart więcej, niż był wart w istocie. Właśnie to nie dawało mi spokoju przez

całe popołudnie. Jej naszyjnik. Nie mogę go znaleźć. Od czasu jej śmierci jakby coś dziwnego działo się z moimi nerwami, cierpliwością. Dziś wyprowadza mnie z równowagi ten cholerny naszyjnik.

– Może zawieruszył się... w ziemi, tam w piwnicy.

– Był ze srebra. Prosiłam policję, żeby poszukali wykrywaczem metalu. Prosiłam, żeby tam wrócili i poszukali. – Odwróciła się, nienaturalnie skręcając ciało, i zamachała rękami.

Odruchowo, nim zdążył się powstrzymać, dotknął jej ręki, zawahał się, ale nie wycofał gestu; zaraz potem poczuł, jak żar oblewa mu twarz, kiedy nieznacznie, lecz stanowczo uchyliła ramię. Spojrzała na niego, a potem opuściła wzrok.

– Uporządkowałam większość paragonów, tych z datą tuż sprzed zniknięcia Noel. Tylko jeszcze nie zaznaczyłam na planie – powiedziała. Pociągnęła nosem, odgarnęła kosmyk włosów sprzed oczu, już opanowana ułatwiała mu powrót do wcześniejszego dystansu. – Jest też trochę innych, które nie mają nazwy sklepu, więc nie bardzo wiedziałam, co z nimi zrobić.

Sully odwrócił się i zobaczył stertę świstków na podłodze. Zaczął je wertować, czując, że poci się pod pachami. Odsunął ramiona od boków, żeby nie powstały ciemne plamy na koszuli; od dawna nie zdarzyło mu się być tak zakłopotanym. Naprawdę próbował dotknąć pogrążonej w żalu siostry ofiary morderstwa? Strzelanina, Victoria, teraz to... Jezu, czyżby tracił zmysły?

Gdy przeglądał papiery w pudełku, które Lorena odstawiła na bok, natrafił na artykuł w studenckiej gazecie „Hilltop”, dotyczący zniknięcia Noel. Widział wcześniej inny przez nich wydrukowany, ale nie ten.

Noel zaliczyła ostatnie zajęcia w tygodniu: marketing, badanie i strategia. Odbywały się na drugim piętrze Szkoły Biznesu pod adresem 2600 Sixth Street NW. W artykule podano, że otrzymywała świetne oceny i cytowano koleżankę z grupy, Alicję Mabrey, która twierdziła, że siedziała obok Noel i widziała ją wychodzącą z budynku na dziedziniec. Sully wprowadził tę

informację na plan, a następnie wrócił do paragonów odłożonych przez Lorenę; skupił całą uwagę na wykonywanym zadaniu.

Stracił poczucie czasu, nie wiedział, która jest godzina, gdy wreszcie wstał i przeszedł do kuchni.

– Nie masz przypadkiem bourbona? – zawołał.

– Mam tylko chardonnay. Na drzwiach od lodówki.

Znalazł kieliszek, otworzył lodówkę, zauważył, że w środku prawie nie ma jedzenia, dostrzegł też butelkę. Zostało w niej dosłownie parę łyków na dnie. Obejrzał się, sprawdził, czy gospodyni nie patrzy, po czym uniósł butelkę, opróżniając ją do reszty. Cyfrowy wyświetlacz na kuchence mikrofalowej pokazywał, że dochodzi dziewiąta.

Dusty miała tego wieczoru pracować u Stoneya. Iść czy nie iść. Jest fantastyczna, jasne, ale... przepaść między nimi zrobiła się jeszcze szersza. Nie chciał tego, ale tak było. Niech to wszyscy diabli. Kto go takiego stworzył? Bóg? Darwin? W tym momencie nie lubił żadnego z nich. Zgasił światło w kuchni i przeszedł do otwartego pomieszczenia ze stołem jadalnym po lewej i większą przestrzenią pokoju dziennego po prawej. Lorena wciąż tam była, nie podniosła wzroku, zajęta porządkowaniem faktów i liczb, ufna, że pomaga mu napisać coś, co doprowadzi do aresztowania i skazania zabójcy jej siostry.

Rozległo się stłumione brzęczenie.

– Zostawiłeś tam komórkę – powiedziała.

Utykając wrócił do ciemnej kuchni; kamienna posadzka chłodziła mu stopy.

Numer widoczny na wyświetlaczu należał do Ewy. Odebrał, odchodząc w najdalszy kąt kuchni.

– Tak?

– Spotkaj się ze mną u Stoneya – powiedziała bez wstępów Ewa. – Będę tam o dziesiątej.

– Co? O co chodzi? Chryste, jest... dziewiąta w nocy. Jestem...

– Marnujesz czas – przerwała mu i się rozłączyła.

Rozdział 33

Pół godziny później siedział u Stoneya nad szklaneczką bourbona.

– I kiedy można się spodziewać publikacji? – spytała Eva, pochylając się ku niemu nad blatem stolika.

Był pewien, że ma na myśli artykuł o zaginionych dziewczynach. Nie wiedziała o Reesie i nie mógł jej nic na ten temat powiedzieć. Sącył whisky i zerkał ukradkiem w stronę baru, starał się przyciągnąć spojrzenie Dusty, czekał.

– Może nawet nie w najbliższym tygodniu. Muszę sprawdzić kilka wątków. Sprawa się trochę skomplikowała.

– Skomplikuje się jeszcze bardziej.

– Tak?

– Mamy przyznanie się do winy jednego z tych trzech podejrzanych – oznajmiła.

– Bzdura.

– Reginald Jackson. Ma siedemnaście lat i chce być skazany jako młodociany.

– Nie kupuję tego.

– Twierdzi, że to był rabunek. Zaczepili Sarah w sklepie, przestraszyła się i wybiegła przez zaplecze na tę uliczkę. Tam ją osaczyli. Stawiała opór.

– Och, daj spokój. Sam mógłbym to wymyślić, a przecież siedziałem tu z tobą, kiedy to się stało.

– Deland, najstarszy z nich, chwycił ją, odwrócił do siebie i zakrył jej usta dłonią. Highsmith przyłożył Sarah nóż do szyi, żeby się nie wyrywała. Ale

ona kręciła głową na boki, próbowała strząsnąć z twarzy rękę Delanda. Nie zauważyła noża. Szarpnęła głową w prawo i...

– ...sama poderżnęła sobie gardło. Wierzy pani choć w część tej bajki, pani mecenas?

– To, że sama poderżnęła sobie gardło, jest bzdurą, ale wierzę, że stawiała opór i że się wkurzyli.

Sully już miał powiedzieć, że według posiadanej przez niego informacji z biura koronera gardło zostało poderżnięte po śmierci, ale przecież Eva to wiedziała. Przedstawiała mu wersję Jacksona, nie ujawniając jej słabych punktów. Gdyby się przyznał, że zna prawdę o podcięciu gardła, mógłby spalić Jasona jako swoje źródło.

Zamiast tego wyraził wątpliwość:

– Potrzeba aż trzech facetów, żeby przytrzymać piętnastolatkę?

– Jackson twierdzi, że próbowała krzyczeć. Deland przydusił ją, żeby była cicho.

– I wyszli stamtąd bez śladów krwi na sobie.

– Powiedział, że polało się trochę krwi, której musieli się pozbyć, ale sami się zbyt ubrudzili. Mówiłam ci już, że na ziemi było niewiele krwi. Więcej w pojemniku na śmieci. To akurat jest wiarygodne. Mówi, że się przebrali i spalili tamte ubrania.

– I poszli z powrotem na boisko pograć w kosza?

– Specjalnie, żeby sobie stworzyć alibi.

– Co mu da trzymanie się takiej wersji wydarzeń?

– Czyste sumienie i proces przed sądem dla nieletnich, jeśli będzie zeznawał przeciwko swoim kompanom.

– Ponieważ, jakimś cudem, sam nie brał udziału w zabójstwie.

– To najmłodszy uczestnik przestępstwa. Może łatwo przekonać sąd, że był zastraszony, nie zdawał sobie sprawy, że dojdzie do przemocy, a kiedy doszło, został zmuszony do współdziałania z tymi starszymi dzieciakami.

– Zatem już ubiliście interes.

– Owszem.

Sully odchylił się do tyłu, z trudem próbował opanować złość.

– Nie zastrzegałaś, że to wiadomości nieoficjalne. Nawet w części.

– Nie. Możesz mnie zacytować jako przedstawicielkę organów ścigania zorientowaną w przebiegu śledztwa.

– Kiedy ma się odbyć konferencja prasowa?

– Jutro. W południe, jeśli szef zdąży wszystkich zebrać. Highsmith i Eland zostaną oskarżeni o morderstwo pierwszego stopnia, napaść, rabunek, użycie niebezpiecznego narzędzia i parę innych rzeczy.

Spojrzał na zegarek. Do dziesiątej pozostało dziesięć minut. Mógłby to wcisnąć do składu, gdyby się pośpieszył.

– To znaczy, że kiedy Jackson znów mógłby się bujać na wolności?

Wzruszyła ramionami.

– Więzienia i komisje zwolnień warunkowych wypuszczają ludzi, nie prokuratorzy. Ale powiedziałabym, że będzie świętował swoje trzydzieste piąte urodziny z powrotem w D.C.

– Macie nie tych, co trzeba, Eva. Oni tego nie zrobili.

– Byłoby co najmniej dziwne pchać się na dwadzieścia lat do paki za coś, czego się nie zrobiło.

– Może doszedł do wniosku, że lepszy taki układ, niż to, co by go czekało, gdyby się nie zgodził.

– Masz na myśli co? Dożywocie bez możliwości zwolnienia warunkowego?

– Mam na myśli bardzo krótkie życie, dla niego albo kogoś, kogo zna.

– On nikomu nie podpadł. To waga piórkowa.

– Co nie znaczy, że ktoś nie może mieć na niego haka.

– Może mnie oświecisz? Czy tylko tak gadasz byle gadać?

– Nie możesz mi powiedzieć wszystkiego, co wiesz, i vice versa. Ale powtarzam ci, Eva, nie przywiązuj się za bardzo do tej wersji.

Na ulicy było ciemno. Upuścił komórkę, może trochę pijany, schylił się, żeby ją podnieść, zadzwonił do redakcji i podyktował Tony'emu kilka akapitów na temat ugody sądowej, która miała nastąpić. Tony spytał go, powstrzymując kaszel, o nazwisko osoby, źródła informacji, ale Sully oczywiście go nie podał. Nastąpiła pauza, po czym Tony spytał, czy Sully jest absolutnie pewien wiarygodności przecieku, na co ten odpowiedział, że mógłby go dodać do Dziesięciu Przykazań.

Rozłączył się i zadzwonił do R.J. do domu.

– A niech to, Sullivan – ryknął R.J. – Pięknie. To pociągnie numer.

– Pewnie.

– Więc...

– Więc pewnie.

– Co z Reese'em i Pittman? – chciał wiedzieć R.J. – Co z tymi pozostałymi, jak je nazwać, tajemniczymi śmierciami?

Cholera. Trafił w sedno.

– To samo co wcześniej.

– Niemożliwe. Wiem, że Reese miał romans i nienawidzę przyznawać w czymkolwiek racji Melissie. Ale musimy mieć coś naprawdę mocnego, żeby z tym ruszyć. To, że miał romans nie wystarczy. Powszechne współczucie...

– Przecież już go mamy na widelcu.

– Niby jak?

– Nie ujawnił, co wie. Nie podzielił się z policją swoją wiedzą na temat zaginionej młodej kobiety, choć podejrzewano, że ona nie żyje. Doskonale wiedział, że zaginęła, że ostatni raz widziano ją w Halo, a on wiedział, że żyła jeszcze co najmniej osiem godzin później. Możemy stwierdzić, że Reese, wysoki rangą przedstawiciel wymiaru sprawiedliwości, świadomie zataił informacje przed organami ścigania, żeby utrzymać w tajemnicy swój cudzołożny związek. Już to stanowi złamanie etyki sędziowskiej.

Zapadła cisza. Sully łatwo sobie wyobraził, jak R.J. w zadumie gładzi się po brodzie.

– Dobry jesteś. Dopóki była uznana za zaginioną, to może chodziło jedynie o dylemat moralny. Ale odkąd znaleziono jej ciało w zeszłym tygodniu, wszystko zaczęło wyglądać inaczej. Została zabita... nieważne dla mnie, czy nazywają to śledztwem w sprawie morderstwa, czy nie, została zabita w tamtej okolicy, być może w dniu ich schadzki. Chryste, to brzmi, jakby był podejrzany.

– Co w związku z tym?

– Porozmawiam z Edwardem. Załatwię ci jeszcze dzień lub dwa. Nie mówię, że już mamy wszystko przyklepane. Mówię, że mamy argumenty, by to przepchnąć. Poślę Chrisa na jutrzejszą konferencję. A ty musisz nad tym dalej pracować, mistrzu. Ciężko pracować.

W domu leżeli z Dusty obok siebie w łóżku, po ciemku, oboje wyczerpani, na granicy zaśnięcia. Sully stracił poczucie czasu, wiedział tylko, że dawno minęła północ. Uprawiali seks, ostry, niemal gwałtowny, a teraz czekał, aż poczucie nasycenia pomoże mu odpłynąć w sen.

– Kogo słuchamy? – odezwała się Dusty.

– Toma Waitsa.

– Brzmi, jakby płukał gardło.

– Nie bluźnij.

– „Autostrady, samochody, ciężarówki”, to ma być głębokie? Co jeszcze można zobaczyć na autostradzie?

– To piosenka o byciu zakochanym.

– Cóż, w nim na pewno nie jestem zakochana, zapewniam.

– Jak tam zajęcia na uczelni w tym tygodniu?

– Wykończyły mnie. Przepraszam, że byłam w złym humorze. Nie spodziewałam się... naprawdę się nie spodziewałam, że trzeba się uczyć tyle matematyki, żeby zostać dyplomowaną pielęgniarką.

– Matematyki?

– I chemii. Obliczania dawek.

– Ja ledwie umiem dodawać.

– Bez żartów. Widziałam twoją książeczkę czekową.

Zaśmiał się cicho, w ciemności, zmienił pozycję, tak że noga Dusty spoczęła na jego nodze.

– To akurat głównie odejmowanie.

– Mama zawsze mówiła, że należy się umawiać z mężczyznami, którzy mają przynajmniej sześciocyfrową sumę w banku. – Ziewnęła i zamknęła oczy, poprawiając głowę na poduszce.

– Ze mną się nie umawiała.

– Jasne, że nie.

– Jak się miewa?

– Gra w tenisa trzy razy w tygodniu, tam u siebie w Boca.

– Jesteś miła w dotyku.

– Uhm... – wymruczała sennie. – Za bardzo się przejmujesz... tą całą sprawą Sarah Reese, kochanie. Mam wrażenie, jakbym cię nie znała.

Zastanawiał się, czy jej powiedzieć o strzelaninie, ale prawie natychmiast zrezygnował. Nie potrafiłby jej tego wytłumaczyć, a gdyby nawet mu się udało, ona nigdy by nie zrozumiała.

– Ci trzech chłopcy, podejrzani... – zaczął, postanowiwszy wybrać tę drogę. – Oni tego nie zrobili. Sędzia bzykał Noel. Te pozostałe kobiety, zaginione, zabite... coś jest mocno nie w porządku. Nie wygląda to tak prosto, jak zapewnia policja.

– Nadal nie mogę uwierzyć w to o sędzim Reesie. Co zamierzasz zrobić?

Muzyka ucichła. Zapanowała cisza, przerywana jedynie szumem przejeżdżającego auta, szelestem liści na drzewie przed domem; z każdym dniem robiło się coraz chłodniej.

– Nie wiem – odezwał się prawie szeptem. – Dowiem się, kto zabił Noel. Wygląda, że to klucz do rozwiązania.

– Nie możesz odpuścić? To cię zżera. Jesteś... jesteś inny.

– Nie mogę.

– Czego nie możesz?

– Opuścić. To... nie potrafię ci tego wytłumaczyć.

Po chwili milczenia ziewnęła i naciągnęła wyżej kołdrę, moszcząc się na pościeli przed zaśnięciem.

– Możemy chociaż gdzieś pojechać, jak już będzie po wszystkim? – Nienawidziła morderstw i rozmów o nich, zdawał sobie z tego sprawę.

– Dokąd?

– Nigdy mnie nie zabrałeś do Nowego Orleanu.

– „Nigdy”. Do licha, spotykamy się dopiero od niespełna roku.

– Mimo wszystko.

– Zabrałem cię do Nowego Jorku – przypomniał. Czuł, że musi się bronić i jednocześnie nie chciał, żeby tak to brzmiało. – Pojechaliśmy na Broadway. Mieszkaliśmy w hotelu Algonquin.

– Ale nie byliśmy w Nowym Orleanie.

– No dobrze. Chcesz spędzić Boże Narodzenie we Francuskiej Dzielnicy?

– Pewnie. – Czuł, jak się rozluźnia. – Moglibyśmy to zrobić. Moglibyśmy jeść tamtejsze pączki. – Już prawie spała, jej noga stała się cięższa, oddech zwolnił. – Zabrałbyś mnie do tego baru, gdzie kiedyś pracowałeś. Sprawdziłabym, jak tam jest. Może by mnie zatrudnili.

– Nie wydaje mi się, żeby praca w Chart Room była szczytem kariery.

– Coś ci się w niej nie podoba? – wymamrotała półprzytomnie.

Zastanawiał się, czy rano w ogóle będzie pamiętała tę rozmowę.

– Nie. Ale to zwykły bar. Poza tym musiałabyś kibicować Świętym.

– W życiu – wymruczała. Odwróciła głowę na poduszce, podciągnęła w górę kolana. – Dałabym się zabić za Delfiny z Miami.

– Aha.

– Jedyna niepokonana drużyna. – Dusty zasnęła.

Wyciągnął rękę w ciemności i koniuszkiem palca dotknął jej nosa.

– Boże Narodzenie we Francuskiej Dzielnicy. Brzmi jak piosenka o byciu zakochanym. – Chciał, żeby tak naprawdę było. Bardzo, bardzo tego chciał.

Rozdział 34

Następnego ranka Sully znów był u Loreny Bradford. Stojąc w kuchni, wyjrzał na patio i zobaczył gazetę, leżała tytułową stroną do góry, wiatr lekko unosił brzegi papieru; przyciągnięty tym widokiem Sully wyszedł na zewnątrz przez suwane szklane drzwi. Artykuł zaczynający się na prawej szpalcie miał nagłówek „Zeznanie w sprawie Reese” i opatrzony był małym zdjęciem Sarah Reese umieszczonym obok podtytułu. Zobaczył swoje nazwisko. Chwycił gazetę, odszukał dalszy ciąg artykułu i od razu zauważył, że zajmuje prawie pół strony. Treść ilustrowały zdjęcia twarzy trzech podejrzanych. Chris i Tony nieźle się napracowali po tym, gdy telefonicznie przekazał im rewelacyjną wiadomość.

Wrócił do środka. Dochodziła dziesiąta rano. Wcześniej wyszedł z domu, Dusty jeszcze spała, a on spocony z nerwów, niespokojny, objechał dzielnicę, próbował się dodzwonić na komórkę Sly’ a, wreszcie dotarł do Loreny. Kiedy zapukał do drzwi, już nie spała, oglądała telewizję.

W tym momencie telewizor nadal był włączony, tyle że z bardzo przyciszonym głosem, prezenter z kanału kablowego mówił o sprawie, o zeznaniu, o rozwiązywaniu zagadki. W tle leciał materiał filmowy, pokazywano Georgia Avenue, Princeton Place, sklep Doyle’a w wieczór morderstwa, żółtą policyjną taśmę i radiowozy z migającymi kogutami.

– Pogłośnij – poprosiła Lorena. Zeszła z góry i stanęła mu za plecami. Sully znalazł pilota i wcisnął odpowiedni guzik.

– ...lecz obecnie, dzięki zeznaniu, posiada znacznie mocniejsze podstawy. Adwokat Jacksona, Avram Kaufman, twierdzi, że wobec jego klienta

zostanie zastosowany areszt prewencyjny na terenie D.C. do czasu całkowitego wyjaśnienia sprawy. W biurze obrońców z urzędu, które reprezentuje Highsmitha i Delanda, nikt nie odbierał telefonu, natomiast szef tej instytucji wydał oświadczenie, że obaj wymienieni mężczyźni nadal podtrzymują twierdzenie o swej niewinności.

Kamera wróciła do studia, reporter stał przed budynkiem sądu okręgowego, pokazany na dzielonym ekranie.

– Davidzie i Emily, cóż za niebywała ironia losu – mówił do obiektywu. – Proces tych dwóch mężczyzn odbędzie się w miejscowym sądzie wyższej instancji dokładnie po drugiej stronie niewielkiego dziedzińca za mną, naprzeciwko sądu federalnego, któremu prezesuje ojciec Sarah Reese. Z okien jego biura na najwyższym, trzecim piętrze budynku widać gmach, gdzie będą sądzeni domniemani zabójcy jego córki.

Znów widok studia zajął cały ekran, a prezenter przeszedł do rozważań, jak omawiana sprawa może wpłynąć na szanse wyboru sędziego Reese'a do Sądu Najwyższego.

– Pieprzony Av – mruknął Sully.

– Znasz go?

Wzruszył ramionami.

– Trochę.

– Jest dobry?

– Kiedy się stara. – Skierował pilota w stronę odbiornika i przyciskał guzik, dopóki nie zapadła cisza.

– Ani słowa o Noel – powiedziała Lorena.

– Rzeczywiście. Mamy całe pole do popisu dla siebie.

Usiadła na kanapie.

– Jeśli policja nie okaże zainteresowania, to nie jestem pewna, czy zawstydzanie Davida Reese'a jest...

– Nie okażą zainteresowania, dopóki ich nie zmusimy – przerwał jej Sully, ostrzej niż zamierzał. – Reese, Reese, wszystko się kręci wokół

niego. Każdy się cholernie boi, żeby go przypadkiem nie skrzywdzić. A ja chcę, żeby pamiętać o krzywdzie Noel, Lany, Michelle, Rebekah... i o wszystkich kobietach, które tam mieszkają. Zdajesz sobie sprawę, że nie zdążyłem jeszcze przejrzeć wszystkich akt zaginionych? Że może ich być więcej? Nie zamierzam pozwolić, żeby mu uszła na sucho znajomość z Noel. Ona umarła, a on nawet nie kiwnął palcem. Jakby nigdy nie istniała.

– Okej. Ale jak już mówiliśmy, jeśli sama zwrócę się do policji, nic nie wskóram. Nie ruszą się. Cholerny detektyw Jensen.

– Fakt, nie ruszą się. Odłożą tę sprawę ad acta.

– On mi ciągle powtarza, że nie ma dowodu na użycie przemocy. Twierdzi, że siły departamentu są nadwerężone.

– Z powodu Sarah?

– Tak sądzisz?

Uklęknął obok niej, mimo że to było zabójcze dla jego kolana. Wziął ją za rękę; tym razem nie mogło być mowy o unikach, musiała go dobrze zrozumieć.

– Posłuchaj. Nie mamy wiele czasu. Rzecz jest gorąca, a im dłużej czeka, tym bardziej stygnie. Z każdym kolejnym dniem ludzie decydujący o wydaniu gazety będą nabierać wątpliwości... i grać na zwłokę.

Popatrzyła na niego i lekko ścisnęła mu dłoń, bardziej z nerwów niż z sympatii.

– W takim razie dziś po południu postaram się dokończyć te chronologiczne porządki – oznajmiła. – A ty?

– Ja najpierw odwiedzę fotografa, potem Reese'a, a jeszcze potem Halo. Tylko tyle zostało do załatwienia. Potem już będę pisał.

– Zaraz, odwiedzisz Reese'a? Masz zamiar się z nim widzieć?

Sully uśmiechnął się pod nosem.

– Mam z panem sędzią pewien niedokończony interes – powiedział; z upodobaniem smakował na języku jad płynący w tych słowach.

Eric Simmons miał około pięćdziesiątki, dobre piętnaście lat więcej, niż Sully się spodziewał po tym, gdy John Parker nazwał fotografa przestraszonym królikiem. Ubrany był w dżinsy, mokasyny, rozchełstaną piaskową koszulę, wypuszczoną na spodnie, co miało stworzyć wrażenie artystycznej nonszalancji. I ukryć zaokrąglony brzuch. Poprowadził Sully'ego krótkim, słabo oświetlonym korytarzem, a potem w prawo do gabinetu.

Wskazał na kanapę, a sam przysunął sobie krzesło, z dala od biurka.

– Zatem, Sully, chodzi ci o Noel? – Poufały zwrot wzbudził gęsią skórę na skórze Sully'ego.

– Owszem. – Podał gospodarzowi swoją wizytówkę i wyciągnął notatnik.

– Doskonale. Jednak... hmm... nie mogę ci wiele powiedzieć, ponieważ niewiele wiem. A to, co wiem, powiedziałem już policji.

– Może to zaskakujące, ale oni nie mówią nam wszystkiego.

Simmons skrzyżował nogi w kolanach i uśmiechnął się nieszczerze.

– Oczywiście. Coś do picia? Zapomniałem zaproponować. Wody? Herbaty? Mam...

Sully odmówił gestem uniesionej dłoni.

– Świetnie. Zatem w czym, twoim zdaniem, mógłbym ci pomóc?

Sully zaczął opowiadać, w ogólnych zarysach, o ostatnich dniach życia Noel, ale Simmons szybko mu przerwał. Jego głos miał w sobie nutę jakby znużenia, ale to, co mówił, brzmiało wiarygodnie.

– Spotkałem Noel... a była piękną kobietą i bardzo miłą... tylko te trzy razy, gdy przychodziła do studia. Pierwszy raz, kiedy przyszła się przedstawić, powiedzieć, co ją interesuje, i zapytać o warunki. Potem w pierwszy dzień zdjęć przyszła sama, a w drugi z inną dziewczyną. Zrobiłem zdjęcia, ale nie wywołałem kliszy. Tak jak sobie życzyła.

– Więc nie widział pan zdjęć?

– Nie. To znaczy tak. Policja pokazała mi część z nich i pytała, czy to ja je zrobiłem. Więc wtedy je widziałem.

– Ale nie wcześniej?

– Nie. Wypstrykałem film i oddałem jej nieotwarte kasety. Na jej prośbę.

– Kiedy się odbyły te sesje?

– W marcu zeszłego roku. W połowie miesiąca, z tego co pamiętam. Ważna jest dokładna data? Mogę kazać Jennifer... poznałeś ją w recepcji, żeby sprawdziła.

– Gdybym potrzebował, zadzwonię. Zatem to było jakiś miesiąc przed jej zaginięciem. – Zajrzał do notatek. – Wspomniał pan o „warunkach”. Miał pan na myśli należność za usługę?

– Owszem.

– Mógłbym o nią zapytać?

– Mógłby pan, ale nie podam sumy. W każdym razie nie do druku. Stosuję ruchome stawki i... nie chciałbym, żeby klienci wiedzieli, ile biorę od innych. Więc nie do druku? – Sully przytaknął skinieniem. – Cztery tysiące.

Sully zamrugał. Widział finansowe wyliczenia Noel. Nie miała takich pieniędzy. Nic z tych rzeczy. A Simmons, cóż, nie wyglądał na fotografa biorącego cztery tysiące dolarów za usługę.

– Zapłaciła kartą kredytową? Pamięta pan?

– Pamiętam i to dobrze. Byłem bardzo zdziwiony, że zapłaciła gotówką.

– Studentka college’u zapłaciła panu cztery tysiące dolarów gotówką?

– Wszystko w banknotach studolarowych. To było najbardziej niezwykle w całej sesji. Rzadko robię zdjęcia erotyczne, panie Carter, ale czasami mi się zdarza. Większość zleceń dotyczy reklamy, wie pan, butów, damskiej mody. Wszystkie z tego terenu, jeśli zaliczyć do niego Baltimore. Jednak mam też prywatnych klientów... mężczyzn, którzy lubią mieć zdjęcia swoich żon czy dziewczyn, czy kim one tam są, w erotycznych ujęciach. To są bardzo osobiste i bardzo... gustowne zdjęcia, że tak powiem. Żadne tam domowe porno, w ogóle nie robię ujęć krocza. Te kobiety nie są zawodowymi modelkami. Są podekscytowane, ale też wstydzą się,

zwłaszcza na początku sesji. Noel zachowywała się inaczej. Nie była profesjonalną modelką, ale miała wszelkie atuty, żeby nią zostać.

– Ta dziewczyna, którą przyprowadziła drugiego dnia, zna pan jej nazwisko?

– Nie. Przedstawiła ją po prostu jako swoją znajomą.

– Nie potrzebował pan znać nazwiska? Do opublikowania zdjęć na przykład?

– Nie było żadnej publikacji. Nie miałem praw autorskich. Pamięta pan, że klisza nie należała do mnie. Spytała mnie, jakiego typu kliszy potrzebuję i ile rolek. Powiedziałem, ona je kupiła i podrzuciła mi dzień przed sesją. Zrobiłem fotki i oddałem jej kasety z kliszami. Jej sprawa, jak chciała zdjęcia wykorzystać. Mogła je sprzedać za milion dolarów, a ja i tak nic bym z tego nie miał.

– Nadal jestem pod wrażeniem tych czterech kawałków. Wspominał pan o ruchomych stawkach. Skąd panu przyszło do głowy, że będzie miała tyle pieniędzy?

– Powiedziała, że robi to dla swojego chłopaka i że pieniądze nie mają znaczenia. Że zależy mu na jakości.

– Hmm.

– Dlatego, w sensie biznesowym, mierzyłem wysoko.

– Hmm. – Wykrywacz kłamstw w głowie Sully’ego zaświecił na czerwono.

– Pozwoli pan, że coś wyjaśnię, panie Carter. Nie robię pornografii ani nie fotografuję aktów seksualnych. Powiedziałem jej to jasno, kiedy wspomniała, że chce pozować z inną kobietą. Jeśli pan widział te zdjęcia, to wie, że są artystycznie skomponowane, nie żadne tam gołe fotki dla podglądaczy. Połowę z nich mogła wysłać do organizatorów kampanii reklamowych bielizny i strojów kąpielowych, co zresztą zapowiadała. Na tych, gdzie są we dwie, obejmują się, z tego co pamiętam, przytulają

do siebie, a może też całują. Ale wszystkie ujęcia były pozowane. To nie tak, że przyszły do mojego studia i uprawiały seks, a ja pstrykałem zdjęcia.

– Mówiła czy choćby sugerowała, kim jest jej chłopak? Wymieniła imię David albo powiedziała o kimś „D”?

Simmons rozłożył ręce i uśmiechnął się z rezygnacją.

– Policja zdaje się twierdziła, że zdjęcia miały iść do portfolio, dla czasopisma dla panów. Nie wspominali o żadnym chłopaku.

– Aha, jeszcze jedno pytanie, panie Simmons. Poświęcił mi pan wiele swego cennego czasu. Czy kobieta o nazwisku Lana Escobar była u pana, żeby sobie zrobić takie same zdjęcia?

Fotograf wyraźnie stężał.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Lana Escobar. Latynoska, dwadzieścia lat z małym okładem, musiałyby to być jakieś dwa lata temu. Przyszła po rozbierane zdjęcia?

– To ta młoda kobieta z pańskiego artykułu. – Twarz zastygła w nienaturalnym uśmiechu.

– Owszem, zgadza się...

– Co pan próbuje mi powiedzieć?

– Okazuje się, że ona też miała chłopaka, który lubił rozbierane zdjęcia. Tak się składa, że je widziałem. Tylko pytam.

– Pan... pan sugeruje... Chyba uznamy rozmowę za zakończoną.

– A może Michelle Williams?

Simmons wstał.

– Skończyliśmy.

Sully wyszedł na zewnątrz i ruszył przed siebie zaciszną uliczką między domami. Mógłby się od razu dostać do Simmons, tego obleśnego łobuza. Jasne, przeszedł policyjną inspekcję i co z tego? Kiedy przesłuchiwali Simmons, nie szukali jeszcze zbyt usilnie Noel, a już na pewno nie widzieli powiązania między Laną a Noel, ponieważ nie wiedzieli, że Lana

pozowała nago. To, że policja nie interesowała się Simmonsem, prawdopodobnie znaczyło tylko tyle, że nie był wcześniej notowany i nie popełnił żadnego przestępstwa na tle seksualnym. Ale Chryste, czyż John nie uprzedzał go, że to oślizły typ? Simmons wiedział, że nie jest niewinny. No dobrze, ale skąd Noel się wzięła w studiu Simmonsa, żeby się przed nim rozbierać? Sully myślał gorączkowo. Albo ona albo jej znajoma musiała o nim wiedzieć. Tak do niego trafiły. Z pewnością nie przez Reese'a. Sully wiedział, że musi wejść w świat Noel, rozejrzeć się wśród modelek, w kręgach klubowych bywalców. Świetnie. Mógł zacząć jeszcze tego wieczoru w Halo.

To mu dawało czas na zajęcie się innym, pilniejszym zadaniem. Oparty o motocykl wyciągnął komórkę i wybrał numer gabinetu Reese'a w sądzie okręgowym.

– Witam, mówi Sully Carter z gazety – odezwał się, kiedy odebrała sekretarka sędziego. – Muszę się spotkać z Davidem jeszcze dziś po południu.

Po drugiej stronie linii nastąpiła lodowata cisza.

– To nie będzie możliwe – padła odpowiedź.

– Aha. Może jest na konferencji prasowej. A jutro?

– Obawiam się, że pan sędzia nie przewiduje spotkań z przedstawicielami mediów w dającej się przewidzieć przyszłości.

– Rozumiem. Czy mogłaby mi pani w takim razie wyświadczyć pewną przysługę? Zapytać sędziego, czy zechciałby się odnieść do artykułu na temat jego pozamałżeńskiego związku ze studentką college'u Noel Pittman, która obecnie nie żyje? I tego, że był ostatnią osobą, do której dzwoniła, osiem godzin po tym, gdy reszta świata straciła z nią kontakt? Oraz tego, że policję bardzo zaskoczą te informacje?

– Ja...

– Zaraz, zaraz. Proszę go też spytać, czy chce się wypowiedzieć na temat posiadanych przeze mnie dokumentów potwierdzających, że zapłacił...

zaraz, gdzie to jest... o tu, w studiu Erica Simmonsa za jednoznacznie erotyczne zdjęcia panny Pittman i innej kobiety, tancerki z klubu ze striptizem, gdzie pracuje pod pseudonimem... chyba Bambi?

Cisza jak na lodowcu. A potem:

– To wszystko?

– Na dziś chyba tak.

– Proszę chwilę poczekać.

Czekał oparty o swoją maszynę, patrząc w bladoniebieskie niebo. Sekretarka odezwała się znowu po kilku minutach.

– Pan sędzia powiedział, że przyjmie pana o osiemnastej w swoim gabinecie.

Rozdział 35

Budynek sądu okręgowego oficjalnie zamykano o piątej, ale tak naprawdę, przez strzeżone wejście od strony Marshall Park, był zawsze dostępny, z wyłączeniem federalnych świąt. Za dziesięć szósta Sully wszedł tamtędy do środka, wstąpiwszy uprzednio do domu, żeby się ogolić i przebrać w normalne spodnie i białą koszulę. Do plecaka spakował czarną sportową marynarkę, którą wyciągnął dopiero po zaparkowaniu motocykla na C Street.

Strażnicy sądowi przywitali go po imieniu, niemniej kazali mu się poddać rutynowej kontroli wykrywaczem metalu. Przeszedł korytarzem do windy; chodnik skutecznie tłumił odgłos kroków. Jak zawsze ogarnęło go zdziwienie różnicą pomiędzy tym miejscem a sądem wyższej instancji, stojącym nieco na ukos po drugiej stronie C Street. Tu była siedziba sądu federalnego, świątynia sprawiedliwości, tej przez duże „S”, i szczytnych idei, na marmurowych posadzkach leżały czerwone dywany, na ścianach wisiały ciężkie olejne portrety byłych sędziów, światło miało odpowiednie natężenie, a sam budynek symbolicznie usytuowany pomiędzy Kapitołem a Białym Domem miał pilnować równowagi na styku tych dwóch ośrodków władzy.

Sąd wyższej instancji, który mieścił się po sąsiedzku, to w porównaniu z nim jakby lokalny przystanek autobusowy sprawiedliwości, ślepy zaułek miejskiego życia – głośny, pełen wulgarności, hałaśliwy, zatłoczony, niesforny; woda z parasoli ściekała na podłogi sal rozpraw, a przy głównym wejściu konfiskowano noże sprężynowe.

Winda zawiozła Sully'ego na trzecie piętro tego potężniejszego sądu, dalej poszedł pieszo korytarzem, gdzie, za zakrętem, znajdowało się biuro Reese'a. Drzwi były zamknięte, jak zawsze, został wpuszczony do środka przez recepcjonistkę. Nie odpowiedziała na jego powitanie i uśmiech.

Usiadł i udawał, że przegląda swoje notatki. Zadzwonął telefon, kobieta odebrała i nie patrząc na Sully'ego, powiedziała, że może wejść.

Otworzył wielkie dębowe drzwi – dlaczego sędziowie lubili takie duże drzwi? zawsze go to intrygowało – i przestąpił próg gabinetu Reese'a.

Sędzia zgromił go spojrzeniem zza biurka. Obok niego, po lewej stronie, siedział jego osobisty doradca Joseph V. Russel. Cienki jak patyk, w jasnoszarym garniturze, na oko koło pięćdziesiątki, z początkami łysiny i trochę ascetyczną twarzą człowieka, który dla relaksu biega maratony. Po prawej zasiadał jakiś prawniczy sztywniak – dobry Boże, facet wyglądał, jakby musiał płacić za oddychanie – w brązowym garniturze, z miną pasującą do stroju.

Sully zajął krzesło naprzeciw Reese'a, choć nikt mu tego nie zaproponował, skrzyżował nogi i nie próbował ścisnąć dłoni. Demonstracja siły, pomyślał na widok podwójnej obstawy Reese'a. Odwzajemnił się brakiem uprzejmości. Zmienił pozycję na wygodniejszą, choć zakładał, że całe spotkanie skończy się przed upływem dziesięciu minut, a może nie potrwa nawet pięciu.

– Panie sędzio, dziękuję, że zechciał pan się ze mną spotkać dziś po południu – zagaił przyjaźnie. – Pracuję nad artykułem...

– Pan sędzia poinformował nas o naturze pańskiej wizyty – przerwał mu Russel. – Rozumiem, że wie pan, kim jestem, dla porządku jednak dodam, że rozmowa jest nagrywana, panie Sullivan, a ja nazywam się Joseph Russel i jestem doradcą sędziego Reese'a. Po drugiej stronie sędziego siedzi Brian Cannan, z wydziału etyki Departamentu Sprawiedliwości. Pełni wyłącznie funkcję obserwatora, by istniała pewność...

– Że sędzia Reese nie podyktuje mi cytatu, nie każe mi go przeczytać, a potem nie wystosuje do mojego wydawcy listu, na urzędowym papierze, z zapewnieniem, że nigdy nie powiedział tego, co powiedział, i żądaniem, żeby mnie wylano za zmyślenie jego słów? – dokończył Sully, kiwając głową do Cannana, który nawet nie mrugnął. – Ponieważ właśnie tak było ostatnim razem.

Russel uśmiechnął się protekcjonalnie.

– Pan Cannan jest tutaj po to, by obserwować przebieg spotkania i na zakończenie zdecydować, czy należy pociągnąć pana do odpowiedzialności.

– Za?

– Próbę szantażowania sędziego federalnego.

– A co miałbym zyskać na tym rzekomym szantażu?

Russel wzruszył ramionami.

– Nie działamy w pańskiej branży, panie Sullivan, więc nie mamy pojęcia. Zachowujemy jedynie niezbędne środki ostrożności.

Sully czuł, jak podnosi mu się temperatura. Ukrył to, sięgając do plecaka po własny dyktafon. Położył go na blacie biurka przed Reese'em.

– Fantastycznie. Dzięki, za poświęcony czas, Brianie. Joseph, pana też miło widzieć. Zawsze chętnie pomogę wam nabić dobrze płatnych godzin. Mam tu dyktafon, więc możemy grać w duecie. Zrozumiecie, że moje doświadczenia z waszym klientem pokazują, iż nie można dawać wiary jego słowom. Czy to się u was nagrało?

Russel nie odpowiedział. Sully wcisnął u siebie guzik nagrywania, podał datę, miejsce i nazwiska osób obecnych w pokoju, po czym ustawił dyktafon z powrotem na biurku i zajrzał do notatek.

– Okej, sędzio Reese. Noel Pittman. Jak już wspomniałem pańskiej sekretarce, podczas zbierania materiału do naszych publikacji na temat śmierci panny Pittman, natrafiliśmy na jej pamiętnik, w którym wymienia pana jako swego bardzo bliskiego znajomego. Są tam zapisane daty

i godziny waszych spotkań, które często następowały w soboty o dziesiątej piętnaście. Ten termin wiąże się z lekcjami tańca pańskiej córki w studiu Big Apple. Widzieliśmy też komórkę panny Pittman, w której zapisała numer pańskiej komórki oraz prywatnej linii w pańskim gabinecie. Umieściła pana, z imienia, na liście swoich osobistych kontaktów. Rozmawiałem również z dwoma naocznymi świadkami, którzy widzieli pana, gdy wchodził do mieszkania panny Pittman lub z niego wychodził. Jedna z tych osób widziała, jak obejmowaliście się w progu domu, a panna Pittman miała wówczas na sobie „nocny strój”. Jesteśmy też w posiadaniu kopii erotycznych zdjęć panny Pittman zrobionych w pewnym studiu fotograficznym i mamy dowód z banku, że dał jej pan cztery tysiące dolarów na zapłacenie za sesję oraz dodatkowo kilkaset dolarów na klisze i wywołanie.

Po raz pierwszy uniósł wzrok. Reese miał minę zwierzęcia złapanego w potrzask. Russel przygryzał wargę od środka, ale zachował kamienny wyraz twarzy. Cannan nagle zaczął sprawiać wrażenie, jakby wolał być w jakimś innym miejscu.

– A jaki jest sens tych domniemań, tych rzekomych odkryć? – spytał Russel.

– Według mnie taki, że panna Pittman opuściła popularny nocny klub na New York Avenue, gdzie dorywczo pracowała, nad ranem dwudziestego piątego kwietnia zeszłego roku. Nigdy więcej jej nie widziano. Jednak ostatni telefon z jej komórki – o którym policja jeszcze nie wie – wykonano o dziesiątej czterdzieści siedem następnego ranka, na numer prywatnej komórki sędziego Reese’a. Połączenie trwało siedem minut. Rozmawiali. Albo może ona mówiła do pana Reese’a, co mogło być jeszcze bardziej interesujące. Sens można dostrzec w tym, że wasz klient rozmawiał z panną Pittman osiem godzin po tym, gdy reszta świata uznała ją za zaginioną. A jej rozłożone szczątki znaleziono kilka dni temu, w opuszczonym domu na skraju jej osiedla, po drugiej stronie uliczki, na której zginęła Sarah.

Moje pytanie brzmi: czy wasz klient w którymkolwiek momencie, czy to po jej zniknięciu, czy po znalezieniu jej ciała, przekazał policji te informacje.

Mężczyźni, towarzyszący Reese'owi nie porozumiewali się ze sobą.

Russel powiedział:

– Nie mamy żadnych uwag, te pomówienia nas oburzają, wiadomo, że mają na celu zniesławienie sędziego Reese'a. To jest jakaś pożałowania godna kampania oczerniająca, w dodatku rozpętana w czasie, który nadaje jej groteskowy wydźwięk. Pan sędzia i jego rodzina przeżywają żalobę po stracie swego jedyne dziecko. Kilka dni temu w sprawie nastąpił zasadniczy przełom, dopiero przed paroma godzinami ogłoszony publicznie. Pan sędzia ma politycznych wrogów, którzy próbują puścić w obieg te informacje, by uniemożliwić jego nominację do Sądu Najwyższego, nie zważają na cierpienia jego rodziny. Od wielu lat jestem związany z Waszyngtonem, ale jeszcze nigdy nie widziałem czegoś równie nikczemnego.

Sully miał ochotę go spytać, czy nie czytał o Monice Lewinsky i niebieskiej sukience, ale jednak się powstrzymał.

– Wszystko to brzmi bardzo interesująco, panie Russel, ale nie stanowi odpowiedzi na moje pytanie, jakkolwiek doceniam, że wyrażał pan się tak jasno do mikrofonu. Czy sędzia Reese spotkał się z Noel Pittman o dziesiątej piętnaście tamtego dnia, kiedy zaginęła, jak według jej zapisków planował, i czy poinformował policję o swojej ostatniej rozmowie z Noel Pittman?

– Nie będziemy się zniżać do udzielania odpowiedzi. Co pan zamierza zrobić z tymi informacjami?

– Zamierzam je opublikować.

– Musi pan wiedzieć, że robiąc to, wstąpi pan na bardzo cienki lód.

– Hmm. Zbieram materiał do artykułu o sędzim federalnym i jego związku ze studentką college'u, która została zamordowana, oraz o tym, że nie przyznał się do tej znajomości. Tu akurat lód wydaje się dość gruby.

Rozbierane zdjęcia zostały zrobione zaledwie kilka tygodni przed jej zaginięciem. Czyżby to o nich pan sędzia dyskutował z panną Pittman podczas ich ostatniej rozmowy telefonicznej?

– Co, poza osobistym uprzedzeniem, każe panu wierzyć, że panna Pittman została zamordowana? Wydział zabójstw nie prowadzi dochodzenia w sprawie jej śmierci – stwierdził Russel. – Przeprowadzono sekcję zwłok tej młodej kobiety i urząd koronera nie stwierdził, że powodem jej śmierci było zabójstwo. Właśnie te nieodpowiedzialne spekulacje, panie Carter, stawiają pana i pańską gazetę na cienkim lodzie.

Sully poczuł świerzbień w końcach palców. Przeholował. Wyprzedził znane fakty i nie chodziło tylko o błąd, że wie, iż to Reese zapłacił za zdjęcia. Tu akurat dobrze zagrał, a zyskał pewność, gdy Simmons wymienił sumę. Tylko że wszystko było na taśmie, również to, że została zamordowana, czego koroner wcale nie stwierdził. Zaklął w duchu, zły na samego siebie.

– Ciało panny Pittman znaleziono jakieś dziesięć domów od jej mieszkania, w stanie tak daleko posuniętego rozkładu, że nie udało się ustalić przyczyny śmierci ani tego, czy nastąpiła na skutek przestępstwa. Ani nie wykluczono zabójstwa, ani go nie stwierdzono. Ale maszyna ruszyła, panie Russel. Nie sposób jej zatrzymać. Mogę mówić prościej, jeśli trzeba. Pytam jeszcze raz, czy sędzia Reese wyjawiał swój związek z panną Pittman organom ścigania? Rzeczywiście nie toczy się śledztwo w sprawie śmierci panny Pittman, ale policja D.C. traktuje tę sprawę jako otwartą. Czy pan sędzia wykazał chęć pomocy służbom dochodzeniowym? Powiedział im, że rozmawiał z nią osiem godzin po tym, gdy ostatni raz ją widziano lub słyszano? Nie sądzę. Bo gdyby to zrobił, nie powtarzano by mi ciągle, że ostatni raz widziano ją w Halo. I nie powtarzano by mi, że rozbierane zdjęcia były robione do czasopisma dla panów, podczas gdy w rzeczywistości zostały zrobione dla niego.

Sully miał wrażenie, że głowa Reese'a zaraz eksploduje. Sędzia miał czerwoną twarz i zaciśnięte szczęki. Pochylony do przodu opierał się o biurko. Cannan trzymał głowę nieruchomo, ale spoglądał z obrzydzeniem to na jednego, to na drugiego.

A Joseph Russel, za co mu sownie płacono, wyglądał, jakby pływał gondolą przy wiosennej bryzie.

– To są wierutne kłamstwa, ale słyszeliśmy pańskie pytania, panie Carter, i nie zamierzamy dać się wciągnąć w to szambo insynuacji. Może pan opublikować te... te rzeczy, skoro tak sobie życzy, ale chyba ma pan świadomość, że wtedy podejmiemy odpowiednie kroki prawne. Stawką jest pańska kariera, panie Carter, nie sędziego. Niech pan nie ma złudzeń.

– Szambo insynuacji. Podoba mi się, panie Russel. Nowatorski frazes. To już chyba wszystko. – Wyłączył dyktafon.

Kiedy chował notatnik do plecaka, trzech mężczyźni po drugiej stronie biurka, odchyleni do tyłu, szeptali między sobą. Sully podniósł się z krzesła, zabrał dyktafon i ruszył w stronę wyjścia. Usłyszał, jeszcze zanim zobaczył, że Reese wstaje i okrąża biurko, żeby go dogonić. Sully zwolnił, nieznacznie, by sędzia pierwszy dotarł do drzwi.

– Carter – warknął Reese, chwytając za klamkę, żeby Sully nie mógł ich otworzyć; dodatkowo pochylony, napierał na niego potężnym brzuchem.

– Dobrze słyszę, panie sędzio. Nie musi pan stać pięć centymetrów od mojej twarzy, żeby ze mną rozmawiać.

Reese wyrwał mu z ręki dyktafon i pełnym wściekłości wzrokiem przyjrzał się urządzeniu, sprawdzając, czy aby na pewno jest wyłączone.

– Kulawy gnojku, będziesz martwy dla świata, kiedy z tobą skończę – wysyczał. – Martwy. Nie obchodzi mnie, czy wydrukujesz to gównu, czy nie. Wydaje ci się, że możesz ze mną pogrywać? Uważasz, że ostatnim razem wyrządziłem ci krzywdę? To był pieprzony strzał ostrzegawczy. –

Otworzył drzwi na oścież, wciskając Sully'emu dyktafon z powrotem do ręki. – A teraz won, zejź mi z oczu.

Sully spojrział przez ramię w głąb gabinetu. Cannan miał nieprzenikniony wyraz twarzy, natomiast Russel siedział z rękami założonymi na piersi i uśmiechał się pogardliwie, wyraźnie rozbawiony sytuacją.

Sully odwzajemnił uśmiech, dodał jeszcze lekkie skinienie.

– Panie sędzio? – zwrócił się ponownie do Reese’a. – Przed minutą wyrwał mi pan dyktafon z ręki. – Uniósł w dwóch palcach cienkie cyfrowe urządzenie. Następnie szybko, jak magik wykonujący sztuczkę z królikiem i kapeluszem, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i pokazał drugi dyktafon. Światelko nagrywania paliło się na czerwono. – Przepraszam, ten też chciał pan zabrać? Nie byłem pewien, a pan nie powiedział. Życzę wszystkim udanego wieczoru.

Rozdział 36

Teraz już nie było odwrotu, musiało się zdarzyć to, co nieuchronne. Telefony do Johna Parkera, przedstawienie mu stanowiska Reese'a, pytanie, czy Reese kontaktował się z policją w sprawie zniknięcia Noel.

– Absolutnie nie – brzmiała odpowiedź Johna. – To jest materiał na wszczęcie śledztwa, sam dobrze wiesz. Jeśli to opublikujesz, gwarantuję ci, że będzie ciąg dalszy. Uzgodnij wszystko z szefem, jeśli chcesz podać te fakty w druku, ale zapewniam cię, że nie pisał nam o tym ani słowa. Osobiście skopię dupę Jensenowi za to, że nie zajął się należycie siostrą ofiary. Powinna rozmawiać z nami, a nie z tobą.

Potem telefony do R.J., do Eddiego, opowiadanie o spotkaniu w sądzie, wybuchu Reese'a, o fotografii, o rozmowie z Johnem, którego opisywał zwierzchnikom jako „wyższego rangą funkcjonariusza policji”. Ustalił z R.J. i Eddie, że spotkają się z samego rana, jeszcze raz obgadają sprawę, po południu najprawdopodobniej wykonają oficjalny telefon do komendanta policji i to będzie ostatnie posunięcie przed publikacją. Ten kontakt musiał nastąpić jak najpóźniej, żeby uniknąć przecieków do innych gazet i sieci informacyjnych. Bywało, że człowiek się zwracał do tych drani, a oni dwie minuty później dzwonili do CNN: „Dopiero co ludzie z gazety pytali nas, czy...”

Gdy Sully wreszcie dotarł do Halo, dochodziła północ i klub dosłownie pulsował muzyką. Zapłacił dwadzieścia dolarów za wstęp, oddał motocyklową kurtkę do szatni i wszedł po schodach na górę; Mary J. Blige śpiewała z głośników tak donośnie, że czuł wibrowanie balustrady. Klub

mieścił się w dawnym składzie wyrobów metalowych; przedsiębiorca Jeffrey Gaston dwa lata temu przebudował czteropiętrową ruinę i zmienił ją w najbardziej trendy nocny klub w mieście.

Gaston uległ modnej fascynacji slumsami i wybrał agresywnie brzydką, dysfunkcyjną wschodnią część miasta przy New York Avenue. W sąsiedztwie znajdowały się obskurne komisje samochodowe handlujące najgorszymi rzękami, przytułek Armii Zbawienia Harbor Light Center (starzy pijacy na wózkach inwalidzkich, ze zniszczonymi wątrobami i nerkami), fast foody z toaletami pełnymi kondomów i łyżeczek do koki, kolejowy szlak towarowy, którego tory przecinały aleję, wreszcie, po drugiej stronie ulicy Ivy City, osiedle zdewastowane przez upodobanie jego mieszkańców do koksu.

Wewnątrz ogrodzenia z kolczastym drutem, otaczającego klub wraz z przynależnym doń parkingiem, istniał zupełnie inny świat.

Z parteru, gdzie dominowały wyłożone czereśniowym drewnem ściany i czarne marmurowe blaty barów, Sully przeszedł szerokimi krętymi schodami na piętro, skąd dochodził śpiew Blige. Znał to miejsce na tyle, by wiedzieć, że samego Gastona znajdzie na najwyższym piętrze, w przeszklonej nadbudówce.

Znalazłszy się tam, wziął z baru dzin z tonikiem i czekał, obserwując tańczących, niezbyt licznych, jako że godzina była dość wczesna jak na klubowe rozrywki. Po upływie pół godziny Gaston wreszcie się pokazał, wyszedł zza czarnej kotary za parkietem. Towarzyszył mu ochroniarz i młoda kobieta w krótkiej czarnej sukience. Para zajęła boks przy końcu sali, a ochroniarz stanął jak słup przed ich stolikiem.

Sully dał Gastonowi pięć minut, a potem zbliżył się i podał ochroniarzowi wizytówkę. Mężczyzna spojrzał na nią, po czym nachylił się i krzyknął Sully'emu do ucha:

– O co chodzi?

– O Noel Pittman – odkrzyknął Sully.

Ochroniarz przekazał wizytówkę Gastonowi, mówiąc mu coś do ucha, na co Gaston spojrział na Sully'ego i gestem kazał kobiecie się przesunąć, tak by mógł wyjść z boksu.

Jak na mężczyznę słusznej postury poruszał się nadspodziewanie lekko, zwinnie. Krótka przycięta broda, idealne zęby, czarny garnitur, czarna koszula. Z takim wyglądem robiło się dobre wrażenie na spotkaniu z radą miasta i zadawało hipsterskiego szyku w klubie. Uścisnął dłoń Sully'ego i machnięciem zachęcił go, by poszedł za nim.

Przeszli za czarną kotarę, do oświetlonego korytarza z oprawionymi zdjęciami klubowego życia wiszącymi na ścianach, który prowadził do pomieszczenia socjalnego dla personelu. Gaston wyjął z lodówki dwie małe buteleczki francuskiej wody źródlanej i usiadł przy stoliku.

– O co chodzi z tą Noel?

– Jestem...

– A ja jestem zmęczony słuchaniem o niej – przerwał mu Gaston. Założył nogę na nogę i postukał w leżącą na stole wizytówkę. – Policja była tu nie dalej jak wczoraj. Chcieli wiedzieć, kiedy ją ostatni raz widzieliśmy. To jakieś cholerne błędne koło.

Sully odkręcił buteleczkę z wodą i pociągnął dwa łyki.

– Kto tu był, detektyw Jensen? Starszy biały facet? Z kwaśną miną?

– Zadawał mi i Conradowi te same pytania, które słyszeliśmy od innych detektywów w zeszłym roku.

– To znaczy jakie? A, przepraszam, kim jest Conrad?

– Szefem ochrony. Ten gliniarz chciał obejrzeć jej wyjazd z klubu na taśmie monitoringu. Co miała na sobie? Dokąd jechała? Czy były z nią jakieś problemy?

– Raczej ogólne pytania.

– Tak, pytają ogólnie, dopóki nie zaczną człowieka obrzucać gównem.

– Sądzi pan, że on ma taki zamiar?

– Kto wie? Pieprzone gliny.

– Więc co się działo tamtej nocy? Co mu pan powiedział?

– A panu co do tego?

– Mnie nic. Ale panu? Co innego być podejrzanym, a co innego pomocnym pracodawcą.

– Kto powiedział, że jesteśmy podejrzeni?

– Pan. Dopiero co mówił pan, że Jensen był tu wczoraj i zadawał te same pytania jak wcześniej. Wie pan dlaczego? Żeby sprawdzić, czy tym razem powie pan coś innego. Przyglądają się panu. Chce pan się trzymać z dala od takiej gazety jak moja? Proszę mi pokazać, że nie ma się do czego przyczepić.

Gaston przyjrzał mu się, wciąż postukując palcem w wizytówkę. Sully z pokerową miną wytrzymał jego spojrzenie.

– Chodzi o to, że nic się nie działo – odezwał się wreszcie Gaston. –

Conrad tamtej nocy odprowadził Noel i poczekał, aż wyjedzie z parkingu. Zawsze tak robi. Trzymamy klientów z dala od dziewczyn. Niektórzy wypiją o parę kolejek za dużo i chcą je bajerować. Zasada jest więc taka, że tancerki odczekują pół godziny po zamknięciu i dopiero wtedy odjeżdżają. Conrad, lub któryś z barmanów, albo jeszcze ktoś inny odprowadza je do samochodów.

– Oglądał pan taśmy monitoringu z tamtej ostatniej nocy?

– Zrobiłem kopię dla glin, kiedy tu przyszli w zeszłym roku. Jensen nawet o tym nie wiedział. Przegrałem mu nową.

Jasne, pomyślał Sully, coraz mocniej przekonany, że Jensenowi odpowiadało traktowanie Gastona, Conrada czy kogoś innego z klubu jako podejrzanego i poprosił o drugą taśmę, żeby sprawdzić, czy dadzą mu tę samą i przy okazji wyprowadzić ich trochę z równowagi.

– Jensen pytał pana o Davida Reese’a? Na przykład, czy Reese tutaj przychodził, bo przecież był uważany za VIP-a, czy pokazywał się, kiedy Noel tańczyła, tego rodzaju rzeczy?

Gaston przestał wreszcie stukać w wizytówkę, wyraz twarzy mu się zmienił, jakby zaraz miał parsknąć śmiechem.

– Reese? Ten David Reese? Sędzia? W Halo?

Sully przytaknął, bez uśmiechu.

– Cholera, nie. Nie. David Reese? Nie oceniamy naszych klientów, ale on? – Nagle skrzywił się, jakby przyszła mu do głowy niespodziewana myśl. – Chce pan powiedzieć, że kombinował z Noel?

– Sprawdzam tylko plotki. Pan słyszy różne rzeczy. Wie pan może coś o karierze Noel w modelingu? Pozowała nago?

– Och, człowieku. Pewnie pan mówi o tych czarno-białych zdjęciach Erica. Proszę posłuchać. Po pierwsze, z pańskiego artykułu ma jasno wynikać, że robiła te zdjęcia w swoim wolnym czasie, nie tu w klubie, okej? Po drugie, zadzwonię po Conrada. Zabierze pana do biura i pokaże panu taśmę z monitoringu. Domyślam się też, że będzie pan chciał porozmawiać z Elissą, nie mam nic przeciwko temu, ale nie może pan ujawnić, że ona tu pracuje. Widział ją pan już, bo dziś tańczy.

– Elissa?

– Prawdopodobnie zna pan ją ze scenicznego imienia. Amber. To ona pozowała nago z Noel.

– Kupuje pan gotowe ubrania? – spytał Sully, kiedy Conrad prowadził go do pokoju ochrony na zapleczu. Facet wyglądał, jakby mógł wycisnąć na ławeczce mercedesa, potężna klata, bary, a nie mógł mieć więcej niż metr siedemdziesiąt wzrostu.

Conrad tylko parsknął, zmierzając przed siebie przez kolejne służbowe pomieszczenia.

– Od czasu studiów już nie. Szyję na miarę. Mam takiego gościa, gdyby pan potrzebował.

Kiedy wreszcie znaleźli się w jego kantorku, otworzył kluczem szafkę, wyjął z niej kasetę wideo i usiadł przy biurku, na którym znajdował się

pojedynczy mały monitor i odtwarzacz. Umieścił w nim kasetę i włączył sprzęt.

– Mam nadzieję, że Gas pana uprzedził, że film jest krótki i uroczy. – Wskazał Sully’emu własny fotel przy biurku, żeby mógł obejrzeć nagranie.

– Pozwoli pan, że spytam – zaczął Sully – ...bo był pan ostatnią osobą, która widziała ją żywą. Czy policja bardzo pana na ten temat wymaglowała?

– Trochę. Moim zdaniem niezbyt lubią ludzi z Puerto Rico. – Przeprosił i wyszedł do toalety.

Na kasecie znajdowało się typowe dla monitoringu ziarniste nagranie z kamery na piętrze wychodzącej na parking. Noel występowała na nim jako sylwetka w białej bluzie z kapturem, stała pod lampą; tak naprawdę, nie było widać jej twarzy. Zatrzymała się przy drzwiach i wtedy Sully dostrzegł Conrada wychodzącego na zewnątrz; zmierzał na parking. Noel poszła za nim. Miała na nogach sportowe buty do biegania. Zobaczył mignięcie świateł, kiedy wcisnęła guzik alarmu w pilocie, a potem ściągnęła z włosów kaptur i wsiadła do auta.

Moment później wyjeżdżała z parkingu, mrugając lewym kierunkowskazem. Conrad pożegnał ją uniesieniem ramienia, na co wysunęła rękę przez okno od strony kierowcy i mu pomachała. Samochód wyjechał poza pole widzenia kamery i Noel Pittman rozplynęła się w mroku.

Sully obejrzał kasetę pięć albo sześć razy. Po raz pierwszy widział Noel w ruchu, nadal jednak nie słyszał jej głosu.

Drzwi się otwały, więc odwrócił głowę, żeby podziękować Conradowi. Jednak zamiast niego w progu ujrzał młodą kobietę z długimi brązowymi włosami, wyprostowanymi na gorąco; weszła do pokoju i szukała go wzrokiem w półmroku. Miała na sobie czarny jedwabny szlafrok, ale Sully już wiedział, jak wygląda rozebrana i w łóżku.

– Cześć, Amber.

Odnalazł swój motocykl na parkingu. W uszach wciąż mu dzwoniło od hałasu, na języku czuł smak rozczarowania. Człowiek idzie na całość, wydaje mu się, że coś ma i nagle wszystko bierze w łeb.

Amber powiedziała mu, że była jedną z najbliższych przyjaciółek Noel, czasami razem wychodziły do miasta, imprezowały, ale nie łączyła ich „aż taka” zażyłość. Zgodziła się na zdjęcia, ponieważ Noel zaproponowała jej pięćset dolarów od swojego „chłopaka”, a ponieważ jest lesbijką, nie stanowiło to dla niej żadnego tabu; nie, nigdy nie poznała jej chłopaka ani nie słyszała, jak się nazywa. A Noel była „naprawdę śliczna i miła”. Eric, ten fotograf, nie był jej zdaniem jakiś szczególnie obleśny, chociaż mogło trochę krępować, że podczas pstrykania zdjęć miał wyraźną erekcję.

Bla, bla, bla...

Sully odpiął kask i wsiadł na motor. Przed odpaleniem silnika wyciągnął z kieszeni komórkę.

– Nie sądzisz, że jest trochę późno? – powiedziała Dusty schrypniętym głosem.

– Okej, posłuchaj... właśnie skończyłem na dzisiaj. Staram się, okej? Przyjadę do ciebie i pogadamy. Nie masz pojęcia, jakie to się robi pogmatwane. Muszę tu wrócić jutro wcześniej rano.

– Trochę za późno na umawianie randki, Sully.

– Od kiedy? – rzucił z udawaną powagą.

Odpowiedziały mu tylko świerszcze.

– No dobrze, Chryste. Żartowałem. Chciałbym tylko...

– Wiem, Sully, słyszę cię, ale od jakiegoś czasu myślę, że to nie jest dobre, wiesz? Nadal masz w głowie Nadię i to jest zrozumiałe, ale...

– Nie, wcale nie – próbował zaprzeczać.

– Nie mam zamiaru o tym dyskutować. A ostatnia noc? Zasypiając, rozmawialiśmy o Nowym Orleanie, Bożym Narodzeniu, takich rzeczach. A potem, o trzeciej nad ranem mamrotałeś przez sen i to mnie obudziło. Musiałam cię szturchać, żebyś się uspokoił. Byłeś zlany potem. Poszłam

do szafy po jakiś szlafrok albo podkoszulek, a tam wszędzie były jej zdjęcia. Masz ich całe pudło.

Teraz po jego stronie zapadło milczenie.

– Słuchaj – odezwał się wreszcie. – Chcę, żebyśmy byli razem. Lubię...

– Ja też cię lubię, Sully. I to jest jeden z powodów, dla których nie wracam. Nie lubię sypiać z duchami. Musi być inaczej, musi być lepiej albo to się musi zakończyć. Nie sądzę, żeby to mi służyło. Ani tobie. – Pauza. – Chcę, żeby ci było lepiej – powiedziała. – Ale nie mogę ci w tym pomóc.

Rozdział 37

Tuż po dziewiątej następnego ranka Sully, z kacem rozsadzającym czaszkę, wyłączył nagranie wybuchu Reese'a i w sali konferencyjnej zapadła cisza. Edward Winters siedział wychylony do przodu, oparty łokciami o blat stołu.

– Po prostu nie mogę w to uwierzyć – odezwał się po dłuższej chwili.

R.J., siedzący obok Sully'ego, pokręcił głową.

– W życiu czegoś takiego nie słyszałem. Nie w tym mieście, nie na nagraniu.

– On jest niespełna rozumu – stwierdził Edward.

– Jak niedźwiedź trzymany w klatce – mruknął R.J.

Jeszcze przed rozpoczęciem porannego kolegium wszyscy wiedzieli, że ta sprawa będzie tematem dnia.

– Jego szanse na zasiadanie w Sądzie Najwyższym przypadną w momencie, gdy to opublikujemy – wtrącił Lewis, adwokat gazety. –

Prawdopodobnie cała kariera sędziowska również. Poza tym, gdyby ktoś chciał definicji czystego, łatwego do wyegzekwowania odszkodowania...

– Wiem – uciął Edward, machnąwszy ręką. – Wiem.

Melissa odchrząknęła znacząco.

– Nie lubię gasić zapалу, Eddie, ale do jakich granic zamierzamy się posunąć w nagłaśnianiu tych rewelacji? Będziemy insynuować, że miał coś wspólnego z jej zniknięciem? Że ją zabił? Wydaje mi się, że takie będzie przesłanie każdego artykułu, jaki wydrukujemy. Według mnie powinniśmy pamiętać, że istnieje zagrożenie z powodu jego zaszłości z Sullym, a do tego jeszcze ta sztuczka z dyktafonem. Nie twierdzę...

– Niczego nie będziesz twierdzić! – ryknął R.J. – Guzik mnie obchodzi, czy dyktafon był włączony, czy wyłączony. Ustaliliśmy, że Noel Pittman wyszła z pracy o wpół do trzeciej nad ranem i później przez ponad rok nikt jej nie widział. A teraz, kiedy znaleziono jej szczątki, dowiadujemy się, że wykonała telefon do prezesa sądu okręgowego Dystryktu Columbia osiem godzin po tym, gdy ją ostatni raz widziano. Nie obchodzi mnie, czy się umawiali na kawę, czy na stosunek. Twierdzimy, że prezes sądu mieszczącego się przy alei nazwanej na cześć Konstytucji nie uznał za stosowne poinformować ani policji, ani rodziny Pittman o telefonie czy o ich związku. O to chodzi i to mu odetnie drogę do Sądu Najwyższego... I prawdopodobnie spowoduje odsunięcie go od zawodu. Ponieważ powinien zostać odsunięty.

Znów zapadła cisza, którą tym razem przerwał Edward.

– I znów to samo. Sullivan, podziwiam twój talent, ale nie podoba mi się... i nie mamy zwyczaju drukować... to jest dziennikarstwo żerujące na sensacji. Mówię o sztuczce z dwoma dyktafonami. Jeśli wziąć pod uwagę twoje zaszłości z sędzią, wygląda, jakbyś go specjalnie sprowokował. Poza tym sprawa zdjęć: domniemanie, że za nie zapłacił, może być słuszne, ale nie możemy niczego udowodnić.

– Ja... – zaczął Sully, ale Edward nie dał mu dokończyć.

– Skoro wszystko zostało powiedziane, zostajemy przy tym, na co zwrócił uwagę R.J. Kiedy Pittman zaginęła, Reese miał obowiązek zgłosić się na policję. Możemy pokazać, w jasny i przekonujący sposób, że tego nie zrobił. Może to jest, a może nie jest mataczenie, ale jego zachowanie łamie zasady interesu publicznego. Jeśli śmierć jego córki ma znaczenie, to takie samo znaczenie ma śmierć Noel Pittman. – Rozejrzał się po skupionych twarzach słuchaczy. – I to jest nasz news. Chcę go mieć na jutro. Jak daleko jesteś z pisaniem?

– Mam jakieś pięć i pół tysiąca znaków – skłamał Sully. – A tak dla ścisłości, wcale go nie prowokowałem. Pracowałem z zapasowym

sprzętem. Nic nadzwyczajnego.

– I jeden dyktafon miałeś na stole, a drugi w kurtce. Nie wciskaj mi kitu, Sully. Wracając do rzeczy: masz pięć i pół tysiąca znaków. Ile wyjdzie w sumie?

– Dodać pozostałe zaginione dziewczyny czy zostajemy przy sędzim i tancerce?

– Wspomnij o Escobar, Bolin i Williams gdzieś na początku, w kontekście dzielnicy jako miejsca zdarzeń i może dorzuć parę zdań na koniec. Ale całość przede wszystkim o Noel Pittman i Davidzie Reesie.

– W takim razie myślę, że wyjdzie trochę ponad dziesięć tysięcy znaków.

– Dobrze. Jesteś pewien co do policji, że o tym nie wiedzieli?

– Szef wydziału zabójstw nic nie słyszał, a on by z pewnością wiedział. Chce jednak, żebyśmy uzyskali potwierdzenie od komendanta głównego. Zaraz do niego zadzwonię.

– Okej. Jeśli Reese upubliczni własne nagranie waszego spotkania i będzie sugerował, że pochopnie wyciągnąłeś wniosek o śledztwie w sprawie morderstwa, odbędę bardzo krótką rozmowę z nim i z Josephem na temat twojej drugiej taśmy.

Lewis odchrząknął znacząco.

– To znaczy, że zamierzasz mu grozić ujawnieniem taśmy Sully’ego?

– Nic podobnego – odburknął Edward. – To znaczy, że jeśli któryś z nich piśnie choć słówko, z całą pewnością ujawnię taśmę Sully’ego.

Prezes sądu okręgowego Dystryktu Columbia sędzia David H. Reese, szerzej znany jako republikański kandydat na następnego sędziego Sądu Najwyższego, był związany z zaginioną studentką Uniwersytetu Howarda i rozmawiał z nią osiem godzin po tym, gdy była ostatni raz widziana – co pokazują zapisy połączeń i dokumenty – i nie przekazał tej informacji policji.

Noel Pittman, lat 25, zniknęła po wyjściu z pracy w nocnym klubie Halo we wczesnych godzinach porannych 25 kwietnia zeszłego roku. Jej szczątki znaleziono w zeszłym tygodniu w piwnicy opuszczonego budynku mieszkalnego na Princeton Place, kilka domów od miejsca, gdzie mieszkała, i dokładnie naprzeciwko uliczki, gdzie córka sędziego...

Ten tekst znajdował się na ekranie komputera, przy którym siedział Edward; czytał, trzymał palce na klawiaturze, ale poruszał jedynie kursorem. Melissa, R.J., Sully, Lewis Beale oraz ludzie od zdjęć i projektu graficznego stali półkolem za jego plecami. Dochodziła ósma wieczorem, ostateczny termin zamknięcia głównego wydania.

– Mamy potwierdzenie od policji, oficjalne, że im nie powiedział? – spytał Edward.

– Oświadczenie komendanta jest w drodze – odparł Sully. – Trzymają mnie cały dzień. Powiedziałem, że daję im czas do ósmej albo puścimy to z informacją, że komendant wstrzymał się od komentarza, ale policyjne źródła udzieliły potwierdzenia.

– W takim razie zmiękczyliśmy do „najwyraźniej nie powiedział policji”, dopóki nie otrzymamy potwierdzenia albo odmowy komentarza. – Edward czytał dalej, nie odrywając wzroku od ekranu. – Chcę też, żebyś pokazał Lewisowi swoją dokumentację i notatki. Bez urazy, ale zamierzam go również poprosić, żeby zadzwonił do Loreny Bradford i zweryfikował informację o telefonie.

– Jasne.

Po następnych kilku minutach i spokojnych uwagach do adiustatorów, Edward odwrócił się od komputera i spojrzał po zebranych wokół pracownikach redakcji.

– Materiał jest mocny. Trudno uwierzyć, ale równie trudno zaprzeczyć. Jedziemy z tym.

Minikonferencja dobiegła końca.

Sully, z wydrukiem artykułu w dłoni, wrócił do swojego biurka, gdzie na klawiaturze znalazł przesyłkę, dostarczoną przez jednego ze stażystów. Duża koperta od Loreny zawierała kompletną chronologię, nad którą pracowała. Odłożył zapoznanie się z nią na później, chwycił czerwony długopis i przebiegł oczami tekst, konfrontując każde stwierdzenie faktu ze swoimi notatkami – stawiał czerwonego ptaszka przy zweryfikowanych słowach. W pomieszczeniu panowała cisza, nikt mu nie przeszkadzał. Podniósł głowę, kiedy przy biurku stanął Lewis, jak zwykle mrukliwy i w wiecznym pośpiechu. Sully ze zdziwieniem odkrył, że minęła przeszło godzina.

– Ta stara kobieta z naprzeciwka. Pokaż mi swoje notatki. I numer siostry.

Sully dał mu numery telefonów obu kobiet. Lewis zapisał je w swoim prawniczym notesie, podziękował skinieniem i wyszedł.

Newsroom pustoszał, zostawał tylko nocny personel, głównie adiustatorzy i graficy. Sully odchylił się na krześle, żeby rozprostować kości, napiął się jak struna. Za dwadzieścia cztery godziny miała się zakończyć kariera albo jego własna, albo sędziowska Davida Reese'a. Inna możliwość nie istniała.

Po prawej stronie klawiatury, pod stertą papierów, które przerzucał podczas sprawdzania danych, leżała żółta koperta od Loreny. Ziewając, rozerwał papier i wyciągnął ze środka gruby zapis chronologii wydarzeń. Od pierwszej strony odstawała samoprzylepna karteczka ze słowami: „W ostatniej chwili!”, a niżej znajdował się dopisek, z którego wynikało, że zostawiła tę paczkę wcześniej na dole.

Kiedy wyciągał zawartość z koperty, na podłogę wypadł plik mniejszych karteczek, złączonych spinaczem do papieru. Sully schylił się, żeby je podnieść. Na nich z kolei Lorena napisała: „Sklepy??? Nie przejrzałam ich, nie wiem, skąd pochodzą”.

Ściągnął spinacz i rozsypał świstki papieru na blacie. Uwaga Loreny wzięła się stąd, że żaden z paragonów nie miał na sobie danych

umożliwiających identyfikację miejsca wydania. Większość wyglądała, jakby zostały wydrukowane na starym typie kasy; wąskie skrawki papieru, z ząbkowanymi brzegami u góry i u dołu. Widniały na nich ceny oraz data i godzina zakupu pod spodem, ale nie było nazwy sklepu ani produktu, którego dotyczył zakup. Mniej więcej dwadzieścia paragonów opiewało na niewielkie sumy: \$.99, \$2.25, \$1.39, \$4.58 i podobne.

Żeby zabić czas oczekiwania na ewentualne pytania do oddanego tekstu, układał paragony na biurku jak karty pasjansa, odruchowo grupując je według dat.

Już po pierwszych dziesięciu czy jedenastu stało się jasne, że wszystkie są z kwietnia dziewięćdziesiątego ósmego roku, czyli miesiąca, w którym Noel zniknęła. Dwa z trzeciego kwietnia, jeden z siódmego, z osiemnastego, z czwartego, dwudziestego drugiego... Układał je w rzędzie, od lewej do prawej... i nagle znieruchomiał. Kolejny paragon opadł na biurko i podziałał jak świecąca zapałka.

Widniała na nim data dwudziesty piąty kwietnia. Dzień, kiedy ostatni raz ją widziano.

Zakupy obejmowały trzy produkty, w cenach: \$2.49, \$3.39, \$3.39... ale to wydrukowany na paragonie czas zakupów zwrócił uwagę Sully'ego: godzina 16.47.

Krople potu spłynęły mu po kręgosłupie, pokryły wilgocią wnętrza dłoni.

Noel nie umarła tamtej nocy, kiedy wracała do domu z Halo, ani nie umarła wkrótce po porannym telefonie do Reese'a.

Nie, nie, wciąż żyła i robiła zakupy tamtego popołudnia. Co więcej, po zakupach wróciła do swojego mieszkania, na tyle spokojna, żeby umieścić paragony tam, gdzie zawsze, czyli w puszcze po kawie.

Czyli kiedy? O wpół do szóstej? O szóstej? O ósmej?

Gorączkowo dokończył układanie reszty świstków według wybitych na nich dat: z dwunastego, z siedemnastego, z trzeciego, dwudziestego pierwszego, z drugiego... Żaden nie został wydany po dwudziestym piątym

kwietnia. Przeliczył wszystkie jeszcze raz: dwadzieścia dwa zakupy różnych drobiazgów w ciągu dwudziestu pięciu dni, w tym samym sklepie.

Wraz z tym odkryciem tryby w jego głowie, pracujące niestrudzenie na najwyższych obrotach, wreszcie zaskoczyły.

Odepchnął się od biurka i sięgnął do tylnej kieszeni spodni po portfel. Otworzył go i wyjął ze środka cały bałagan: rozmaite papiery, rachunki, banknoty dolarowe, parę dwudziestek. Przeglądał po kolei: wejściówka z Halo... paliwo do motoru... drinki z Evą u Stoneya.

Wreszcie znalazł paragon na dwa artykuły, za \$0.99 i \$1.29. Razem do zapłaty \$2.46 z podatkiem. Położył niepozorny świstek obok ostatniego paragonu Noel. Był identyczny.

Odchylił się na oparcie krzesła, oszołomiony.

– Orzeszki – wymamrotał. – Orzeszki i cola.

Rozdział 38

Motor z rykiem wypadł z garażu, osiągając maksymalną moc już na pierwszych światłach. Sully nerwowo dociskał manetkę i wkrótce pękła setka, a strzałka pięła się dalej, na sto dziesięć. Lawirował w ulicznym ruchu, a jego myśli pędziły jeszcze szybciej niż motocykl.

To nie David Reese ostatni widział Noel. Kłamał. Nie ujawnił posiadanych przez siebie informacji. Krył swój tyłek. Ale nie on ostatni ją widział i nie tylko on zacierał po sobie ślady.

Tamtego ostatniego miesiąca Noel wciąż wracała w to samo miejsce. Sully nie miał wątpliwości, bywała tam kilka razy w tygodniu przez cały czas zamieszkiwania w sąsiedztwie: była stałą klientką sklepu Doyle'a.

Nagle wszystko stało się dla niego przerażająco jasne. Doyle ledwie ją rozpoznał, kiedy Sully pokazał mu zdjęcie trzech dziewczyn... a przecież znał ją na tyle dobrze, by mieć pewność, że to Noel widział z Reese'em przed jej domem. A jeśli tamtego dnia był wściekły na Reese'a nie z powodu zlekceważenia, tylko z zazdrości? A jeśli połowa „D” w zapiskach z kalendarzy oznaczała Doyle'a, nie Davida, a Noel specjalnie tak pisała, dla głupiego żartu? A jeśli to on był tym „chłopakiem”, który zapłacił za zdjęcia?

Nie, słodki Jezu, nie...

Nagle naszło go wspomnienie tak przeraźliwie wyraźne, że z wrażenia omal nie puścił kierownicy: kiedy pokazał Doyle'owi zdjęcia Lany, Noel i Michelle, co usłyszał? „To są te trzy martwe dziewczyny”.

Lana i Noel były martwe, tak, ale Michelle zaginęła. Nikt nie powiedział, że nie żyje.

Ta myśl kazała mu zwolnić; znajdował się na wprost Georgia Avenue, miał przed sobą niską komercyjną zabudowę i przedwojenne trzypiętrowe czynszówki, zamieszkałe przez czterdziestoparoletnich imigrantów, którzy pracowali jako kierowcy taksówek, mieli ponure kobiety i dzieci wydzierające się wściekle na placach zabaw.

Uspokajał się, powoli wciągał powietrze, starał się panować nad każdym oddechem. Zanim wjechał na teren dzielnicy, poczucie euforii i olśnienia zaczęło się rozwiewać, pojawiły się wątpliwości.

Doyle powiedział, że to trzy martwe dziewczyny. I co z tego? Dwie z trzech nie żyły. Doyle mógł połączyć Michelle z resztą z czystego lenistwa albo po prostu przez pomyłkę. Nie chodziło o jakieś nieodparte freudowskie przejęzyczenie.

A paragony?

Wiadomość, że Noel żyła jeszcze później tamtego dnia była ważna. Ale może Doyle nie miał pojęcia, że przyszła wtedy do sklepu. Może nie pracował w tamten weekend. A może pracował, ale spotkania były tak częste, że to go zmyliło co do dokładnej daty. A nawet jeśli pamiętał, że przyszła do sklepu tamtego dnia? Może postanowił nabrać wody w usta z tego samego powodu, co wielu innych świadków w tym mieście, żeby go nie mieszano w sprawę, żeby uniknąć ewentualnej zemsty ze strony podejrzanych. Czyż nie twierdził, że obroty w sklepie zmalowały o połowę?

Podstawowe pytanie brzmiało: jak Sully miał się tego dowiedzieć? Druk ruszał za godzinę, a on nagle nie miał pojęcia, co myśleć.

Niech to szlag.

Mógł zrobić tylko jedno, wiedział to od chwili, gdy zobaczył, że jego paragon pasuje do reszty. Wystartował z redakcyjnego garażu z prędkością rakiety i dokąd go przyniosło? Skręcał już w Rock Creek Church, włączył

kierunkowskaz, nie zastanawiając się nad tym, co robi, aż zwolnił przed zapuszczonym domem Sly'a.

Chciałeś wiedzieć, co się dzieje w Park View? Zawierałeś układ z diabłem i płaciłeś odpowiednią cenę.

Sly wysłuchał, co Sully miał do powiedzenia, po czym odepchnął się od baru, balansując na dwóch tylnych nogach stołka.

– Więc uważasz, że powinniśmy przycisnąć fotografa, Erica.

– Co najmniej dwie z tych kobiet pozowały nago. Wiemy, że robił zdjęcia jednej z nich.

– Carter. Eric? Znam go od zawsze. To najbardziej gejowski gej po tej stronie Luther Avenue.

– Amber mówiła, że miał erekcję, kiedy pstrykał zdjęcia jej i Noel.

– Eric prawdopodobnie ma erekcję nawet podczas zakupów spożywczych. Zdarzało mu się to już od trzeciej klasy podstawówki.

– Jakoś nie słyszę od ciebie żadnych świetnych pomysłów.

– Bo sam cały czas gadasz. – Sly postawił stołek z powrotem na czterech nogach. – Skończyłeś? Mocno mnie to ruszyło, rozumiesz, o czym mówię, to panoszenie się sędziego na moim podwórku. – Świeciły się tylko lampy wzdłuż kuchennej ściany, muzyka była wyłączona, Donnell spał koło kanapy; głos Sly'a zdawał się dochodzić z cienia. – Dlatego mocno się przyłożyliśmy z Lionelem. Zdzieraliśmy sobie buty na chodnikach, aby ludzie wiedzieli, że chcemy usłyszeć, co się dzieje. Że będzie lepiej, jeśli usłyszymy. Dlatego ta kobieta, która odsiedziała niedawno parę tygodni, do mnie przyszła. Wasza gazeta nazwałaby ją dziewczyną pracującą na ulicy, fakt, kręci się po Georgia Avenue, między Princeton Place a tym barem ze striptizem. Przyszła, by mi powiedzieć, że widziała ulotkę o zaginięciu tej Michelle, a potem przeczytała to, co napisałeś: że dziewczyny zniknęły i może nie żyją. I ogarnęło ją dziwne uczucie, bo widziała Michelle kilka tygodni temu na zapleczu u Doyle'a.

– Michelle była u Doyle’a? Kiedy?

– Chwila. Ta kobieta ciągle coś tam kupuje, jakieś drobiazgi, żeby jej pozwolili chodzić do toalety, kiedy pracuje. Mówiła, że gdy Doyle jest w sklepie, to ją obserwuje i mówi, że może sikać za darmo, jeśli mu wyświadczy małą przysługę na zapleczu.

– I zgodziła się?

– Nie. Nie uznaje handlu wymiennego cipką. Ale słuchaj. Wróciła tam któregoś wieczoru i słyszy sapanie, uch, uch, uch. Wychodzi z toalety, bardzo cicho, drzwi biura są lekko uchylone, więc zagląda i widzi Michelle, jak z cyckami na wierzchu i rozpiętą bluzką klęczy przed biurkiem Doyle’a. Wyszła stamtąd na palcach, niespecjalnie przejęta tym co widziała. Uznała po prostu, że Doyle składa propozycję wielu dziewczynom i Michelle akurat ją przyjęła.

– Michelle się puszczała?

– Dziewczyna była ćpunką. Ćpunkki są gotowe obciągnąć każdą laskę za dziesięć dolców i działkę. No więc ta kobieta wyszła od Doyle’a, następnego wieczoru zgarnęli ją za... jak wy to nazywacie... nagabywanie klientów i o niczym nie wiedziała, dopóki nie wyszła parę dni temu.

– Jaki to był dzień, kiedy widziała Michelle?

– Widziała ją jakieś sześć tygodni temu.

– Jest pewna?

– Spędziła w pudle czterdzieści parę dni, zanim postawiono jej zarzuty. Pamięta, że to było dzień przed tym, kiedy ją zgarnęli.

– I czytała gazetę, tak?

– W pudle jest niewiele do roboty.

Sully oparty o blat baru przez chwilę się zastanawiał.

– No dobra. Doyle kłamał na temat Noel. I Michelle mu obciągała. Co to dla nas oznacza? Jutro wydrukują mój artykuł, po którym poleci albo sędzia, albo ja.

Donnell nagle otworzył oczy i popatrzył najpierw na Sly'a, potem na Sully'ego, jakby zdziwiony, że ich tam widzi, następnie opuścił potężny łeb z powrotem na dywan i ziewnął, wywalając spomiędzy zębów duży różowy jęzor. Sully nie widział już całej twarzy Sly'a w ciemności, tylko błysk oprawek okularów i wąski, zdumiewająco delikatnie zarysowany nos.

– Mówiłem ci, że mocno się przyłożyliśmy z Lionelem. Doyle to prawdziwy pies na cipki. Facet jest stałym klientem w barze ze striptizem, chodzi tam regularnie po zamknięciu sklepu. Znasz Lesa, właściciela? Ma tam trochę dziewczyn do towarzystwa. No więc Les mi powiedział, że Doyle lubi czarne i brązowe dziewczyny, wszystko jedno które, byle miały choć trochę ciemniejszą skórę. Funduje sobie laskę w męskim kiblu raz albo dwa razy w tygodniu, może na boku częściej.

– Wszystkie te kobiety, które zaginęły albo nie żyją... wszystkie się prostytuowały albo miały problem z narkotykami, albo mieszkały na Princeton – powiedział Sully. – Myślisz, że Noel była luksusową prostytutką? Że sędzia jej płacił ze seks, Doyle może też? I że to Doyle zabija kobiety?

– Masz jakiś lepszy pomysł?

– W takim razie dlaczego Sarah? W niczym nie jest podobna do tych pozostałych.

– Weszła mu w drogę. Coś widziała. Postanowił rozszerzyć krąg zainteresowań.

– Ale nie została wykorzystana seksualnie.

– Może nie mógł się do niej dostać i zabił ją, bo się wkurzył. Nie jestem jakimś zbrojnym. Nie wiem. Nie muszę wiedzieć dlaczego. Muszę wiedzieć, czy to zrobił.

– Zatem co proponujesz?

– Niczego nie proponuję. Powiem ci, co zrobimy, bracie: dowiemy się. Lionel jest w tym barze ze striptizem, ma Doyle'a na oku.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że mamy tam jechać i go przycisnąć.

– Nic podobnego. Nie myślisz prawidłowo. Rozejrzemy się po jego domu, w czasie kiedy mu tam polerują kutasa.

– Co? Teraz?

– Masz coś lepszego do roboty? Ktoś do ciebie strzelał. Według mnie Doyle. Przychodzisz tu do mnie i mówisz, że twoja ciepła posada wisi na włosku. Mówię ci, policja zmusza ludzi do gadania o tych trzech chłopakach. To denerwuje moich braci, a moim interesom nie służy, kiedy sąsiedzi się denerwują. Dlatego robię to, co dobre dla moich interesów. A ty? Wchodzisz w to czy nie? Mnie jutro nie wyleją, jeśli się mylę.

Rozdział 39

Sly wyszedł do pokoju za salonem i po dwóch minutach wrócił z dużą żółtą kopertą. Otworzył ją i przechylił, żeby wytrząsnąć zawartość. Z koperty wysypały się zdjęcia, wszystkie formatu dwadzieścia na dwadzieścia pięć centymetrów. Przedstawiały domy stojące wzdłuż ulicy. Sly rozłożył odbitki na blacie.

– Patrz, to jest dom Doyle’a. Widzisz te stare szeregowki? Wszystkie mają mniej więcej ten sam rozkład, taki sam frontowy ganek, jadalnię, kuchnię, piwnicę, a na górze łazienkę i sypialnię. Popatrz tu. Okna. Taniocha, nawet nie powstawiali klimatyzatorów.

Sully miał ochotę wytknąć Sly’owi, że dwa wyższe poziomy jego własnego domu wyglądają jak speluna dla ćpunów, ale się powstrzymał.

– Obserwowałeś go? – spytał.

– Powiedziałem, że dbam o swoje interesy. Patrz, tu są podwórka domów z tego кварталу. Zobacz, czy potrafisz wskazać to, które należy do niego.

Sully wpatrywał się w pięć zdjęć podsuniętych przez Sly’a – zrobione pod różnym kątem przedstawiały alejkę na tyłach posesji. Podwórka nie różniły się, wszystkie małe, prostokątne, pooddzielane od siebie zniszczoną metalową siatką; widać było na nich dawno niekoszoną trawę, doniczki i betonowe placyki do stawiania samochodu. Farba na murach łuszczyła się całymi płatami. Niektóre domy posiadały strome zjazdy z uliczki do piwnic. Na jednym stało niebieskie bmw, jeden z nowszych modeli, tuż za nim srebrna honda, na innym cadillac z opadającym tylnym zawieszeniem.

Nie trzeba było zgadywać.

Jeden z domów, mniej więcej pośrodku, miał podwórko całkowicie niewidoczne, osłonięte solidnym drewnianym parkanem, wysokim na prawie dwa metry.

– Nadal sądzisz, że ten człowiek nic nie zrobił?

– To tylko pieprzony płot, Sully.

– Wy wszyscy macie problem z wiarą w to, co widzicie. Po co by mu był taki płot, gdyby niczego nie kombinował?

– Lubi się opalać nago. Potrzebuje cienia. Zmęczyły go dzieciaki wskakujące przez ogrodzenie, żeby kraść z grilla.

Sully wywrócił oczami i ponownie wyszedł do pokoju za kuchnią.

Wrócił ubrany w czarny dres. W każdej ręce trzymał sportową torbę na zamek, mocno wypchaną; jedną rzucił Sully'emu. W środku znajdowała się czarna wełniana czapka, rękawiczki i plastikowe ochraniacze na buty. Położył na ladzie baru dwie latarki grubości ołówka, ostrzegając Sully'ego, żeby ich nie dotykał, dopóki nie włoży rękawiczek. Kazał mu zmienić motocyklową kurtkę na czarną bluzę z długim rękawem i golfem, przypomniał, że kiedy skończą, musi spalić cały ten strój.

– Jaja sobie robisz? – mruknął Sully.

W odpowiedzi Sully tylko na niego spojrzał, więc chcąc nie chcąc Sully się przebrał. Po kilku minutach zadzwonił telefon Sully'a. Sully spojrzał na wyświetlacz i powiedział:

– Lionel czeka przed domem. Idziemy.

Otworzył piwnicę, puścił Sully'ego przodem i zamknął drzwi na klucz. Mijając Sully'ego, wziął go pod ramię.

– Chyba nie masz zamiaru skrewić?

Sully szybko ruszył w stronę ulicy, gdzie przy krawężniku czekała na nich honda odissey z uchylonymi drzwiami. Za kierownicą siedział Lionel.

Sully wszedł do auta, Sully za nim.

Ruszyli wolno.

– Od kiedy to się wozisz rodzinnym autem, tatusiu? – Sully nie mógł sobie darować.

Przejechali spory kawałek, nim Sully się odezwał.

– Nie ma nic głupszego niż jeżdżenie na brudną robotę własnym autem. To pożyczaliśmy z jednego podjazdu z Bethesda. Moim camaro jeden z kolegów jeździ teraz po Southeast, objeżdża parę klubów, wstąpi też do McDonalda dla kierowców.

– Żeby ludziom się zdawało, że cię widzieli.

– Mówiłem ci, Lionel, że chłopak jest bystry.

– A kto w tej chwili pilnuje Doyle’a?

– Zapłaciłem jednej z dziewczyn, żeby się nim specjalnie zajęła, dopóki nie wrócę – powiedział Lionel, nie odrywając oczu od jezdni.

Do domu Doyle’a były tylko cztery przecznice. Lionel wjechał w zaułek między Princeton Place a Quincy Street; stamtąd wychodziła alejka, biegła między tyłami budynków przy obu tych ulicach, oddzielając od siebie ich podwórka. Znajdowali się za domem Doyle’a, w miejscu, skąd były robione zdjęcia.

Boczne drzwi samochodu znów się otwarły; Sully pomyślał, że wszystko wymyka mu się spod kontroli, ta historia, jego życie, wszystko od czasu, gdy wrócił z Bośni, z Rwandy, z Somalii, ze Strefy Gazy, z Liberii. Stracił umiejętność wytyczania granic, oddzielania jednej sfery swojego życia od drugiej. Co było moralnie dozwolone na terenie objętym wojną, a co poza nim? W różnych miejscach panowały różne zasady, ale to, co się sprawdzało na wojnie, często sprawdzało się też na ulicy, jeśli człowiekowi starczało odwagi. Błękity przechodziły w zieleń, żółcie w czerwienie, całe widmo kolorów stawało się niewyraźną plamą i nie sądził, by kolory miały kiedykolwiek znów stać się wyraźne i jednoznaczne.

Otrząsnął się z jałowych dywagacji, skupiając myśli na Lorenie, na Noel, Lanie, Michelle i jej ojcu. Zamierzał uporać się z tą sprawą i to od razu, jeszcze przed wschodem słońca. Sully bez słowa wysliznął się z auta, cichy

i szybki jak puma, i rozpląnął się w mroku. Sully ruszył za nim, z poczuciem swobodnego spadania, jakby wyskoczył ze spadochronem z samolotu, mając pod sobą tysiące metrów powietrza, a potem nagle wylądował. Przebierał nogami po twardym betonie najszybciej jak potrafił.

Za jego plecami Lionel ruszył i odjechał, zostawiając po sobie jedynie cienką smużkę dymu z rury wydechowej. Sully nie słyszał nic poza własnymi krokami i oddechem. Byli ze Sly'em sami, a ten zdążył już rozciąć kłódkę na drewnianym parkanie.

Rozdział 40

Pchnięta brama otwierała się na oścież – jak widać nie zainstalowano w niej sprężyn – i uderzyła o drewniany płot. Sully już zdążył wejść na posesję, odwrócił się i ponaglił Sully’ego niecierpliwym spojrzeniem. Sully zamknął bramę, ostrożnie, żeby nie trzasnęła, i schylony podążył za Sully’em. W alejce działała tylko jedna latarnia, ale i ona rzucała rozmyte cienie. Wokół panowała zupełna cisza.

Sully sapnął z irytacją i pokazał dwoma palcami na dom, po czym skulony szybko zbiegł po betonowej pochyłości, gdzie normalnie stałby zaparkowany samochód, do obłazących z farby drzwi garażu, które wyglądały, jakby nikt ich nie otwierał od czasu, gdy Nixon zasiadał w Białym Domu. W słabym świetle latarni Sully widział, jak Sully przemieszcza się w prawo, do tylnych drzwi domu. Wyjął coś z sakiewki przytroczonej do biodra. Wytężając wzrok, Sully zobaczył, jak rysuje kółko na szybie, a następnie cofa rękę; rozległ się słaby brzęk szkła i moment później drzwi stanęły otworem.

Sully wszedł do środka i zamknął je za sobą.

Sully nerwowo spoglądał na okna sąsiednich domów, spodziewał się, że zaraz zabłyśnie w nich światło i z otwartego lufcika rozlegnie się agresywny głos: „Hej, co tam, kurwa, robicie?” Ale nic się nie działo. Nie słyszał żadnych przejeżdżających samochodów, ani na Princeton, ani na Park Place, ulicy za nimi, wzdłuż pola golfowego. Po chwili zaczął do niego docierać szmer deszczu ściekającego z drzew, okapów, na chodnik w dole.

Przed sobą miał zarośnięte chwastami podwórko Doyle'a; pod płotem stały dwa metalowe krzesła, a obok na ziemi leżały dwie namoknięte ogrodowe poduszki. Pochyły zjazd miał na szczycie dużą plamę oleju, w kształcie oceanu. Z powodu cieni rzuconych przez lampę znad parkanu trudno było dostrzec wewnętrzne obrzeża posesji i ten mrok dawał mu poczucie bezpieczeństwa.

Policzył do trzydziestu, potem do czterdziestu pięciu, wreszcie do osiemdziesięciu i wreszcie tylne drzwi domu się otwały. Sly ukazał się w progu i przywołał Sully'ego machnięciem ręki. Trzymając się cały czas w cieniu, Sully wszedł na mikroskopijny ganek przed tylnym wejściem, a stamtąd do spowitego całkowitą ciemnością domu.

Kiedy obaj byli już w środku, Sly zamknął drzwi na zasuwę. Włączył latarkę i skierował snop światła na podłogę. Sully dostrzegł w mroku cienki nos, kości policzkowe, nieco graniasty zarys czaszki... i błysk w oczach.

– Co teraz? – spytał.

– Bierzesz piętro, ja piwnicę – zarządził szeptem Sly. – Szybko.

Sully przeszedł przez wyłożoną tanim linoleum kuchnię, minął spiżarnię z drewnianymi półkami, na których panował wręcz pedantyczny porządek. Doszedł do końca holu, trzymając się prawej strony; przy frontowych drzwiach zawrócił i znalazł się przy schodach na piętro. Oświetlał latarką stopnie, gdy wchodził na górę, stawiał nogi tuż przy krawędzi, by zminimalizować ryzyko, że schody zaskrzypią.

Kiedy już się znalazł na górze, przed sobą miał jedną sypialnię, a tuż po lewej łazienkę. Również z lewej, po drugiej stronie balustrady, ciągnął się korytarz, który prowadził ku przodowi domu. Zaświecił przed siebie, wydobywając z mroku dwoje drzwi po prawej stronie. Wiedział z układu własnego domu, że musiały się tam mieścić dwie sypialnie, pierwsza mała, druga większa, z oknem na ulicę.

Przeszedł korytarzem do pierwszego pokoju i oświetlił wnętrze. Znajdowały się w nim trzy metalowe szafki, każda wysoka na cztery

szuflady. Wszystkie wyglądały na piekielnie ciężkie i stały obok równie ciężkiego biurka. W pomieszczeniu przeznaczonym na sypialnię Doyle urządził sobie biuro. Sully zrobił następne trzy kroki korytarzem i zajrzał do sypialni gospodarza. W środku było schludnie i prawie zupełnie pusto. Łóżko, materac na podłodze, bez ramy. Pościel starannie zaścielona. Żadnych zdjęć, obrazów, nic nie zdobiło obłazących z farby ścian. Obok posłania stał staroświecki telefon, z długim, skręconym kablem.

Wrócił do pokoju przerobionego na biuro; stalowe biurko wyglądało na takie samo, jak Doyle trzymał w swoim kantorku w sklepie. Na blacie pusto – żadnych papierów, zapisków, niczego. Szafki nie zostały zamknięte. Dwie górne szuflady wypełniały gęsto żółte koperty, opisane dużymi czarnymi literami. Większość dotyczyła sklepu, inne samochodów, które kiedyś posiadał, jeszcze inne miały etykiety: LODÓWKA, TRANSPORT, ŁÓDŹ i całe mnóstwo opatrzonych napisem WYPŁATA. Natrafił też na informacje o podatku i trzy teczki dokumentujące problemy z dachem. Wszystkie papiery zalatywały stęchlizną.

Dolna szuflada była szczelnie wypakowana pornografią.

Sully schylił się i uniósł kilka czasopism, żeby rzucić okiem na tytuły – samo twarde porno, z czarnymi lub latynoskimi kobietami, wulgarne tytuły prześcigały się w określaniu szczególnych miejsc żeńskiej anatomii.

– Hej.

Podskoczył niemal pod sufit. Sły zmaterializował się w drzwiach i świecił mu latarką prosto w twarz.

– Cholera, mógłbyś...

– Chodź – nie dał mu dokończyć. – Musisz to zobaczyć.

Sły sprowadził go na parter, u podstawy schodów zakręcił i skierował się w stronę tylnej części domu. Otworzył drzwi do piwnicy i wszedł na górny spocznik schodów. Pod nimi rozpościerała się otchłań mroku, przecięta jedynie wąskim promieniem latarki. Sły spojrzął na Sully'ego i powiedział:

– Za pięć minut nas tu nie ma... i nie obchodzi mnie, co myślisz. Zamknij za sobą drzwi. I się nie potknij.

Sully pokiwał głową, zamknął drzwi i ruszył za Sly'em po drewnianych schodach, skupiając wzrok na stopniach oświetlanych latarkami. Kiedy obaj znaleźli się na dole, Sly oznajmił:

– Z tyłu jest pralnia, a on pozaciemniał okna, więc można świecić.

Pstryknął kontaktem.

Sully zamrugał gwałtownie i na moment zamknął oczy, oślepiony jasnością bijącą z porozwieszanych wszędzie żarówek.

Pierwsza myśl pojawiła się taka, że Doyle przed laty zamknął na stałe drzwi garażu i przerobił tę część piwnicy na pokój mieszkalny. Na podłodze z dużych prostokątnych desek leżał liche brązowy dywan, ściągnięty na bok, a jedna deska częściowo odsunięta. Pod spodem widać było świeżo poruszaną ziemię.

– Wszedłem i o mało się nie przewróciłem na tych deskach, więc je odsunąłem – wyjaśnił Sly.

Dopiero wtedy Sully rozejrzał się po ścianach, po dziesiątkach zdjęć, po półkach ze schludnie zapakowanymi pamiątkami. Zauważył zdjęcia i talizmany pogrupowane wokół poszczególnych kobiet.

Miejsce przypominało coś w rodzaju świątyni, ołtarza. Zobaczył zdjęcia Rebekah Bolin, Michelle Williams, Lany Escobar oraz innych kobiet, których nie znał. Części garderoby zostały starannie poukładane: T-shirt, stanik, majtki, buty. Zdjęcia Michelle przedstawiały ją przy frontowych drzwiach domu Goodwina i zostały zrobione przez aparat zainstalowany gdzieś powyżej. Pozostałe kobiety też zostały tak sfotografowane. Ale były tam również zdjęcia pośmiertne – nagie, martwe kobiety leżały upozowane jak do scen erotycznych.

– Chryste, on połowę z nich namówił, żeby tu przyszły – powiedział Sully. – Po co? Sprzątać? Myć naczynia? Co on z nimi wszystkimi zrobił?

– Nie patrzysz – odezwał się Sly, stukając butem o podłogę.

Sully opuścił wzrok. Końcem stopy całkiem odsunął jedną z desek. Ziemia pod spodem była świeżo przekopana.

– Jezu Chryste...

Działając instynktownie, z szumem w uszach, przeszedł do pralni, zaśwycił światło i w odległym kącie znalazł łopatę. Obok stał kilof. Chwycił oba narzędzia, pośpiesznie wrócił do głównego pomieszczenia piwnicy.

– Nie ma mowy – rzucił Sully.

– Powiedziałaś pięć minut. Nie potrwa tyle, jeśli ruszysz dupę.

Łopata miękko wchodziła w grunt – nie był ubity – a Sully kopał jak najęty, atakował luźne czarne bryły, odrzucał je na bok, nie dbał o hałas i powstający wokół bałagan. Sully z westchnieniem chwycił za kilof i też zabrał się do roboty.

– Cholera – mruknął po mniej więcej minucie.

Nie odsunął kilofa, tylko stopą rozgarnął ziemię wokół niego. Sully zaczął gorączkowo kopać w tamtym miejscu, dopóki ostrze łopaty nie natrafiło na opór. Dopiero wtedy Sully ostrożnie uniósł kilof. Ukazała się długa kość. Sully opadł na kolana i zaczął rozdrapywać ziemię rękami, odgarniał ją na bok, dopóki nie ukazała się klatka piersiowa, szyja i wreszcie czaszka.

Ubranie było zetlałe, skóra zniknęła, ale zostały włosy, paznokcie i bluzka. Wstał i z góry spojrzał na zwłoki.

– Michelle.

Sully wziął łopatę, kilof i odniósł je z powrotem do pralni.

– Musisz już iść – powiedział. – Wyjdź tylnymi drzwiami i wolno dojdź do swojego motoru... tylko, kurwa, nie biegnij, słyszysz? Powiedziałem wolno... i jedź do domu. Zadzwoń do kogoś. Znajdź sobie alibi. Ja mam tutaj robotę.

– Robotę? Jaką robotę? – W powietrzu dało się wyczuć napięcie, jakby pomieszczenie było naładowane elektrycznością i w każdej chwili mogło

ekspłodować. – Pozostaje nam jedynie wynosić się stąd i zadzwonić na policję. Już jest po wszystkim.

Sly stał już w drzwiach pralni i patrzył na niego.

– Wynoś się i to szybko. Nie słuchasz mnie. Nie zejdzie mi długo. Ale zbieraj się już. I nie dzwoń do glin, dopóki nie dam ci znać.

– Czyli kiedy? – Głos Sully’ego zabrzmiał jak zduszony szept.

– O świcie.

– Nie ma mowy.

– Co?

– Nie ma mowy, Sly. Nie każesz mi się odpieprzyć do świtu. Wychodzimy stąd, wykonujemy anonimowy telefon, koniec kropka. Mamy wszystko, czego potrzebujemy. Gra skończona.

– Czyżby? – Pistolet z prawego rękawa Sly’ a wśliznął się do dłoni. Sully wywrócił oczami, ale nie zrobił nawet jednego kroku.

– Tak jak myślałem – syknął Sly. – Szanuję cię, tak? Nie pogrywam z tobą, tak? Daj mi minutę, to do ciebie dołączę.

Zniknął w pralni, kończąc rozmowę. Sully jeszcze raz zatoczył wzrokiem po upiornym wnętrzu, po czym odwrócił się, gotów wyjść, byle znaleźć się gdzieś indziej. Miał dosyć Sly’ a i tego wszystkiego. To nie był najlepszy moment w jego życiu, ale już mu nie zależało, chciał po prostu opuścić straszne miejsce. Wspiął się po schodach tak szybko, jak mu pozwalała chora noga; zapach śmierci, widok czaszki bez oczu przyprawiały go o klaustrofobię i mdłości. Stopnie skrzypiały pod jego ciężarem. W holu na parterze skierował się na tył domu, widział drogę przed sobą, z alejki dochodziło światło latarni.

Nagle rozbłysła lampa pod sufitem.

Odwrócił się na pięcie, żeby szeptem napomnieć Sly’ a za nieostrożność... i zobaczył stojącego w progu Doyle’ a Goodwina. Ubrany w kurtkę zamykał za sobą drzwi.

Rozdział 41

Nadal padało. To była pierwsza myśl, jaka przyszła Sully'emu do głowy.

Doyle patrzył na niego, miał krople deszczu na włosach, kurtkę przemokniętą. Musiał widocznie przejść pieszo całą drogę z baru, odbył wieczorny spacer koło domów, gdzie grzebał swoje ofiary, wrócił do gniazda. Ręce trzymał w kieszeniach kurtki, prawą lekko poruszał. Sully, mierząc się z nim spojrzeniem, wiedział, że Doyle chwyta pistolet i odbezpiecza. Ten ruch kciukiem, od prawej do lewej, przypomniał mu, że własną broń zostawił wraz z motocyklową kurtką u Sly'a.

Mimowolnie zrobił krok do tyłu. „Nigdy się nie cofaj, nigdy się nie cofaj. Chcesz, żeby pies cię gonił? To uciekaj”. Tylko że nie miał żadnego wyboru, musiał się cofać, żeby zyskać na czasie. Kuchnia, wchodził tyłem do kuchni, gorączkowo próbował sobie przypomnieć jej rozkład i to, gdzie mógłby szukać osłony albo znaleźć coś, czym mógłby się bronić. Do tylnych drzwi miał ponad pięć metrów, stanowczo za daleko.

– Nie wiedziałem, że masz upodobanie do sióstr i dziwek, Doyle – powiedział; usiłował grać na czas i jednocześnie modlił się w duchu.
– Próbowałem ci pomóc – odezwał się Doyle, kręcąc głową. – Próbowałem. Dałem ci sędzięgo. A ty nie chciałeś go sobie wziąć i odejść.
– Zachichotał piskliwie.

„Jest pijany. Pijany w trzy dupy. Zagaduj go, zagaduj, póki nie dopadniesz drzwi”.

– Masz wielki problem, Doyle.

– Nie. – Doyle wyciągnął pistolet i wycelował, tępo uśmiechnięty, zamroczony alkoholem. – To ty masz problem. Mój problem skończy się razem z tobą.

– Dlaczego nie masz jeszcze zdjęcia Sarah? – zapytał Sully. Machnął w stronę piwnicy, starał się za wszelką cenę rozproszyć uwagę przeciwnika. – Załatwiłeś ją, żeby się zemścić na Reesie, co? Widywałeś Noel codziennie. Marzyłeś o tym, żeby ją bzyknąć. A ona cię olewała, wołała sędziego. Zostawiła cię z brzydkimi, grubymi dziwkami.

– Sarah? – Pierś Doyle’a zatrzęsała się w pozbawionym wesołości śmiechu. Cały czas posuwał się naprzód, minął drzwi piwnicy, odcinając od nich Sully’ego. – Sarah? Czemu uważasz...

Nagle z piwnicy wyłonił się cień, runął na Doyle’a i przygwoździł go do ściany. Doyle upuścił pistolet, który na skutek uderzenia o podłogę wypalił i wybił dziurę w ścianie. Sully rzucił się, żeby go zabrać, a Sly dopadł Doyle’a, zdzielił go w skroń swoim glockiem, a potem był huk, krew i mózg wypływający z roztrzaskanej czaszki.

Ciało Doyle’a osuwało się po ścianie; miał otwarte usta, otwarte oczy, choć stracił połowę głowy, zostawiał po sobie szeroką krwawą smugę, aż zatrzymał się w pozycji takiej, jakby niedbale usiadł, a potem opadł górną częścią ciała do przodu.

Sully’emu dzwoniło w uszach. Krew wciąż chlustała na drewnianą podłogę. Zaczynała się przelewać na linoleum w kuchni.

Minęła długa chwila. Sly popatrzył na martwego Doyle’a i lekko kopnął go w udo.

– Powinienem dostać jakąś pieprzoną nagrodę.

Sully, mocno pochylony, z rękami na kolanach, próbował złapać oddech.

– Niezupełnie to miałem na myśli.

– Nie? – zdziwił się Sly. Wciąż nie odrywał oczu od trupa.

– Zastanawiałem się raczej... jak to się stało, że wszedł...

– Nie było się czym martwić. Lionel zadzwonił do mnie, kiedy tylko zobaczył Doyle’a na chodniku przed domem.

– I pozwoliłeś mi wyjść na górę?

– Już byłeś w połowie schodów. Lepiej się złożyło, że stał w holu.

– Lepiej dla kogo?

Sly nie odpowiedział; schylił się i palcem obciążonym rękawiczką podniósł broń Doyle’a, następnie wyciągnął z kieszeni komórkę i wybrał numer.

Mrugając porozumiewawczo do Sully’ego, lekkim tonem, jakby zapraszał na niedzielną przejażdżkę, zwrócił się do Lionela:

– Dawaj. Przynieś, co trzeba. Kanistry z benzyną też.

Rozdział 42

Przed świtem ogień buchał z okien na parterze, szkło pękało od żaru, pomarańczowe jęzory płomieni lizały frontową elewację. Strażacy krzyczeli, że od strony podwórka dach się zapada. Wozy strażackie ustawione w tylnej alejce i na Princeton kierowały sikawki nie tylko na dom Doyle'a, tak samo intensywnie zalewały wodą sąsiednie domy. Sully domyślił się, że chcą zapobiec przenoszeniu się ognia przez dachy. Gdyby do tego doszło, cały kwartał zmieniłby się w istne piekło.

Stał na chodniku za policyjną blokadą, wykąpany i w świeżym ubraniu. Wszystkie rzeczy, które miał na sobie wcześniej, koszula, spodnie, buty, skarpetki, bielizna, dosłownie wszystko wylądowało w śmietniku w jakimś zaułku w połowie drogi do obwodnicy.

Artykuł z Davidem Reese'em w roli głównej ukazał się na pierwszej stronie i zdominował najwcześniejsze poranne wiadomości, jednak szybko zainteresowanie mediów przeniosło się na pożar i związane z nim makabryczne odkrycie; gęsta chmura czarnego dymu wznosiła się najpierw pionowo w górę, a potem dryfowała spiralnie nad polem golfowym, zmierzając w stronę centrum stolicy.

Z siedziby Kongresu była widoczna jako ciemny palec na horyzoncie, złowrogi znak. Telewizja publiczna i sieci kablowe filmowały ją ze swoich stanowisk na szczytach okolicznych budynków; dzięki temu kamery mogły pokazywać osobę prowadzącą na tle kopuły Kapitolu i w dowolnej chwili zmieniać obraz na panoramę po lewej.

Na miejscu zdarzenia umundurowani funkcjonariusze obstawiali blokady, by trzymać z dala od ognia tłum, który w większości tworzyli mieszkańcy, ewakuowani z sąsiednich domów. W pobliżu dyżurowały cztery wozy transmisyjne, ze szczeciną anten wyrastającą z dachów. Ruch na Warder Street zamarł, ludzie wysiadali z samochodów i podchodzili pieszo, żeby rzucić okiem na budynek w ogniu. Chłopcy w dużych, luźnych podkoszulkach jeździli w kółko na rowerach, pokrzykując zawadiacko.

Potężny strumień wody ze strażackiej sikawki skierowany na dom Doyle'a zmieniał się w deszcz rozproszonych kropeł i parę w kontakcie z dachem, strugi wpadające do środka przez okna z sykiem spadały na płomienie i żar, kaskady wody wypływały przez frontowy ganek. Spłachetek gruntu przed domem był już tak nasiąknięty, że nie przyjmował więcej wilgoci, nadmiar wody wylewał się przez niski kamienny murek wprost na chodnik, a stamtąd, chlapiąc, wypadał na ulicę.

Sully płynnie dyktował Tony'emu, który po nocnej zmianie wciąż siedział w redakcji i na bieżąco aktualizował materiał na świeżo powstającą internetową stronę gazety.

– Wnętrze domu Goodwina okazało się surowe i ponure, z czymś w rodzaju komnaty śmierci... napisz „makabrycznej”, Tony, „makabrycznej komnaty śmierci” w piwnicy. Pośpieszne obejrzenie nieruchomości dziś rano, tuż po wybuchu pożaru, pozwoliło zobaczyć sypialnię na piętrze, prawie bez mebli poza materacem na podłodze oraz schludnie utrzymane biuro. W piwnicy znajdowała się upiorna wystawa – zdjęcia, pamiątki i części garderoby kilku nieżyjących kobiet; fotografie przedstawiały je zarówno żywe, jak i po śmierci. Klepisko pod podłogą okazało się grobem, częściowo zamaskowanym deskami i dywanem. Świeżo przekopana ziemia kryła pozostałości czegoś, co wyglądało na ludzkie szczątki.

– Jezu...

– Owszem.

– Jak, u diabła, udało ci się tam wejść?

– Miałem szczęście i dość odwagi.

– Co to znaczy?

– Że byłem tu wcześniej i zobaczyłem ogień w oknie od frontu. Wiedziałem, że tu mieszka, więc pobiegłem. Drzwi były otwarte. Wszedłem do środka, żeby go szukać.

– I to znalazłeś.

– I to znalazłem.

– Był w domu?

Sully się zawahał.

– Ja go nie widziałem.

– Jesteś pewien? Mam na myśli, czy jesteś absolutnie pewien tego o piwnicy? O zwłokach?

– Ile razy jeszcze mam ci powtarzać?

– Okej. Tak czy inaczej pójdzie z dodatkiem „wszystko wskazuje, że” było to ciało, „wskazuje, że to i tamto”. Dobra. Ponaglają mnie o aktualizację. Daj mi coś o tym, co się tam dzieje.

– Są tu ze dwie setki ludzi, tak na moje oko, stoją na obu końcach ulicy. Dwa wozy strażackie. Wygląda, że spalił się tylko ten jeden dom. Wysoki, bardzo wysoki słup dymu. Bardzo czarny. Ci od zdjęć już tu są? Zaczekaj... czego Chris się dowiedział od glin, gdzie jest Doyle?

– Uważają, że może być w środku.

– Jeśli tak, to w tej chwili ma postać skwarka. Sam się pocę, a stoję za blokadą. Zadzwońię do ciebie, kiedy będę wiedział coś więcej.

– Nie wypuszczaj telefonu z ręki.

Sully wyłączył komórkę i usiadł.

Po jakimś czasie płomienie zaczęły przygasać, potem zniecka pojawiły się nowe, przyjechał kolejny wóz i uruchomił trzecią sikawkę. Wreszcie ogień został całkowicie zduszony i znad pogorzelniska uniósł się wielki kłęb dymu; w powietrzu fruwały drobinki popiołu, kawałki zwęglonego dachu

zapadały się do środka, od czasu do czasu rozlegał się huk pękającej butelki.

Na Warder Street przywrócono ruch. Większość gapiów się rozeszła. Na ulicy panował smród spalonej izolacji i nasiąkniętych wodą wykładzin.

Sully co chwila dzwonił do redakcji, żeby przekazać kolejne informacje do pęczniejącego artykułu, R.J. i Edward pytali go telefonicznie, czy jest absolutnie pewien tego, co widział, czy nic mu się nie stało, mówili, że wiadomość jest nadawana jako pierwsza we wszystkich stacjach i że cytują ich gazetę jako jedyne źródło rewelacyjnych informacji dotyczących wnętrza domu.

– Niewiarygodne. – Głos Edwarda w telefonie wydawał się nienaturalnie cichy. – Po prostu niewiarygodne. Po prostu tam sobie mieszkał, jakby nigdy nic. Najciemniej pod latarnią...

Sully zadzwonił do R.J. z pytaniem, jak obóz Reese'a przyjął publikację.

– Nabrali wody w usta – odrzekł R.J. – Nawet nie zaprzeczyli.

Przed południem Sully wreszcie odpowiedział na liczne telefony Johna Parkera i oznajmił mu, że to, co widział, poszło do druku i nie ma nic więcej do dodania. Parker stwierdził, że będą potrzebować formalnego oświadczenia, na co Sully, najgrzeczniej jak potrafił, odesłał go do adwokata gazety.

Stał na początku kwartału z numerami domów zaczynającymi się od 700, niecałe pięćdziesiąt metrów od mieszkania Noel, może z trzydzieści od boiska, gdzie znaleziono Lanę Escobar, sześć domów od miejsca pogrzebania Rebekah Bolin.

Znienacka przyszło mu do głowy, że jak na marynarza, Doyle nie bardzo lubił podróżować.

Trochę po dziewiątej, gdy już od dawna było ciemno, ratownicy w ciężkich strażackich uniformach wreszcie wyszli z domu z czymś, co

wyglądało na zwłoki przykryte białym prześcieradłem. Zapakowali nosze do karetki i odjechali z błyskiem świateł, ale bez syreny.

Kilka minut później od Warder Street nadjechały dwa radiowozy, torując sobie drogę głośnym sygnałem. Umundurowani funkcjonariusze rozsunęli blokadę, żeby wpuścić radiowozy i mały konwój czarnych SUV-ów. Po wpuszczeniu przybyłych żółta taśma i pomarańczowe gumowe pachołki wróciły na swoje miejsce. Z SUV-a wysiadł burmistrz; Sully dostrzegł też w pobliżu pogorzeliska komendanta policji, poruszającego się charakterystycznym kaczym chodem.

Z czasem pojawiło się więcej dziennikarzy i gapiów, całe tłumy, reporterzy z ogólnodostępnych stacji i z kanałów kablowych, z gazet, z czasopism, każdy, kto miał biuro w Waszyngtonie, przysyłał swoją ekipę, żeby donosić o seryjnym zabójcy, postrachu stolicy. Dział miejski rzucił do akcji wzmocnione siły, Chris obstawiał pole, a dwóch lub trzech innych młodych reporterów przepytывało ludzi z tłumu i wydzwaniało do redakcji. Sully trzymał się na uboczu, dzwonił tylko w istotnych sprawach albo by uzupełnić relację o jakiś szczegół. Stał sam, nie miał ochoty na kontakt z ludźmi, cały czas myśli kłębiły mu się w głowie.

O dziesiątej dwadzieścia, w napiętym oczekiwaniu na wiadomości nadawane godzinę przed północą, jakiś sierżant policji, którego Sully nie znał, powiedział dziennikarzom z telewizji, żeby się zgromadzili przy końcu ulicy, tuż przy blokadzie, na konferencję prasową. Doprowadziło to do krótkiego, nieprzyjemnego zamieszania. Reporterzy z prasy zaczęli wyc i nie przestawali, dopóki im także nie pozwolono przekroczyć blokady i stanąć tuż za kamerami. Na chodniku wyrósł las mikrofonów, światła reflektorów skupiły się na niewielkiej plamie asfaltu. Technik najpierw stanął z przodu, unosząc prostokąt białego papieru dla ustawienia balansu, a następnie przesunął się za mikrofony.

Sully widział, jak Chris rozmawia z ludźmi i zaraz potem dzwoni, żeby zrelacjonować, co usłyszał.

Sam w ciągu ostatnich paru godzin przekazał telefonicznie tylko dwie opinie do ubarwienia artykułu, obie od sąsiadów. Jeden z mężczyzn, mieszkający trzy domy dalej, twierdził, że kiedy leżał w łóżku przy otwartym oknie, rozległy się strzały z broni palnej, dwa, a potem nagle wybuchł pożar. Drugi, po sześćdziesiątce, lokator domu po przeciwnej stronie ulicy, mówił, że leżał na kanapie i oglądał telewizję, gdy usłyszał strzał, pojedynczy, więc wyrzwał na zewnątrz i zobaczył, że ogień liże już zasłony w oknach Doyle'a. Nie było drugiego strzału, nie miał co do tego wątpliwości.

Sully musiał przekazać redakcji te sprzeczne doniesienia.

Pięć po jedenastej komendant główny policji, burmistrz, dowódca straży pożarnej, prokurator okręgowy Dystryktu Columbia oraz niewielka grupa zróżnicowanych rasowo funkcjonariuszy Ministerstwa Sprawiedliwości i FBI wysiedli z SUV-ów i radiowozów, stojąc razem, odczekali jeszcze minutę, a potem wszyscy jednocześnie podeszli do dziennikarzy.

Zatrzymali się w odległości jakichś czterech metrów od rzędu mikrofonów. Komendant wysunął się naprzód i wziął do ręki jeden z nich; reszta grupy uformowała linię za jego plecami.

– Dobry wieczór – zaczął komendant. – Towarzyszą mi dzisiaj burmistrz Barnes, prokurator Stanton Holmes, szef straży pożarnej D.C. Bolden, agent Montgomery z FBI, strażnik Medford z sądowego wydziału bezpieczeństwa oraz Paul Cavanaugh, zastępca dyrektora Departamentu Sprawiedliwości. – Zrobił pauzę i rozejrzał się z ponurą miną, jakby nawiązywał kontakt wzrokowy ze słuchającymi, choć Sully wiedział – zdarzyło mu się stać przed tego rodzaju oświetleniem w tak niewielkiej odległości – że nie mógł widzieć nic, blask oślepiał. – Dziś rano, mniej więcej o drugiej dwadzieścia miejska straż pożarna odebrała kilka telefonów pod numer 911 donoszących o pożarze na Princeton Place Northwest w kwartale z numerami od 600 wzwyż. Wcześniej, o kilka minut, zgłaszano strzał lub strzały w tym samym lub pobliskim miejscu.

Chodziło o dom numer 637, którego resztki znajdują się za mną. Funkcjonariusze nie mogli wejść do środka przez kilka godzin z powodu szalejącego ognia. Właściciel domu, Doyle Goodwin, znany... hmm, dobrze znany miejscowej społeczności, mieszkał w tej dzielnicy od dawna i prowadził sklep nazwany swoim imieniem przy zbiegu ulicy z Georgia Avenue. Szczątki pana Goodwina zostały znalezione w holu przy drzwiach wejściowych. Ciało uległo spaleni w bardzo znacznym stopniu, ale znaleziono ranę postrzałową w prawej skroni, kula przebiła czaszkę.

Wśród dziennikarzy przeszedł szmer, jakby stłumione westchnienie; wielu z nich pisało, ale trzymało też w rękach urządzenia do nagrywania; odgłos wydychanego powietrza mógł także dobiec od tłumu widzów – było mniej więcej siedemdziesiąt osób – stłoczonych za nimi.

– Pan Goodwin... Pan Goodwin mieszkał samotnie. Pistolet, z jednym nabojem wystrzelonym, znajdował się obok jego prawej ręki. Śledztwo wprawdzie cały czas trwa, jednak wstępne ustalenia wskazują na samobójstwo. Nie znaleziono żadnego listu, ale mógł spłonąć w pożarze. Pożar, jak twierdzi dowódca straży Bolden – zaraz sam wypowie się obszerniej, ja nie jestem ekspertem – został specjalnie wzniecony. Na całej podłodze parteru i na schodach znaleziono ślady substancji przyśpieszającej spalanie. Nasz domniemany scenariusz – a jest jeszcze wcześnie, więc chcę podkreślić, że może ulec zmianie – wygląda tak, że pan Goodwin wzniecił ogień, a potem się zastrzelił.

Podniósł wzrok. W tym momencie z pewnością nienawidził swojej pracy i Sully doskonale go rozumiał.

– To jednak nie wszystko. W lewej ręce pan Goodwin trzymał srebrny naszyjnik z wygrawerowanym imieniem „Noel”. Został on już zidentyfikowany przez osobę spokrewnioną jako należący do Noel Pittman, której ciało...

Głośniejszy szmer w gronie widzów, stłumiony krzyk...

– ...znaleziono pogrzebane w piwnicy zrujnowanego domu za sklepem pana Goodwina. Pan Goodwin był przesłuchiwany na okoliczność tego zabójstwa, a także zabójstwa Sarah Reese, jednak jako ewentualny świadek. Podczas przesłuchań nie okazywał żadnych oznak zaniepokojenia. Nie był... podejrzany o żadne przestępstwo. – Komendant pozwolił sobie na westchnienie, a potem wyrzucił z siebie resztę, żeby mieć to już za sobą. – Wreszcie w piwnicy, która spłonęła tylko częściowo... została mocno zalana wodą, ale nie strawił jej ogień... było coś w rodzaju... miejsca pochówku, co mogliście już widzieć w doniesieniach. Nie mogę się w tej chwili wdawać w szczegóły, mogę jednak powiedzieć, że znajdowały się tam pamiątki po kilku kobietach, uznanych za zaginione lub zmarłe w tajemniczych okolicznościach. Nasza praca nad tą sprawą dopiero się zaczyna, ale mogę powiedzieć, że znaleźliśmy przynajmniej jedne ludzkie szczątki, na razie niezidentyfikowane, a także dwa przedmioty należące do Sarah Reese oraz ząbkowany nóż z rodzaju tych używanych w przemyśle, który może być narzędziem...

Głośne okrzyki, nawoływania, westchnienia zgrozy.

– ...zbrodni, popełnionej, jak wiecie, tuż przy sklepie pana Goodwina. Badania przeprowadzane przez lekarzy sądowych dla uzyskania pewności zajmą kilka dni, jednak wierzymy, że krew na nożu prawdopodobnie należała do Sarah, z kilku powodów, z których nie wszystkie wolno mi wyjawiać.

Zapadła cisza, całkowita, wyrażająca zaskoczenie.

– Jak większość z was wie, nastąpiło w tej sprawie przyznanie się do winy, wyjaśnimy je w ciągu kilku dni, jednak już... już w tym momencie możemy się spodziewać, że trzech podejrzani zostaną zwolnieni i większość poważnych zarzutów wobec nich upadnie. Oczywiście zaczynamy śledztwo w sprawie pana Goodwina, które, jak można się spodziewać, trochę potrwa. Chciałbym, by inni wypowiedzieli się w tej

smutnej, niepokojącej sprawie, pragnę też podkreślić, że nasze informacje mają wstępny charakter, ale chętnie odpowiem na kilka pytań.

Tama pękła. Zawołania, powtarzane kwestie, wzajemne przekrzykiwanie się, wreszcie jedno pytanie zadane na końcu, a przez to wyraźnie usłyszane:

– ...był tu, pod waszym nosem, więc jakim cudem udało mu się tak długo was unikać?

– Prawdopodobnie dlatego, że mu się nie przyglądaliśmy.

– A dlaczego mu się nie przyglądaliście? – dociekał ktoś.

– Prawdopodobnie dlatego, że jeden z pierwotnie podejrzanych, Reginald Jackson, przyznał się do winy.

– Dlaczego Jackson się przyznał, skoro tego nie zrobił?

– Nie znam odpowiedzi na to pytanie.

Medialne psy, spuszczone z uwięzi, rozszczękały się na dobre.

– Jacksona zmuszono, żeby się przyznał? Zeznanie, w którym się przyznał, było nagrywane?

– Dlaczego Goodwin zabił Sarah?

– Czy sędzia Reese zostanie pociągnięty do odpowiedzialności za to, że nie wyjawiał swojego związku z Noel Pittman? Jego zachowanie kwalifikuje się jako mataczenie?

– Ile innych ciał było w tej piwnicy?

– Poda się pan do dymisji?

Pytania padały jedno za drugim, bez końca – na większość nawet nie oczekiwano odpowiedzi – rzucone jako oskarżenia, jako obelgi, jako przytyk do niekompetencji policji, wytknięcie głupoty, porażki.

Komendant uniósł w górę ręce w taki sposób, że wyglądało, jakby sobie grzał dłonie nad ogniem.

– Nie będziemy mogli dziś odpowiedzieć na wszystkie pytania. Sędzia Reese to zupełnie inna kwestia. Nie mieliśmy jeszcze z nim kontaktu. Czytaliśmy jedynie artykuł w dzisiejszej gazecie, ale owszem, będziemy chcieli z nim porozmawiać. Benzyna, to mogę potwierdzić. Użyto benzyny

jako podpałki. Żadna z aresztowanych przez nas osób nie była bita ani źle traktowana. Mogę powiedzieć, że byliśmy tak samo zaskoczeni jak wszyscy, zarówno tym, co znaleźliśmy w piwnicy, jak i faktem, że te rzeczy się tam znajdowały. Pan Goodwin podczas śledztwa w obu przypadkach odegrał rolę pomocnego, chętnego do współpracy świadka. Nie mamy pojęcia, jaki był motyw. Możliwe, że dowiemy się tego w najbliższych dniach, jakkolwiek ogień prawie całkowicie zniszczył dom pana Goodwina i wszelkie dowody, jakie mogły się w nim znajdować. Domyślam się, że taki był powód wzniesienia pożaru, ale nie wiem tego na pewno. Uważaliśmy go za pomocnego. Myśleliśmy o nim, dopóki nie weszliśmy dziś do tego domu, jako o ofierze, która ucierpiała z powodu tych morderstw i ich skutków. Tymczasem okazuje się, że to on był sprawcą, człowiekiem, który zabił Sarah Reese, Noel Pittman i kilka innych kobiet.

Rozdział 43

Sully przedyktował Tony’emu kilka ostatnich akapitów, odbywał coś w rodzaju rundy honorowej, nadając tekstowi ostateczny kształt. Wcześniej Tony zdążył opuścić redakcję, udać się do domu i znów wrócić. Przyjmował materiał od nie wiadomo ilu reporterów. Spisywał to, co mu dyktowano, zadawał pytania uzupełniające, wreszcie zakończył pracę.

– Wysłałem – oznajmił. – Gotowe. Artykuł poszedł do druku.

– Jestem wolny?

– Jesteś wolny. Masz pierwszą stronę. Nad zgięciem. Jezu, człowieku. Dwa dni z rzędu, Reese, a teraz to.

R.J. zadzwonił dwie minuty później, nim jeszcze Sully zdążył wsiąść na motor.

– Chłopie... Chłopie. Niesamowite. Popatrz w telewizor. Miałeś rację. Genialne. Mówiłeś, że masz przecucie co do tych kobiet. Faktycznie wyczułeś sprawę. To było... Siedzę właśnie na kanapie obok Ela i mówię mu: „To, co zrobił ten dzieciak, jest jak mistrzowskie uderzenie z zajęciem wszystkich czterech baz”.

Sully słuchał, czując, jak wraz ze spadkiem poziomu adrenaliny ustępuje z niego napięcie, a jego miejsce zajmuje zmęczenie.

– Dzięki, amigo. – Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć. – A Reese? Usłyszymy coś o nim?

– Coś poza tym, że może się pożegnać z Sądem Najwyższym i prawdopodobnie z zawodem? Nie oglądałeś dzisiejszych dyskusji ekspertów. Senat przebąkuje o przesłuchaniu.

– Miałem na myśli sprostowania, dementi.

– Nic z tych rzeczy.

Sully wydał usta.

– No to świetnie.

– W tej sytuacji – mówił R.J. – chcielibyśmy, żebyś się przez jakiś czas skupił wyłącznie na tym temacie. Wiesz, jakiś większy tekst o Goodwinie, o tych kobietach, o całej tej historii. Bóg jeden wie, ile kobiet naprawdę zabił.

– Będzie ich więcej, niż możemy się w tej chwili spodziewać.

– Jasne. No tak. Chcemy, żebyś to pociągnął.

– Możesz zlecić Chrisowi podsumowanie sprawy tych trzech podejrzanych? Domyślam się, że lada dzień zostaną zwolnieni. Będzie mnóstwo materiału.

– Masz wyrzuty sumienia, że przy tobie wypadł na durnia?

– Może trochę. A skoro mowa o durnocie, nie miałem dziś znaku życia od Melissy.

– Ha, ha. Ja też nie. Pewnie pluje sobie w brodę, ale raczej nigdzie się nie wybiera. Na twoim miejscu wypaliłbym z nią fajkę pokoju.

– Może kiedyś.

Sully wsiadł na motocykl i odpalił silnik. W oddali, jakieś dwie przecznice przed sobą, zobaczył rozjarzony neon baru ze striptizem. Dlaczego nie? – pomyślał. Zajrzeć do miejsca łowów Doyle'a, usiąść tam, gdzie on siadał, popatrzeć na to, co miał przed oczami każdego wieczoru ten człowiek o pokręconym umyśle.

– Zobaczymy się jutro R.J. Idę się napić. Nie szukaj mnie przed dwunastą w południe.

Zatrzymał motocykl, podszedł do czerwonych drzwi klubu i dał bramkarzowi w czarnym garniturze dziesięć dolarów za wstęp. Mężczyzna wprowadził go do środka, gdzie czerwono-fioletowe światła migotały do rytmu dudniącej muzyki. Sully nie dał się usadzić przy stoliku z przodu

pomieszczenia, tylko wskazał na boks przy tylnej ścianie i został tam zaprowadzony.

Zamówił dżin z tonikiem i skupił się na oglądaniu występu. Po chwili zjawił się Sly. Wchodząc do klubu, Sully nie natknął się na Lionela, ale widocznie ktoś musiał go zauważyć i dał znać szefowi.

Sly podszedł do boksu, zajął miejsce naprzeciw Sully'ego. Przyszła kelnerka i Sly zamówił koniak Hennessy.

Tancerka zakończyła występ. Rozległy się nieliczne oklaski, około dziesięciu banknotów znalazło się za białą podwiązką na jej prawej nodze. Obeszła salę, opierając stopę na krzesło każdego klienta; krótka biała opończa, w którą była ubrana, rozchyłała się przy tym, mieli więc jeszcze jedną okazję do obejrzenia odsłoniętych wdzięków i zatknięcia pieniędzy za podwiązkę. Sully wyłożył na ten cel pięciodolarówkę. Sly nawet nie spojrzał i kobieta szybko odeszła.

Sully przez minutę obserwował nową dziewczynę na scenie, a potem nachylił się ku Sly'owi i przekrzykując muzykę, rzucił:

– Naszyjnik? W jego ręce?

Sly sącył koniak i nie odrywał wzroku od tancerki.

– Ładnie, co? Nie mogłem ryzykować, że zginie w tym bałaganie z pożarem.

– Gdzie był?

– Na półce tam na dole, w piwnicy. Miał mnóstwo rzeczy Noel.

– Hmm. Nie widziałem. Nie widziałem też niczego, co by należało do Sarah.

– Nie rozejrzałeś się po tym pomieszczeniu z tyłu. Tam był jego... jak to nazwać? Jego warsztat. Tak, warsztat.

Sly odstawił drinka, pomasował się po szyi. Sprawiał wrażenie podekscytowanego, niemal tryskał energią. Sully jeszcze go takiego nie widział. Przyszło mu do głowy, że może Sly jest trochę pijany.

Teraz to on nachylił się do ucha Sully'ego i wykrzyczał:

– Pewnie był taki, bo miał oziębłą matkę.

– Kto? Doyle? Co masz na myśli?

– Co mam na myśli? A jak sądzisz? Mam na myśli całe to gówno. Noel? Świetna laska, żeby ją pogrzebać w piwnicy, koło własnego sklepu? Michelle, w swoim własnym domu? Kto tak robi? Tę Latynoskę załatwił pewnie dla wprawy. I jeszcze ta biała dziewczyna...

– Sarah – podpowiedział Sully.

– Imię odpowiednie tylko dla białej.

– Niewiele białych dziewczyn nosi imię Keisha.

– Chyba nie stajesz się rasistą – rzucił Sully.

– To tylko spostrzeżenie dotyczące twojego spostrzeżenia.

– No dobra, ten świr dusi Sarah, a potem podrzyna jej gardło, gdy ona już nie żyje. Czemu czarny miałby to zrobić?

– Oczekujesz ode mnie odpowiedzi?

Kelnerka wróciła i każdy z nich zamówił następną kolejkę. Przez chwilę patrzyli na występ, nie odzywali się do siebie. Widok dziewczyny na scenie przywiódł Sully'emu na myśl inną tancerkę, Noel, która została zamordowana i pogrzebana ręką Doyle'a. Pomyślał o Lorenie. Ten dzień musiał być dla niej istnym piekłem. Było za późno, żeby do niej zadzwonić.

– Noel zginęła w ten sam sposób – powiedział. Starał się pokonać nagłą falę mdłości na myśl o jej ostatnich momentach życia. Co wówczas widziała, słyszała, czuła? To się stało zaledwie kilkaset metrów od miejsca, gdzie się znajdowali.

– O co ci chodzi?

– O nóż. I gardło.

– Hej, niech to szlag, chyba nie zamierzasz się tu porzygać?

– Nie – odpowiedział Sully. Czoło miał lepkie od potu. – Jestem po prostu zmęczony. I jeszcze ten cholerny dzin.

Sully pokiwał głową.

– Dziewczyna umie się poruszać. – Wciąż gapił się na scenę. Atmosfera zrobiła się ciężka. Kiedy tancerka skończyła występ i zastąpiła ją inna, Sully dwukrotnie postukał kieliszkiem o stół w trakcie piosenki Ricka Jamesa. Następnie skinął Sully’emu, wysliznął się z boksu i klucząc między stolikami, tym miękkim krokiem, bez pośpiechu, opuścił klub.

Trunek, głód i wyczerpanie naraz dały o sobie znać. Sully patrzył na błyszczącą dyskotekową kulę, która obracała się pod sufitem. Miał wrażenie, że nagle zaczął ważyć kilka ton. Wstanie i wyjście z klubu wydawało mu się po prostu niemożliwe.

Po trzech piosenkach na scenę wyszła kolejna tancerka, mocno zbudowana, o jasnej skórze, nie w jego typie. Kiedy patrzył, jak zrzuca z siebie czarne aksamitne łaszki i zaczyna myć lustro, w jego zamulonym mózgu coś zaświtało: Sully twierdził, że gardło Sarah Reese zostało podejrzięte, kiedy już nie żyła.

Jason powiedział mu o tym w kostnicy. Nigdy tego nie wykorzystał. Ta wiadomość nigdy nie została ujawniona publicznie.

Zamknął oczy.

Nie. Nie, nie, nie...

O ósmej pięćdziesiąt pięć następnego ranka stał przed drzwiami sekretariatu w holu sądu okręgowego, ubrany w te same dżinsy i wymiętą koszulę co poprzedniego dnia, cuchnący papierosowym dymem i rozlanym dżinem. W ustach miał smak podłogi z kina dla dorosłych. Przez całą noc nawet nie zmrużył oka.

Czekał, aż otworzą sekretariat. Siedział na obitej skórą ławce i obgryzał opuszkę palca u lewej dłoni.

Minutę po dziewiątej ktoś otworzył drzwi, więc poderwał się z miejsca i wszedł do ogólnodostępnej sali z komputerami.

Wpisał imię i nazwisko Reese’a do programu archiwizującego rozstrzygane sprawy, w okienku z podpisem „sędzia prowadzący”,

ograniczył przeszukiwanie do ostatnich trzech lat. Wcisnął odpowiedni klawisz, żeby rezultat wyświetlił się w postaci alfabetycznego spisu oskarżonych. Po kilku sekundach zobaczył to, na co czekał.

Nazwisko adwokata jako pierwsze rzuciło mu się w oczy.

Kaufman, Avram.

Skulił się, ramiona mu opadły, jakby uszło z niego powietrze.

Sprawa trafiła do sądu Reese'a trzeciego kwietnia dziewięćdziesiątego ósmego, przed półtora rokiem. Oskarżona nazywała się Nikki Jacqueline Philips. Siostra Sly'a Hastingsa, a raczej siostra przyrodnia, dla ścisłości, jak powiedział mu Sly, kiedy to się zaczęło. Zarządzała dla niego nieruchomościami na wynajem. Nikki pracowała w zarządzie budynków komunalnych Dystryktu Columbia, tak twierdziła obrona. Jasne. Jak inaczej miałyby się nauczyć zarządzania czynszówkami swojego przyrodniego brata?

Została oskarżona o łapówkarstwo przez budowlańca pracującego na zlecenie miasta, chodziło o sumę dwustu trzydziestu ośmiu tysięcy dolarów. Padł wniosek o oddalenie zarzutów, ale Reese mu się sprzeciwił. Została skazana za cztery z pięciu popełnionych przestępstw. Reese wymierzył jej maksymalną karę przewidywaną przez kodeks, wyższą nawet niż wnosił prokurator. Osiemnastego sierpnia dziewięćdziesiątego dziewiątego roku, sześć tygodni przed tym, kiedy została zamordowana jego córka.

Sully przypomniał sobie, za późno: „Domyśliłem się, po akcencie, że jest jednym z tych ćwoków z Południa, gdy tylko usłyszałem go w sądzie”.

Wpatrzony w ekran, nerwowo poruszał nogami pod biurkiem.

Siostra Sly'a, najcenniejszy nabytek do prania jego pieniędzy, została aresztowana. Szukał sposobów, żeby ją wyciągnąć i przywrócić do pracy („Nikki ma mniej czasu”), a to musiało go skłonić do chwywania się różnych możliwości... i nagle, rzecz niebywała, okazało się, że córka sędziego prowadzącego pobiera lekcje tańca na podwórku Sly'a.

Nogi pod biurkiem znieruchomiały.

Sly nie musiał się wybierać do miasta, żeby dopaść sędziego. Zaatakował go tam, gdzie był najbardziej bezbronny, kiedy po podwiezieniu córki szedł na spotkanie z kochanką. Siedzieli z Lionelem i obserwowali, jak podwozi Sarah w sobotę rano... a tu, proszę bardzo, pan sędzia udał się do mieszkania Noel, jedyne miejsce, gdzie z pewnością nie ciągnął za sobą osobistej ochrony. Cóż za dar losu dla kogoś takiego jak Sly!

Oczywiście wyobraźni zobaczył wyraźnie, jak sędzia wychodzi od Noel. Sly i Lionel wysiadają z camaro, zrównują się z nim krokiem, jeden z jednej strony, drugi z drugiej, mówią: „Panie sędzio, musimy porozmawiać o tym nieporozumieniu z moją siostrą... Nikt nie chce, żeby zdjęcia pana z Noel, tutaj, znalazły się w obiegu, pewnie, że nie, tak jak nikt nie chce, żeby się coś stało takiej ślicznotce jak ona...”

Jednak jeśli tak wyglądał ich pierwszy, łagodny krok w postaci oferty, ta nie została przyjęta. Reese nie umorzył sprawy.

To doprowadziło do drugiego kroku, przeprowadzonego tak perfekcyjnie, że Sully aż pokręcił głową, pełen jednocześnie podziwu i obrzydzenia. Oczywiście, że Sly wiedział o Doyle'u. Był królem dzielnicy, jak mógłby nie wiedzieć? Doyle nadawał się do mrocznych celów Sly'a wręcz doskonale – dziwak z upodobaniem do prostytutek, mordujący je na własnym podwórku. Idealny kozioł ofiarny, któremu Sly mógł przypisać każdą swoją zbrodnię.

Tak więc Sly lub Lionel (albo obaj, razem) zabili Noel i pogrzebali ją w piwnicy domu za sklepem Doyle'a – naśladowali jego sposób działania. Zniknięcie dziewczyny było tajemnicą dla wszystkich poza osobą, w którą cała akcja była wymierzona – Davidem Reese'em. Jednak się nie udało. Sędzia, uważający się za twardego Teksaszczyka, odpowiedział wymierzeniem Nikki najwyższej możliwej kary, wciąż nieświadomy głębi natury Sly'a Hastingsa.

Następuje więc ostateczne uderzenie, przesłanie dla Reese'a. Żołnierze Sly'a, ci trzej czarni chłopcy, idą za Sarah do sklepu, straszą ją, prowokując do ucieczki przez zaplecze. Sly czeka, Lionel czeka, jeden z nich albo obaj razem.

A potem ukazuje się artykuł Sully'ego, Sly kręci nim jak chce.

Kto mu powiedział, że trzej podejrzani wcale nie są winni i popchnął go w stronę teorii seryjnego zabójcy? Kto mu podsunął ojcyma Lany Escobar? Sly. Sully, odpowiednio nakarmiony informacjami, wysmażył artykuł, który przstraszył Doyle'a. Szum w prasie, spotkanie mieszkańców, ponowne zainteresowanie policji, wszystko to nie tylko doprowadziło do wznowienia śledztwa, ale też wskazywało na Doyle'a. W rezultacie Sly otrzymał niespodziewany, dodatkowy bonus: Doyle powiedział Sully'emu o sędzim z własnych pobudek, spanikowany, żeby odwrócić od siebie uwagę.

Później wszystko potoczyło się już z góry. Kto zabrał go do „mamuśki”, a ta opowiedziała mu to, co jej kazano, z dodatkowym odegraniem małego przedstawienia na jego użytek? Kto dorzucił historię o bezimiennej prostytutce, która jakoby widziała Michelle z Doyle'em w jego kantorku? Kto włożył Doyle'owi do ręki naszyjnik Noel? Skąd się wziął nóż użyty podczas zamordowania Sarah?

„Przynieś, co trzeba. Kanistry z benzyną też”.

Zamknął oczy spięty następną falą mdłości. Żołądek podchodził mu do gardła. Nagle ponownie znalazł się na lunchu z Evą u Stoneya, pierwszego października. Ona mu to powiedziała. Powiedziała mu jasno i wyraźnie. „Pozbywa się ludzi, którzy mu przeszkadzają w interesach i włos mu za to z głowy nie spada”.

I co Sully, współnik w zamordowaniu Doyle'a Goodwina, zamierzał z tym zrobić?

– Niech to szlag – powiedział do siebie; zamknął oczy i tarł powieki, więc nie widział, jak urzędniczka, która pilnuje sali, podnosi wzrok zza

recepcyjnej lady. – Niech to jasny, pieprzony szlag.

Urzędniczka z groźną miną postukała w blat.

– Język – rzuciła karcąco.

Epilog

Miejsce nazwane „U mamy” było raczej zabudowanym z trzech stron straganem na końcu parkingu niż kwiaciarnią, ale znajdowało się tuż obok cmentarza i miało przyzwoite ceny. Prząd osłaniały kurtyny z grubego plastiku, rozwijane, by chronić przed wiatrem i chłodem. Większość była opuszczona, kiedy Sully przyjechał na cmentarz. Kończył się listopad, mocno wiało, deszcz wisiał w powietrzu. Kupił bukiet kolorowych gerber, żółtych, czerwonych, pomarańczowych i białych, owiniętych czerwoną folią.

- To na grób? – spytała chuda dziewczyna za kasą.
- Owszem.
- Przybrać?
- Czemu nie?
- Nabłyszczyc?
- Skoro pani uważa, że trzeba...

Przejechał z powrotem przez cmentarz, z kwiatami ułożonymi pomiędzy bakiem a sodełkiem; wolno mijał groby i kamienie znaczące miejsce pochówku różnych Jacksonów, Stevenów, Changów i Martinów.

Grób Noel Pittman miał jedynie płaską tablicę z inskrypcją; Sully potrzebował kilku minut, żeby go znaleźć.

PITTMAN, NOEL ANGELIQUE
ur. 30 sierpnia 1972 – zm. 25 kwietnia 1998

Ukochana i nieodżałowana

Po obu stronach płyty znajdowały się niewielkie metalowe wazony umocowane na okrągłych podstawkach. Podniósł jeden i podszedł z nim do kranu przy białym drewnianym płocie oddzielającym teren cmentarny od drogi. Woda była zimna, czysta. Potrząsnął rękami, żeby je osuszyć.

Kiedy wracał nad grób, na szczycie wzniesienia pojawił się samochód. Zwolnił, a potem się zatrzymał. Sully wyjął kwiaty z folii, wstawił do wody i umieścił na podstawce. Poprawił łodygi, żeby nie przechylały wazonu na bok.

– Są piękne – zawołała z daleka Lorena.

Odwrócił się i ją zobaczył. Stała dwa kroki od samochodu; w pobliżu nie było nikogo, tylko oni dwoje i kwiaty w jasnozielonej folii, które trzymała przed sobą: pęk czerwonych i białych róż przetykanych goździkami oraz jakimiś drobnymi kwiatuskami. Bukiet był niezwykle okazały i na pewno pochodził z prawdziwej kwiaciarni.

Sully odchylił się do tyłu, wsparty na zdrowej nodze, kiedy kobieta do niego podeszła.

– Przez ciebie wypadam niekorzystnie – powiedział; znał ją na tyle, by pozwolić sobie na ironię.

– Cóż, nie wiedziałam, że tu przyjdiesz.

– No właśnie.

Wzięła jego kwiaty, lekkim, niewymuszonym gestem, i zmieszała ze swoimi, następnie podzieliła całość na dwa mniejsze bukiety i umieściła w wazonach po obu stronach tablicy. Cofnęła się i razem w milczeniu podziwiali efekt. Cisza trwała dłuższą chwilę.

– Często tu przychodzisz? – odezwał się Sully, patrząc przed siebie.

– Dwa lub trzy razy w tygodniu. A ty?

– W święta, chyba sama wiesz.

Przytaknęła skinieniem. Znów zamilkli, po prostu stali i patrzyli, na tablicę i na kwiaty. Niebo miało barwę stali, wiatr świstał w konarach drzew, uliczny ruch przebiegał zbyt daleko, żeby go było słycać.

– Chyba nigdy ci nie podziękowałam.

Miała mu dziękować? Za co? Jezu, co też ludzie wygadują...

– Co teraz zrobisz? – spytał, jakby jej nie usłyszał. – Teraz... kiedy masz to już za sobą.

– Myślałam o tym, żeby na jakiś czas wyjechać. Może wrócić do domu, na tydzień lub dwa, w okresie Bożego Narodzenia. Zobaczyć się z rodziną. Odwiedzić kraj urodzenia. Sama nie wiem...

– Negril? Tam jest pięknie. – Westchnął. – Te klify, wulkaniczne skały... Mieszkałem tam kiedyś w miejscu, gdzie można skakać z brzegu wprost do oceanu.

– To Xtabi. Gdzie kręcono...

– Film „Papillon”.

Popatrzyła na niego z uśmiechem. Po raz pierwszy zobaczył, jak się uśmiecha bez ironii, sceptycyzmu czy złości, i zdumiało go, że jest taka śliczna i promienna.

– Nie wiedziałam, że jesteś wielbicielem kina.

– Bo tak naprawdę nie mieliśmy okazji porozmawiać. – Odwzajemnił uśmiech.

Kilka minut później odjechała: samochód wycofał się i zniknął za wzniesieniem, błysnęły czerwone światła hamowania i znowu został sam.

Patrzył na tablicę, nie próbował zbierać rozpiezchłych myśli, niezależnie od tego, co je przyciągało: drzewa na skraju cmentarza, sosny i kilka liściastych, dębów i klonów, mały placyk nad wąskim strumieniem czy może raczej rowem, dwupiętrowe bloki i obskurny sklep spożywczy z parkingiem po drugiej stronie; niska, uboga, podmiejska Ameryka.

– To już chyba koniec, Noel – powiedział. – Nie sądzę, żebym tu wrócił. Nic dla ciebie nie zrobiłem. Nie dopadłem tego właściwego człowieka. Staralem się. Przykro mi.

Kiedy szedł do swojego motocykla, wiatr rozwiewał mu włosy.

Późnym popołudniem u Stoneya było prawie pusto; niedziela leniwie przechodziła w wieczór, blask świateł wylewał się na patio. Wewnątrz rozlegał się szmer głosów, telewizor nad barem, z mocno ściszonego głosem, pokazywał mecz z Zachodniego Wybrzeża, Raiders przeciw Broncos.

Sully siedział z Evą w tym samym boksie co zawsze. Przed nim stał talerz ze zjedzonym do połowy grillowanym serem, Eva dłubała w sałatce. Piła białe wino, może już trzeci kieliszek, więc zachowywała się nieco swobodniej. Sully nieustannie zerkał w stronę baru, za którym Dmitri wycierał ścierką szklanki i jednocześnie oglądał mecz. Broncos zdobyli kolejne punkty tuż za środkiem pola.

Po pewnym czasie Eva oznajmiła:

– Dmitri powiedział, że zrezygnowała z pracy. Możesz przestać się gapić.

Sully opuścił wzrok, a potem spojrział na nią, przechylając głowę na bok. Cios padł niespodziewanie.

– Co możesz o tym wiedzieć?

– Dostyc. – Mówiła poważnie, bez śladu rauszu.

– A co to znaczy dostyc, droga pani?

– Nie jesteś, Sully... nie jesteś jedynym, który zna sekrety.

Nie odpowiedział, czekał, czy coś doda, powie o Dusty, o której rozmawiali, albo o Sly'u, bo o nim prawdopodobnie myślała. Popatrzyli sobie w oczy. Nic nie dodała, jednakże Sully nie potrafił rozstrzygnąć, czy jej milczenie świadczy o niewiedzy, czy stanowi taktyczny unik.

– Nie sądzisz, że samobójstwo Doyle'a jest dla wszystkich wygodnym rozwiązaniem? – spytała.

– Nie dla niego.

– Dla wszystkich innych.

Dostrzegł nagły błysk w jej oku, ledwie widoczny, jakby mikroskopijna plamka pojawiła się na źrenicy i zaraz znikła. „Drzwi są otwarte. Przypuszczam, ale nie wiem. Powiedz mi. Powiedz mi, co wiesz”. Wytrzymał jej spojrzenie, w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że dostrzegł, iż coś pomiędzy nimi zaszło. Nie, pomyślał. Załatwię to po swojemu.

– Bywasz czasami zmęczona tym wszystkim? – Odwrócił wzrok, wykonując nieokreślony gest uniesionym kieliszkiem.

– Tym?

– Całym tym głównem. Różnymi dupkami z bronią palną, opieszalymi gliniarzami, koką, trawą, ogólnym niedostatkiem inteligencji i produktywnego myślenia, i tym, że każdego pieprzonego dnia jest coraz więcej przekrętów, więcej trupów, więcej ofiar, gwałtów, rozbojów.

– No cóż...

– Działamy na jakichś pieprzonych obrzeżach życia.

– Ja tego tak nie widzę – odpowiedziała Eva. – Myślę, że to coś znaczy. Wręcz sięga wieczności.

– Jezu Chryste.

– Nie, posłuchaj. Czasem mi się zdaje, że ci moi nieboszczycy nie są tak do końca zmarli. Czasami mam wrażenie, że są tuż obok, w sąsiednim pomieszczeniu, albo zniecka wyłonią się zza rogu i ich mama albo tata, albo kuzyn, albo dziewczyna powie: „Och, przepraszam, on tu jest”. Jakby wszystko było tylko złym snem, moment, kiedy odebrali telefon, przyjazd policji.

– Hmm.

– Wiesz, czasami nocą słyszę, że rozmawiają. Gadają i gadają, ale nie da się nic z tego zrozumieć, jak z rozmowy toczonej w sąsiednim pokoju. Tylko mamrotanie i pojedyncze zdania, nic wyraźnego. A potem zasypiam.

Zamilkła. Sully patrzył na swojego drinka.

– Hej, ty. Widzisz w tym jakiś sens? Wiesz, o co mi chodzi?

Sully Carter wyjrzał przez otwarte drzwi wejściowe, podwójne jak w saloonie; ostatnie promienie dziennego światła wpadały do środka na wyłożoną kaflami podłogę, tworzyły na niej rysunek skrzywionego prostokąta. Jeden z liści przeganianych wiatrem po ulicy poderwał się w górę, wykonał leniwą pętlę i wylądował tuż za drzwiami, na prostokątnej jasnej plamie. Był brązowy, pomarszczony, bez życia. Nagle Sully niemal zobaczył grób Nadii, odległy o prawie sześć i pół tysiąca kilometrów, gdzie jej ciało pochowano w trumnie na zalesionym wzgórzu, głęboko w ziemi, w lodowatej ciszy bliskiej już zimy. Pomyślał jeszcze raz o jej ciele, ciepłym, w łóżku obok niego, w białej pościeli, o jej śniadej skórze, zapachu, jej sutkach dotykających jego klatki piersiowej, jej nodze zarzuconej na jego nogę. Nadia, oddychała, spała, była bezpieczna, należała do niego.

– Tak – odpowiedział. – Widzę. Wiem.

Podziękowania

Przedstawiony w *Podłej dzielnicy* obraz Waszyngtonu z końca wieku pokazuje to miasto w tym czasie, ale nie jest jego dokładnym odzwierciedleniem. Od czasu do czasu pozwalałem sobie na dowolność w kwestii geografii, chronologii i wydarzeń.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych w okolicy Princeton Place rzeczywiście grasował seryjny zabójca, a policja opieszale prowadziła śledztwo w jego sprawie. Jednak te wydarzenia stanowiły jedynie inspirację do napisania książki, nie jest ona przewodnikiem po faktach; nie ma też związku pomiędzy żadną z osób, których dotyczyły prawdziwe zbrodnie, a opisanymi tu bohaterami. Więcej informacji o morderstwach z Princeton Place można znaleźć na www.neelytucker.com.

Wiele zawdzięczam detektywowi z miejskiej policji Danny'emu Whelanowi, który odegrał kluczową rolę w prawdziwym śledztwie, a mnie pomógł w opisie niektórych policyjnych szczegółów. Była asystentka prokuratora generalnego USA June Jeffries, która przez dwadzieścia pięć lat ścigała sprawców zabójstw i przestępstw na tle seksualnym w Dystrykcie Columbia, cierpliwie odpowiedziała na liczne pytania o tajniki tej pracy. Connie Ogle i Michael Cavanaugh czytali rękopis i uporządkowali szczegóły.

Co więcej, ta książka nie powstałaby bez wysiłku pięciu wspaniałych kobiet.

Mam wielkie szczęście, że jestem mężem pierwszej z nich, Carol Josephine Tucker, która wierzyła w ten projekt, gdy był zaledwie mglistym

zarysem pomysłu, i która stworzyła mi czas i miejsce na to, by się rozwinął w książkę trzymaną przez was w rękach. (Ponadto odniosła wielkie zasługi redakcyjne: potrafi najuprzejmiej przekonać autora, że owoc nocnego natchnienia, fraza niemająca sobie równych we współczesnej literaturze... w istocie jest całkiem do bani.)

Druga, Elyse Cheney, jedna z największych agentek literackich wolnego świata, zawarła ze mną umowę, nim skończyłem pisać pierwszą stronę. Przedzierała się przez robocze wersje tekstu, wykazując cierpliwość i zdolność perspektywicznego myślenia, a potem reprezentowała tę książkę najlepiej, jak to możliwe.

Lynn Medford, moja fantastyczna szefowa w gazecie, wspierała projekt we wszystkim, dużym i małym. Potrafi kichać jak nikt inny na świecie.

Allison Lorentzen, moja redaktorka w wydawnictwie Viking, przeobraziła ten tekst z rękopisu w gotową książkę i dopilnowała, by wszystko było na swoim miejscu, wzbogaciła całość o korzystne zmiany redakcyjne, upiększające poprawki i swój entuzjazm.

I wreszcie piąta, Elizabeth Tucker, moja matka, czytała mi książki, kiedy byłem dzieckiem i często zabierała mnie do biblioteki; wyrobiła we mnie przekonanie, że to dzięki opowieściom rozumiemy świat.

Jestem błogosławiony między mężczyznami.

Spis treści

[Rozdział 1](#)

[Rozdział 2](#)

[Rozdział 3](#)

[Rozdział 4](#)

[Rozdział 5](#)

[Rozdział 6](#)

[Rozdział 7](#)

[Rozdział 8](#)

[Rozdział 9](#)

[Rozdział 10](#)

[Rozdział 11](#)

[Rozdział 12](#)

[Rozdział 13](#)

[Rozdział 14](#)

[Rozdział 15](#)

[Rozdział 16](#)

[Rozdział 17](#)

[Rozdział 18](#)

[Rozdział 19](#)

[Rozdział 20](#)

[Rozdział 21](#)

[Rozdział 22](#)

[Rozdział 23](#)

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Epilog](#)

[Podziękowania](#)